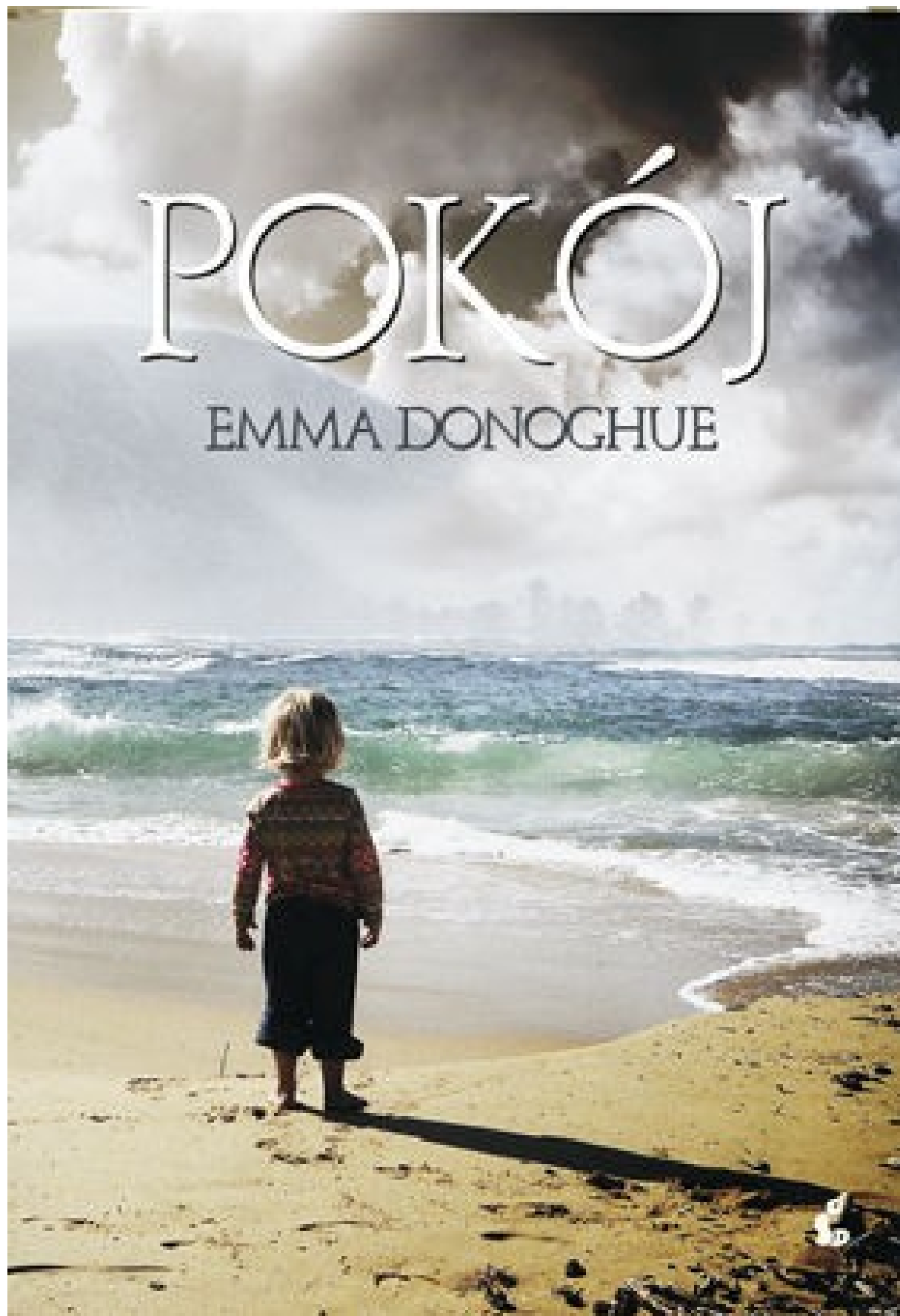


POKÓJ

EMMA DONOGHUE



EMMA DONOGHUE

POKÓJ

Z języka angielskiego przełożyła Ewa Borówka

Tytuł oryginału: ROOM

Pokój jest dla Finna i Uny, moich najdoskonalszych dzieł.

Motto: o synu, trwoga w sercu mym, gdy ty spokojnie śpisz!

Gdy ciebie wiedzie błogi sen w czarownych, dziwnych marzeń kraj, my w łodzi strasznej, która gdzieś płynie hen w bezkresny mrok.

Simonides z Keos (556-468 p.n.e.)

Danae

PREZEZNTY

Dziś mam pięć lat. Wczoraj wieczorem, jak kładłem się spać w Szafie, miałem cztery, ale gdy budzę się po ciemku w Łóżku, już mam pięć, abrakadabra. Wcześniej miałem trzy, dwa, jeden, potem zero.

- Miałem kiedyś poniżej zera?

- Hmm? - Mama przeciąga się szeroko.

- Tam w górze, w Niebie. Miałem minus jeden, minus dwa, minus trzy lata?

- E, nie, odliczanie zaczęło się dopiero, jak śmignąłeś na Ziemię.

- Przez Okno w dachu. Cała byłaś smutna, zanim ci się przytrafiłem w brzuszku.

- To ty tak twierdzisz. - Mama wychyla się z Łóżka, żeby włączyć Lampę, a ona robi wszędzie widność szszszust.

Zamykam oczy w samą porę, potem uchylam jedno, a potem obydwie.

- Płakałam, aż brakło mi łez - mówi. - Leżałam tu i odliczałam sekundy.

- Ile sekund? - pytam.

- Całe miliony.

- Ale ile dokładnie?

- Straciłam rachubę - mówi Mama.

- A potem życzyłaś i życzyłaś swojemu jajeczku, aż utyłaś.

Uśmiecha się.

- Czułam, jak kopiesz.

- Co kopałem?

- Mnie oczywiście.

W tym momencie zawsze się śmieję.

- Od środka, łup łup. - Mama unosi koszulkę do spania i pokazuje, jak podskakuje jej brzusek. - Pomyślałam: "Jack jest już blisko". A z samego rana wysunąłeś się z szeroko otwartymi oczami prosto na dywan.

Patrzę na Dywan, czerwone zygzakuje się z brązowym i czarnym. A tu plama, którą zrobiłem niechcący, jak się rodziłem.

- Przecięłaś sznurek i byłem wolny - mówię Mamie. - A potem stanąłem się chłopcem.

- Tak naprawdę już byłeś chłopcem. - Wychodzi z Łóżka i idzie do Termostatu

nacieplić powietrze.

Chyba nie przyszedł wczoraj po dziewiątej, powietrze zawsze jest inne, jak przychodzi. Nie pytam, bo ona nie lubi o nim mówić.

- Powiedz mi pan, Panie Piątku, chcesz pan dostać prezent teraz czy po śniadaniu?

- A co to, a co to?

- Wiem, że nie możesz się doczekać, ale nie skub palucha, bo zarazki wejdą przez dziurkę - mówi.

- I zrobią mi niedobrze, jak wtedy, kiedy miałem trzy lata i wymioty i biegunkę?

- Gorzej - mówi Mama. - Przez zarazki mógłbyś umrzeć.

- I wrócić wcześniej do Nieba?

- Dalej go gryziesz. - Odsuwa moją rękę.

- Przepraszam - siadam na niedobrej dłoni. - A nazwij mnie jeszcze raz Panem Piątkiem.

- No to jak, Panie Piątku? Teraz czy później?

Wskakuję na Bujak, żeby spojrzeć na Zegarek, pokazuje

07.14. Umiem jeździć na Bujaku jak na deskorolce, bez trzymanki, a potem robię ziuuu z powrotem na Kołdrę i teraz jadę na snowboardzie.

- A kiedy się otwiera prezenty?

- I tak, i tak jest fajnie. Wybrać za ciebie? - pyta Mama.

- Mam już pięć lat, to muszę sam wybrać. - Palec znów jest w buzi, wkładam go pod pachę i zatrząskuję. - No to wybieram: teraz.

Wyciąga takie coś spod poduszki, chyba się tam kryło całą noc niewidocznie. To zrolowana kartka papieru w linie, cała owinięta czerwoną wstążką z tysiąca czekoladek, które dostaliśmy, jak przyszedła Gwiazdka.

- Rozwiń - mówi. - Tylko ostrożnie.

Udaje mi się rozplątać supeł, rozpląszczam papier, to rysunek, samym ołówkiem, bez kolorów. Nie wiem co to, a potem odwracam.

- Ja!

Jak w Lusterku, ale więcej, moja głowa, ramię i ręka w koszulce do spania.

- A dlaczego ten ja ma zamknięte oczy?

- Bo to było we śnie - mówi Mama.

- Jak zrobiłaś obrazek we śnie?

- Nie, ja nie spałam. Wczoraj rano i dzień wcześniej, i jeszcze dzień wcześniej włączałam lampę i cię rysowałam.

Już się nie uśmiecha.

- Co jest, Jack? Nie podoba ci się?

- Nie. Jak ty coś robisz, jak ja jestem wyłączony, to mi się nie podoba.

- Przecież nie mogłam cię narysować, jak nie śpisz, bo to by nie była żadna niespodzianka, prawda?

Mama czeka.

- Myślałam, że się ucieszysz z niespodzianki.

- Wolę taką niespodziankę, że wiem.

Śmieje się niby.

Wchodzę na Bujak, żeby wyjąć Pinezkę z Pudełka; minus jedna, czyli teraz z pięciu zostało zero. Kiedyś było sześć, ale jedna się zgubiła. Jedna podtrzymuje Nr 3. z serii "Arcydzieła sztuki Zachodu": Karton do obrazu Święta Anna Samotrzecia, jedna:

Nr 8. z serii "Arcydzieła sztuki Zachodu": Impresja, wschód słońca, jeszcze jedna trzyma niebieską ośmiornicę, a inna obrazek z oszalałym koniem pod tytułem Nr 11. z serii "Arcydzieła sztuki Zachodu": Guernica. Arcydzieła dołączono do płatków owsianych, ale ośmiornicę narysowałem sam, to moja najlepsza marcowa praca, tylko zaczyna się trochę zwijać od pary z Wanny. Przypinam rysunek niespodziankę od Mamy na korkowej płytce nad Łóżkiem, tej na samym środku.

Mama kręci głową.

- Nie tam.

Nie chce, żeby go zobaczył Stary Nick*. [*Ang. Old Nick - w języku angielskim eufemistyczne określenie diabła (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).]

- A może w Szafie, z tyłu? - pytam.

- Dobry pomysł.

Szafa ma drewno, więc muszę wciskać pinezkę supernocno.

Zamykam jej niemądre drzwi; zawsze skrzypią, chociaż posmarowaliśmy zawiasy olejem kukurydzianym. Patrę przez szczeliny między listwami, ale jest za ciemno. Otwieram troszkę i zaglądam, tajemny rysunek jest biały oprócz cienkich szarych linii.

Niebieska sukienka Mamy zwisa nad kawałkiem mojego śpiącego oka, znaczy się oko jest na rysunku, a sukienka naprawdę, w Szafie.

Czuję zapach Mamy, mam najlepszy węch w rodzinie.

- Oj, zapomniałem się poczęstować po obudzeniu.

- Nie szkodzi. Może skoro masz już pięć lat, odpuścimy sobie raz na jakiś czas?

- Nic z tego, kolego.

No to kładzie się na bieli Kołdry, i ja też, i częstuję się dużo dużo.

Odliczam sto płatków i robię mlekospad, prawie tak biały jak miseczki, bez rozchlapywania; dziękujemy Dzieciątku Jezus.

Wybieram ŁyżkęRoztopkę; biała rączka ma bąble, bo oparła się niechcący o garnek z gotującym makaronem. Mama nie przepada za ŁyżkąRoztopką, ale dla mnie jest ulubiona, bo nie taka sama.

Gładzę rysy Stołu, żeby je wyleczyć; okrąg Stołu jest całkiem biały, tylko ma szarość w rysach po siekaniu jedzenia. Przy jedzeniu gramy w Mruczando, bo nie trzeba do tego ust. Zgaduję Makarenę i Zza góry wyjedzie i Kołysz się lekko, miły rydwanie, ale to tak naprawdę Za oknem deszcz. Czyli mój wynik to dwa, dostaję dwa buziaki.

Nucę Płyn, płyn łódką swą, Mama zgaduje od razu. Potem lecę z tym krzyczaną piosenką Chumbawamby, a ona się krzywi i mówi:

- Wrrr, wiem, to o tym, że ktoś upada pod ciosem i zaraz wstaje, jak to było?

W końcu sobie przypomina.

W trzeciej rundzie nucę Nie mogę cię wykreślić z pamięci Kylie Minogue. Mama zupełnie nie wie.

- Ale trudny numer wybrałeś... Znasz go z telewizji?

- Nie, od ciebie. - Zaczynam śpiewać refren, a Mama mówi, że niezły z niej ciemniak.

- Matołek. - Daję jej dwa całusy.

Przysuwam swoje krzesło do Umywalki, żeby umyć naczynia; z miseczkami trzeba delikatnie, za to z łyżkami mogę brzdeku brzdeku brzdek. Wystawiam język do Lusterka. Mama stoi za mną, widzę swoją twarz przyklejoną do jej twarzy jak maska, którą zrobiliśmy, jak było Halloween.

- Szkoda, że rysunek nie jest za dobry - mówi. - Ale przynajmniej pokazuje, jaki jesteś.

- A jaki jestem?

Stuka w Lusterko tam, gdzie widać moje czoło; palec zostawia kółko.

- Skóra zdjęta ze mnie.

- Dlaczego jestem skóra zdjęta z ciebie?

Kółko znika.

- To znaczy, że wyglądasz jak ja. Chyba mówi się tak dlatego, że jesteś częścią mnie, tak jak moja skóra. Te same brązowe oczy, te same duże usta, ta sama spiczasta broda...

Patrzę na nas oboje naraz, a nas oboje w Lusterku też patrzy.

- Nos nie ten sam.

- Na razie masz dziecięcy nosek.

Łapię się za niego.

- Czyli odpadnie i wyrośnie mi dorosły?

- Nie, nie, po prostu się powiększy. Te same brązowe włosy...

- Ale moje sięgają aż do pasa, a twoje tylko do ramion.

- To prawda - mówi Mama i sięga po Pastę, - Twoje komórki są dwa razy żywsze niż moje.

Nie wiedziałem, że coś może być tylko półżywe. Patrzą znów w Lusterko. Nasze koszulki do spania są inne i nasza bielizna też; jej nie ma misiów.

Kiedy pluje po raz drugi, Szczoteczka wędruje do mnie; szoruję każdy ząb z osobna. Skóra Mamy nic a nic nie wygląda jak ja, moja zresztą też nie. Odkręcam wodę i robię uśmiech wampira.

- Ooo! - Mama zakrywa oczy. - Twoje zęby są tak czyste, że aż mnie oślepiły.

Sama ma je dosyć popsute, bo pozapomniała je myć, smutno jej jest i już nie zapomina, ale i tak są popsute.

Splaszczam krzesła i ustawiam je przy Drzwiach, obok Suszarki Na Pranie, która zawsze burczy, że nie ma miejsca, ale jeśli naprawdę się wyprostuje, miejsca jest mnóstwo. Ja też umiem się złożyć na płasko, ale nie aż tak bardzo, bo mam mięśnie, od bycia żywym. Drzwi są zrobione z czarodziejskiej błyszczącej stali i robią pik pik po dziewiątej, kiedy mam być już wyłączony w Szafie.

Żółta buzia Pana Boga dzisiaj nie wyjdzie, Mama mówi, że nie może się przecisnąć przez śnieg.

- Jaki śnieg?

- Sam zobacz - mówi i wskazuje ręką w górę.

Na samej górze Okna widać trochę światła, a poza tym cały jest ciemny. Śnieg z telewizora jest biały, a ten naprawdę - nie.

Dziwne.

- Dlaczego na nas nie pada?

- Bo jest na zewnątrz.

- W Kosmosie? Szkoda, że nie w środku, mógłbym się nim pobawić.

- Ale wtedy by się roztopił, bo u nas jest przytulnie i ciepło.

Zaczyna nucić i od razu zgaduję, że to Zima, zima, zima.

Śpiewam drugą zwrotkę. Potem przechodzę do Pada śnieg, a Mama dołącza wysokim

głosem.

Co dzień rano mamy tysiąc rzeczy do zrobienia, na przykład dajemy Roślinie szklanekę wody - w Umywalce, żeby nie rozlewać - a potem stawiamy ją z powrotem na podstawce na Komodzie.

Kiedyś Roślina mieszkała na Stole, ale buzia Pana Boga wypaliła jej jeden liść. Zostało dziewięć; są szerokie jak moja dłoń i całe futrzate, jak psy, tak mówi Mama. Ale psy są tylko z telewizora.

Nie lubię dziewiątki. Malutki listek się przebija, widziałem go dwa razy, więc liczy się jako dziesięć.

Pająk jest naprawdę. Szukam go teraz, ale widać tylko pajęczynę między nogą Stołu a tym płaskim. Stół się nie chwieje, to nie takie łatwe; kiedy ja stoję na jednej nodze, to mogę tak stać wieki, ale potem zawsze się przewracam. Nie mówię Mamie o Pajaku. Ona wymiata pajęczyny, mówi, że są brudne, ale dla mnie wyglądają jak supercienkie srebro. Mama lubi zwierzęta, które ganiają i zjadają się nawzajem na planecie przyrodniczej, ale nie te naprawdę. Kiedy miałem cztery lata, patrzyłem, jak mrówki wchodzą na Kuchenkę, a ona podbiegła i rozklapała je, żeby nie wyjadły nam zapasów. Płakałem, aż prawie wytopiłem sobie oczy. A innym razem jakieś coś mnie w nocy gryzło bzzz bzzz bzzz i Mama łupnęła nim, znaczy się komarem, o Ścianę pod Szafką. Wciąż jeszcze widać ślad na korku, chociaż Mama szorowała; to była moja krew, komar ją ukradł jak jakiś wampirek. Ani wcześniej, ani później już nie wypadła mi krew.

Mama bierze pigułkę ze srebrnego opakowania, w którym jest dwadzieścia osiem stateczków kosmicznych, a ja biorę witaminę z fiołki z chłopcem stojącym na rękach, i jeszcze ona bierze tabletkę z wielkiej fiołki z obrazkiem kobiety grającej w Tenisa.

Witaminy to lekarstwa na niezachorowanie i niepójście z powrotem do Nieba. Ja nigdy nie chcę tam iść, nie lubię umierać, ale Mama mówi, że może będzie okej, jak będziemy mieć sto lat i nie będziemy już mieli siły się bawić. Mama bierze też lek na ból. Czasem bierze dwa, nigdy więcej, bo to jest tak, że niektóre rzeczy nam służą, ale co za dużo, to nagle niezdrowo.

- To ten Bolący Ząb? - pytam. Ten jest na górze, z tyłu, on jest naj gorszy.

Mama kiwa głową.

- A dlaczego nie bierzesz dwóch leków naco dziennie?

Krzywi się.

- Bobym się uzależniła.

- A co...?

- To znaczy, że bym ich potrzebowała cały czas. A nawet mogłabym potrzebować coraz więcej i więcej.

- A co jest złego w potrzebowaniu?

- To trudno wyjaśnić.

Mama wie wszystko poza tym, czego nie pamięta za dobrze, albo czasem mówi, że jestem za mały, żeby mogła mi coś wytłumaczyć.

- Moje zęby aż tak nie bolą, gdy o nich nie myślę - mówi.

- Jak to?

- To się nazywa stwórcza moc myśli. Jak o czymś myślimy, nadajemy temu moc.

Kiedy boli mnie jakaś część mnie, zawsze myślę. Mama masuje mi ramię, moje ramię nie boli, ale i tak mi się to podoba.

Jeszcze jej nie powiedziałem o pajęczynie. To dziwne mieć coś, co jest moje, a Mamy nie. Wszystko inne jest nasze razem. Chyba moje ciało jest moje i pomysły, które mi się trafiają w głowie. Ale moje komórki są zrobione z jej komórek, więc jestem trochę jej. Albo kiedy mówię jej, o czym myślę, a ona mówi mi, o czym myśli, to wtedy jedne pomysły wskakują do drugiej głowy; to tak jak rysować niebieską kredką po żółtym i się robi zielone.

O 8.30 wciskam guzik telewizora i sprawdzam wszystkie trzy planety, znajduję bajkę Dora poznaje świat, hurrra! Mama naprawdę powoli przenosi Króliczka dookoła, żeby poprawić obraz jego uszami i łebkiem. Kiedyś, jak miałem cztery lata, telewizor zdechł i płakałem, ale w nocy Stary Nick przynosił czarodziejski konwerter, żeby ożywić telewizora. Inne kanały po trójce są całkiem niewyraźne, to ich nie oglądamy, żeby nie psuć oczu, chyba że jest muzyka, to nakładamy Koc i słuchamy przez jego szarość i potrząsamy tyłeczkami.

Dzisiaj kładę palce na głowie Dory - tak ją przytulam - i mówię jej o moich supermocach pięciolatka, uśmiecha się.

Ma przynajwiększe włosy, które wyglądają jak brązowy hełm z takimi wyciętymi szpiczastymi kawałkami; są tak wielkie jak cała ona. Rozsiadam się oglądać na Łóżku na kolanach Mamy; wiercę się, aż nie czuję wystających kości. Miękkich części ma nie za dużo, ale są supermięciutkie.

Dora mówi nie w prawdziwym języku, tylko po hiszpańsku, na przykład lo hicimos. Zawsze nosi Plecak, który ma więcej w środku niż na zewnątrz; wszystko, co potrzebuje Dora: drabiny i kombinezon astronauty, rzeczy do tańczenia i grania w piłę i na Becie, i do przygodowania z Butkiem, jej najlepszym przyjacielem małpisonem. Dora zawsze mówi, że przyda jej się pomoc, moja pomoc, tak jakbym umiał coś wyczarować; czeka, aż powiem "Tak". Krzyczę: "Za palmą!" i niebieska strzałka klika tuż za palmą, a Dora

mówi”Dziękuję”. Żadna inna osoba z telewizora nie słucha. Na Mapie pokazują się zawsze trzy miejsca, musimy iść do pierwszego, żeby dostać się do drugiego, żeby dostać się do trzeciego. Idę z Dorą i Butkiem, trzymam ich za ręce i śpiewam też wszystkie piosenki, szczególnie z fikołkami, przybijaniem piątki albo tańcem kaczech. Musimy uważać na przebiegłego liska Rabusia, krzyczymy:”Rabuś, nie kradnij!” trzy razy, żeby się znerwował, powiedział X) jeny!” i uciekł. Kiedyś Rabuś zrobił motylarobota na pilot, ale coś nie wyszło i robot ukradł mu maskę i rękawiczki, to było śmieszne. Czasem łapiemy gwiazdy i wkładamy jej do kieszeni Plecaka, wybieram

Gromką Gwiazdę, która wszystko budzi, i Przejściową Gwiazdę, która umie się zmienić w każdy kształt.

Na innych planetach są głównie osoby; na ekranie są ich setki, ale jedna zawsze robi się duża i blisko. Mają ubrania zamiast skóry, ich twarze są różowe albo żółte, albo brązowe, albo mieszane, albo owłosione; mają bardzo czerwone buzie i wielkie oczy z czarnymi brzegami. Ciągłe się śmieją i krzyczą. Bardzo bym chciał oglądać telewizor cały czas, ale on ogłupia. Zanim zeszłem z Nieba, Mama miała go włączony ciągle i stanęła się zornbi, co jest jak duch, ale chodzi łup łup łup. I teraz zawsze wyłącza po jednym odcinku potem komórki się rozmnażają na nowo przez dzień i po kolacji możemy obejrzeć następny program i wymądrzeć we śnie.

- Jeszcze jeden, bo mam urodziny? Proszę?

Mama otwiera usta i zaraz zamyka. A potem mówi:”Czemu nie?”. Ścisza reklamy, bo one jeszcze szybciej mielą nasze szare komórki, aż mogą nam wycieknąć uszami.

Oglądam zabawki, pokazują doskonałą ciężarówkę i trampolinę, i Bionicle. Dwa chłopcy walczą z Transformersami w dłoniach, ale są dobrzy, a nie jakieś zbiry.

A potem idzie bajka, to SpongeBob Kanciastoporty. Podbiegam, żeby dotknąć jego i Patryka rozgwiadzy, ale nie Skalmara, on jest okropny. To straszna historia o ołówku gigancie; oglądam przez palce Mamy, które są całkiem dwa razy dłuższe niż moje.

Mama się niczego nie boi. Może tylko Starego Nicka. Najczęściej mówi o nim on, nawet nie znałem jego nazwy, aż nie zobaczyłem bajki o takim gościu, co przychodzi w nocy i nazywa się Stary Nick. Nazywam tak tego prawdziwego, bo przychodzi w nocy, ale nie wygląda jak ten z telewizora z brodą i rogami i w ogóle. Kiedyś spytałem Mamy, czy naprawdę jest stary, a ona powiedziała, że ma dwa razy tyle co ona, czyli raczej stary.

Mama wstaje i wyłącza telewizor, jak tylko wychodzą napisy.

Moje siki są żółte od witamin. Siadam do kupy, mówię jej:

„Pa, pa, leć do morza”. Spuszczam wodę i patrzę, jak zbiornik się wypełnia i robi bul

dul gul. Potem szoruję ręce, aż czuję, że zlezie skóra, to wtedy wiem, że wystarczy mycia.

- Pod Stołem jest pajęczyna - mówię, nie wiedziałem, że to zrobię. - Od Pająka, on jest naprawdę. Widziałem go dwa razy.

Mama się uśmiecha, ale na niby.

- Nie wymieciesz jej? Proszę! Go tam nawet nie ma, ale może wróci.

Mama klęka i zagląda pod Stół. Nie widzę jej twarzy, a potem zakłada włosy za ucho.

- Powiedzmy, że zostawię ją aż do sprzątania, dobra?

Czyli do wtorku, czyli trzy dni.

- Dobra.

- A wiesz co? - Wstaje. - Skoro masz już pięć lat, to trzeba zaznaczyć twój wzrost.

Podskakuję wysoko w powietrze.

Na ogół nie wolno mi rysować na żadnych częściach Pokoju ani mebli. Jak miałem dwa lata, to pobazgrałem nogę Łóżka, tę przy Szafie, i teraz jak sprzątamy, Mama stuka palcem bazgroły i mówi: "Widzisz, teraz już zawsze będziemy musieli z tym żyć". Ale moja urodzinowa wysokość to co innego, to małe cyferki przy Drzwiach, czarne 4, pod spodem czarne 3, czerwone - taki kolor miał nasz stary Długopis, a potem się wykończył - a na dole czerwone 1.

- Stań prosto - mówi Mama. Długopis łaskocze mnie w czubek głowy.

Kiedy stoję dalej, kawałek nad 4 jest czarne 5. Lubię pięć najbardziej z każdej liczby, mam po pięć palców na każdej dłoni i tyle samo na stopach, tak samo Mama, jesteśmy skóra zdjęta z siebie. Dziewięć to moja najgorzej ulubiona liczba.

- Jaką mam wysokość?

- Wzrost. Hmm, dokładnie nie wiem - mówi. - Może w ramach niedzielnej rozpusty poprosimy kiedyś o miarkę.

A ja myślałem, że miarki są tylko z telewizora.

- E tam, poprośmy o czekoladki.

Przystawiam palec do 4 i stoję twarzą do niego; palec jest na włosach.

- Tym razem niezbyt urosłem.

- Normalne.

- Co normalne?

- To... - Mama przygryza buzię. - To znaczy, że wszystko gra. No hay problema.

- Ale popatrz się za to na moje mięśnie. - Podskakuję na

Łóżku, jestem Jack Pogromca Wielkoludów w siedmiomilowych butach.

- Ogromne.

- Gigantyczne.

- Poręczne,

- Wielgachne.

- Olbrzymie.

- Wielbrzymie.

Jak ścieśnimy dwa słowa, to jest słówkowy przekładaniec.

- Dobrze.

- A wiesz co? - mówię. - Jak będę miał dziesięć lat, to będę dorośnięty.

- Serio?

- Stanę się większy i większy, i większy, aż się. zmienię w dziecinę.

- Właściwie już jesteś dzieciną - mówi Mama. - Ludzie są dziećmi w dzieciństwie, a my jesteśmy ludźmi.

Myślałem, że jesteśmy naprawdę, a nie ludzie. Osoby z telewizora są tylko poskładane z kolorów.

- Może ci chodziło o dziewczynę?

- Tak - mówię. - Dziewczynę z chłopczykiem w jajeczku w brzuszku, i on też będzie naprawdę. Albo wyrosnę na wielkoluda, ale takiego miłego, aż potąd. - Podskakuję i dotykam Łóżkościanki bardzo wysoko, prawie tam, gdzie zakrzywia się Dach.

- Zapowiada się super - mówi Mama.

Buzia jej się smuci, a to znaczy, że powiedziałem coś złe, tylko nie wiem co.

- Przebiję się przez Okno prosto do Kosmosu i zrobięru.fru jru między każdymi planetami - mówię jej. - Odwiedzę Dorę i SpongeBoba i wszystkich moich przyjaciół, będę miał też psa, co się nazywa Lucky.

Mama założyła uśmiech. Porządkuje Długopis z powrotem na Półkę, Pytam jej:

- A ty ile będziesz miała lat w swoje urodziny?

- Dwadzieścia siedem.

- Uuu.

Chyba jej to nie poprawiło humoru.

Chodzi Wanna, a Mama w tym czasie zdejmuję z Szafy Labirynt i Fort. Labirynt robimy, odkąd skończyłem dwa lata, to środki z papieru toaletowego zlepione taśmą w tunele, które zakręcają dużo razy. Skacząca Piłeczka uwielbia się gubić w Labiryncie i chować, muszę ją wołać i trząść nim i obracać go na boki i do góry nogami, żeby się wyturlała fiu. Potem wpuszczam do Labiryntu inne rzeczy, na przykład orzeszek i ułamany kawałek Niebieskiej Kredki i krótkie spaghetti nieugotowane.

Ścigają się w tunelach, zakradają do siebie i krzyczą "Ła!", nie widzę ich, ale słucham przez karton i odgaduję, gdzie są. Szczoteczka do zębów też chce, ale mówię jej sorry, za długa jesteś.

Wskakuje za to do Fortu, żeby strzec wieży. Fort jest z puszek i fiolek po witaminach, budujemy go większego za każdym razem, jak mamy jakiegoś pustaka. Fort ma oczy ze wszystkich stron, umie strzykać we wrogów gorącym olejem, oni nie wiedzą o jego ukrytych szczelinach, ha ha. Chciałbym go wziąć do

Wanny, żeby zrobić wyspę, ale Mama mówi, że w wodzie taśma zrobiłaby się nieklejąca.

Rozpuszczamy swoje kucyki i dajemy włosom popływać. Leżę na Mamie, nawet nie rozmawiając, lubię, jak jej wali serce. Kiedy oddycha, unosimy się po trochu i opadamy. A Penis pływa.

Mam urodziny, więc mogę wybrać, w co się ubierzemy.

Rzeczy Mamy mieszkają w górnej szufladzie Komody, a moje w dolnej. Wybieram jej ulubione niebieskie dzinsy z czerwonymi szwami, które wkłada tylko na specjalne okazje, bo na kolanach robią się sznurki. Dla siebie wybieram żółtą kangurkę, uważam na szufladę, ale prawa krawędź ciągle wystaje i Mama musi ją rąbnąć, żeby wskoczyła na miejsce. Razem wciągamy bluzę, wgryza mi się w buzię, ale potem pyk już założona.

- Może chociaż trochę rozetnę dekolt? - pyta Mama.

- Nic z tego, kolego.

Na wuef nie zakładamy skarpetek, bo bosa stopy się lepiej trzymią ziemi. Dzisiaj na początek wybieram Tor, dajemy Stół do góry nogami na Łóżko, na niego Bujak, a na nich obu Dywan. Tor biegnie wokół Łóżka od Szafy do Lampy, na podłodze ma kształt czarnego C.

- Patrz, patrz, umiem pobiec tam i z powrotem szesnastoma krokami.

- Ooo! Kiedy miałaś cztery lata, kroków było osiemnaście, prawda? - mówi Mama. - A jak myślisz, ile takich rundek uda ci się dzisiaj zrobić?

- Pięć.

- A może pięć razy pięć? Wyszłaby twoja ulubiona liczba do kwadratu.

Razujemy na palcach, mi wychodzi dwadzieścia sześć razy, ale Mama mówi, że to dwadzieścia pięć, więc powtarzam i też mi wychodzi dwadzieścia pięć. Teraz Mama liczy mnie na Zegarku.

- Dwanaście! - krzyczy. - Siedemnaście! Brawo, brawo!

Oddycham uf uf uf.

- Szybciej!

Biegnę jeszcze szybciej, jak Superman w locie.

Kiedy przychodzi kolej Mamy, muszę zapisywać w Skoroszycie w Linie liczbę na początku i na końcu, potem je odejmniemy, żeby sprawdzić, jak szybko pobiegła. Dzisiaj jej wynik jest o dziewięć sekund większy niż mój, czyli wygrałem; skaczę góradół i robię pierdziuszka buzią.

- Pogońmy się razem.

- Byłoby fajnie, nie ma co - mówi. - Ale pamiętasz, jak kiedyś próbowaliśmy i rąbnęłam się barkiem w komodę?

Czasem jak czegoś zapominam, Mama mówi mi o tym i potem już pamiętam.

Zdejmujemy umebrowania z Łóżka, kładziemy Dywan na miejsce i przykrywamy Tor, żeby Stary Nick nie zobaczył brudnego C.

Mama wybiera Trampolinę, tylko ja skaczę po Łóżku, bo

Mama mogłaby je złamać. Za to robi sprawozdanie:

- Młody mistrz ze Stanów Zjednoczonych wykonuje brawurowy obrót w powietrzu...

Znow moja kolej i wybieram Ojca Wirgiliusza, potem Mama mówi, żeby założyć zpowrotem skarpetki do zabawy w Umarlaka - leżymy na orzełka, z oklapłymi paznokciami u nóg, oklapłym pępkiem, oklapłym językiem i nawet oklapłym mózgiem. Mama się porusza, bo swędzi ją pod kolanem, i znowu wygrywam.

12.13, więc można jeść lunch. Moja ulubiona część modlitwy to ta o chlebie poślednim. Ja jestem królem zabawy, ale

Mama to królowa posiłków, na przykład nie pozwala jeść płatków na śniadanie, lunch i kolację, żebyśmy się nie pochorowali, zresztą w ten sposób za szybko by się zużyły. Jak miałem O i lat, Mama siekała i przeżuwała dla mnie jedzenie, ale potem urosło mi moje dwadzieścia zębów i teraz już sam je rozgryzuję. Dziś na lunch mamy pieczywo chrupkie z tuńczykiem; do mnie należy odwiniecie wieczka puszki, bo Mama nie da rady swoim nadgarstkiem.

Jestem trochę wiercipiętek, więc Mama mówi zagrajmy w Orkiestrę; rozbiegamy się i szukamy, jakie hałasy możemy wybębnić.

Łomoczę w Stół, a Mama robi stuku puku w nogi Łóżka, a potem pufpufw poduszki; ja robię brzdęku brzdęku w Drzwi widelcem i łyżką, a nasze palce u nóg robią bam w kuchenkę, ale najbardziej lubię deptać pedała Śmietnika, bo wtedy pokrywa odskakuje i robi dęg. Mój najlepszy instrument to Twang, czyli pudełko po płatkach, na którym skolażowałem różnokolorowe nogi i buty i kurtki i głowy ze starego katalogu, a potem naciągnąłem na środka trzy gumki. Stary Nick już nam nie przynosi katalogów i nie możemy sami wybierać

ubrań. Mama mówi, że z niego skąpiradło.

Wdrapuję się na Bujak, żeby zdjąć książki z Półki, i buduję na Dywanie dziesięciopiętrowy blok.

- Blog literacki - mówi ze śmiechem Mama.

To wcale nie było zabawne.

Kiedyś mieliśmy dziewięć książek, ale tylko cztery z rysunkami w środku:

Wielka księga rymowanek

Koparka Delma

Króliczek ucieka

Na lotnisku - książka z okienkami

I pięć z rysunkami tylko na okładce:

Chata

Zmierzch

Anioł stróż

Miłość na zakręcie

Kod Leonarda Da Vinci

Mama rzadko kiedy czyta te bez obrazków, chyba że w ostateczności. Jak miałem cztery lata, to na Niedzielną Rozpustę poprosiliśmy kiedyś o jeszcze jedną książkę z obrazkami i pojawiła się Alicja w Krainie Czarów; lubię ją, ale ma za dużo słów, i to często takich starodawnych.

Dzisiaj wybieram Delme, leży prawie na samym dole, więc burzy cały wieżowiec baaach!

- Znowu Delma. - Mama grymasi, ale zaraz zaczyna najbardziej dziarskim głosem:

Jeeeedzie Delma, chwacka koparka!

Fury ziemi dźwiga na barkach!

Spójrz, ręka długa w ziemię już wnika, Delma wprost kocha błoto połykać.

Toczy się, kręci po placu budowy

Ta wielka motyka, co dzień od nowa.

Na drugim obrazku widać kota, na trzecim siedzi na stercie kamieni. Kamienie to odłamki skalne, czyli są ciężkie jak ceramika, z której są zrobione Wanna, Umywarka i Sedes, ale nie takie gładkie. Koty i kamienie są tylko z telewizora. Na piątym obrazku kot spada, ale koty żyją dziewięć razy, a nie raz, tak jak ja i Mama.

Mama prawie zawsze wybiera książkę Króliczek ucieka, bo lubi, jak mama królicza łapie na końcu króliczka i mówi: "Zjedz marchewkę". Króliki są z telewizora, ale marchewki

są naprawdę, lubię, że tak głośno chrupią. Mój ulubiony obrazek przedstawia króliczka, który zmienił się w kamień na szczycie góry i mama królicza musi się wdrapać wysoko, wysoko, żeby go znaleźć. Góry są tak duże, że nie mogą być naprawdę; widziałem kiedyś w telewizorze taką, z której zwisa kobieta na linach. Kobiety nie są naprawdę tak jak Mama, i dziewczynki i chłopcy też nie są.

Mężczyźni nie są naprawdę, oprócz Starego Nicka, chociaż nie jestem pewny, czy on jest naprawdę naprawdę. Może tylko trochę? Przynosi zakupy i Niedzielną Rozpustę, i znika śmieci, ale nie jest człowiekiem jak my. Przydarza się tylko nocą, jak nietoperze. Może Drzwi go wymyślają, jak robią pik pik i zmienia się powietrze. Chyba Mama nie lubi o nim mówić, dlatego że przez to on może stać się bardziej naprawdę.

Wiercę się na jej kolanach, żeby spojrzeć na mój ulubiony obrazek Dzieciątka Jezus bawiącego się z Janem Chrzcicielem, który jest jednocześnie jego kolegą i starszym kuzynem też. Maryja też tam jest, siedzi na kolanach u swojej Mamy, która jest

Babcią Dzieciątka Jezus, jak abuela Dory. To dziwny obrazek bez kolorów i bez niektórych rąk i nóg, Mama mówi, że jest niedokończony. Dzieciątko Jezus zaczęło rosnąć w brzuszku Maryi przez Anioła, który śmignął z Nieba, jak duch, ale taki naprawdę fajny, z piórami. Maryja się zdziwiła i w ogóle, i powiedziała:

„Jak to możliwe?”, a potem „Dobrze, niech tak będzie”. Kiedy

Dzieciątko na Gwiazdkę wyskoczyło jej z pochwy, włożyła je do żłobu, ale nie po to, żeby pogryzły je krowy, ale żeby je ogrzać ich podmuchami, bo było zaczarowane.

Mama wyłącza teraz Lampę i leżymy, najpierw odmawiamy modlitwę pasterza o zielonych pastwiskach; chyba są jak Koldra, ale mechate i zielone, a nie białe i płaskie (jak się coś wyleje z kubka, to na pewno wszystko jest strasznie upaprane). Teraz wreszcie mogę się częstować, z prawej, bo w lewej już za dużo nie ma. Jak miałem trzy lata, to jeszcze się częstowałem dużo dużo o każdej porze, ale odkąd skończyłem cztery lata, mam tyle do roboty, że częstuję się tylko kilka razy w dzień i w nocy.

Szkoda, że nie mogę mówić i się częstować w tym samym czasie, ale mam tylko jedną buzię.

Prawie się wyłączam, ale nie do końca. A Mama chyba tak, słyszę po oddechu.

Po drzemce Mama mówi, że coś wykombinowała i nie musimy prosić o miarękę, możemy sami zrobić linijkę.

Przerabiamy Starożytną Piramidę Egipską z pudełek po płatkach, Mama pokazuje mi, jak wyciąć pasek, który jest tak długi jak jej stopa - dlatego to się nazywa stopa - a potem

zaznacza dwanaście kreszeczek. Mierzę jej nos, ma dwa cale. Mój nos ma cal i jedną czwartą, zapisuję ten wynik. Mama pomału koziołkuje Linijkę po Drzwiościance, gdzie są moje wysokości, i mówi, że mam trzy stopy i trzy cale.

- Chodź, zmierzymy Pokój - mówię.

- Cały?

- A mamy co innego do roboty?

Patrzy na mnie dziwnie.

- Chyba nie.

Zapisuję wszystkie liczby, na przykład wzrost Drzwiościanki aż do kreski, gdzie zaczyna się sufit, równa się sześć stóp siedem cali.

- Nie zgadniesz - mówię do Mamy. - Każda płytką korkowa jest prawie trochę większa niż Linijka.

- No przecież! - mówi i klepie się w czoło. - Pewnie mają stopę do kwadratu, widocznie zrobiłam odrobinę za krótką linijkę. Policzmy więc płytki, tak będzie łatwiej.

Zaczynam liczyć wzrost Łóżkościanki, ale Mama mówi, że wszystkie ściany są takie same. Kolejna zasada jest taka, że ściany są takie duże na szerokość jak Podłoga; odliczam po jedenaście stóp w obie strony, a to znaczy, że Podłoga jest kwadratem.

Stół jest kołem i nie wiem co i jak, ale Mama mierzy go przez środek, gdzie jest najbardziej naj szerszy; ma trzy stopy i dziewięć cali. Moje krzesło jest wysokie na trzy stopy i dwa cale, a krzesło

Mamy jest takie samo, czyli o cal mniejsze niż ja. Kończymy, bo

Mamie już się trochę znudziło mierzenie.

Koloruję tło zapisanych liczb - każdej inaczej - naszymi pięcioma kredkami: niebieską, pomarańczową, zieloną, czerwoną, brązową, w końcu kartka wygląda jak Dywan, tylko bardziej rozszalały. Mama mówi może użyjesz jej jako podkładki pod talerz?

Dzisiaj wybieram spaghetti, mamy też świeżego brokuła, ale go nie wybieram, on jest po prostu zdrowy. Kroję brokuła na kawałki Nożem z Piłką, czasem trochę połykam, jak Mama nie patrzy, i potem mówi: „0 nie, a gdzie się podział ten duży kawałek?”, ale nie złości się naprawdę, bo surowe rzeczy dają nam jeszcze więcej życia.

Mama robi gorąco na dwóch kółkach na Kuchence i stają się czerwone. Mi nie wolno dotykać gałek, bo do Mamy należy pilnowanie, żeby nigdy nie było ognia jak w telewizorze. Jeśli kółka dotkną na przykład ściereczki kuchennej albo naszego ubrania, to płomienie ogarną wszystko pomarańczowymi językami i spalą Pokój na proch, a my będziemy kaszleć, dusić się i krzyczeć z najgorszego bólu na świecie.

Nie lubię zapachu gotującego się brokuła, ale on jest lepszy niż fasolka szparagowa. W ogóle warzywa są naprawdę, ale lody tylko z telewizora, szkoda, że też nie są naprawdę.

- Czy Roślina to coś surowego?

- Tak, ale nie nadaje się do jedzenia.

- A dlaczego już nie ma kwiatów?

Mama wzrusza ramionami i miesza spaghetti.

- Zmęczyła się.

- Powinna pójść spać.

- Po przebudzeniu dalej jest zmęczona. Może w ziemi w doniczce kończy się już jedzenie.

- Mogę jej oddać mojego brokuła.

Mama parska śmiechem.

- Nie to jedzenie, takie dla roślin.

- Może o nie poprosimy na Niedzielną Rozpustę.

- Mam już długą listę rzeczy, o które trzeba poprosić.

- Gdzie?

- W głowie - mówi. Wyjmuje glistę spaghetti i gryzie ją.

- Zdaje się, że lubią ryby.

- Kto lubią?

- Rośliny, lubią zepsute ryby. Albo może to były ości?

- Fuj!

- Może następnym razem, jak będziemy jeść paluszki rybne, zakopimy kawałek pod Rośliną.

- Ale nie mojego paluszka.

- Dobra, mojego.

Spaghetti lubię najbardziej dlatego z powodu piosenki o klopsiku, śpiewam ją, kiedy Mama nam nakłada.

A po kolacji coś niezwykłego, robimy tort urodzinowy. Założę się, że będzie delicioso, z tyle samo świeczek, co ja mam lat, i to zapalonych - tego nigdy nie widziałem naprawdę.

Jestem najlepszym wydmuchawcem jajek, umiem wypluć gluta bez nabierania powietrza. Muszę wydmuchać trzy jajka na tort, biorę pinezkę z obrazka Impresja, wschód słońca, bo wydaje mi się, że oszalały koń by się wnerwił, gdybym zdjął Guernice, chociaż po wszystkim zawsze wpinam pinezkę na miejsce. Mama uważa, że Guernica to najlepsze

arcydzielo, bo najbardziej najprawdziwsze, ale tak naprawdę tam jest wszystko pomieszane, koń krzyczy z zębami, bo ma wbitą dzidę, do tego byk i kobieta, która trzyma obwisłe dziecko z głową do góry nogami, i lampa jak oko, a naj gorsza jest wielka napuchnięta stopa w rogu, ciągle myślę, że mnie nadepnie.

Dostaję łyżkę do wylizania i Mama wstawia ciasto do gorącego brzuszka Kuchenki. Próbuję zonglować wszystkimi wydmuszkami naraz i Mama łapie jedną.

- Kilku małych Jacków z różnymi minami?

- E, nie - mówię.

- To może zrobimy im gniazdo z ciasta chlebowego? Jeśli jutro rozmrozimy buraki, możemy zabarwić je sokiem na czerwono.

Kręcę głową.

- Dodajmy je do Jajowęża.

Jajowąż jest bardziej dłuższy niż cały pokój dookoła, zaczęliśmy go robić, jak miałem trzy lata, mieszka pozwijany w Podłózku i nas pilnuje. Większość jego jajek jest brązowa, ale czasem trafi się białe, a niektóre mają wzorki od ołówków albo kredek albo Długopisa albo rzeczy przyklepionych klajstrem; Jajowąż ma koronę z folii i żółty pasek ze wstążki i włosy z nitek i kawałków bibułki. Ma igłę zamiast języka i ona trzyma czerwoną nitkę, która biegnie przez niego całego. Już nie wyciągamy za często jajowęża, bo czasem się płacze i jego jajka się kruszą przy otworkach albo nawet odpadają i musimy ich używać jako skorupki do mozaiki. Dzisiaj wsadziłem jego igłę w dziurkę jednego nowego jajka, muszę nią wymachiwać, aż wyjdzie ostro drugim otworkiem, to dość trudne. Teraz jest dłuższy o trzy jajka, zwijam go z powrotem superostroźnie, żeby cały się zmieścił w Podłózku.

Czekamy na mój tort i czekamy i wdychamy wspaniałe powietrze. A potem się studzi, a my robimy z wody i cukru takie coś, co się nazywa lukier, ale nie dlatego, że robi luki. Mama polewa nim cały tort.

- Teraz pozmywam, a ty możesz poukładać drażetki czekoladowe.

- Przecież się skończyły.

- Ha! - mówi, podnosi małą torebeczkę i potrząsa nią grzechotu chotu. - Odłożyłam kilka z niedzielnej rozpusty sprzed trzech tygodni.

- Przebiegły Maminszonek. Gdzie?

Zamyka buzię na kłódkę.

- A co, jeśli kiedyś mi się jeszcze przyda schowek?

- Powiedz!

Mama już się nie uśmiecha.

- Od krzyku bolą mnie uszy.
- Powiedz, gdzie masz schowka.
- Jack...
- Nie lubię, jak masz tych schowków.

Ale w czym problem?

- Zombi.
- A!
- Albo potwory albo wampiry.

Otwiera Komodę i wyjmuję pudełko ryżu. Pokazuje czarną dziurę.

- Ukryłam je tam, z ryżem. Dobra?
- Dobra.

- Żaden stwór by się tam nie zmieścił. Możesz zaglądać, kiedy chcesz.

W torebeczce jest pięć drażetek: różowa, niebieska, zielona i dwie czerwone. Trochę koloru schodzi mi na palce, jak je nakładam, mam też na sobie lukier i wysysam go do samego końca.

A potem przychodzi czas na świece, ale ich nie ma.

- Znowu krzyczysz - mówi Mama, zatykając uszy.
- No bo powiedziałaś: tort urodzinowy to żaden tort urodzinowy, jak nie ma pięciu palących świeczek.

Wypuszcza oddech.

- Źle ci to wyjaśniłam. Chodziło o te pięć drażetek, to one mówią, że masz pięć lat.
- Nie chcę tego tortu.

Nie cierpię, jak Mama czeka cicho i w ogóle.

- Tortśmierdziel!
- Uspokój się, Jack.
- Trzeba było poprosić o świece na Niedzielną Rozpustę.
- W ubiegłym tygodniu potrzebowaliśmy środków przeciwbólowych.
- Ty potrzebowiałaś, nie ja! - krzyczę.

Mama patrzy na mnie, jakby mi wyrosła nowa twarz, której wcześniej nie widziała. A potem mówi:

- Poza tym nie zapominaj, że musimy wybierać rzeczy, które łatwo dostanie.
- Przecież on może dostać wszystko.
- No tak - mówi. - Gdyby tylko się pofatygował...
- Jak pofatygował?

- Chodzi mi o to, że może musiałby pójść do dwóch albo trzech sklepów, a wtedy by marudził. A gdyby nie znalazł tego czegoś niedostępnego? Wtedy pewnie w ogóle byśmy nie dostali niczego w niedzielę.

- Ale Mamo. - Śmieję się. - Przecież on nie chodzi do sklepów. Sklepy są w telewizorze.

Gryzie wargę. A potem patrzy na ciasto.

- No nic, przepraszam, myślałam, że drażetki wystarczą.

- Głuptasek.

- Ciemniak. - Klepie się w czoło.

- Matolek - mówię, ale nie wrednie. - Za tydzień, jak będę miał sześć lat, lepiej załatw świeczki.

- Za rok - mówi Mama. - Chciałeś powiedzieć: za rok.

Jej oczy są zamknięte. Zawsze tak czasem robią i wtedy

Mama się nie odzywa przez minutę. Jak byłem mały, to myślałem, że jej się zużyła bateria, jak się kiedyś zdarzyło Zegarkowi, i na Niedzielną Rozpustę musieliśmy poprosić o nową baterijkę dla niego.

- Obiecujesz?

- Obiecuję - mówi, otwierając oczy.

Kroi dla mnie ogromiasty kawałek i skradam wszystkie pięć dla siebie, jak nie patrzy: dwie czerwone, różową, zieloną i niebieską, a ona mówi:

- o nie, znów jakąś skradziono, jak to się stało?

- Teraz już jej nie znajdziesz, ha, ha, ha!

Mówię jak lisek Rabuś, kiedy kradnie coś Dorze. Sięgam po jedną czerwoną i wsuwam ją pędem Mamie do buzi, a ona przekłada ją na przednie zęby, które są mniej zepsute, i podgryza ją z uśmiechem.

- Patrz - pokazuję. - W moim cieście są dziury tam, gdzie aż do teraz były drażetki.

- Takie kraterzy - mówi. Wsuwa w jeden koniec palca.

- A co to są kraterzy?

- Takie dziury, które zostają, jak coś się stanie. Wybuchnie wulkan czy coś w tym rodzaju.

Wsadzam zieloną drażetkę z powrotem do jej krateru i robię dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden, bum! Wylatuje w Kosmos i ląduje w mojej buzi. Mój tort urodzinowy to najlepsza rzecz, jaką jadłem.

Mama nie jest teraz na niego głodna. Okno zasysa całe światło, jest już prawie czarne.

- Dziś równonoc wiosenna - mówi Mama. - Pamiętam, jak mówili o tym w telewizji tego ranka, kiedy się urodziłeś. Wtedy też jeszcze leżał śnieg.

- Co to jest równonoc?

- Zrównanie, to znaczy, że jest po równo ciemności i światła.

Przez ciasto jest już za późno na oglądanie czegoś w telewizorze. Zegarek pokazuje 08.33. Moja żółta kangurka prawie odrywa mi głowę, jak Mama ją ściąga. Wskakuję w koszulkę do spania i szczotkuję zęby, a Mama zawiązuje worek ze śmieciami i stawia go przy Drzwiach razem z naszą listą, którą zrobiłem, dzisiaj tam pisze: Prosimy o Makaron, Soczewicę, Tuńczyka, Ser (jeśli nie za drogi), O.J, Dziękujemy.

- A możemy poprosić o winogrona? Zdrowe są.

Na dole Mama dopisuje Winogrona, jeśli to możl. (albo jakieś inne owoce świeże lub w puszce).

- Opowiesz mi coś?

- Ale coś krótkiego. Może o Piernikowym Jacku?

Opowiada naprawdę szybko i śmiesznie; Piernikowy Jack wyskakuje z pieca i biegnie, i się toczy, i się toczy, i biegnie, i nikt nie może go złapać, ani staruszka, ani staruszek, ani młocarze, ani rolnicy na polu. Ale na koniec Piernikowy Jack wychodzi na idiotę, bo pozwala lisowi przenieść się przez rzekę i ten lis go pożera jednym kłapięciem.

Gdybym ja był zrobiony z ciastka, to sam bym siebie zjadł, zanim kto inny by zdążył.

Szybko, szybko odmawiamy modlitwę; dłonie zatrzaśnięte razem, zamknięte oczy. Modlę się o Jana Chrzciciela i Dzieciątka Jezus, żeby przybyli się pobawić z Dorą i Butkiem. Mama modli się o słońce, żeby stopiło śnieg na Oknie.

- Mogę się poczęstować?

- Z samego rana - mówi Mama i obciąga koszulę.

- Nie, dzisiaj.

Wskazuje Zegarek, jest 08.57, czyli tylko trzy minuty do dziewiątej. No to lecę do Szafy, kładę się na poduszce i zawijam w Koc, który jest cały szary i puchaty, z czerwoną lamówką. Leżę tuż pod rysunkiem mnie, zapomniałem, że on tam jest.

Mama wtyka głowę.

- Trzy buziaki?

- Nie, pięć dla Pana Piątaka.

Daje mi pięć i skrzypi drzwiami do zamknięcia.

Przez szczeliny jeszcze wpada światło, więc widzę trochę mnie na rysunku, fragmenty takie jak Mamy i nos tylko taki jak mój.

Głaskam papier, cały jedwabisty. Prostuję się tak, że głowa napiera na Szafę, i stopy też. Nasłuchuję, jak Mama przebiera się w koszulkę do spania i bierze leki, na noc zawsze dwa, bo mówi, że ból jest jak woda, rozlewa się, jak tylko ona się położy. Właśnie wypłuwa pastę do zębów.

- Nasz przyjaciel Zack lubi chodzić wspak - mówi.

Myszę przez chwilę.

- Nasz przyjaciel Za gada bla bla bla.

- Nasz przyjaciel Ebenezer nosi czerwony blezer.

- Nasza przyjaciółka Dora ma dziś złego humoru.

- To jakiś oszukańczy rym - twierdzi Mama.

- O jeny! - jęczę jak lisek Rabuś. - Nasz przyjaciel Jezusek... zjada dużo klusek.

- Nasza przyjaciółka Mszyca wyła wczoraj do księżycy.

Księżyc to srebrna buzia Pana Boga, która wychodzi tylko na specjalne okazje.

Siadam i przysuwam twarz do szczelin, widzę paski telewizora wyłączzonego, Sedesu, Wanny, mojego rysunku niebieskiej ośmiornicy, co się zwija, i Mamy odkładającej nasze ubrania do

Komody.

- Mamo?

- Mhm?

- Dlaczego jestem ukryjony jak czekoladki?

Chyba siedzi na łóżku. Mówi tak cicho, że ledwo słyszę.

- Nie chcę, żeby on na ciebie patrzył. Nawet jak byłeś malutki, zawsze zawijałam cię w koc, kiedy się go spodziewałam.

- Czy to by bolało?

- Co by bolało?

- Gdyby mnie zobaczył.

- Nie, nie. Idź już spać - mówi mi Mama.

- A zrób Pchły.

- Dobranoc, pchły na noc, karaluchy pod poduchy.

Pchły są niewidzialne, ale rozmawiam z nimi i czasem je liczę, ostatnio dotarłem do 347. Słyszę pstryknięcie wyłącznika i Lampa gaśnie cała w jednej chwili. Słyszę, jak Mama wchodzi pod Kołdrę.

Kilka razy nocą widziałem przez szpary Starego Nicka, ale nigdy całego i z bliska. Jego włosy mają trochę białego i są krótsze niż jego uszy. Może jego spojrzenie zmieniłoby

mnie w kamień.

Zombi gryzą dzieci, żeby się odśmiercić, wampiry ssą, aż dzieci robią się flakowate, a potwory huśtają je za nogi i pożerają. Wielkoludy mogą być tak samo złe, „żyw on czy martwy, rozprawię się z człkiem, kości mu zmielę i chleb z nich upiekę”. Ale Jack uciekł ze złotopiorką i zsuwał się po łądydze fasoli szybko szybko.

Wielkolud schodził za nim, ale Jack zawołał do swojej Mamy, żeby podała mu topór, czyli taki nóż jak nasze, tylko większy, i jego

Mama bała się ściąć łądygę, ale kiedy Jack zszedł na Ziemię, zrobili to razem i Wielkolud wziął i się roztrzaskał i wyszły mu flaki, ha ha. I wtedy Jack stał się Jackiem Pogromcą Wielkoludów.

Ciekawe, czy Mama już się wyłączyła.

W Szafie zawsze próbuję mocno zaciskać powieki i szybko się wyłączać, żeby nie słyszeć, jak przychodzi Stary Nick, a potem się budzę i jest rano, i leżę w Łóżku z Mamą, i się częstuję, i wszystko okay. Ale dzisiaj jeszcze działam, tort mi bąbelkuje w brzuszku. Liczę językiem górne zęby od prawej do lewej aż do dziesięciu, a potem dolne od lewej do prawej, a potem z powrotem, muszę dojść do dziesięciu za każdym razem, a dwa razy dziesięć równa się dwadzieścia, tyle ich mam.

Nie słyhać pik pik, na pewno już dawno po dziewiątej. Liczę zęby jeszcze raz i wychodzi dziewiętnaście, pewnie źle to zro-

41 biłem, chyba że jeden zniknął. Przygryzam palec tylko trochę, a potem jeszcze trochę. Czekam wieki.

- Mamo? - szepczę. - Czy on nie przychodzi czy tak?

- Wygląda na to, że nie. Wskakuj.

Zrywam się i pcham Szafę na oścież, ląduję w Łóżku po dwóch sekundach. Pod Kołdrą jest supergorąco, muszę wystawić stopy, żeby się nie spaliły. Częstuję się dużo dużo, z lewej, a potem z prawej. Nie chcę zasypiać, bo wtedy już nie będzie moich urodzin.

Światło rozbłyskuje prosto na mnie, kłuje w oczy. Wyglądam spod Kołdry, ale ze zmrużonymi oczami. Mama stoi przy Lampie i wszystko rozjaśnione, potem pstryk i znów ciemno. Jeszcze raz jasno, Mama oczekowuje trzy sekundy, i znów ciemno, a potem jasno tylko na sekundę. Mama wpatruje się w Okno.

Znów ciemno. Robi tak w nocy, wydaje mi się, że potem łatwiej jej z powrotem zasnąć.

Czekam, aż Lampa zgaśnie jak należy. Szepczę przez ciemność:

- Już koniec?

- Przepraszam, że cię obudziłam - mówi.

- Nic nie szkodzi.

Wraca do Łóżka zimniejsza niż ja, obejmuję ją rękami w pasie.

No to teraz mam pięć lat i jeden dzień.

Niemądry Penis zawsze stoi z rana, spycham go na dół.

Kiedy szorujemy ręce po sikaniu, śpiewam W jego rękach cały świat, a potem już nie umiem wymyślić niczego innego o rękach, ale jest taka zabawa paluszkowa o dwóch ptaszkach:

Leć, leć, Peter, leć, leć, Paul.

Moje dwa palce śmigają wokół Pokoju i prawie się zderzają w powietrzu.

Wracaj, Peter, wracaj, Paul.

- Wydaje mi się, że to anioły - mówi Mama.

- Co?

- Albo nie, przepraszam, święci.

- A co to są święci?

- Tacy superpobożni ludzie. Jak anioły, ale bez skrzydeł.

Nic z tego nie rozumiem.

- No to jak sfruwają ze ściany?

- Nie, mówisz o ptaszkach, one latają, a jakże. Chodzi mi o to, że nazywają się tak jak święty Piotr i święty Paweł, dwaj przyjaciele Dzieciątka Jezus.

Nie wiedziałem, że ma jeszcze przyjaciół po Janie Chrzcicielu.

- Święty Piotr siedział kiedyś w więzieniu i...

Śmieję się.

- Przecież dzidziusia nie idą do więzienia.

- Ale to się zdarzyło, jak już wszyscy byli dorośli.

Nie wiedziałem, że Dzieciątko Jezus dorasta.

43

- Czy święty Piotr jest zbirem?

- Nie, nie, wsadzili go do więzienia przez pomyłkę, taka zła policja go tam wsadziła.

W każdym razie modlił się i modlił, żeby wyjść, i wiesz co? Anioł sfrunął do niego i roztrzaskał drzwi.

- Superowsko - mówię. Ale wolę, jak są dzidziusiami i latają rozgolasowane.

Słysząc dziwne bum i szuru szuru. Jasność wpada przez

Okno, ciemny śnieg prawie sobie poszedł. Mama też spogląda w górę, uśmiecha się lekko, chyba modlitwa zrobiła cuda.

- A jest jeszcze to równanie?

- A, równonoc? - pyta. - Nie, światło zaczyna troszeczkę wygrywać.

Pozwala mi zjeść tort na śniadanie, nigdy wcześniej tego nie robiłem. Zrobił się trochę chrupiący, ale dalej dobry.

W telewizorze lecą Wspaniałe zwierzaki dość zamazane, Mama przynosi i przynosi Króliczka, ale on ich za bardzo nie zaostrza. Wiążę mu na drucianym uchu kokardkę z czerwonej wstążki. Szkoda, że nie lecą Przyjaciele z Podwórka, nie widzieliśmy się od lat. Jeszcze nie ma Niedzielnej Rozpusty, bo Stary Nick nie przyszedł wczoraj wieczorem, właściwie to było najfajniejsze w moich urodzinach. Zresztą nie prosiliśmy o nic zachwycającego, nowe spodnie, bo moje czarne mają dziury zamiast kolan.

Nie przeszkadzają mi dziury, ale Mama mówi, że przez nie wyglądam jak dziecko ulicy, nie umie wytłumaczyć, co to jest.

Po kąpieli bawię się ubraniami. Dziś rano różowa spódnica

Mamy jest wężem, klóci się z moją białą skarpetką.

- Jestem najlepszą przyjaciółką Jacka.

- Wcale że nie, bo to ja jestem najlepszą przyjaciółką Jacka.

- Strzeliłam cię.

- Zakatrupiłam cię.

- Zrobię ci pifpaf moją wystrzałową latającą pompą.

- Phi, a ja mam jumbomegatronową armatę na transformersy...

- Hej - mówi Mama. - Zagramy w Piłkę?

- Przecież już nie mamy Piłki Plażowej - przyparniętuję jej. Rozerwała się niechący, kiedy kopnąłem nią o Komodę okropnie szybko. Chciałem poprosić o drugą zamiast tych głupich spodni.

Ale Mama mówi, że możemy ją sami zrobić. Zgniatamy wszystkie kartki, na których ćwicyłem pisanie, wypełniamy nimi torbę po zakupach i ściskamy ją, aż przybiera kształt piłki, a na koniec rysujemy na niej straszną twarz z trzema oczami. Słówkopółka nie lata tak wysoko jak Plażowa, ale za każdym razem, jak ją łapiemy, robi głośne chrzęstu chrzęstu. Mamie najlepiej idzie chwytanie, tylko czasem Piłka strzela ją w bolący nadgarstek, a ja najlepiej rzucam.

Ponieważ na śniadanie jedliśmy ciasto, niedzielne Naleśniki zjadamy na lunch.

Zostało niewiele proszku, więc są cienkie i się rozlewają, podoba mi się to. Mam je składać, niektóre się łamią. Kończy się dżem, więc też go mieszamy z wodą.

Skapuje z rogu mojego naleśnika, Mama szoruje Podłogę

Gąbką.

- Korek się ściera - mówi z zaciśniętymi zębami. - Niby jak mamy go utrzymywać w czystości?

- Gdzie?

- Tu, gdzie dotykamy stopami.

Włazę pod stół, w Podłodze jest dziura, a pod spodem coś brązowego, twardszego pod paznokciem.

- Nie psuj jeszcze bardziej, Jack.

- Nie psuję, tylko patrzę palcem.

Dziura wygląda jak maleńki krater.

Przysuwamy Stół do Wanny i możemy się opalać na Dywanie tuż pod Oknem, gdzie jest superciepło. Śpiewam Bez ciebie nie ma słońca, Mama leci z Wychodzi słońce, a ja wybieram Jesteś moim promyczkiem. A potem chcę się poczęstować, z lewej jest dzisiaj supergęste.

Żółta buzia Pana Boga robi mi czerwono pod powiekami.

Kiedy je otwieram, nie da się patrzeć. Moje palce rzucają cienie na Dywan, małe i rozplaszczone.

Mama drzemie.

Słyszę cichutki odgłos, więc wstaję, nie budząc jej. Tuż przy

Kuchence cichutkie skrob skrob.

Żywe coś, zwierzę, z naprawdę, a nie z telewizora. Siedzi na

Podłodze i coś zajada, może kawałek naleśnika. Ma ogon, myślę, że wiem, co to jest, myszka to jest.

Podchodzę bliżej i wtedy fiu znika pod Kuchenką, ledwo ją dostrzegłem, nie wiedziałem w ogóle, że coś może tak szybko zmykać.

- O, Myszko - mówię szeptem, żeby jej nie przestraszyć.

Tak się rozmawia z myszką, tak jest w Alicji, tylko że ona mówi o swojej kotce Dinie i myszka robi się nerwowa i odpływa. Składam ręce do modlitwy:

- O, Myszko, wróć tu, proszę, proszę, proszę...

Czekam godzinami, ale ona nie przychodzi.

Mama śpi i śpi.

Otwieram Lodówkę, w środku nie ma za dużo. Myszy lubią ser, ale nam się już skończył. Wyjmuję chleb, kruszę trochę na talerz i stawiam tam, gdzie siedziała Myszka. Przykucam ciasno i czekam jeszcze bardziej godzinami.

A potem coś najcudowniejszego, Myszka wystawia pyszczek, taki spiczasty. Mało brakowało, a bym podskoczył, ale nie, siedzę supernieruchomo. Myszka podchodzi do okruchów i wącha. Jestem tylko jakieś dwie stopy od niej, szkoda, że nie mam Linijki, tobym zmierzył, ale jest uporządkowana w Pudełku w Podłózku, a ja nie chcę się ruszać, żeby nie przestraszyć Myszkki. Patrzę na jej ręce, wąsy, ogonek cały podwinięty. Jest żywa naprawdę, to największa żywa rzecz, jaką widziałem, miliony razy większa niż mrówki i Pająk.

Nagle coś wali w Kuchenkę łuuup! Wrzeszczę i niechcący staję na talerzu, Myszkki nie ma, gdzie ona? Czy książka ją złamała? To Na lotnisku, zaglądam między strony, ale tam jej nie ma. Punkt odbioru bagażu jest cały podarty i już nie chce się rozkładać na stojąco.

Mama stoi z dziwną miną.

- Przez ciebie sobie poszła - krzyczę na nią.

Trzyma szufelkę i zamiata popękane skorupy talerza.

- Co to robiło na podłodze? Teraz zostały nam tylko dwa duże talerze i jeden mały, to wszystko.

Kucharka w Alicji rzuca w dziecko półmiskami i rynienką, która prawie strąca mu nos.

- Myszka lubiała okruchy.

- Jack!

- Była naprawdę, widziałem ją.

Wywleka Kuchenkę, na dole Drzwiościanki widać małą szczelinę, Mama sięga po rolkę folii aluminiowej i zaczyna wpychać w szparę foliowe kuleczki.

- Nie rób. Proszę.

- Przykro mi. Ale jak jest jedna, to będzie i dziesięć.

Co za dziwne obliczenia.

Mama odkłada folię i łapie mnie mocno za ramiona.

- Gdybyśmy pozwolili jej zostać, niedługo by się tu zaroilo od jej małych. Wykradałyby nam jedzenie, wносиły zarazki na brudnych łapkach...

- Mógłbym im oddać jedzenie, nie jestem głodny.

Mama nie słucha. Przysuwa Kuchenkę z powrotem do

Drzwiościanki.

Później bierzemy kawałeczek taśmy i przyklejamy w Na lotnisku stronę z Hangarem,

żeby lepiej stał, ale punkt odbioru bagażu jest zbyt podarty, żeby dał się naprawić.

Zwijamy się na Bujaku i Mama czyta O koparce Delmie trzy razy, a to znaczy, że przeprasza.

- Poprośmy o nową książkę na Niedzielną Rozpustę - mówię.

Wykrzywia usta.

- Próbowałam, parę tygodni temu, chciałam, żebyś ją dostał na urodziny. Powiedział, żebym przestała mu zawracać głowę, przecież mamy już ich całą półkę.

Spoglądam ponad jej głową na Półkę, pomieściłaby jeszcze setki książek, gdybyśmy przenieśli niektóre inne rzeczy do Podłóżka, koło jajowęża. Albo na Szafę... ale tam przecież mieszkają Fort i Labirynt. Trudno wyczuć, gdzie co mieszka, Mama mówi czasem, że trzeba wyrzucać różne rzeczy do kosza, ale ja zwykle znajduję dla nich miejsce.

- On uważa, że powinniśmy tylko ciągle oglądać telewizję.

Całkiem fajnie.

- Wtedy byśmy zdurnieli, jak on - mówi Mama i wychyla się, żeby zdjąć Wielką księgę rymowanek. Czyta mi po jednej wybranej przeze mnie z każdej strony. Najlepsze to te o Jacku, na przykład Jack Szprota albo Mały Jack Horner.

Nasz Jack jest szybki, nasz Jack jest chyży, ognek przeskoczy wyżej i wyżej.

Wydaje mi się, że on chciał sprawdzić, czy uda mu się nie podpalić koszulki do spania. W telewizorze mówią na nią piżama albo koszula nocna, jeśli jest dla dziewczynek. Moja koszulka do spania jest największa ze wszystkich moich koszulek, ma dziurę na ramieniu i jak się wyłączam, to lubię w nią wkładać palec i się łaskotać. Jest taka rymowanka Jackie.

U Jackie pudding i tort, ale jak się nauczyłem czytać, to zobaczyłem, że zamiast Jackie Wackie jest Georgie Porgie. Mama zmieniła, żeby do mnie pasowało, to nie kłamanie, tylko udawanie. Tak samo jak:

Jack, Jack, dudziarza syn

Wieprzka skradł i czmychnął z nim.

W książce pisze Tom, ale Jack lepiej brzmi. Skradniecie to jest wtedy, jak chłopiec bierze to, co należy do kogoś innego, bo wszystkie osoby w książkach i w telewizorze mają rzeczy, które należą tylko do nich, to skomplikowane.

Jest 05.39, więc można jeść kolację, dziś kluski błyskawiczne. Moczą się w gorącej wodzie, a Mama w tym czasie sprawdza, czy znam trudne słowa z kartonu z mlekiem, na przykład

„żywieniowy”, czyli coś z jedzeniem, albo” pasteryzowany”, czyli że pistolety

laserowe przepędziły zarazki. Zjadłbym więcej ciasta, ale Mama mówi, że najpierw posiekane buraki soczyste. Potem jem ciasto, które teraz już jest dość chrupkie, i Mama też je, troszeczkę.

Staję na Bujaku, żeby znaleźć Gry, dzisiaj wybieram Warcaby, zagram czerwonymi. Pionki wyglądają trochę jak drażetki czekoladowe, ale lizałem je dużo razy i smakują niczym. Przylepiają się do planszy, bo działają magnetyczne czary. Mama najbardziej lubi Szachy, ale mnie one bolą w głowę.

W porze telewizora Mama wybiera planetę przyrodniczą, pokazują żółwie, które zakopują swoje jaja w piasku. Kiedy Alicja marudzi z jedzeniem grzyba, gołąb się wścieka, bo myśli, że Alicja to wstrętna żmija, która chce pożreć jej gołębie jaja. O, małe żółwiki wychodzą ze skorupki, ale mamy żółwiowe już sobie poszły, dziwne to. Ciekawe, czy kiedyś się spotkają w morzu, mamy i dzieci, czy się rozpoznają, a może po prostu się miną.

Przyroda bardzo szybko się kończy, więc przelączę na dwóch panów, którzy mają na sobie tylko spodenki i tenisówki, i pot z nich pada.

- No, no, nie wolno się bić - mówię im. - Dzieciatko Jezus się znerwuje.

Ten w żółtych spodenkach wali tego owłosionego w oko.

Mama jęczy, jakby ją bolało. ‘

- Musimy to oglądać?

- Za moment wjedzie policja ijo ijo ijo i zamknie tych zbirów w więzieniu.

- Tak naprawdę boks... no cóż, jest nieprzyjemny, ale to taka gra, tak jakby dozwolona, jeśli tylko noszą specjalne rękawiczki. No, dość tego na dziś.

- Jeszcze tylko Papuga, dobrze robi na słownictwo.

- No zgoda.

Przelączę na planetę z czerwoną kanapą, gdzie kobieta z napszonymi włosami, czyli szefowa, zadaje różnym osobom pytania, a setki innych osób klaszczą.

Słucham superuważnie, kobieta rozmawia z mężczyzną bez nogi, chyba zgubił ją na wojnie.

- Papuga! - woła Mama i wycisza ich przyciskiem.

-”Zdaje się, że dla wszystkich naszych widzów najbardziej przejmującym, naj głębiej poruszającym aspektem tego, co pan musiał wycierpieć...” - kończą mi się słowa.

- Dobra wymowa - chwali mnie Mama. -”Przejmujący” znaczy smutny.

- Jeszcze raz.

- Ten sam program?

- Nie, inny.

Znajduje wiadomości, czyli jeszcze trudniej.

- Papuga! - i znów wycisza.

-”Pomimo całej tej debaty nad sprawą racy, prowadzonej w bezpośrednim następstwie reformy służby zdrowia, a pamiętajmy oczywiście, że mamy połowę kadencji...”

- Jeszcze? - Mama czeka. - Znów ci dobrze poszło. Tylko że to było”prawo pracy”, a nie”sprawa racy”.

- A co to za różnica?

- Raca to takie, no, światło na niebie, a”prawo pracy”...

Ziewam jak hipopotam.

- Nieważne. - Mama się uśmiecha i wyłącza telewizor.

Nie cierpię, jak obrazki znikają i ekran znów jest cały szary.

Zawsze mi się chce wtedy płakać, ale tylko sekundkę.

Wskakuję Mamie na kolana na Bujaku i nasze nogi są całe poplątane. Ona jest czarodziejką przemienioną w olbrzymiego kalmara, a ja jestem Księżę JackerJack i na końcu uciekam. Robimy łaskotki i hopla hopla i teatrzyk poszarpanych cieni na Łóżkościance.

Potem proszę o Królika JackerJacka, on zawsze łąta takie sprytne figle LiskowiChytruskowi. Leży na drodze i udaje martwego, a LisekChytrusek go obwąchuje i mówi:”Lepiej go nie brać do domu, strasznie cuchnie...”. Mama niucha mnie od stóp do głów i robi okropne miny, a ja próbuję się nie śmiać, żeby

LisekChytrusek się nie dowiedział, że jestem żywy, ale i tak mi to nigdy nie wychodzi.

Do śpiewania chcę czegoś śmiesznego, Mama zaczyna:

- Robale tu, robale tam...

- Robale zjedzą cię mniem, mniem... - śpiewam.

- Wygryzą oczy, pożrą nos...

- Paluchów brudnych zjedzą stos...

Częstuję się dużo dużo na Łóżku, ale moja buzia jest śpiąca.

Mama przenosi mnie do Szaty, otula mi szyję Kocem, a ja go z powrotem odsłaniam. Robię palcami ciuchcieę po jego czerwonym brzegu.

Pik pik, to Drzwi. Mama podrywa się i wydaje jakiś dźwięk, chyba się uderzyła w głowę. Zamyka szczelnie Szafę.

Wpada lodowate powietrze, to chyba kawałek Kosmosu, pachnie pysznie. Drzwi jak zwykle robią łup, a to znaczy, że Stary

Nick już wszedł. Już mi się odechciało spać. Klękam i wyglądam przez szpary, ale

widzę tylko Komodę i Wanę i łuk Stołu.

- Apetycznie wygląda. - Głos Starego Nicka jest dziś superniski.

- To tylko resztki tortu urodzinowego - mówi Mama.

- Mogłaś mi przypomnieć, tobym mu coś przyniósł. Ile skończył, cztery?

Czekam, aż Mama się odezwie, ale nic z tego.

- Pięć - szepczę.

Ale ona na pewno słyszy, bo podchodzi do samej Szaty i wściekłym głosem mówi: "Jack!"

Stary Nick się śmieje, nie wiedziałem, że potrafi.

- To umie mówić.

Daczego mowt"to, a me"on.

- Chcesz wyjść i przymierzyć nowe dzinsy?

Nie mówi tego do Mamy, tylko do mnie. Moja pierś zaczyna łubudu łubudu.

- Już zasypia - mówi Mama.

Nieprawda. Nie trzeba było szeptać "pięć", żeby mnie usłyszał, nie trzeba było nic.

Dodaje jeszcze coś, nie dosłyszałem...

- Dobrze już, dobrze - mówi Nick. - Mogę zjeść kawałek?

- Już wysycha. Jeśli naprawdę chcesz...

- Nie ma sprawy, pani tu rządzi.

Mama się nie odzywa.

- Ja jestem tylko chłopcem na posyłki, wynoszę pani śmieci, wędruję po działach z ciuchami dziecięcymi, włączę po drabinie, żeby odlodzić pani okno dachowe, zawsze do usług jaśnie pani...

Wydaje mi się, że on szydzi, bo krzywym głosem mówi coś na odwrót.

- Dziękujemy - odzywa się Mama obcym głosem. - Teraz jest o wiele widniej.

- No, korona ci z głowy nie spadła, co?

- Przepraszam. Bardzo dziękujemy.

- Coś ci to opornie idzie - mówi Stary Nick.

- Dziękujemy za zakupy i za dzinsy.

- Proszę.

- Poczekaj, podam talerz, może w środku nie jest taki suchy.

Słychać brzęki, chyba Mama daje mu tort. Mój tort.

Po minucie Nick odzywa się niewyraźnie.

- No, prawie sucharek.

Lampa gaśnie pstryk i aż podskakuję. Nie przeszkadza mi ciemno, ale nie lubię, jak się nie zapowiada. Leżę pod Kocem i czekam.

Kiedy Stary Nick trzeszczy Łóżkiem, słucham i liczę na palcach, dzisiaj jest 217 trzeszczów. Zawsze muszę liczyć, aż on wydaje ten dyszący dźwięk i robi się cicho. Nie wiem, co by się stało, gdybym nie liczył, bo zawsze to robię.

A co z tymi nocami, kiedy śpię?

Nie wiem, może Mama liczy za mnie.

Po liczbie 217 jest całkiem cicho.

Słyszę, jak chodzi telewizor, to tylko planeta z wiadomościami, widzę przez szpary kawałki czołgów, niezbyt to ciekawe.

Wsadzam głowę pod Koc. Mama i Stary Nick trochę rozmawiają, ale nie słucham.

Budzę się w Łóżku i pada deszcz, wiem, bo Okno jest cały zamazane. Mama częstuje mnie i cichutko nuci Singing in the Rain.

Z prawej nie jest pycha. Przypominam sobie coś i siadam.

- Dlaczego nie powiedziałaś mu wcześniej, że mam urodziny?

Mama już się nie uśmiecha.

- Miałaś spać, kiedy on tu jest.

- Ale gdybyś mu powiedziała, toby mi coś przynosił.

- Przyniósł - poprawia. - On tak tylko gada.

- A jakie coś?

Czekam.

- Trzeba było mu przypomnieć.

Mama prostuje ręce nad głową.

- Nie chcę, żeby ci cokolwiek przynosił.

- Ale Niedzielną Rozpustą...

- To co innego, Jack, to rzeczy, o które proszę, bo ich potrzebujemy.

Wskazuje na Komodę, coś tam jest poskładane i niebieskie.

- A właśnie, tam są twoje nowe dzinsy.

Idzie siku.

- Mogłaś go poprosić o prezent dla mnie. Nigdy w życiu nie dostałem prezentu.

- Dostałeś, ode mnie, pamiętasz? Rysunek.

- Nie chcę głupiego rysunku. - Płaczę.

Mama wyciera ręce i idzie mnie przytulić.

- Już dobrze.
- Choćby...
- Nie rozumiem. Weź głęboki oddech.
- Choćby...
- Powiesz mi, o co chodzi?
- Choćby psa.
- Co psa?

Nie mogę przestać, muszę mówić przez płacz.

- Na prezent. Choćby psa, co się zmienił w naprawdę psa, nazwalibyśmy go Lucky.

Mama wyciera mi oczy otwartą dłonią.

- Wiesz przecież, że nie mamy miejsca.
- Mamy.
- Z psem trzeba spacerować.
- Przecież spacerujemy.
- Ale pies...
- Przecież biegamy daleko po Torze, Lucky mógłby biec przy nodze. Założę się, że by cię wyprzedził.

- Jack. Dostalibyśmy fioła z psem.
- Nie dostalibyśmy.
- Dostalibyśmy. W zamknięciu, do tego szczekanie, drapame...
- Lucky by nie drapał.

Mama przewraca oczami. Podchodzi do Szafki i wyjmuję płatki, a potem wysypuje je do naszych miseczek, nawet ich nie licząc.

Robię minę ryczącego lwa.

- W nocy, jak będziesz spać, ja wstanę i wyjmę folię z dziur, żeby Myszka mogła wrócić.

- Nie wygłupiaj się.
- Nie wygłupiam się, to ty się wygłupiasz, bo jesteś głupkiem i matołkiem.
- Słuchaj, rozumiem...
- Myszka i Lucky to moi przyjaciele. - Znów płaczę.
- Nie ma żadnego Lucky' ego - mówi z zaciśniętymi zębami Mama.
- A właśnie że jest i ja go kocham.
- Wymyśliłeś go sobie.
- I jest jeszcze Myszka, moja prawdziwa przyjaciółka, a ty ją pogoniłeś...

- Tak! - krzyczy Mama. - Żeby nie przebiegła w nocy po twojej buzi i cię nie pogryzła!

Płacę tak bardzo, że mój oddech się urywa. Nie miałem pojęcia, że Myszka może mnie pogryźć w buzię, myślałem, że tylko wampiry to robią.

Mama opada na Kołdrę i przestaje się ruszać.

Po minucie kładę się koło niej. Zadzieram jej koszulkę, żeby się poczęstować, muszę ciągle przerywać, żeby wycierać nos. Z lewej jest dobre, ale nie ma za wiele.

Później mierzę nowe dżinsy. Ciągłe spadują.

Mama wyciąga z nich wystającą nitkę.

- Nie rób.

- I tak zwisała. Co za tandetne g... - Nie mówi co.

- Gacie. - Pomagam jej. - Inne słowo na spodnie to gacie.

Wkładam nitkę do Szafki, do Pudełka na Robótki.

Mama zdejmuje Przybornik, żeby pozszywać spodnie w pasie w kilku miejscach, potem już się trzymają.

Dziś rano mamy sporo do roboty. Najpierw rozbieramy

Okręt Piratów, który zrobiliśmy w zeszłym tygodniu, i przerabiamy go na Czołg. Kieruje nim Balonka, kiedyś była tak duża jak głowa Mamy, i różowa, i gruba, a teraz stała się mała jak moja pięść, tylko że różowa i pomięta. Dmuchamy balony tylko pierwszego dnia miesiąca, więc Balonka musi poczekać na siostrę, aż przyjdzie kwiecień. Mama też się bawi Czołgiem, ale nie za długo. Zawsze ma szybko dosyć wszystkiego, to od bycia dorosłą.

Poniedziałek to dzień prania, włączymy do wanny razem ze skarpetami, bieliznami, moimi szarymi spodniami, na które strzyknął keczup, pościelą i ścierkami kuchennymi, i wygniatamy brud z tego wszystkiego. Mama całkiem naciepla Termostat do suszenia, wyciąga Suszarkę na Pranie zza Drzwi, rozkłada ją i mówi, żeby się trzymała. Chciałbym na niej pojeździć, jak wtedy, kiedy byłem mały, ale teraz jestem taki wielki, że mógłbym jej złamać żebra. Super by było się czasem zmniejszać, a czasem powiększać jak Alicja. Jak już mamy za sobą wyciskanie wody ze wszystkich rzeczy i rozwieszanie, musimy zedrzeć z siebie koszulki i na zmianę wpychać się do Lodówki, żeby się ochłodzić.

Na lunch sałatka z fasoli, moja druga najgorzej ulubiona potrawa. Po drzemce codziennie bawimy się w Krzyki, ale nie w soboty ani niedziele. Odchrząkujemy i trzymając się za ręce, żeby nie spaść, wspinamy się na Stół, bo tam jest bliżej Okna.

Mówimy”Na miejsca, gotowi, start!”, a potem otwieramy szeroko zęby i wrzeszczymy, krzyczymy, ryczymy, wyjemy, drzemy się, wołamy naj głośniejszym głosem, jak się da.

Dzisiaj jestem najbardziej najgłośniejszy, bo mi się rozciągają płuca od bycia pięciolatkiem.

Potem robimy ciii z palcami na ustach. Kiedyś spytałem

Mamy, czego nasłuchujemy, a ona na to tak na wszelki wypadek nigdy nie wiadomo.

Potem robię frotaż z widelca i Grzebienia i nakrętek ze słoików i szwów dzinsów.

Papier w linie jest najgładszy, ale toaletowy nadaje się na rysunek, który się ciągnie i ciągnie, na przykład dzisiaj rysuję mnie z kotem i papugą i legwanem i szopem i Świętym Mikołajem i mrówką i Luckym i wszystkimi przyjaciółmi z telewizora w pochodzie, a ja jestem Król Jack. Jak już całkiem skończę, zwijam papier z powrotem, żebyśmy go mogli użyć do pupy.

Biorę świeży kawałek z następnej rolki na list do

Dory, muszę zatemperować czerwoną kredkę Gładkim Nożem.

Ściskam mocno kredkę, bo jest tak krótka, że prawie jej nie ma; piszę bezbłędnie, tylko czasem literki ustawiają się na odwrót.

„Mam pięć lat przedwczoraj, możesz zjeść ostatni kawałek tortu ale bez świeczek, pa pozdrowienia Jack”. Papier się tylko trochę rozdziera na ale.

- Kiedy go dostanie?

- Wydaje mi się, że dopiero za kilka godzin list dopłynie do morza, a potem fale wyrzucą go na plażę...

Śmiesznie gada, bo ssie kostkę lodu na Bolący Ząb. Plaże i morze są z telewizora, ale myślę, że jak wyślemy list, to staną się trochę bardziej naprawdę. Kupy toną, a listy unoszą się na wodzie.

- Kto go znajdzie? Diego?

- Chyba tak. I zawiezie swojej kuzynce Dorze...

- Jeepem do safari. Brum brum przez dżunglę.

- No to stawiam, że jutro rano. Najpóźniej w południe.

Kostka lodu już tak nie wybrzusza buzi Mamy.

- Mogę zobaczyć?

Wystawia ją na języku.

- Mnie też chyba boli ząb.

- Och, Jack - jęczy Mama.

- Naprawdę na naprawdę. Ojoj.

Jej twarz się odmienia.

- Możesz possać lód, jeśli chcesz, nie musisz udawać, że cię boli ząb.

- To super!

- Nie strasz mnie tak.

Nie wiedziałem, że mogę ją postraszyć.

- Może zaboli, jak skończę sześć lat.

Wzdycha i wyciąga kostki z Zamrażarki.

- Kłamie, kłamie, powiem mamie.

Przecież nie kłamałem, tylko udawałem.

Pada przez całe popołudnie, Pan Bóg w ogóle do nas nie zagląda. Śpiewamy Stormy Weather i Its Raining Man i ten kawałek o pustyni, której brakuje deszczu*.

[*Prawdopodobnie mowa o utworze Missing brytyjskiej grupy Everything but the Gir.]

Na kolację paluszki rybne i ryż, mogę wyciskać cytrynę, która nie jest prawdziwa, tylko plastikowa. Mieliliśmy kiedyś prawdziwą cytrynę, ale za szybko się wysuszyła. Mama wkłada kawałek swojego paluszka do ziemi pod Rośliną.

Wieczorem nie ma planety z bajkami, może dlatego, że jest ciemno i nie mają tam lamp. Wybieram wieczór z gotowaniem, ale nie takiego jedzenia naprawdę, nie mają tam żadnych puszek. Taka pani i taki pan uśmiechają się do siebie i robią mięso przykryte ciastem i takie coś zielone otoczone innym zielonym powiązaniem w pęczki. Potem przełączam na planetę fitness, gdzie osoby w białym muszą ciągle robić takie różne rzeczy na maszynach, chyba są tam uwięzione. To się szybko kończy i lecą burzyciele, dają domom nowe kształty i malują je farbami na miliony kolorów, nie obrazki, ale wszystko. Domy wyglądają jak masa posklejanych Pokojów, osoby z telewizora najczęściej w nich siedzą, ale czasem wychodzą ze swoich wewnątrz i przytrafia im się pogoda.

- A gdybyśmy przestawili łóżko tam? - pyta Mama.

Patrzę na nią, a potem tam, gdzie pokazuje.

- Przecież to Teleścianka.

- Bo tak ją nazwaliśmy - mówi. - Prawdopodobnie łóżko by się tam zmieściło, między sedesem a... Musielibyśmy trochę przesunąć szafę. Wtedy komoda stałaby tu zamiast łóżka, a telewizor na niej.

Bardzo kręcę głową.

- Tobyśmy nie widzieli.

- Widzielibyśmy stąd, z bujaka.

- Niedobrze to wymyśliłaś.

- No dobra, nieważne. - Mama zaplata ciasno ręce.

Kobieta z telewizora płacze, bo jej dom jest teraz żółty.

- Wołała go brązowego? - pytam.

- Nie - mówi Mama. - Tak się cieszy, że aż płacze.

Dziwne.

- Czyli się cieszosmuci tak jak ty, kiedy w telewizorze leci śliczna muzyka?

- Nie, to jakaś idiotka. Wyłączmy już telewizor.

- Jeszcze pięć minut? Proszę?

Kręci głową.

- To jeszcze zrobię Papugę, coraz lepiej mi idzie.

Słucham uważnie kobiety z telewizora. Mówię:

-”Marzenia się spełniają, mówię ci, Darren, to po prostu przekracza moje najśmielsze wyobrażenia, te karnisze...”

Mama szybko wyłącza. Chcę zapytać, co to jest karnisze, ale chyba dalej stroi fochy o to przesuwanie mebli, to był szurnięty plan.

Leżę w Szafie i powinienem spać, ale liczę kłótnie. Trzy przez trzy dni: jedna o świeczki, jedna o Myszkę i jedna o Lucky’ego.

Wolę mieć znowu cztery lata, jeśli przy pięciu codziennie są kłótnie.

- Dobranoc, Pokoju - mówię bardzo cicho. - Dobranoc, Lampo i Balonko.

- Dobranoc, kuchenko - dodaje Mama. - I dobranoc, stole.

Już się uśmiecham.

- Dobranoc, Słówkopiłko. Dobranoc, Forcie. Dobranoc, Dywanie.

- Dobranoc, powietrze - mówi Mama.

- Dobranoc, wszystkie odgłosy.

- Dobranoc, Jack.

- Dobranoc, Mamo. Jeszcze Pchły, nie zapomnij o Pchłach.

- Dobranoc. Pchły na noc, karaluchy pod poduchy.

Kiedy się budzę, Okno jest cały niebieskie na swojej szybie, nawet w rogach nie ma śniegu. Mama siedzi na krześle i trzyma się za twarz, czyli jej przykro. Patrzy na coś na Stole, na dwie rzeczy.

Zrywam się i łapię.

- Jeep! Jeep na pilota!

Śmigam nim w powietrzu, jest czerwony, taki duży jak moja dłoń. Pilot to srebrny prostokąt, kiedy poruszam kciukiem jedno z pokręteł, koła jeepa się kręcą wzzziuuu.

- To spóźniony prezent urodzinowy.

Wiem, kto go przynosił, Stary Nick, ale Mama się nie przyzna.

Nie chcę jeść płatków, ale Mama mówi, że zaraz potem będę mógł dalej się bawić jeepem. Zjadam dwadzieścia dziewięć i już nie jestem głodny. Mama mówi; że to marnowanie, i zjada resztę.

Już wiem, jak jeździć Jeepem tylko z Pilotem. Ma taką cienką srebrną antenę, można ją całkiem wydłużać albo całkiem skracać. Jedno pokrętło jeździ Jeepem w przód i w tył, a drugie na boki. Jeśli pstryknę obydwoma naraz, Jeep dostaje jakby paraliżu jak od zatrutej strzały, mówi wtedy arghhhhh.

Mama mówi, że bierze się za sprzątanie, bo dziś Wtorek.

- Ostrożnie - dodaje. - Pamiętaj, że może się zepsuć.

Przecież wiem, wszystko może się zepsuć.

- A jeśli go nie wyłączysz przez dłuższy czas, baterie się zużyją, a nie mamy zapasowych.

Umiem jeździć Jeepem po całym Pokoju, trudniej jest tylko przy krawędziach Dywanu, zwijają się pod jego kołami. Pilot tu rządzi, mówi: "Ruszaj się, ty ślamazarny Jeepie. Dwa razy wokół tej nogi Stołu, na złamanie karku. Skręcaj tymi kołami". Czasem

Jeep się męczy, a Pilot skręca mu kołagrrrrrrrrrr. Ten niegrzeczny

Jeep chowa się w Szafie, ale Pilot robi czarymary i go znajduje, i każe mu śmigać wte i wewte i rozbijać się o listwy.

Wtorki i Piątki zawsze pachną octem. Mama szoruje od spodu Stół szmatą, która była moją pieluszką, zanim skończyłem rok. Na pewno wymiata pajęczynę Pajaka, ale nie martwię się za bardzo. A potem sięga po Odkurzacz, który kurzy i hałasuje lu lu lu.

Jeep się wślizguje daleko do Podłóżka.

- Wracaj, mój malutki Jeepusiu - prosi Pilot. - Jeśli zmienisz się w rybkę w rzece, ja zostanę rybakiem i złapię cię w moją sieć.

Ale ten sprytny Jeep siedzi cicho, aż Pilot składa antenkę i idzie spać, a wtedy Jeep podkraada się do niego od tyłu i wyjmuję mu baterie ha ha ha.

Bawię się Jeepem i Pilotem cały dzień, tylko jak siedzę w wannie, to muszą parkować na Stole, żeby nie zardzewiały.

Kiedy bawimy się w Krzyki, wystawiam ich tużtuż przy Oknie i Jeep robi brum kólkami tak głośno, jak tylko umie.

Mama znów leży i trzyma się za zęby. Czasem wydycha wielki oddech uf uf uf.

- Dlaczego tak długo świszczysz?

- Próbuję zapanować nad bólem.

Idę siadam przy jej głowie i wygłaskuję jej włosy z oczu, ma śliskie czoło. Łapie mnie

za rękę i trzyma ją mocno.

- Już dobrze.

Wcale nie wygląda dobrze.

- A może chcesz się ze mną pobawić Jeepem i Pilotem?

- Może później.

- Jak się pobawisz, to nie będziesz myśleć i zabierzesz zębowi moc.

Uśmiecha się trochę, ale następny oddech słychać głośniejsze, jak jęknięcie.

O 5.57 mówię: "Mamo, już prawie szósta", więc wstaje, żeby zrobić kolację, ale nie je. Jeep i Pilot czekają w Wannie, bo jest już sucha, to ich tajemna grota.

- A wiesz, Jeep umarł i poszedł do Nieba - mówię, zjadając plasterki kurczaka naprawdę szybko.

- Serio?

- Ale potem w nocy, jak Pan Bóg spał, Jeep się wymknął i zjechał po Łodydze Fasoli do Pokoju, żeby mnie odwiedzić.

- Co za chytrusek.

Zjadam trzy fasolki szparagowe, biorę wielki łyk mleka i znów zjadam trzy, po trzy trochę szybciej przechodzą. Po pięć byłoby jeszcze szybciej, ale nie dam rady, gardło by mi się zamkło. Kiedyś, jak miałem cztery lata, Mama napisała na liście sprawunków "fasolka szparagowa/inna mrożonka z zielonych warzyw", a ja zamazałem "fasolka szparagowa" pomarańczową kredką, śmiała się z tego. Na koniec zjadam chleb tostowy, bo lubię go trzymać w buzi jak poduszkę.

- Dzięki ci, Jezusku, szczególnie za plasterki kurczaka - mówię. - I proszę, żadnej fasolki szparagowej długo, długo. A dlaczego dziękujemy Jezuskowi, a nie jemu?

- Jemu?

Kiwam głową w stronę drzwi.

Buzia jej się smuci, chociaż nawet nie powiedziałem jego imienia.

- A z jakiej racji mamy mu dziękować?

- Kiedyś w nocy mu dziękowałam za zakupy i za odlodzenie i za spodnie.

- Miałaś nie podsłuchiwać. - Czasem, kiedy jest straszliwie wściekła, jakby nie otwiera buzi. - Ja tylko udawałam, że dziękuję.

- A dlaczego...?

- To tylko dostawca - przerywa mi. - To nie dzięki niemu pszenica rośnie na polu.

- Na jakim polu?

- Nie może sprawić, że świeci na nie słońce, pada deszcz, ani nic takiego.

- Ale Mamo, przecież chleb się nie bierze z pola.

Przytyka palce do buzi.

- Dlaczego powiedziałaś...?

- Na pewno już czas na telewizję - mówi szybko.

Lecą teledyski, uwielbiam je. Mama najczęściej rusza się ze mną, ale nie dzisiaj. Wskakuję na Łóżko i uczę Jeepa i Pilota, jak potrząsać tyłeczkami. Leci Rihanna i T. I. i Lady Gaga i Kanye West.

- Dlaczego raperzy noszą ciemne okulary nawet w nocy?

- pytam. - Bołą im oczy?

- Nie, tylko chcą superancko wyglądać. I nie chcą, żeby fani ciągle patrzyli im na twarze, bo są tacy sławni.

Nic z tego nie rozumiem.

- Dlaczego fani są sławni?

- Nie oni, gwiazdy.

- A nie chcą być?

- Chyba chcą - mówi Mama i wstaje, żeby wyłączyć telewizor - ale chcą też trochę prywatności.

Kiedy się częstuję, Mama nie pozwala mi wziąć Jeepa i Pilota do Łóżka, chociaż to moi przyjaciele. A potem mówi, że do snu muszą pójść na Półkę.

- Inaczej będą cię dźgać w nocy.

- Nie, obiecują, że wcale nie.

- Dobra, odłóżmy jeepa i możesz spać z pilotem, bo jest mniejszy, ale złożysz do końca antenkę. Pasi?

- Pasi.

Jestem już w Szafie i rozmawiamy przez szpary.

- Boże, błogosław Jacka - mówi.

- Boże, błogosław Mamę i zaczaruj jej zęba, żeby wyzdrowiał. Boże, błogosław Jeepa i Pilota.

- Boże, błogosław książki.

- Boże, błogosław wszystko tu i w Kosmosie, i Jeepa też.

Mamo?

- No?

- Gdzie jesteśmy, jak śpimy?

Słyszę, jak ziewa.

- Tutaj.

- Ale sny.

Czekam.

- One są z telewizora?

Dalej nie odpowiada.

- Wchodzimy do telewizora po sny?

- Nie. Jesteśmy tutaj i tylko tutaj. - Jej głos dobiega jakby z bardzo daleka.

Leżę zwinięty w kłębek i dotykam palcami guzików.

- Nie możecie zasnąć, guziczki? - szepczę. - Już dobrze, poczęstujcie się.

Kładę je do sutków, na zmianę. Jestem jakby śpiący, ale tylko prawie.

Pik pik. To Drzwi.

Słucham bardzo uważnie. Wchodzi zimne powietrze. Gdybym miał głowę poza Szafą, jak się otwierają Drzwi, na pewno zajrzałbym prosto w gwiazdy i statki kosmiczne i planety i obcych śmigających naokoło w UFO. Bardzo bardzo bardzo bym chciał to zobaczyć.

Łup, Drzwi się zamykają i Stary Nick mówi Mamie, że nie było czegoś tam, a za to coś innego kosztowało absurdalnie dużo.

Ciekawe, czy spojrział na Półkę i zobaczył Jeepa. No przyniósł mi go, ale nigdy się nim nie bawił chyba nie. Nie wie, że

Jeep nagle rusza, jak włączam Pilota brummmmm.

Dzisiaj Mama i on rozmawiają tylko trochę. Lampa gaśnie pstryk i Stary Nick trzeszczy Łóżkiem. Czasem zamiast po pięć liczę po jednym, tak na odmianę. Ale zaczynam się mylić i przerzucam się na piątki, bo tak szybciej; doliczam do 378.

Cicho sza. Wydaje mi się, że on na pewno śpi. Czy Mama się wyłącza, jak on jest wyłączony, czy nie śpi, aż sobie pójdzie?

Może oboje są wyłączeni, a ja nie, niesamowite. Mógłbym usiąść i wyczołgać się z Szafy, a oni by nic nie wiedzieli. Mógłbym narysować obrazek, jak leżą w Łóżku, czy coś takiego. Ciekawe, czy są koło siebie, czy po dwóch stronach.

A potem myślę o czymś okropnym: a jeśli on się częstuje?

Czy Mama by mu pozwoliła, czy powiedziałyby: "Nic z tego, kolego, to jest tylko dla Jacka?".

Gdyby się poczęstował, mógłby się stać bardziej naprawdę.

Chce mi się podskoczyć i krzyknąć.

Znajduję guzik, który włącza Pilota, daję na zielone. Ale by było śmiesznie, gdyby jego supermoce napędziły koła Jeepa tam na Półce, co? Stary Nick by się zbudził zdziwiony i

w ogóle ha ha.

Próbuję pokrętko w przód, nic z tego. No przecież, zapomniałem wyjąć antenkę, Wyciągam ją całą i próbuję znowu, ale

Pilot dalej nie działa. Wystawiam antenkę przez szpary, ona jest na zewnątrz, a ja w tym samym czasie na wewnątrz. Pstrykam pokrętkiem. Słyszę malutki odgłos, czyli na pewno ożyły koła

Jeepa, a potem...

TRRRACH!

Stary Nick ryczy, jak nigdy nie słyszałem, coś o Jezusie, ale to przecież nie Dzieciątko to zrobiło, tylko ja. Włącza się Lampa, światło wali przez szpary prosto na mnie, oczy mi się zaciskają.

Czołgam się do tyłu i przykrywam głowę Kocem.

- Co ty kombinujesz?! - wrzeszczy.

Głos Mamy drży, mówi:

- Ale co, ale co? Przyśnił ci się jakiś koszmar?

Przygryzam Koc, mięknie w buzi jak szary chleb.

- Próbowałaś coś kombinować? Co? - pyta już bardziej cichszym głosem. - Przecież już ci mówiłem, nie przeżyjesz, jeśli...

- Ale ja spałam. - Mama mówi ściśniętym, malutkim głosem.

- Proszę cię... o, patrz, to ten głupi jeep stoczył się z półki.

Jeep nie jest ten głupi.

- Przepraszam - mówi Mama. - Tak cię przepraszam, trzeba było go położyć gdzie indziej, żeby nie spadł. Naprawdę bardzo bardzo cię...

- Już dobrze.

- Słuchaj, zgaśmy światło...

- Nie - mówi Stary Nick. - Nic tu po mnie.

Nikt się nie odzywa, liczę: jeden lew, dwa lewy, trzy lewy...

Pik pik, Drzwi się otwierają i zamykają łup. Poszedł.

Lampa znów pstryka.

Macam podłogę Szafy, żeby znaleźć Pilota, i czuję coś okropnego. Antenka jest krótka i ostra, musiała się złamać w szparach.

- Mamo! - szepczę.

Cisza.

- Pilot wziął i pęknął.

- Idź spać. - Jej głos jest tak zachrypnięty i straszny, że to chyba nie ona.

Liczę zęby pięć razy, ciągle wychodzi dwadzieścia, ale i tak muszę to robić. Żaden jeszcze nie boli, ale może zacznie, jak będę miał sześć lat.

Pewnie zasnąłem, ale nie jestem pewien, bo się budzę.

Ciągle jestem w Szafie, wszędzie ciemno. Mama jeszcze mnie nie wzięła do Łóżka. Dlaczego mnie nie wzięła?

Popycham drzwi i słucham jej oddechu. Śpi, chyba przez sen nie może być na mnie zła?

Wpełzam pod Kołdrę. Leżę obok Mamy bez dotykania, wokół niej wszędzie gorąco.

ODKŁAMYWANIE

Rano jemy owsiankę i widzę plamy.

- Szyja ci się pobrudziła.

Mama tylko popija wodę, skóra się porusza przy przełykaniu.

Ale to chyba nie brud tak mi się wydaje.

Zjadam trochę owsianki, ale jest za gorąca, wypluwam ją z powrotem na ŁyżkęRoztopkę. Wydaje mi się, że to Stary Nick zostawił jej plamy na szyi. Próbuję mówić, ale nic nie wychodzi. Jeszcze raz.

- Przepraszam, że w nocy przeze mnie spadł Jeep.

Wychodzę z krzesła, Mama wpuszcza mnie na kolana.

- Coś ty chciał zrobić? - pyta, dalej ma chrypkę.

- Pokazać mu.

- Ale co?

- Chcia, chcia, chciałem...

- Już dobrze, Jack. Spokojnie.

- Ale Pilot się złamał i teraz jesteś zła i w ogóle.

- Słuchaj - mówi Mama. - Jeep mnie nic a nic nie obchodzi.

Robię wielkie oczy.

73

- On był moim prezentem.

- Jestem zła dlatego, że go obudziłeś. - Jej głos jest teraz wyższy i chropowatszy.

- Jeepa?

- Starego Nicka.

Aż podskakuję, że wymawia go na głos.

- Przestraszyłeś go.

- Ja?! Mnie się przestraszył?

- Nie wiedział, że to ty - mówi Mama. - Myślał, że go atakuję, że zrzuciłam mu na głowę coś ciężkiego.

Łapię się za buzię i za nos, ale śmiech sam się wyparskuje.

- Nie ma się z czego śmiać, wprost przeciwnie.

Widzę znów jej szyję, te plamy, które jej zostawił, i już się w ogóle nie śmieję.

Owsianka nie chce stygnąć, więc wracamy do Łóżka się poprzytulać.

Dziś rano leci Dora, hurra! Płynie łódką, która prawie się roztrzaskuje o statek, trzeba machać rękami i krzyczeć: "Uwaga!", ale Mama nie krzyczy. Statki są tylko z telewizora i morze też, oprócz tego, że dopływają do niego nasze kupy i listy. A może one przestają być naprawdę, jak tam dotrą? Alicja mówi, że jak się jest w morzu, to da się wrócić do domu koleją, tak się kiedyś mówiło na pociągi. Lasy są z telewizora, i dżungle i pustynie i ulice i wieżowce i auta. Zwierzęta są z telewizora poza mrówkami i Myszką i Pająkiem, ale jego już nie ma. Zarazki są naprawdę, i krew też. Chłopaki są z telewizora, ale tak trochę wyglądają jak ja, znaczy ten ja w Lusterku, co też nie jest naprawdę, to tylko obrazek. Czasem rozpuszczam kucyk, przykrywam się włosami i wysuwam przez nie język, a potem wystawiam buzię i robię "ła!".

Dzisiaj środa, więc myjemy włosy, robimy też bąbelkowe turbany z Płynu do Naczyń. Patrzę wszędzie dookoła Mamy szyi, ale nie na nią.

Mama robi mi wąsa, łaskocze, więc go ścieram.

- To może brode? - pyta i nakłada mi bańki na policzek.

- Ho, ho, ho! Czy Święty Mikołaj jest wielkoludem?

- Zdaje się, że jest dość duży - odpowiada Mama.

Chyba on jest naprawdę, bo przyniósł nam milion czekoladek w pudełku z czerwoną wstążką.

- Zostanę Jackiem Potężnym, Pogromcą Wielkoludów.

Będę dobrym wielkoludem, odnajdę wszystkich zbirów i zetnę im głowy rachuciachu.

Robimy bębenki różne, wypełniamy słoiki wodą albo wodospadujemy ją z powrotem. Zmieniam jeden w jumbomegatronową flotę transformersów wyposażoną w wyrzutnię antygravitacyjną, czyli tak naprawdę Drewnianą Łyżkę.

Okręcam się, żeby spojrzeć na Impresję, wschód słońca. Widać tam łódkę z dwoma małutkimi osobami, żółtą buzię Pana Boga, zamazane pomarańczowe światło na wodzie i

takie coś niebieskie, chyba inne łódzie, ale trudno powiedzieć, bo to sztuka.

Na wuefie Mama wybiera Wyspy: stoję na Łóżku, a Mama daje poduszki i Bujak i krzesła i Dywan całkiem zwinięty i Stół i Kosz w różne dziwne miejsca. Mogę przybić do każdej wyspy tylko raz. Z Bujakiem jest najtrudniej, zawsze próbuje mnie wypchnąć. Mama pływa wszędzie zmieniona w potwora z Loch

Ness, który próbuje obgryzać mi nogi.

Moja kolej, wybieram Bitwę na Poduszki, ale Mama twierdzi, że z mojej poduszki zaczyna wylać pianka i żebyśmy lepiej poćwiczyli Karate. Zawsze się kłaniamy, żeby oddać cześć przeciwnikowi. Robimy ho! i hija! naprawdę ostro.

Raz rąbię za mocno i naruszam Mamie bolący nadgarstek, ale niechcący.

Mama jest zmęczona, więc wybiera Rozciąganie Oczu, bo wtedy leżymy na Dywanie z rękami wzdłuż ciała, żebyśmy się razem pomieścili. Spoglądamy daleko, na przykład na Okno, a potem blisko, choćby na nos, i musimy patrzeć raz na to, raz na to, szybko szybko.

Mama ociepla lunch, a ja śmigam Jeepem, biedny; nie umie już sam jeździć. Pilot zatrzymuje różne rzeczy, Mama zastyga jak robot.

- Już znowu działasz - mówię.

Miesza znów w garnku.

- Żarełko na stole - oznajmia.

Zupa jarzynowa, bleee. Gulgoczę, żeby było fajniej.

Jeszcze nie jestem śpiący na drzemkę, więc zdejmuję książki.

- Jedzieee Delma! - Mama podkłada głos, ale zaraz się ucisza. - Nie znoszę Delmy.

Patrzę na nią.

- Ale to moja przyjaciółka.

- Oj, Jack, ja tylko nie znoszę tej książki, to nie tak... Nie chodzi o to, że nie znoszę samej Delmy.

- Dlaczego nie znosisz Delmyksiążki?

- Za często ją czytałam.

Przecież jak ja czegoś chcę, to chcę tego cały czas, na przykład czekoladki, nigdy nie jadłem czekoladki za często.

- Może poczytasz sam? - proponuje.

Ale głupota, sam mogę przeczytać je wszystkie, nawet Alicję i jej starodawne słowa.

- Wolę, jak ty czytasz.

Jej oczy robią się całe ciężkie i błyszczące. A potem otwiera na nowo książkę.

- Jedzieee Delma!

Marudzi, więc potem pozwalam jej poczytać Króliczek ucieka i trochę Alicji. Najbardziej lubię piosenkę o zupie wieczornej, na pewno nie jest o jarzynowej. Alicja wciąż siedzi w przedsionku i wokoło ma pełno drzwi, jedne są tycietycie, a kiedy je otwiera złotym kluczykiem, widzi ogród z kolorowymi kwiatami i superanckie wodotryski, ale ona sama jest zawsze za mała albo za duża. A potem, jak już się dostaje do ogrodu, to się okazuje, że róże są pomalowane, a nie prawdziwe, a ona musi grać w krokieta żurawiami i jeżami.

Kładziemy się na Kołdrze. Częstouję się dużo dużo. Myślę sobie, że może Myszka wróci, jak będziemy naprawdę cicho, ale nic z tego, Mama musiała pozatykać wszystkie dziurki. Ona nie jest wredna, ale czasem robi wredne rzeczy.

Wstajemy i bawimy się w Krzyki, trzaskam pokrywkami od garnków jak talerzami. Krzyk się ciągnie i ciągnie, bo jak tylko zaczynam przestawać, Mama jeszcze wrzeszczy, prawie jej zniknął głos. Plamy na jej szyi są jak namalowane sokiem z buraka.

To chyba odciski palców Starego Nicka.

Potem biorę rolki papieru toaletowego i bawię się w Telefon, słowa tak fajnie huczą, jak mówię przez tą grubą. Najczęściej

Mama podkłada głosy, ale dzisiaj musi leżeć i czytać. Wybrała

Kod Leonarda da Vinci z zerkającymi oczami kobiety, która wygląda jak Mama Dzieciątka Jezus.

Dzwonię do Butka, Patryka Rozgwiadzy i Dzieciątka Jezus, opowiadam im o moich nowych mocach pięciolatka.

- Umiem się robić niewidzialny - szepczę do telefonu.

- Umiem wywracać język na lewą stronę i wystrzelać jak rakieta w Kosmos.

Mama zamknęła powieki, jak może przez nie czytać?

Bawię się Klawiaturą, czyli staję przy Drzwiach na swoim krześle i normalnie Mama podaje liczby, ale dzisiaj sam je wymyślam. Wciskam przyciski szybko szybko bez błędów. Drzwi się nie otwierają i nie ma pik pik, ale lubię, jak cichutko stukają przy naciskaniu.

Przebieranka to cicha zabawa. Zakładam królewską koronę, zrobioną trochę ze złotej, a trochę ze srebrnej folii, a pod spodem ma karton po mleku. Wymyślam dla Mamy bransoletkę z jej dwóch powiązanych skarpetek, białej i zielonej.

Zdejmuję z Półki Gry. Mierzę je Linijką, każde domino ma prawie cal, a szachy pół cala. Bawię się, że jeden palec to święty

Piotr, a drugi to święty Paweł; najpierw się sobie kłaniają, a potem odlatują jeden po drugim.

Mama otwiera na nowo oczy. Przynoszę jej bransoletkę ze skarpety, mówi, że jest

piękna, i od razu ją zakłada.

- Zagramy w wojnę?

- Za minutkę - mówi. Podchodzi do Umywalki i myje buzię, nie wiem czemu, bo nie była brudna, ale może łąziły po niej zarazki.

Dwa razy wygrywam wojnę, a raz przegrywam, nie cierpię przegrywać. Potem re mik, najczęściej wygrywam. Na koniec tylko bawimy się kartami, tańczymy, bijemy się i tak dalej. Walet karo to moja ulubiona karta, i jego przyjaciele inni waleci też.

- Popatrz - wskazuję Zegarek. - 05.01, można jeść kolację.

Każdy dostaje po hot dogu, mniam.

Na telewizję idę na Bujak, ale Mama siada z Pudełkiem na

Łóżku i obszywa rąbek swojej brązowej sukienki z różowymi kawałkami. Oglądamy planetę zdrowotną, gdzie lekarze i pielęgniarki wycinają w osobach dziury, żeby wyciągnąć zarazki.

Osoby śpią, a nie nie żyją. Lekarze nie obgryzają nici jak Mama, używają superostrzych sztyletów, a potem zszywają osoby jak

Frankenstein.

Teraz reklamy i Mama prosi, żebym podszedł i wyłączył dźwięk. Widać pana w żółtym kasku wierzącego dziurę w jezdni, właśnie łapie się za głowę z krzywą miną,

- Jest mu przykro? - pytam.

Mama podnosi głowę znad sukienki.

- Na pewno go boli głowa od tego głośnego wiercenia.

Nie słyhać wiercenia, bo wyłączyłem dźwięk. Pan z telewizora stoi przy zlewie i wyjmuje tabletkę z fiolki, a potem się uśmiecha i rzuca piłkę chłopcu.

- Mamo! Mamo!

- Co takiego? - zawiązuje supełek.

- To nasza fiolka. Oglądałaś? Oglądałaś tego pana z boligłową?

- Nie.

- Fiolka, z której wyjął tabletkę, to była ta nasza z tabletkami od bólu.

Mama wpatruje się w telewizor, ale teraz pokazują auto pędzące wokół góry.

- Nie, przed chwilą - mówię. - On miał naszą fiolkę z tabletkami od bólu.

- Może była podobna do naszej, a nie taka sama.

- Właśnie że tak.

- Nie, jest ich całe mnóstwo.

- Gdzie?

Mama patrzy na mnie, potem na sukienkę i pociąga rąbek.

- Nasza fiolka jest tu, na półce, a pozostałe...

- W telewizorze? - pytam.

79

Wpatruje się w nici i owija je wokół małych kartoników, żeby je włożyć z powrotem do Pudełka.

- Wiesz co? - Podskakuję. - Wiesz, co to znaczy? On na pewno chodzi do telewizora!

Znowu leci planeta zdrowotna, ale w ogóle nie oglądam.

- Stary Nick - dodaję, żeby nie pomyślała, że chodzi mi o pana w żółtym kasku. - W dzień, jak go tu nie ma, to wiesz, co robi? Na pewno idzie do telewizora. Tam kupił w sklepie nasze tabletki od bólu i je nam przynosi.

- Przyniósł - poprawia Mama i wstaje. - Przyniósł, a nie przynosi. Pora spać.

Zaczyna nucić Wskaż mi drogę do domu, ale nie śpiewam z nią.

Coś mi się zdaje, że ona nie rozumie, jakie to niezwykłe. Myślę o tym cały czas, jak wkładam koszulkę do spania i myję zęby, a nawet kiedy się częstuję w Łóżku. Odsuwam buzię i pytam:

- Jak to się stało, że nigdy go nie widzieliśmy w telewizorze?

Mama ziewa i siada.

- Tyle razy oglądamy i w ogóle go nie widzimy, jak to się stało?

- Jego tam nie ma.

- A fiolka, skąd ją wziął?

- Nie wiem.

Jakoś dziwnie mówi. Chyba na niby.

- Musisz wiedzieć. Przecież ty wszystko wiesz.

- Słuchaj, to naprawdę bez znaczenia.

- Ze znaczeniem i chcę wiedzieć! - już prawie krzyczę.

- Jack...

Co "Jack"? Co to znaczy "Jack"?

Mama opiera się o poduszki.

- To bardzo trudno wyjaśnić.

Coś mi się zdaje, że by umiała, ale nie chce.

- Teraz już możesz, bo mam pięć lat.

Odwraca głowę w stronę Drzwi.

- No dobrze, nasze fiolki z tabletkami kiedyś były w sklepie, to tam je kupił, a potem

nam przyniósł w ramach Niedzielnej Rozpusty.

- Ze sklepu z telewizora? - Patrzę na Półkę, żeby się upewnić, że fiolka tam stoi. -

Przecież leki od bólu są naprawdę...;

- Sklep też jest naprawdę. - Mama pociera oko.

- Jak...?

- Dobra, dobra!

Dlaczego krzyczy?

- Posłuchaj, w telewizji widzimy... no, obrazy tego, co jest naprawdę.

Jeszcze nigdy nic mnie tak nie zdziwiło.

Mama trzyma rękę przy buzi.

- Dora istnieje naprawdę naprawdę?

Odsuwa rękę.

- Nie, niestety nie. W telewizji bardzo często widać wymyślone obrazki, na przykład Dora to tylko rysunek, ale inni ludzie, ci o twarzach podobnych do mojej i twojej, istnieją naprawdę,

- To prawdziwe ludzie?

Kiwa głową.

- I różne miejsca też istnieją naprawdę, na przykład farmy, lasy, samoloty, miasta...

- Etam...

Dlaczego mnie oszukuje?

- A gdzie by się pomieściły?

- Tam - odpowiada Mama. - Na zewnątrz - wskazuje ruchem głowy.

- Za Łóżkościanką? - Patrzę tam, gdzie pokazała.

- Poza Pokojem. - Teraz wskazuje co innego, Kuchniościankę, a potem jej palec robi koło.

- Sklepy i lasy śmigają w Kosmosie?

- Nie, nieważne. Jack, niepotrzebnie...

- Potrzebnie! - Łapię ją za kolano i potrząsam. - Powiedz.

- Nie dzisiaj, nie mogę ci tego wytłumaczyć, bo brakuje mi słów.

Alicja mówi, że nie może wytłumaczyć, co się z nią dzieje, bo nie jest sobą, wie, kim była jeszcze rano, ale od tego czasu kilka razy się zmieniała.

Mama nagle wstaje i zdejmuje z Półki tabletki od bólu, wydaje mi się, że sprawdza, czy to te same co w telewizji, ale nie, otwiera fiolkę i zjada tabletkę, a potem następną.

- A jutro dobierzesz te słowa?

- Ósma czterdzieści dziewięć, Jack, pójdziesz w końcu do łóżka? - zawiązuje worek ze śmieciami i stawia go przy Drzwiach.

Leżę w Szafie i wcale nie śpię.

Dzisiaj Mama znów jest Nieobecna.

Budzi się, ale tylko na niby. Jest tu, ale nie do końca. Leży w Łóżku z poduszkami na głowie.

Niemądry Penis stoi, spycham go w dół.

Zjadam swoje sto płatków i staję na krześle, żeby umyć miseczkę i ŁyżkęRoztopkę. Zakręcam wodę i robi się tak cicho.

Ciekawe, czy Stary Nick przyszedł w nocy. Chyba nie, bo worek ze śmieciami dalej stoi przy Drzwiach, chyba że przyszedł, ale go nie wziął? Może Mama nie jest tylko Nieobecna. Może jeszcze mocniej przygniótł jej szyję i teraz...

Podchodzę całkiem blisko i przystawiam ucho, aż słyszę oddech. Stoję tuż przy niej, moje włosy dotykają jej nosa i Mama podnosi rękę do buzi, więc się cofam.

Sam nie biorę kąpieli, tylko się ubieram.

Godziny, godziny, setki godzin.

Mama wstaje do sikania, ale bez mówienia, jej twarz też nic nie mówi. Zdążyłem postawić przy Łóżku szklankę z wodą, ale

Mama z powrotem wchodzi pod Kołdrę.

Nie cierpię, jak jest Nieobecna, ale fajnie, że mogę cały dzień oglądać telewizor. Na początku nastawiam go całkiem cicho, a potem po trochu pogłaśniam. Telewizor może mnie zmienić w zombi, ale Mama dzisiaj sama wygląda jak zombi, a nawet nie oglądała. Dzisiaj lecą Bob Budowniczy, Wspaniałe zwierzaki i Barney i przyjaciele. Przy każdym nowym podchodzę i dotykam na dzień dobry. Barney i jego przyjaciele często się obejmują, biegnę, żeby się dostać między nich, ale czasem się spóźniam. Dzisiaj bajka jest o wróżce, która zakrada się nocą i przemienia stare zęby w pieniądze. Czekam na Dorę, ale nie przychodzi.

Czwartek to dzień prania, ale sam nie dam rady, a Mama i tak ciągle leży w pościeli.

Znów jestem głodny i sprawdzam Zegarek, ale pokazuje dopiero 09.47. Kreskówki się skończyły, więc oglądam piłkę nożną i planetę, na której ludzie wygrywają nagrody. Kobieta z napuszonymi włosami siedzi na czerwonej kanapie i rozmawia z panem, który kiedyś był gwiazdą golfa. Na innej planecie kobiety podnoszą naszyjniki i mówią, jakie są cudowne.

- Frajerki - mówi zawsze Mama, jak widzi tę planetę. Dzisiaj się nie odzywa, nawet nie zauważa, że oglądam i oglądam, a mój mózg zaczyna śmierdzieć.

Jak w telewizorze mogą być obrazy tego, co jest naprawdę?

Myślę o tych wszystkich rzeczach, jak się unoszą w Kosmosie za ścianami: kanapa i naszyjniki i chleb i tabletki od bólu i samoloty i różne one i różni oni, bokserzy i pan z jedną nogą i kobieta z napuszonymi włosami, wszyscy przelatują nad Oknem.

Macham do nich, ale są też tam wieżowce i krowy i statki i ciężarówki, tłok jak nie wiem, liczę rzeczy, które mogą wpaść i się roztrzaskać. Nie mogę złapać oddechu, liczę więc zęby, od lewej do prawej na górze i od prawej do lewej na dole i z powrotem, ciągle wychodzi dwadzieścia, ale nadal myślę, że może liczę źle.

Kiedy wybija 12.04, można jeść lunch, więc rozcinam na oścież puszkę fasoli w pomidorach, ostrożnie. Ciekawe, czy

Mama by się obudziła, gdybym skaleczył rękę i zawołał pomocy? Nie jadłem jeszcze zimnej fasoli. Zjadam dziewięć, a potem już nie jestem taki głodny. Wkładam resztę do pojemnika, żeby nie zmarnować. Trochę fasolków się przykleiło do dna puszek, zalewam je wodą. Może Mama potem wstanie i wyskrobie.

A może zgłodnieje i powie: „O, Jack, jak miło, że zostawiłeś mi fasolę w pojemniku”.

Mierzę inne rzeczy Linijką, ale trudno mi samemu dodawać liczby. Robię nią fikołki, zmieniła się w akrobata z cyrku.

Bawię się Pilotem, wystawiam go do Mamy i szepczę: „Obudź się”, ale to nie działa. Balonka się zgmiotła, jedzie na grzbiecie

Butelki z Sokiem z Suszonych Śliwek przy Oknie, światło się brązowuje na błyszcząco. Butelka i Balonka boją się Pilota, bo ma ostrą końcówkę, więc wkładam go do Szaty i zatraskuję skrzydła. Mówię każdej rzeczy, że nic się nie dzieje, bo Mama jutro wróci. Czytam wszystkie książki całkiem sam, tylko Alicję po trochu. Ale przeważnie tylko siedzę.

Nie bawię się w Krzyki, żeby nie przeszkadzać Mamie. Chyba nie szkodzi, jak raz zapomnimy.

Potem znowu włączam telewizor i poruszam Króliczkiem, przez to planety nie są aż tak zamazane, ale dalej są. Lecą wyścigi samochodów, lubię patrzeć, jak jadą superszybko, ale jak już okrążają to owalne sto razy, robi się nudno. Chcę obudzić Mamę i zapytać ją o Nazewnątr z prawdziwymi ludźmi i śmigającymi rzeczami, ale pewnie będzie zła. A może w ogóle by się nie włączyła, nawet gdybym nią potrząsnął. To lepiej nic nie robić.

Podchodzę bardzo blisko, pokazuje się połowa jej buzi i szyja.

Plamy są teraz fioletowe.

Skopię Starego Nicka, aż mu pęknie tyłek. Rozwalę Drzwi na oścież Pilotem, pomknę w Kosmos, kupię wszystko w prawdziwych sklepach i przyniosę Mamie.

Płacę trochę, ale bez hałasu.

Oglądam program o pogodzie i jeszcze taki, że wrogowie oblegają zamek, a ci dobrzy budują barykadę, żeby wrota się nie otwarły. Skubię palec, Mama nie może mi zabronić. Ciekawe, ile mojego mózgu się już rozpaćkało, a ile się jeszcze trzyma. Chyba zwymiotuję, jak wtedy, kiedy miałem trzy lata i dostałem też biegunki. A jeśli zawymiotuję Dywan? Jak go sam wyczyszczę?

Patrzę na plamę z wtedy, jak się rodziłem. Klękam i głaskam ją, jest jakby ciepła i gryząca, jak reszta Dywanu, bez różnicy.

Mama nigdy nie znika na dłużej niż jeden dzień. Nie wiem, co zrobię, jeśli obudzę się jutro rano i zobaczę, że dalej jest Nieobecna.

Robię się głodny i zjadam banana, chociaż jest jeszcze trochę zielony.

Dora to rysunek z telewizora i jednocześnie moja prawdziwa przyjaciółka, nic z tego nie rozumiem. Jeep istnieje naprawdę, czuję go pod palcami. Superman jest tylko z telewizora. Drzewa są z telewizora, ale Roślina istnieje naprawdę, o, zapomniałem ją podlać. Przenoszę ją z jej Komody do Umywalki i od razu podlewam. Ciekawe, czy zjadła kawałek ryby od Mamy.

Deskorolki są z telewizora, tak samo jak dziewczynki i chłopcy, tylko że Mama mówi, że są prawdziwi, jak to, przecież są tacy płascy? Moglibyśmy z Mamą zbudować barykadę, zepchnąć Łóżko pod Drzwi, żeby się nie otwierały, ale przeżyje szok, ha ha."Wpuście mnie - zawoła - bo jak dmuchnę i chuchnę, to wasz domek się rozsypie"*]. [*Fragment baśni braci Grimm Trzy małe świnki.] Trawa jest z telewizora i ogień tak samo, ale może przyjść do Pokoju naprawdę, jeśli za bardzo nacieplę fasolkę i to czerwone mi wskoczy do rękawa i mnie spali. Chciałbym to zobaczyć, ale nie przydarzyć.

Powietrze istnieje naprawdę, a woda tylko w Wannie i Umywalce, jeziora i rzeki są z telewizora, co do morza nie wiem, bo gdyby śmigało w Kosmosie, to wszystko by było mokre.

Chce mi się potrząsnąć Mamą i zapytać, czy morze jest naprawdę. Pokój istnieje naprawdę naprawdę, a może Nazewnątrz też, tylko ma pelerynę niewidkę jak Książę JackerJack?

Dzieciątko Jezus jest chyba z telewizora oprócz tego z obrazu, ze swoją Mamą i kuzynem i Babcią, ale Pan Bóg jest naprawdę i zagląda przez Okno swoją żółtą buzią, ale nie dzisiaj, widać tylko to szare.

Chciałbym być w Łóżku z Mamą, ale siadam tylko na Dywanie i kładę rękę, tam gdzie jej stopa wybrzusza Kołdrę. Ręka mi się męczy, więc zdejmuję ją na chwilę, a potem kładę z

powrotem. Podwijam brzeg Dywanu i upuszczam, żeby klapnął z powrotem, powtarzam to setki razy.

Robi się ciemno i próbuję zjeść jeszcze trochę fasoli w pomidorach, obrzydliwa jest. Robię sobie więc chleb z masłem orzechowym. Otwieram Zamrażarkę, wtykam buzię między torebki z groszkiem, szpinakiem i okropną fasolką szparagową i trzymam ją tam, aż cały drętwieję, nawet powieki. Potem wyskakuję i zamykam drzwi i trę policzki, żeby je zagrzać. Czuję je dłońmi, ale nie czuję, żeby one czuły dłonie, dziwne to.

W Oknie już ciemno, mam nadzieję, że Pan Bóg wetknie swoją srebrną buzię.

Przebieram się w koszulkę do spania. Czy jestem brudny, ciekawe, bo się nie kąpałem, próbuję się powąchać. W Szafie kładę się pod Kocem, ale zimno mi. Zapomniałem dziś ustawić

Termostat, to dlatego, dopiero sobie przypomniałem, ale teraz nie mogę tego zrobić w nocy.

Bardzo chcę się poczęstować, nie robiłem tego cały dzień.

Nawet z prawej, ale lepiej z lewej. Gdybym tylko mógł wskoczyć do Mamy i to zrobić, ale jeszcze by mnie odepchnęła, to by dopiero było źle.

A jeśli Stary Nick złapie mnie z nią w Łóżku? Nie wiem, czy już dziewiąta, za ciemno do patrzenia na Zegarek.

Zakradam się do Łóżka, superwolno, żeby Mama nie zauważyła. Kładę się tylko. Jak usłyszę pik pik, to wskoczę szybko szybko z powrotem do Szafy.

A jeśli on przyjdzie, a Mama się nie obudzi, to on jeszcze bardziej się wścieknie? Czy zrobi na niej jeszcze gorsze plamy?

Nie śpię, żeby usłyszeć, jak wchodzi.

Nie wchodzi, ale i tak nie śpię.

Worek ze śmieciami dalej stoi przy Drzwiach. Dziś rano Mama wstała przede mną, rozwiązała go i dołożyła fasolę wyskrobaną z puszki. Skoro worek dalej tu jest, to chyba znaczy, że nie przyszedł, to już druga noc jak go nie było, hurra!

Dziś piątek, więc czas na Materac. Podrzucamy go od przodu do tyłu i na boki, żeby się wyrównał, jest taki ciężki, że muszę używać wszystkich mięśni, a jak plaska z powrotem na Łóżko, to przewraca mnie na Dywan. Widzę na Materacu brązową plamę z wtedy, jak pierwszy raz się wysunąłem z brzuszka Mamy.

Potem ruszamy do boju z kurzem, to takie małe niewidzialne kawałeczki naszej skóry, już ich nie potrzebujemy, bo wyhodowaliśmy sobie nowe, jak węże. Mama kicha

naprawdę wysokim głosem, jak gwiazda operowa, którą słyszeliśmy kiedyś w telewizorze.

Szykujemy listę zakupów i jakoś nie możemy wybrać Niedzielnej Rozpusty.

- Poprośmy o coś słodkiego - mówię. - Nawet nie czekoladę. Jakieś słodycze, których jeszcze nie jedliśmy.

- Coś naprawdę lepkiego, żebyś w końcu miał takie zęby jak ja?

Nie lubię, jak Mama szydzi.

Bierzemy się za czytanie zdań z książek bez obrazków, teraz kolej na Chatę ze strasznym domem i bielutkim śniegiem.

„Odtąd - czytam - on i ja się bujamy, jak mówią teraz dzieciaki; umawiamy się na kawę czy też - w moim przypadku - czaj, bardzo gorący i podawany z mlekiem sojowym”.

- Świetnie - mówi Mama. - Tylko”sojowym” powinno się rymować z”bojowym”.

Osobom z książek i telewizora ciągle chce się pić, piją piwo i sok i szampana i kawę latte i różne inne płyny, czasem, jak się cieszą, stukają swoimi szklankami o inne szklanki, ale ich nie tłuką. Czytam to zdanie jeszcze raz i dalej nic nie rozumiem.

- Kto to jest on i ja, to oni są dzieciaki?

- Hmm - mruczy Mama, zerkając mi przez ramię. - Wydaje mi się, że dzieciaki to dzieci w ogóle.

- Jak to w ogóle?

- Masa dzieci.

Próbuję ją zobaczyć, tę masę, jak się razem bawi.

- Takich prawdziwych dziecizłowieków?

Mama się nie odzywa przez minutę, a potem potwierdza, bardzo cicho. Czyli to była prawda wszystko, co mówiła.

Jeszcze ma ślady na szyi, ciekawe, czy kiedyś zejda.

W nocy mruga Lampą, budzę się w Łóżku. Jasno, liczę do pięciu. Ciemno, liczę do jednego. Jasno, liczę do dwóch. Ciemno, liczę do dwóch. Mruczę pod nosem.

- Jeszcze trochę. - Mama wpatruje się w Okno, całe czarne.

Przy Drzwiach nie ma worka ze śmieciami, czyli na pewno przyszedł, jak spałem.

- Mamo, proszę.

- Za chwilę.

- Oczy mnie bołą.

Pochyla się nad Łóżkiem, całuje mnie koło buzi i przykrywa głowę Kołdrą. Światło dalej mruga, ale ciemniej.

Po chwili wraca do Łóżka i daje mi się poczęstować, żebym z powrotem zasnął.

W sobotę Mama robi mi dla odmiany trzy warkocze, śmiesznie się z nimi czuję. Potrząsam buzią, żeby mnie grzmotnęły.

Dzisiaj nie oglądam planety z kreskówkami, wybieram po trochę ogrodnictwa, gimnastyki i wiadomości, i za każdym razem, jak coś widzę, pytam: "Mamo, czy to jest naprawdę?", a ona twierdzi, że tak, oprócz kawałka filmu o wilkołakach i kobiecie pękającej jak balon, to tylko efekty specjalne, czyli rysunek z komputera.

Na lunch jemy curry z ciecierzycy z puszki i jeszcze ryż.

Chciałbym się pobawić w supergłośne Krzyki, ale w weekendy nam nie wolno.

Prawie całe popołudnie bawimy się sznurkiem w Przeplatanki, udaje nam się wypleść różne figury: Tory Tramwajowe i Karo i Żłób i Druty i ćwiczymy jeszcze Skorpiona, ale palce Mamy zawsze się blokują na koniec.

Na kolację małe pizze, po jednej dla każdego i jedna na pół.

Potem oglądamy planetę, na której osoby noszą dużo ubrań z falbankami i wielkie białe włosy. Według Mamy oni istnieją naprawdę, ale udają człowieka, którzy umarli setki lat temu.

To jakaś taka zabawa, ale niezbyt fajna.

Mama wyłącza telewizor i pociąga nosem.

- Dalej czuję to curry z lunchu.

- Ja też.

- Smaczne było, ale zapach się okropnie długo utrzymuje.

- Smakowało też okropnie.

Śmieje się. Plamy na szyi robią się niedużejsze, zielonkawe i żółtawe.

- Opowiesz mi coś?

- Aco?

- Coś, czego jeszcze nie słyszałem.

Mama uśmiecha się do mnie.

- Wydaje mi się, że teraz już słyszałeś tyle co ja. Hrabia

Monte Christo?

- Słyszałem to miliony razy.

- Gulijack w Krainie Liliputów?

- Miliardy.

- Nelson na wyspie Robben?

- Potem wyszedł za dwadzieścia siedem lat i zrobił rząd.

- Złotowłosa i trzy misie?

- Za straszne.

- Przecież misie tylko na nią warknęły.

- Nie szkodzi.

- Księżna Diana?

- Miała zapiąć pasy.

- No widzisz, wszystko już wiesz - prycha. - Poczekaj, przypomniałam sobie coś o syrenie...

- Mała syrenka.

- Nie, coś innego. Pewnego wieczoru, kiedy syrena leży na skałach i czesze włosy, zakrada się rybak i zniemacka łapie ją w sieć.

- Żeby ją usmażyć na kolację?

- Nie, nie, zabiera ją do siebie, do chatki, i syrena musi zo-stać jego żoną - opowiada Mama. - Odbiera jej czarodziejski grzebień i syrena nie może wrócić do morza. Mija trochę czasu i wykluwa im się dziecko...

-... i dają mu na imię JackerJack.

- Właśnie. Ilekroć rybak wyrusza do pracy, syrena przeszukuje chatkę i któregoś dnia znajduje ukryty grzebień...

- Ha ha.

- Ucieka na skały i wsuwa się do morza.

- Nie.

Mama patrzy na mnie uważnie.

- Nie podoba ci się ta historyjka?

- Źle, że sobie poszła.

- Nie martw się. - Wyciąga mi palcem łzę z oka. - Oczywiście zapomniałam dodać, że zabrała synka, JackerJacka, wplątała go sobie we włosy. A kiedy wraca rybak, zastaje pustą chatę i już nigdy więcej ich nie spotyka.

- A on tonie?

- Kto, rybak?

- Nie, JackerJack, pod wodą.

- Spokojnie - mówi Mama. - Przecież jest półwodnikiem, zapomniałeś? Może oddychać i powietrzem, i wodą.

Idzie zerknąć na Zegarek, jest 08.27.

Leżę w Szafie całe wieki, ale nie chce mi się spać. Śpiewamy i modlimy się.

- Jeszcze jeden wierszyk, proszę.

Wybieram Dom, który zbudował Tom* [*The House That Jack Built, popularna angielska rymowanka, tu w przekładzie

Jana Brzechwy.], bo jest najdłuższy.

Mama mówi na ziewajaco:

A to jest właśnie Tom, Który ciągnie za ogon ciele, Które kopnęło Anielę...

Uwijam się za nią z kilkoma linijkami:

Co jest złośliwa jak mucha, Która ugryzła pastucha, Co drażni kota z podwórka, Który podrapał Burka, Który...

Pik pik.

Zamykam buzię na kłódkę.

Pierwszego zdania Starego Nicka nie słyszę.

- Tak, przepraszam - mówi Mama. - Jedliśmy curry. Właśnie myślałam, czy nie dałoby się... - mówi całkiem wysokim głosem. - Czy to by było możliwe, żeby wstawić kiedyś okap, czy coś w tym rodzaj u?

On się nie odzywa. Chyba siedzą na Łóżku.

- Taki mały - dodaje Mama.

- Też wymyśliłaś - mówi Stary Nick. - Tak, niech wszyscy sąsiedzi zaczną się zastanawiać, dlaczego gotują żarcie w szopie.

Coś mi się zdaje, że znowu szydzi.

- Ojej. Przepraszam - mówi Mama. - Nie pomyślałam...

- Może od razu powieszę na dachu migający neon, taką strzałkę?

Ciekawe, jak miga strzałka.

- Naprawdę przepraszam - odzywa się Mama. - Nie przyszło mi do głowy, że zapach... to znaczy... że okap by...

- Ty chyba nie doceniasz, jak dobrze się tu macie - mówi

Stary Nick. - Prawda?

Mama nic nie mówi.

- Nad ziemią, w naturalnym świetle, z klimatyzacją, mogłaś trafić gorzej, zapewniam cię. Świeże owoce, kosmetyki, przybory toaletowe i tak dalej, mówisz i masz. Niejedna dziewczucha dziękowałaby swojej szczęśliwej gwiazdce za takie położenie, jak u Pana Boga za piecem. Szczególnie z dzieckiem...

To o mnie?

- Nie trzeba się martwić o pijanych kierowców, o dilerów, o różnych zboczeńców... - ciągnie Nick.

- Niepotrzebnie prosiłam ~ okap, głupio się zachowałam, niczego nam nie trzeba - wtrąca Mama bardzo szybko.

- Skoro tak twierdzisz.

Nikt się nie odzywa przez chwilę.

Liczę zęby, ciągle się myślę, raz dziewiętnaście, potem dwadzieścia, potem znów dziewiętnaście. Gryzę język, aż zaczyna boleć.

- No tak, niszczy się, to było do przewidzenia. - Głos Nicka się przeniósł, chyba stoi teraz przy Wannie.

- Płyta się odkształca przy łączeniach, trzeba to będzie przeszlifować i zagipsować. A tutaj, zobacz sama, prześwituje wylewka.

- Staramy się uważać - mówi Mama, bardzo cicho.

- Za mało się staracie. Po korku się nie chodzi tam i z powrotem, myślałem, że tu będzie jedna, niezbyt ruchliwa osoba.

- Idziesz do łóżka? - pyta Mama tym zabawnym wysokim głosem.

- Daj mi chociaż zdjąć buty. - Słysząc jakieś stęknienie i coś upada na Podłogę. - To ty mnie zamęczasz o remonty, ledwo przekroczę próg...

Lampa gaśnie.

Stary Nick trzeszczy Łóżkiem, doliczam do siedemdziesięciu siedmiu, a potem chyba przeskakuję o jeden i tracę rachubę.

Nic już nie słysząc, a ja dalej nie śpię, tylko nasłuchuję. niedzielę jemy na śniadanie bajgle, bardzo twarde, z dżemem i z masłem orzechowym też. Mama wyjmuje bajgla z buzi i wystaje z niego coś szpiczastego.

- No, nareszcie - mówi.

Podnoszę to coś, jest całe żółtawe z ciemnobrązowymi plamami.

- Bolący ząb?

Mama kiwa głową. Grzebie językiem z tyłu buzi.

Ale dziwne.

- Może go tam z powrotem przykleimy klajstrem?

Kręci głową z uśmiechem.

- Cieszę się, że wypadł, bo już nie będzie bolał.

Jeszcze minutę temu miała go w sobie i już nie ma. O, już wiem.

- A wiesz co, jeśli włożysz go pod poduszkę, to w nocy przyjdzie wróżka

niewidocznie i zamieni go w pieniądze.

- Nie tutaj, niestety - mówi Mama.
- Dlaczego nie?
- Wrózkąbuszka nie wie o Pokoju.

Wodzi oczami po ścianach.

W Nazewnątrz jest wszystko. Jak tylko o czymś pomyślę, o nartach, fajerwerkach, wyspach, windach, jojo, zaraz sobie przypominam, że istnieją naprawdę, dzieją się w Nazewnątrz wszystkie razem. Głowa mi się od tego męczy. I jeszcze człowieki, strażacy nauczyciele włamywacze dzidziusia święci piłkarze i wszyscy, wszyscy naprawdę są w Nazewnątrz. Ale mnie tam nie ma, mnie ani Mamy, tylko nas tam nie ma. Czy my jeszcze jesteśmy naprawdę?

Po kolacji Mama opowiada mi Jasia i Małgosię, Jak upadał mur berliński i jeszcze Titeliturego* [*Titelityry (Hałasik), niem. Rumpelstilzchen - tytułowy bohater jednej z baśni Wilhelma i Jakuba Grimmów]. Lubię słuchać, jak królowa musi odgadnąć imię karzełka, bo inaczej on jej odbierze dziecko.

- To prawdziwe historyjki?
- Które?
- O mamiesyrenie, o Jasiu i Małgosi i te inne.
- Tak, ale nie dosłownie.
- A co to...?

- Są czarodziejskie, nie opowiadają o prawdziwych ludziach, jakich można dziś spotkać.

- Czyli to nieprawda?
- Nie, nie. Historyjki są prawdziwe, ale trochę inaczej.

Próbuję coś z tego zrozumieć i aż mi się buzia cała pogięła od myślenia.

- A mur berliński to prawda?
- Był kiedyś taki mur, ale już go nie ma.

Jestem taki zmęczony, że chyba się rozerwę na dwie części jak Tirelityry na końcu bajki.

- Dobranoc - mówi Mama, zamykając drzwi Szafy, - Pchły na noc, karaluchy pod poduchy.

Myślałem, że jeszcze się nie wyłączyłem, ale nagle głośno słyhać Starego Nicka.

- Ale witaminy... - zaczyna Mama.

- Rozbój w biały dzień.

- Chcesz, żebyśmy się rozchorowali?

- Zdzierstwo jak diabli - mówi Stary Nick. - Widziałem taki program, ponoć i tak lądują w toalecie.

Kto ląduje w Toalecie?

- Chodzi o to, że gdybyśmy się lepiej odżywiali...

- No tak, zaczyna się. Tylko gderasz i gderasz... - Widzę go przez szpary, siedzi na krawędzi Łózka.

Mama się wścieka.

- Mogę się założyć, że pies jest droższy w utrzymaniu niż my! Nawet nie potrzebujemy butów.

- Nie masz pojęcia, co się teraz wyrabia na świecie. Wydaje ci się, że pieniądze z nieba spadają?

Cisza. Odzywa się Mama.

- O czym ty mówisz? Pieniądze w ogóle czy...?

- Pół roku. - Siedzi z założonymi rękami, wielkie są. - Pół roku temu mnie wylali i co, musiałaś sobie tym zaprzętać główkę?

Mamę też widzę przez szpary, siedzi prawie przy nim.

- Co się stało?

- A co za różnica?

- Szukasz innej pracy?

Patrzą na siebie.

- Masz długi? - pyta Mama. - Jak teraz...?

- Morda w kubel!

Wcale nie chciałem, ale odgłos sam mi wyskakuje z głowy ze strachu, że on znów zrobi jej krzywdę.

Stary Nick patrzy prosto na mnie, robi krok, i następny, i następny, i puka w szpary. Widzę cień jego ręki.

- Hop, hop!

To do mnie. W mojej piersi bam bam. Obejmuję rękami kolana i zaciskam razem zęby. Chcę wleźć pod Koc, ale nie mogę, ruc me mogę.

- Już śpi - mówi Mama.

- Trzyma cię w szafie cały dzień i całą noc?

„Cię”, czyli mnie chyba. Czekam, aż Mama powie nie, ale nic nie słyhać.

- To niezbyt normalne. - Widzę jego oczy, całkiem jasne.

Czy on mnie widzi, czy już zmieniam się w kamień? A jak otworzy drzwi? Nie wiem, czy czasem...

- Wygląda na to, że coś jest nie tak - mówi do Mamy. - Odkąd się urodził, ani razu nie dałaś mi się dobrze przyjrzeć. Biedny mały cudak ma dwie głowy, czy jak?

Dlaczego tak powiedział? Aż bym chciał wystawić z Szafy moją jedną głowę, żeby tylko zobaczył.

Mama stoi przy szparach, widzę pod jej koszulką guzki łopatek.

- Po prostu jest płochliwy.

- Mnie się nie musi obawiać - mówi Stary Nick. - Nigdy nie podniosłem na niego ręki.

Dlaczego miałby podnosić na mnie ręce?

- Przecież mu kupiłem tego fikuśnego jeepa, no nie? Wiem, co lubią chłopcy, sam kiedyś byłem mały. No, Jack...

Powiedział moje imię.

- Wyłaż, dam ci lizaka.

Lizaka!

- Chodźmy lepiej do łóżka. - Głos Mamy jest jakiś dziwny.

Stary Nick tak jakby się śmieje.

- Wiem, czego ci trzeba, panienko.

- No, chodź - powtarza.

- Matka cię nie uczyła dobrych manier?

Gaśnie Lampa.

Przecież Mama nie ma matki.

Głośnie Łóżko, to on tam wchodzi.

Przykrywam głowę Kocem i zatykam uszy, żeby nie słyszeć.

Nie chcę liczyć trzeszczów, ale nie mogę się powstrzymać.

Budzę się i dalej leżę w Szafie, jest zupełnie ciemno.

Ciekawe, czy Stary Nick jeszcze tu jest. A lizak?

Mamy umowę: zostaję w Szafie, dopóki Mama po mnie nie przyjdzie.

Ciekawe, jaki kolor ma lizak. Czy kolory działają po ciemku?

Próbuję się znów wyłączyć, ale całkiem czuwam.

Może wystawię głowę, żeby chociaż...

Popycham drzwi, całkiem wolno i cicho. Nie słyszę nic poza szumem Lodówki.

Wstaję, idę jeden krok dwa krok trzy.

Uderzam w coś palcem u nogi auuuu. Podnoszę to coś i widzę but, olbrzymi but. Patrzę na Łóżko, to on, Stary Nick, ma twarz z kamienia chyba. Wyciągam palec, nie żeby dotknąć, ale prawie.

Oczy mu się zapalają na białą. Odskakuję i upuszczam but.

Myszę, że może krzyknie, ale on się uśmiecha wielkimi błyszczącymi zębami i mówi:

- Cześć, synku.

Nie wiem, co to...

I wtedy Mama wrzeszczy najgłośniej jak słyszałem, nawet przy Krzykach:

- Uciekaj, uciekaj od niego!

Pędzę do Szafy, uderzam się w głowę ooooj, Mama dalej krzyczy:

- Uciekaj od niego!

- Przymknij się - mówi Stary Nick. - Przymknij się.

Jakoś ją nazywa, ale przez krzyk nie słyszę słów. A potem jej głos się rozmywa.

- Uciszyć się - rozkazuje Nick.

Mama robi mhmhhh zamiast mówić. Trzymam się za głowę tam, gdzie się uderzyła, owijam ją obydwojma rękami.

- Masz zszargane nerwy, wiesz?

- Umieć być cicho - mówi, prawie szepcze. Słyszę jej świszczący oddech. - Wiesz, że umieć być całkiem cicho, dopóki go nie nagabujesz. Tylko o to proszę.

- Ciągle o coś prosisz, wystarczy, że otworzę drzwi - prychna Nick.

- To wszystko dla Jacka.

- No tak, tylko nie zapominaj, skąd go masz.

Słucham bardzo uważnie, ale Mama się nie odzywa.

Odgłosy. To on się ubiera? Buty, wydaje mi się, że zakłada buty.

Nie śpię po jego wyjściu. Całą noc czuwam w Szafie. Czekam setki godzin, ale Mama po mnie nie przychodzi.

Patrzę na Dach, a on nagle się unosi i wpada niebo, a rakiety i krowy i drzewa zaraz rozbiją mi się na głowie...

A nie, jestem w Łóżku, Oknem zaczyna ściekać światło, pewnie już rano.

- To tylko zły sen - mówi Mama i głaszcze mnie po policzku.

Częstuję się, ale nie za dużo, lewa mniam.

A potem sobie przypominam i obracam się w Łóżku, żeby poszukać u niej nowych

plam, ale ich nie ma.

- Przepraszam, że wyszedłem w nocy z Szafy.

- Rozumiem.

Czy to znaczy, że wybaczyła? Przypominam sobie coś jeszcze.

- Co to jest mały cudak?

- Och, Jack.

- Dlaczego powiedział, że coś jest ze mną nie tak?

Mama wydaje jęk.

- Nie ma w tobie niczego, co by było nie tak, jesteś dokładnie taki, jak trzeba. - Całuje mnie w nos.

- To dlaczego tak powiedział?

- Robi wszystko, żeby mi odbiło.

- Dlaczego robi...?

- Lubisz się bawić autkami, balonami i tak dalej, prawda?

No to on lubi się bawić moją głową. - Stuka się w nią.

Nie wiem, jak można się bawić głową.

- A jak go wylali, jak wodę?

- Nie, to znaczy, że go wyrzucili z pracy - odpowiada

Mama.

Myślałem, że tylko rzeczy można wyrzucać, jak nasze puszkę po kolacjach. W Nazewnątrz wszystko musi być inaczej.

- Dlaczego powiedział nie zapominaj skąd mnie masz?

- Oj, siedźże cicho przez minutę, dobra?

Wyłączam dźwięk i liczę, jeden lew, dwa lewy, przez sześćdziesiąt sekund pytania objają mi się po głowie.

Mama nalewa mleka dla siebie, a dla mnie nie. Patrzy do środka Lodówki, nie pali się światelko, dziwne. Zamyka z powrotem drzwi.

Minuta minęła.

- Dlaczego powiedział nie zapominaj skąd mnie masz? To ja nie jestem z Nieba?

Mama pstryka Lampą, ale ona też nie chce się obudzić.

- Chodziło mu o to, do kogo należysz.

- Do ciebie.

Uśmiecha się lekko.

- Wypaliła się żarówka?

- Chyba nie w tym rzecz. - Dygocze i podchodzi do Termostatu.

- Dlaczego ci powiedział, że masz nie zapominać?

- Bo coś mu się pomieszało i myśli, że należysz do niego.

Ha!

- Co za matolek.

Mama patrzy na Termostat.

- Awaria energetyczna.

- A co to?

- Na razie nie działa nic, co jest na prąd.

Co za dziwny dzień.

Jemy swoje płatki, myjemy zęby, ubieramy się i podlewamy Roślinę. Próbujemy nalać wody do Wanny, ale już po chwili leci lodowata i w ogóle, więc tylko się myjemy ściereczkami.

Robi się jaśniej przez Okno, ale nie bardzo jaśniej. Telewizor też nie działa, tęsknię za przyjaciółmi. Udaję, że wychodzą na ekran i klepię ich palcami. Mama mówi załóżmy jeszcze po koszulce i po spodniach, żeby nie zmarść, nawet po dwie skarpety na każdą stopę. Biegniemy po Torze kilometr za kilometrem na rozgrzewkę, a potem Mama pozwala mi zdjąć skarpety z wierzchu, bo palce mi się pozgniatały.

- Uszy mnie bolą - mówię.

Mama unosi brwi.

- Za cicho w nich.

- To dlatego, że nie słyszymy wszystkich cichych dźwięków jak co dzień, włączania grzejnika albo szumu lodówki.

Bawię się Bolącym Zębem, chowam go w różnych miejscach, na przykład pod Komodą, w ryżu i za Płynem do Naczyń. Próbuję zapomnieć, gdzie go dałem, i potem sprawiam sobie niespodziankę. Mama sieka całą fasolkę szparagową z zamrażarki, dlaczego tak dużo sieka?

I wtedy sobie przypominam jedyną dobrą rzecz z poprzedniej nocy.

- Oj, Mamo, lizak.

Nie przerywa siekania.

- W koszu na śmieci.

Dlaczego go tam zostawił? Podbiegam, nadeptuję na pedał i pokrywka robi dęg, ale nie widzę lizaka. Macam między skórkami z pomarańczy i ryżem i potrawką i workami.

Mama łapie mnie za ramiona.

- Daj spokój.
- To mój słodycz na Niedzielną Rozpustę - mówię jej.
- To byle co.
- Wcale że nie.
- Zapłacił za niego może pięćdziesiąt centów. Drwi sobie z ciebie.
- Nigdy nie jadłem lizaka. - Wrywam jej się z rąk.

Nie można niczego nacieplić na Kuchence, bo nie ma prądu. Na lunch oślizgła, zmarznięta fasolka szparagowa, która jest jeszcze okropniejsza niż ugotowana. Musimy ją jeść, bo inaczej się roztopi i zepsuje. Mi to nie przeszkadza, ale to by było marnowanie.

- Chcesz posłuchać o uciekającym króliczku? - pyta Mama, jak już pozmywaliśmy w samej zimnej.

Kręcę głową.

- Kiedy odwyłączą prąd?
- Przykro mi, ale nie wiem.

Wchodzimy do Łóżka, żeby się zagrzać. Mama podciąga wszystkie ubrania i częstuję się dużo dużo, z lewej, a potem z prawej.

- A jak Pokój zrobi się zimniejszy i zimniejszej?

- Nie robi się. Za trzy dni kwiecień - mówi i przygarnia mnie do siebie. - Nie może być aż tak zimno.

Drzemimy, ale ja tylko trochę. Czekam, aż Mama zrobi się całkiem ciężka, a potem się wyplątuję i idę dalej grzebać w Koszu.

Znajduję mojego lizaka prawie na samym dnie, ma czerwony kształt kulki. Myję ręce i lizaka też, bo pokrywa go wstrętne potrawka. Zaraz zdejmuję folię i ssę i ssę, nigdy nie jadłem niczego słodsze. Ciekawe, czy tak smakuje Nazewnątrz.

Gdybym uciekł, zmieniłbym się w krzesło i Mama by nie wiedziała które. Albo zrobiłbym się niewidzialny i przylepił do

Okna, a ona by przeze mnie wyglądała. Albo stałbym się malutką drobiną kurzu, wfrunął jej do nosa, a ona by mnie wykichała.

Mama leży z otwartymi oczami.

Chowam lizaka za plecami.

Zamyka je z powrotem.

Ssam godzinami, chociaż jest mi trochę niedobrze. Zostaje sam patyczek i wrzucam go do Kosza.

Mama wstaje i nie mówi nic o lizaku, może jeszcze spała z otwartymi oczami. Próbuje

włączyć Lampę, ale się nie da.

Mówi, że zostawi ją włączoną, żebyśmy wiedzieli, kiedy się skończy awaria.

- A jeśli prąd przyjdzie w środku nocy i nas obudzi?

- To się raczej nie zdarzy w środku nocy.

Gramy w kręgle Odbijpiłką i Słówkopiłką, strącamy fiolki po witaminach z różnymi główkami, których zrobiliśmy, jak miałem cztery lata: Smok, Obcy, Księżniczka, Krokodyl; wygrywam najczęściej ja. Ćwiczę dodawanie, odejmowanie, ciągi, mnożenie, dzielenie i zapisywanie największych liczb, jakie tylko są.

Mama szyje dla mnie dwie nowe pacynki ze skarpetek z czasów, jak byłem malutki, mają uśmiechy ze ściągów i oczy z guzików każdego innych. Umieć szyć, ale to nie jest za fajne. Szkoda, że nie pamiętam dzidziusiowego siebie, jaki byłem.

Piszę list do SpongeBoba, a z tyłu rysuję siebie i Mamę, jak tańczymy, żeby nie zmarznąć. Porem gramy w Wojnę, Memory i Łowienie Rybek. Mamie zachciało się Szachów, ale ja mam od nich klapnięty mózg, więc zgadza się na warcaby.

Tak mi sztywnieją palce, że wkładam je do buzi. Mama mówi, że tak się szerzą zarazki, i każe mi je znowu umyć w zmrzniętej wodzie.

Lepimy mnóstwo koralików z ciasta chlebowego i zrobimy naszyjnik, ale nawleczymy je dopiero, jak zrobią się całkiem suche i twarde. Budujemy Statek Kosmiczny z pudełek i plastikowych kubków, kończy się taśma, ale Mama mówi: „A, co tam” i przykleja ostatni kawałek.

Okno się zaciemnia.

Na kolację ser całkiem spocony i rozpływające się brokuły.

Mama mówi, że muszę jeść, bo inaczej jeszcze bardziej zmarznę.

Wkłada do buzi dwie tabletki od bólu i bierze wielki łyk, żeby je popchnąć.

- Dlaczego cię dalej boli? Przecież Bolący Ząb wypadł.

- Teraz chyba bardziej skupiam się na innych.

Przebieramy się w koszulki do spania, a na nie zakładamy jeszcze inne rzeczy.

Mama zaczyna śpiewać:

Pieski małe dwa poszły raz na łąkę, Zobaczyły tam czerwoną biedronkę - śpiewam dalej.

A biedronka ta dużo czarnych kropek ma.

Śpiewam Na zielonej łące raz, dwa, trzy i dochodzę do trzydziestej zwrotki.

Mama zakrywa uszy rękami i mówi proszę dokończmy jutro.

- Pewnie jutro wróci prąd.

- To dobrze, panie bobrze - mówię.

- A nawet jeśli nie, to i tak wstanie słońko, a tego już nie zmieru.

Kto, Stary Nick?

- Dlaczego miałby zmienić słońko?

- Właśnie mówię, że nie zmieni. - Mama przytula mnie mocno. - Przepraszam cię -
dodaje.

- Za co?

Wzdycha.

- To przeze mnie, ja go zdenerwowałam.

Patrzę na jej buzię, ale ledwo ją widzę.

- On nie cierpi, jak krzyczę, nie robiłam tego od lat. Chce nas ukarać.

Pierś mi łupie naprawdę głośno.

- Jak nas ukara?

- Nie, nie, już to zrobił. Wyłączył prąd.

- E, nic nie szkodzi.

Mama się śmieje.

- Jak to? Trzęsiemy się z zimna, jemy oślizgłe warzywa...

- No tak, ale myślałem, że nas też ukara. - Próbuję coś wymyślić. - Na przykład w
jednym Pokoju mógłby zamknąć mnie, a w drugim ciebie.

- Jack, jesteś cudowny.

- Dlaczego jestem cudowny?

- Nie wiem - mówi Mama. - Taki już wyskoczyłeś na świat.

Obejmujemy się jeszcze mocniej w Łóżku.

- Nie lubię, jak jest ciemno - mówię.

- Już pora spać, więc i tak by było ciemno.

- Chyba tak.

- Wiemy, że to my bez patrzenia, prawda?

- Tak.

- Dobranoc, pchły na noc, karaluchy pod poduchy.

- Nie muszę iść do Szafy?

- Nie dzisiaj - mówi Mama.

Budzimy się i w powietrzu dreszczowo. Zegarek pokazuje 07.09, ale on ma w środku
baterię, czyli taki własny mały prąd.

Mama co chwilę ziewa, bo nie spała w nocy.

Boli mnie brzuszek, Mama twierdzi, że może to przez surowe warzywa. Chcę jej tabletkę z fiołki i daje mi, ale pół. Czekam i czekam, ale brzuszek dalej czuje się tak samo.

Okno się rozjaśnia.

- Cieszę się, że nie przyszedł w nocy - mówię Mamie. - Założę się, że już nie wróci, ale by było fajowsko.

- Jack. - Mama jakby marszczy brwi. - Zastanów się.

- Zastanawiam się.

- Pomyśl, co by się stało. Skąd się bierze jedzenie?

Wiem, wiem.

- Od Dzieciątka Jezus, z pół w Nazewnątrz.

- Nie, no - kto jest dostawcą?

Ojej.

Mama wstaje i mówi, że krany działają, a to dobry znak.

- Mógł równie dobrze zakręcić wodę, ale tego nie zrobił.

Nie wiem, co pokazuje ten znak.

Na śniadanie jemy bajgla, zimnego i gąbczastego.

- A jak już nie włączy prądu?

- Włączy, na pewno włączy. Może trochę później.

Od czasu do czasu sprawdzam przyciski telewizora. Szare pudło nic nie mówi, widzę w nim swoją buzię, ale nie tak dobrze co w telewizorze.

Robimy wszystkie ćwiczenia z wuefu, jakie znamy, Karate i Wyspy i Ojca Wirgiliusza i Trampolinę. Jeszcze gramy w Klasy, trzeba skakać z jednej korkowej płyty na drugą tak, żeby nie nadepnąć na linie i się nie przewrócić. Mama wybiera Ciuciubabkę, zawiązuje sobie oczy moimi spodniami moro. Chowam się w Podłózku przy jajowężu i nawet nie oddycham, płaski jak strona w książce, i Mama mnie szuka godzinami. Potem wybieram Linoskoczka: Mama trzyma mnie za ręce i wspinam się po jej nogach, aż moje stopy sięgają wyżej niż moja głowa, potem dyndam do góry nogami, warkocze lecą mi na twarz i mnie rozśmieszają. Robię koziołka i znowu stoję do dołu nogami. Chciałbym to robić o wiele więcej razy, ale Mamę boli nadgarstek.

Już się zmęczyliśmy.

Składamy mobil z długiego makaronu i nitek z przylepionymi bużkami, moimi pomarańczowymi, a Mamy zielonymi, i poskręcaną folią i kłaczkami z papieru toaletowego. Mama ostatnią pinezką przyczepia górną nitkę do Dachy i spaghetti dynda, a drobiazgi

fruwają na wszystkie strony, jak stajemy na dole i dmuchamy.

Jestem głodny i Mama mówi, że mogę zjeść ostatnie jabłko.

A jak Stary Nick już nie przyniesie jabłek?

- Dlaczego on nas jeszcze karze? - pytam.

Mama wykrzywia wargi.

- Wydaje mu się, że jesteśmy rzeczami i do niego należymy, tak jak Pokój.

- Jak to?

- Sam go stworzył.

Dziwne. Myślałem, że Pokój po prostu jest.

- Czy to nie Pan Bóg wszystko stworzył?

Mama się nie odzywa przez minutę, a potem głaszcze mnie po karku.

- Przynajmniej to, co dobre.

Bawimy się na Stole w Arkę Noego; Grzebień i Talerzyk i Łopatka i książki i Jeep muszą się ustawić w kolejce i szybko szybko wskoczyć do Pudełka, zanim dojdzie do potężnej powodzi. Mama się już nie bawi tak naprawdę, siedzi z głową w dłoniach, jakby była bardzo ciężka.

Chrupię jabłkiem.

- Bolą cię inne zęby?

Patrzy na mnie przez palce, oczy jej się powiększyły.

- Które?

Podnosi się tak nagle, że prawie się boję. Siada na Bujaku i wyciąga ręce.

- Chodź tu do mnie. Coś ci opowiem.

- Coś nowego?

- Tak.

- Fantastycznie.

Czeka, aż ułożę się całkiem w jej ramionach. Skubię drugą połowę jabłka, żeby się tak szybko nie skończyło.

- Pamiętasz, że Alicja nie zawsze żyła w Krainie Czarów?

To jakaś sztuczka, przecież to znam.

- No, idzie do domku Białego Królika i robi się taka duża, że musi wystawić rękę przez okno, a nogę przez komin i wykopuje Billa Jaszczurkę, trach bum, zawsze się przy tym śmieję.

- Nie, ale wcześniej. Pamiętasz, jak leżała w trawie?

- I potem wpadła do dziury głębokiej na cztery tysiące mil, ale nic jej się nie stało.

- No to ja jestem taką Alicją - mówi Mama.

Śmieję się.

- Eee. Przecież to mała dziewczynka z dużą głową, jeszcze większą niż głowa Dory.

Mama przygryza wargi, widzę coś ciemnego.

- To prawda, ale ja pochodzę skądinąd, jak ona. Dawno, dawno temu byłam...

- Wiem, w Niebie.

Kładzie mi palec na buzi, żebym był cicho.

- Zeszłam na Ziemię i byłam dzieckiem jak ty, mieszkałam z matką i ojcem.

Kręcę głową.

- To ty jesteś matką.

- Ale sama miałam mamę - mówi. - I dalej mam.

Dlaczego tak udaje, to jakaś nowa zabawa?

- To twoja... chyba mówiłbyś na nią "babcia".

Jak abuela Dory. Święta Anna z obrazu, co Maryja siedzi jej na kolanach. Jem już ogryzek, prawie nic nie zostało. Odkładam go na Stół.

- Rosłaś jej w brzuszku?

- Tak naprawdę to nie, adoptowali mnie. Ona i mój tata - czyli twój dziadek - i miałam też, to znaczy mam, starszego brata Paula.

Kręcę głową.

- Przecież to święty.

- Nie, to inny Paul.

Jak może być dwóch Paulów?

- Dla ciebie to Wujek Paul.

Za wiele nazw, głowa mi pęka. Dalej mam pusty brzusek, jakby jabłko poszło gdzie indziej.

- Co na lunch?

Mamie nie jest do śmiechu.

- Opowiadam ci o swojej rodzinie.

Kręcę głową.

- To, że ich nigdy nie widziałeś, nie znaczy, że nie istnieją naprawdę. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile rzeczy jest na świecie.

- Mamy jeszcze jakiś ser, ale nie spocony?

- Jack, ja nie żartuję. Mieszkałam w domu z mamą i tatą, i Paulem.

Muszę się dalej z nią bawić, żeby nie była zła.

- W domu z telewizora?

- Nie, tam na zewnątrz.

Śmiechu warte, Mama nigdy nie była w Nazewnątrz.

- Ale owszem, wyglądał jak dom z telewizji. Dom na obrzeżach miasta, z ogródkiem i hamakiem.

- Co to jest hamak?

Mama zdejmuje z półki kredkę i rysuje dwa drzewa, a między nimi poplątane liny i osoba na tych linach.

- Kto to, pirat?

- To ja, jak się huśtam na hamaku.

Składa kartkę, przejęta całkiem.

- I chodziłam z Paulem na plac zabaw, huśtałam się na huśtawce i jadłam lody. Twoja babcia i twój dziadek zabierali nas samochodem na wycieczki, do zoo i nad morze. Byłam ich córeczką.

- E tam.

Mama zgniata kartkę. Na Stole mokro, jego biel całkiem błyszczący.

- Weź nie płacz - mówię.

- To jest silniejsze ode mnie. - Pociera łzy na twarzy.

- Co jest silniejsze od ciebie?

- Szkoda, że nie umiem o tym lepiej opowiedzieć. Brakuje mi tego.

- Hamaka?

- Tego wszystkiego. Życia na zewnątrz.

Łapię ją za rękę. Chce, żebym uwierzył, to próbuję, ale głowa mnie boli od tego.

- Czyli żyłaś kiedyś w telewizorze?

- Mówiłam ci już, to nie telewizja. To świat naprawdę, nie uwierzyłybyś, jaki jest wielki.

Wyrzuca rękę i pokazuje wszystkie ściany.

- Pokój to tylko jego ciasny, zaśmierdły wycinek.

- Pokój nie jest zaśmierdły - prawie warczę. - Może czasami, jak puścisz bąka.

Mama znów ociera oczy.

- Twoje bąki są o wiele bardziej śmierdzące niż moje. Chcesz mnie po prostu oszukać, lepiej z tym skończ, i to już.

- No dobra - mówi, jej oddech cały wyświstuje jak z balonu. - Chodź, zjemy kanapkę.

- Dlaczego?

- Mówiłeś, że chcesz jeść.

- Nie chcę.

Znowu ma wściekłą minę.

- Zrobię kanapkę - mówi - a ty ją zjesz. Dobra?

Tylko z masłem orzechowym, bo ser jest cały maziowaty.

Jem kanapkę, a Mama siedzi koło mnie, ale nic nie je.

- Wiem, że to za dużo naraz.

Chodzi jej o kanapkę?

Na deser zjadamy na pół pojemnik mandarynek w syropie, dla mnie duże kawałki, bo Mama woli mniejsze.

- Nie chciałam cię oszukać - mówi Mama, gdy siorbię syrop. - Nie mogłam ci powiedzieć wcześniej, bo byłeś za mały, żeby to zrozumieć, więc wcześniej tak trochę okłamywałam. Ale teraz masz już pięć lat i sądzę, że zrozumiesz.

Kręcę głową.

- To, co ci teraz mówię, to przeciwieństwo kłamstwa. To takie jakby odkłamywanie.

Ucinamy sobie długą drzemkę.

Mama już się zbudziła i patrzy na mnie z bardzo bliska. Przesuwam się i częstuję z lewej.

- Dlaczego ci się tu nie podoba? - pytam.

Siada i obciąga koszulkę.

- Jeszcze nie skończyłem.

- Owszem, skończyłeś. Zagadałeś.

Sam też siadam.

- Dlaczego nie podoba ci się ze mną w Pokoju?

Mama przytula mnie mocno.

- Z tobą wszędzie mi się podoba.

- Ale powiedziałaś, że jest ciasny i zaśmierdły.

- Och, Jack. - Nie odzywa się przez minutę. - To fakt, wolałabym żyć na zewnątrz. Ale z Tobą.

- Mi się tu z tobą podoba.

- I dobrze.

- A jak on go stworzył?

Wie, o kogo mi chodzi. Już mi się wydaje, że mi nie opowie, ale zaczyna:

- Kiedyś to była zwykła szopa ogrodowa. Prosty kawał blachy z winylem dwanaście

na dwanaście. Zamontował dźwiękoszczelne okno dachowe, dołożył od środka mnóstwo pianki izolacyjnej, a do tego dodał warstwę blachy ołowianej, bo ołów tłumi wszystkie odgłosy. No i drzwi na zamek szyfrowy. Ciągle się przechwala, jak to zmyślnie urządził.

Popołudnie się wlecze.

Czytamy wszystkie książki z obrazkami w takim jakby lodowatym świetle. Okno jest dzisiaj inne. Ma coś czarnego, jakieś oko.

- Mamo, patrz.

Podnosi głowę i się uśmiecha.

- Liść.

- Dlaczego?

- Pewnie wiatr zdmuchnął go z drzewa na szybę.

- Z prawdziwego drzewa w Nazewnątrz?

- Tak. Widzisz? Masz dowód. Tam jest cały świat.

- Zagrajmy w Łodygę Fasoli. Postawimy moje krzesło tu, na Stole... - Mama mi pomaga. - Na krzesle Kosz - rozkazuję dalej. - Potem wdrapię się na samą górę...

- To niezbyt bezpieczne.

- Wcale że nie, jeśli tylko staniesz na Stole i przytrzymasz

Kosz, żeby się nie kiwał.

- Hmm... - mruczy Mama, czyli prawie się nie zgadza.

- Spróbujmy tylko, proszę, proszę!

Świetnie nam idzie, wcale nie spadam. Jak stoję na Koszu, to mogę w sumie złapać krawędzie płyt korkowych na Dachy, tam, gdzie się zakrzywiają przy Oknie. Na szybie coś jest, wcześniej go nie widziałem.

- Plaster miodu - mówię Mamie i go głaszczę.

- To siatka poliwęglanowa - tłumaczy. - Nie do zdarcia. Zanim się urodziłeś, bardzo często tam stałam i wyglądałam.

- Liść jest cały czarny i ma dziurki.

- Tak, pewnie usechł jeszcze przed zimą.

Widzę wokół niebieskie, to niebo, a na nim trochę białego, Mama mówi, że to chmury. Patrę przez plastry miodu, patrę i patrę, ale widać tylko niebo. Nie śmigają tam ani statki, ani pociągi, ani konie, ani dziewczynki, ani wieżowce. Złazę z Kosza i z krzesła i odpycham rękę Mamy.

- Jack...

Zeskakuję na Podłogę całkiem sam.

- Kłamie, kłamie, powiem mamie, nie ma żadnego Nazewnątrz!

Próbuje coś wyjaśniać, ale wtykam palce do uszu i krzyczę:

- Bla, bla, bla, bla, bla!

Bawimy się tylko ja i Jeep. Już prawie płacę, ale udaję, że nie.

Mama zagląda do Komody i trzaska puszkami, wydaje mi się, że liczy. Liczy to, co nam zostało.

Zrobiło się megazimno, ręce mi całe zdrętwiały pod skarpetkami.

Na kolację pytam, czy możemy zjeść resztę płatków, i w końcu Mama mówi tak. Trochę rozsypuję, bo nie czuję palców.

Wraca ciemno, ale Mama ma w głowie wszystkie rymy z Wielkiej księgi rymowanek. Proszę o Pomarańcze i cytryny, najbardziej lubię fragment: "Nie wiem tego i paszoł, mówi dzwon największy z Bow" [*Oranges and Lemons, tradycyjna angielska rymowanka i piosenka, przekład

Tomasza Mirkowicza.] i ten o toporze wielkim, co zetnie ci łeb.

- Co to jest topór?

- Wydaje mi się, że coś w rodzaju wielkiego noża.

- Chyba nie - mówię. - To helikopter, co jego łopatki się tak szybko kręcą i ścinają głowy**[*Ang. chopper (tu: topór) to także potoczne określenie śmigłowca.].

- Brrr.

Nie chce nam się spać, ale nie można za wiele robić bez widzenia. Siedzimy na Łóżku i sami wymyślamy rymy.

- Nasz przyjaciel ScoobyDoo ma łaskotki tam i tu.

- Nasi Przyjaciele z Podwórka robią dziury w ogórkach.

- Udało ci się - mówię Mamie. - Nasza przyjaciółka Grace popłynęła wczoraj w rejs.

- Brawo - mówi Mama. - Nasza przyjaciółka Jools obrała ten sam kurs.

- Nasz przyjaciel Barney mieszka na wsiarni.

- Oszukujesz.

- No dobra - mówię. - Nasz przyjaciel Wujek Paul spadł z fotela stroną złą.

- Faktycznie kiedyś spadł, ale z motocykla.

Zapomniałem, że on jest naprawdę.

- Dlaczego spadł z motocykla?

- Niechący. Ale karetka go zabrała do szpitala i lekarze go całkiem wyleczyli.

- Rozcięli go?

- Nie, nie, założyli mu tylko gips na rękę, żeby go nie bolała.

Czyli szpitale też są naprawdę, i motocykle. Chyba zaraz głowa mi wybuchnie od tych wszystkich nowych rzeczy do uwierzenia.

Jest teraz zupełnie czarno, tylko w Oknie widać taką jakby ciemną jasność. Mama mówi, że w mieście zawsze pada trochę światła z latarni, lamp na budynkach i tak dalej.

- A gdzie jest miasto?

- Tużtuż, na zewnątrz. - Pokazuje Łóżkościankę.

- Patrzyłem przez Okno i w ogóle go nie widziałem.

- No tak, dlatego się na mnie wściekłeś.

- Nie jestem na ciebie wściekły.

Oddaje mi całusa.

- Okno wychodzi na samo powietrze. Te rzeczy, o których ci mówiłam, są w większości na ziemi, więc żeby je zobaczyć, potrzebowalibyśmy boczne okno.

- Możemy poprosić o boczne okno na Niedzielną Rozpustę.

Mama niby się śmieje.

Zapomniałem, że Stary Nick już nie przyjdzie. Może mój lizak to była ostatnia Niedzielną Rozpusta.

Chyba się rozplącę, ale wychodzi z tego tylko wielki ziew.

- Dobranoc, Pokoju - mówię.

- Już? Niech będzie. Dobranoc - mówi Mama.

- Dobranoc, Lampo i Balonko.

Czekam na Mamę, ale nic już nie dodaje.

- Dobranoc, Jeepie, i dobranoc, Pilocie. Dobranoc, Dywanie, i dobranoc, Kocu i dobranoc, Karaluchy, nie włączcie pod poduchy.

Budzi mnie jakiś odgłos, powtarza się na okrągło. Mamy nie ma w Łóżku. Wpada troszkę światła, powietrze jest dalej lodowate. Wychylam się, Mama siedzi na środku podłogi i robi ręką lup lup lup.

- Co ci zrobiła Podłoga?

Mama przestaje i długo wypuszcza powietrze.

- Muszę w coś walić, ale nie chcę niczego potłuc.

- Dlaczego nie?

- Właściwie marzę o tym, żeby coś potłuc. Najchętniej potłukłabym wszystko.

Nie lubię jej takiej.

- Co na śniadanie?

Mama patrzy na mnie, a potem podchodzi do Szafki i wyjmuje bajgla, chyba

ostatniego.

Zjada tylko ćwiartkę, nie jest zbyt głodna.

Kiedy wydychamy powietrze, leci para.

- To dlatego, że dzisiaj jest zimniej - mówi Mama.

- Mówiłaś, że zimniej już nie będzie.

- Przykro mi, ale nie miałam racji.

Kończę bajgla.

- A mam jeszcze Babcię i Dziadka i Wujka Paula?

- Tak - odpowiada Mama i trochę się uśmiecha.

- A gdzie są, w Niebie?

- Nie, nie - krzywi się. - To znaczy, chyba nie. Paul jest tylko trzy lata starszy ode mnie, czyli... o rany, musi mieć dwadzieścia dziewięć lat.

- Oni są tutaj - szepczę. - Bawią się w chowanego.

Mama się rozgląda.

- Gdzie?

- W Podłóżku.

- Oj, to muszą być upchani jak sardynki. W końcu jest ich troje i są całkiem duzi.

- Jak hipopotamy?

- Aż tak to nie.

- A może siedzą... w Szafie.

- Z moimi sukienkami?

- Uhm. Jak coś zakleocze, to na pewno oni, zrzucają wieszaki.

Mama ma obojętną minę,

- Żartowałem - mówię.

Kiwa głową.

- A mogliby tu kiedyś przyjść naprawdę?

- Chciałabym, żeby tak było - mówi. - Modłę się o to ze wszystkich sił, co noc.

- Nie słyszałem.

- Bo modłę się w myślach.

Nie wiedziałem, że modli się o coś w myślach, a Ja me słyszę.

- Oni też by tego chcieli, ale nie wiedzą, gdzie jestem - dodaje.

- Jesteś ze mną w Pokoju.

- Ale oni nie mają pojęcia, gdzie to jest, a już o tobie wogóle nie wiedzą.

Dziwne.

- Mogą spojrzeć na Mapę Dory, a jak przyjdą, to zrobię im „a kuku” i się zdziwią.

Mama się prawie śmieje, ale niezupełnie.

- Pokoju nie ma na żadnej mapie.

- To możemy im powiedzieć przez telefon, Bob Budowniczy ma taki.

- Ale my nie.

- Możemy poprosić o telefon na Niedzielną Rozpustę.

Przypominam sobie coś.

- Jak już Stary Nick przestanie być na nas zły.

- Jack, on nam nigdy nie da okna ani telefonu. - Mama łapie mnie za kciuki i je ścisza.

- Jesteśmy jak bohaterowie książki, a on nie chce jej dać nikomu do poczytania.

Na wuefie biegamy po Torze. Trudno przesunąć Stół i krzesła rękami, które są jakby nie na swoim miejscu. Biegnę dziesięć razy tam i z powrotem, ale wcale się nie rozgrzewam, palce u nóg mi się potykają. Skaczemy na Trampolinie i ćwiczymy

Karate, hijal, a potem znów wybieram Łodygę Fasoli. Mama się zgadza pod warunkiem, że się nie wkurzę, jak niczego nie zobaczę. Wspinam się na Stół na krzesło na Kosz i nawet się nie zachwieję. Trzymam się krawędzi tam, gdzie Dach zakrzywia się w Okno, przez plaster miodu wpatruję się długo w niebieskie, aż razi w oczy. Po chwili Mama mówi, że wolałaby zejść na dół i zrobić lunch.

- Proszę, tylko nie warzywa, mój brzuszek tego nie znieś.

- Musimy je zużyć, bo się zepsują.

- Możemy zjeść makaron.

- Już prawie się skończył.

- No to ryż. A gdyby...? - Zapominam o mówieniu, bo widzę coś przez plastry, coś tak małego, że biorę je za tą taką muszkę w oku, ale niesłusznie. To kreseczka, a za nią gruba biała smuga.

- Mamo!

- Co takiego?

- Samolot!

- Serio?

- Serio naprawdę naprawdę! Łaa...!

I spadam prosto na Mamę, a potem na Dywan, Kosz leci na nas z hukiem i krzesło też. Mama mówi au au i masuje nadgarstek.

- Przepraszam, przepraszam. - Daję jej buziaka na odbólowanie. - Widziałem go,

prawdziwy samolot, tylko że malutki.

- Musiał lecieć bardzo daleko - odpowiada i całkiem się uśmiecha. - Mogę się założyć, że z bliska byłby ogromny.

- Ale się zdziwiłem, on pisał na niebie literę I.

- To się nazywa... - Klepie się w głowę. - Nie mogę sobie przypomnieć. To taka smuga ze spalin samolotu, czy czegoś takiego.

Na lunch ostatnie siedem krakersów z ciepłym serem, wstrzymujemy oddech, żeby go nie czuć.

Idziemy pod Kołdrę i Mama mnie częstuje. Świeci żółta buzia Pana Boga, ale za mało, żeby się opalać. Nie mogę się wyłączyć. Wlepiam oczy w Okno, aż zaczynają mnie piec, ale już nie widzę samolotów. Ale tamten naprawdę widziałem, jak stałem na Łodydze, nie przyśniło mi się. Widziałem, jak lata po Nazewnątrz, więc jest jakieś Nazewnątrz, gdzie mieszkała Mama, jak była dziewczynką.

Wstajemy i gramy w Domino, a potem bawimy się w Przeplatanki, teatrzyk Pacynek i Łódź Podwodną i mnóstwo innych rzeczy, ale tylko po trochu. Gramy w Mruczando, ale za łatwo się zgaduje. Idziemy z powrotem do Łóżka, żeby się zagrzać.

- Chodźmy jutro do Nazewnątrz - mówię.

- Och, Jack.

Leżę na ramieniu Mamy, grubym, bo w dwóch swetrach.

- Tam ładnie pachnie.

Przesuwa głowę i patrzy na mnie.

- Jak po dziewiątej otwierają się drzwi, to powietrze robi szust do środka i jest inne niż nasze.

- A więc zauważyłeś - mówi.

- Ja wszystko zauważam.

- No tak, jest świeższe. Latem pachnie skoszoną trawą, bo jesteśmy na podwórku.

Czasem mi migają fragmenty krzewów i żywopłotu.

- Na kogo podwórku?

- Starego Nicka. Pokój był kiedyś jego szopą, pamiętasz?

Trudno wszystko spamiętać, wydaje mi się, że to nie całkiem prawda.

- Tylko on zna cyferki szyfru, które się wstukuje w klawiaturę za drzwiami.

Patrzę na Klawiaturę, nie wiedziałem, że jest jeszcze druga.

- Ja umiem wstukać cyferki.

- Tak, ale nie te sekretne, które otwierają drzwi. To taki jakby niewidzialny klucz.

Potem, jak wraca do domu, znowu wstukuje szyfr, o, tu. - Pokazuje Klawiaturę.

- Do domu z hamakiem?

- Nie. - Mama podnosi głos. - Stary Nick mieszka gdzie indziej.

- A możemy kiedyś do niego iść?

Przyciska dłoń do buzi.

- Wolałabym dom babci i dziadka.

- I byśmy się huścali na hamaku.

- W ogóle byśmy robili, co chcemy, bylibyśmy wolni.

- A kiedy, jak skończę sześć lat?

- Kiedyś na pewno.

Mokre leci po buzi Mamę prosto na moją. Podskakuję, bo słone.

- Już dobrze - mówi i pociera policzek. - Już dobrze, tylko że ja... ja się trochę boję.

- Nie możesz się bać! - prawie krzyczę. - Źle wymyśliłaś.

- Tylko troszkę. Damy radę, mamy to, co potrzebne do życia.

Teraz jestem jeszcze bardziej wystrachany.

- A jak Stary Nick nie odwyłączy prądu i nie przyniesie jedzenia, już nigdy przenigdy?

- Zrobi to - mówi, oddycha jeszcze trochę przez szloch.

- Jestem pewna prawie na sto procent, że to zrobi.

Prawie sto, czyli dziewięćdziesiąt dziewięć. Czy to wystarczy?

Mama siada i mocno wyciera buzię rękawem swetra.

Burczy mi w brzuchu, ciekawe, co nam zostało. Już się robi ciemno znowu. Chyba jednak światło nie wygrywa.

- Jack, posłuchaj, mam dla ciebie jeszcze jedną historyjkę.

- Prawdziwą?

- Najbardziej prawdziwą. Pamiętasz, jak ci mówiłam, że kiedyś byłam całkiem smutna?

Lubię o tym słuchać.

- A potem zeszedłem z Nieba i urosłem w twoim brzuszku.

- Tak, ale chodzi o to, smuciłam się przez Pokój. Stary

Nick... nawet go nie znałam, miałam wtedy dziewięćnaście lat... on mnie ukradł.

Próbuję się w tym połapać. Rabuś, nie kradnij! Nie słyszałam o kradnięciu człowieka.

Mama ściska mnie bardzo mocno.

- Studiowałam wtedy. Był wczesny ranek, szłam przez parking do biblioteki uniwersyteckiej i słuchałam... takiego małego urządzenia, które przechowuje tysiące piosenek

i odtwarza je prosto do ucha. Żaden z moich znajomych jeszcze go nie miał.

Chciałbym mieć takie urządzenie.

- W każdym razie... podbiegł do mnie jakiś człowiek, jego pies miał atak i on się bał, że zdechnie.

- Jak się nazywał?

- Człowiek?

Kręcę głową.

- Pies.

- Pies to był tylko pretekst, żeby mnie zwabić do jego samochodu, samochodu Starego Nicka.

- A jaki ma kolor?

- Samochód? Brązowy, jeszcze nim jeździ i stale na niego narzeka.

- A ile ma kół?

- Skup się na tym, co ważne - mówi Mama.

Porakuję. Za mocno mnie trzyma, rozluźniam jej rękę.

- Zawiązał mi oczy...

- Jak w ciuciubabce?

- Tak, ale nie dla zabawy. Jechał i jechał, a ja się okropnie bałam.

- A ja gdzie byłem?

- Jeszcze się nie przydarzyłeś, pamiętasz?

Zapomniałem.

- A pies też siedział w samochodzie?

- Nie było żadnego psa. - Mama znowu stroi fochy głosem.

- Dajże mi opowiedzieć do końca.

- A mogę wybrać inną historyjkę?

- Ta jest prawdziwa.

- Opowiesz mi Jacka Pogromcę Wielkoludów?

- Posłuchaj. - Mama zakrywa mi usta dłonią. - Wmusił we mnie jakieś trefne leki i mnie uspił. Ocknęłam się już tutaj.

Jest już prawie czarno i w ogóle nie widzę buzi Mamy, bo się odwróciła, więc tylko słyszę.

- Kiedy po raz pierwszy otworzył drzwi, zaczęłam wzywać pomocy, a on mnie uderzył tak, że upadłam. Już nigdy więcej tego nie próbowałam.

Ściska mnie w całym brzuszku.

- Na początku bałam się spać, bo w każdej chwili mógł wrócić, ale potem sen stał się jedyną ucieczką przed płaczem, więc spałam jakieś szesnaście godzin dziennie.

- Zrobiłaś jeziorko?

- Co?

- Alicja wypłakuje jeziorko, bo nie może sobie przypomnieć wszystkich wierszyków i cyferek, a potem zaczyna tonąć...

- Nie - odpowiada. - Ale bez przerwy mnie bolała głowa i szczypały oczy. A od zapachu płytek korkowych robiło mi się niedobrze.

Jakiego zapachu?

- Myślałam, że zwariuję, ciągle patrzyłam na zegarek i liczyłam sekundy. Prześladowały mnie przedmioty; gdy na nie patrzyłam, wydawało mi się, że się powiększają albo pomniejszają, a gdy odwracałam wzrok, zaczynały się przesuwac. Kiedy przyniósł w końcu telewizor, w ogóle go nie wyłączałam, durne programy, reklamy jedzenia, które jeszcze pamiętałam, tak bardzo miałam na nie ochotę, że prawie mnie usta bolały.

Czasem mi się zdawało, że głosy z telewizji chcą mi coś przekazać.

- Jak Dora?

Kręci głową.

- Kiedy wychodził do pracy, próbowałam się wydostać, wszelkimi sposobami. Całymi dniami wystawałam na palcach na stole i próbowałam podważyć okno paznokciami, wszystkie połamałam. Rzucalam w szybę czym popadło, ale siatka jest za mocna, szyba nawet nie pękła.

A Okno to tylko kwadrat jeszcze nie całkiem ciemny.

- A czym popadło?

- Wielkim rondlem, krzesłami, koszem na śmieci...

Oj, chciałbym zobaczyć, jak rzuca koszem.

- A innym razem wykopałam dziurę.

Nic nie rozumiem.

- Gdzie?

- Można ją jeszcze wyczuć, chcesz? Musimy się wczolgać...

Odrzuca Kołdrę, wyciąga z Podłóżka Pudelko i włazi tam, cicho stękając. Wsuwam się za nią, leżymy przy Jajowężu, ale go nie zgnieciemy.

- Wzorowałam się na Wielkiej ucieczce. - Jej głos całkiem mi dudni przy uchu.

Przypominam sobie historyjkę o obozie hitlerowców, nie takim harcerskim z paleniem ognisk, tylko zimowym, gdzie miliony osób piły zupę z larwami. Alianci wyłamali bramy i

wszyscy uciekli, wydaje mi się, że Alianci to anioły tak samo jak święty Paweł.

- Pokaż palce... - Mama ciągnie moją dłoń. Macam korek na Podłodze.

- Tutaj.

Nagle trafiam na obniżenie o nierównych brzegach. W mojej piersi łup łup, nie wiedziałem, że mamy dziurę.

- Ostrożnie, nie skalecz się. Wycięłam ją nożem z piłką. Korek wystarczyło podważyć, ale z drewnem nie poszło tak łatwo.

Z folią ołowianą i pianką raczej nie było kłopotu, ale wiesz, do czego się dokopałam?

- Do Krainy Czarów?

Mama się wścieka tak głośno, że aż walę głową w Łóżko.

- Przepraszam.

- Znalazłam płot z siatki drucianej.

- Gdzie?

- No, w dziurze.

Płot w dziurze? Wkładam rękę niżej i niżej.

- Coś metalowego, kapujesz?

- Tak - zimne, gładkie, do złapania w palce.

- Kiedy zmieniał szopę w Pokój, ukrył warstwę siatki pod legarami podłogowymi, we wszystkich ścianach i nawet w dachu, żebym nigdy przenigdy nie wycięła sobie drogi ucieczki.

Już wypełzliśmy i siedzimy oparci o Łóżko. Całkiem mam zadyszkę.

- A on na widok dziury zaczął ryczeć.

- Jak lew?

- Nie, ze śmiechu. Bałam się, że zrobi mi krzywdę, ale tym razem tylko uznał, że to komiczne.

Znowu zaciskam mocno zęby.

- Wtedy częściej się śmiał.

Stary Nick to śmierzący, złodziejski zornbirabuś.

- Zrobmy mu bunt - mówię. - Rozwalę go na kawałki moją jumbomegatronową armatą na transformersy.

Mama zostawia mi całusa w kąciku oka.

- Jemu się nie da zrobić krzywdy. Kiedyś próbowałam, jakieś półtora roku po tym, jak tu zamieszkałam.

Nie chce mi się uwierzyć.

- Narobiłaś krzywdy Staremu Nickowi?

- Zdjęłam wieko z sedesu, miałam też nóż bez ząbków i kiedyś tuż przed dziewiątą wieczór stanęłam przy ścianie obok drzwi...

Pogubiłam się.

- Ale sedes nie ma wieka.

- Kiedyś miał, na zbiorniku. Nie miałam niczego cięższego.

- Łóżko jest megaciężkie.

- Ale Łóżka nie mogłam podnieść, prawda? - pyta Mama.

- No więc, kiedy usłyszałam, że wchodzi...

- Pik pik.

- Właśnie. Trzasnęłam go wiekiem w głowę.

Trzymam w buzi kciuk i gryzę gryzę gryzę.

- Ale za słabo, wieko spadło na podłogę i pękło na dwoje, a on - Stary Nick - zdążył popchnąć drzwi i je zamknąć.

Dziwny smak w buzi.

Mamie się urywa głos.

- Wiedziałam, że muszę go zmusić do podania mi szyfru, bo inaczej nic z tego.

Przystawiłam mu więc nóż do gardła, o, tak.

- Przykłada mi paznokiec pod brodę, nie podoba mi się to. - Powiedziałam: dawaj szyfr.

- I co, dał ci?

Prycha.

- Podał jakieś cyfry, a ja próbowałam je wstukać.

- Jakie cyfry?

- Wydaje mi się, że je wymyślił. Zerwał się, wykręcił mi nadgarstek i zabrał nóż.

- Twój bolący nadgarstek?

- Nie no, wtedy jeszcze mnie nie bolał. Ej, nie płacz - mówi

Mama do moich włosów. - To się działo dawno temu.

Próbuję mówić, ale nic nie wychodzi.

- Sam więc widzisz, Jack, że już nie możemy próbować mu zrobić krzywdy. Dzień później powiedział mi, że po pierwsze, za żadne skarby nie zdradziłby mi szyfru, a po drugie, jeśli jeszcze raz wytnę taki numer, pójdzie sobie, a ja zrobię się głodniejsza i głodniejsza, aż umrę.

Raczej już nie próbowała.

Trzeszczy mi w brzuchu naprawdę głośno i już wiem, dlaczego Mama opowiedziała mi tę straszną historię. Chciała, żebym zrozumiał, że niedługo...

I wtedy zaczynam mrugać i zasłaniać oczy, wszystko razi, bo
Lampa przyszła do siebie.

UMIERANIE

Całkiem ciepło. Mama już wstała. Na Stole nowy karton z płatkami i cztery banany, hurra! Widocznie w nocy przyszedł Stary Nick. Wyskakuję z Łóżka. Widzę też makaron, parówki, mandarynki i...

Mama nic nie je, stoi przy Komodzie i ogląda Roślinę. Odpadły trzy liście. Mama dotyka łodyżki i...

- Nie!

- I tak była martwa.

- Pękłaś ją.

Mama kręci głową.

- To, co żyje, daje się zgiąć, Jack. Myślę, że roślina zeszywniała od środka, bo było jej zimno.

Próbuję z powrotem umocować łodyżkę.

- Trzeba jej taśmy.

Przypominam sobie, że się skończyła, Mama zużyła resztę na Statek Kosmiczny, co za głupol. Pędem wyciągam Pudełko z Podłóżka, znajduję Statek i zrywam kawałki taśmy.

Mama tylko patrzy.

Przylepiam taśmę do Rośliny, ale się zsuwa i nic z tego.

- Tak mi przykro.

- To weź ją ożyw - mówię Mamie.

- Niestety, nie umiem.

Czeka z wytarciem mi oczu, aż przestanę płakać. Już za gorąco, ściągam drugie ubrania.

- Lepiej ją wyrzucmy do kosza - mówi Mama.

- Nie - odpowiadam. - Do Sedesu.

- Rury się zapchają.

- To ją połamiemy na małe kawałki.

Całuję po kilka liści Rośliny i spuszczam wodę, potem przychodzi kolej na kawałki

łodyżki.

- Do widzenia, Roślino - szepczę. Możliwe, że na nowo się zlepi w Morzu i wyrośnie duża aż do Nieba.

A Morze jest naprawdę, właśnie sobie przypomniałem.

W Nazewnątrz wszystko istnieje naprawdę, wszyściuteńko, bo sam widziałem samolot na niebieskim między chmurami. Mama i ja nie możemy tam iść, bo nie znamy tajnego szyfra, ale Nazewnątrz i tak istnieje naprawdę. Gdy byłem dzieckiem, myślałem jak dziecko, ale teraz mam pięć lat i wiem już wszystko.

Kąpiemy się zaraz po śniadaniu, woda aż paruje, pycho ta.

Nalewamy jej tak dużo, że niewiele brakuje do powodzi. Mama się kładzie i prawie zasypia, budzę ją, żeby umyć jej włosy, potem ona moje. Robimy też pranie, ale na pościeli są długie włosy i trzeba je pozbierać, ścigamy się, kto szybciej.

Kreskówki się skończyły, teraz dzieci malują pisanki dla uciekającego króliczka. Patrzę kolejno na dzieci i powtarzam w myślach: "Jesteś naprawdę".

- To Zajączek Wielkanocny, a nie Króliczek - mówi Mama.

- Paul i ja... kiedy byliśmy mali, Zajączek przynosił w nocy czekoladowe jajka i chował je w ogrodzie: pod krzakami, w dziuplach, nawet na hamaku.

- Zabierał za to zęby? - pytam.

- Nie, dawał za darmo - mówi z obojętną miną.

Zajączek chyba nie wie, gdzie się znajduje Pokój, zresztą i tak nie mamy krzaków ani drzew, są za Drzwiami.

Dzisiaj dość radosny dzień, bo ciepło i mamy co jeść, ale

Mama się nie cieszy. Pewnie tęskni za Rośliną.

Na wuef wybieram Wędrówkę, chodzimy za rękę po Torze i nazywamy to, co widzimy.

- Mamo, popatrz, wodospad.

Po minucie:

- Patrz, antylopa.

- Ooo.

- Teraz ty.

- O, spójrz - mówi Mama. - Ślimak.

Pochyłam się, żeby zobaczyć.

- Popatrz, wielki buldożer rozwala wieżowiec.

- Patrz, leci flaming - to Mama.

- Zobacz, zombi się ślini.

- Jack! - Przynajmniej się uśmiechnęła na pół sekundy.

Maszerujemy szybciej i śpiewamy Ten kraj to twój kraj.

Później rozkładamy z powrotem Latający Dywan i śmigamy nad biegunem północnym.

Mama wybiera Umarlaka, leżymy w całkiem bezruchu, zapominam się i drapię po nosie, więc przegrywam. Potem wybieram Trampolinę, ale Mama mówi, że już dość wuefu.

- To ty komentuj, a ja będę robić hopla.

- Nie, przykro mi, wracam na chwilę do Łóżka.

Dzisiaj nie ma z nią zabawy.

Bardzo ostrożnie wyjmuję z Podłóżka Jajowęża, wydaje mi się, że słyszę, jak syczy swoim języczkiem z igły: serwuss. Głaszczę go, szczególnie te rozbite albo wgniecione jajka. Jedno kruszy mi się pod palcami, mieszam klej z wody i szczypty mąki, i nalepiam je na kartkę w linie, wychodzi strzępiasta góra. Chciałbym pokazać Mamie, ale leży z zamkniętymi oczami.

Włazę do Szafy i udaję górnika. Pod poduszką znajduję bryłkę złota, to Ząb. Nie żyje i nie daje się zgiąć, złamał się, ale nie musimy go wrzucać do Sedesu. Jest zrobiony z Mamy, jej zdjętej skóry.

Wystawiam głowę i Mamie się otwierają oczy.

- Co porabiasz? - pytam.

- Myślę, Ja umiem myśleć i jednocześnie robić ciekawe rzeczy, a ona nie?

Wstaje, żeby przyrządzić lunch, błyskawiczny makaron z sosem serowym, cały pomarańczowy, delicioso.

Potem się bawię, że jestem Ikar i mi się topią skrzydła. Mama naprawdę powoli zmywa naczynia. Czekam, aż skończy, żeby się ze mną pobawiła, ale ona nie chce, siada na Bujaku i tylko się huśta.

- Co robisz?

- Dalej myślę.

Po minucie pyta:

- Co masz w poszewce?

- To mój plecak.

Związałem na szyi dwa rogi powłoczki.

- Przyda się, jak nas uratują i pójdziemy do Nazewnątrz.

Spakowałem Ząb i Jeepa i Pilota i bieliznę dla mnie i jedną dla mamy, i jeszcze

skarpetki i Nożyczki i cztery jabłka, gdybyśmy mieli zgłodnieć.

- A tam jest woda?

Mama kiwa głową.

- Rzeki, jeziora...

- Ale że do picia, mają tam kran?

- Całe mnóstwo.

Cieszę się, że nie muszę zabierać wody w butelce, bo plecak robi się ciężki, muszę go trzymać przy szyi, żeby mi nie wygniatał słów.

Mama tylko się buja i buja.

- Kiedyś marzyłam o ratunku - mówi. - Pisałam liściki i chowałam je w workach ze śmieciami, ale nikt ich nie odnalazł.

- Trzeba było je posłać przez Sedes.

- A naszych krzyków nikt nie słyszy - dodaje. - Dzisiaj przez pół nocy na okrągło włączałam i wyłączałam światło, a potem pomyślałam, że i tak nikt nie patrzy.

- Ale...

- Nikt nas nie uratuje.

Nic się nie odzywam. A potem mówię:

- Tak ci się tylko wydaje.

Nigdy nie widziałem u niej takiej dziwnej miny.

Wolałbym, żeby była Nieobecna cały dzień, niż żeby stawała się taką nieMamą.

Zdejmuję z Półki wszystkie swoje książki i czytam: Na lotnisku, Wielką księgę rymowanek, O koparce Delmie, czyli moją ulubioną, i Króliczek ucieka, ale zostawiam połowę dla

Mamy, przerzucam się na Alicję, ale pomijam straszną historię o Księżnie.

Mama wreszcie przestaje się huścić.

- Mogę się poczęstować?

- Pewnie - odpowiada. - Chodź.

Siadam jej na kolanach, podwijam koszulkę i częstuję się dużo dużo i długo.

- Już? - pyta na ucho.

- Tak.

- Słuchaj, Jack. Słuchasz?

- Zawsze słucham.

- Musimy się stąd wydostać.

Gapię się na nią.

- I to całkiem sami.

Przecież powiedziała, że jesteśmy tak jakby bohaterami książki, to jak oni z niej uciekają?

- Musimy wymyślić jakiś plan - dodaje całkiem wysokim głosem.

- Na przykład jaki?

- No właśnie nie wiem. Od siedmiu lat próbuję coś wykombinować.

- Możemy zburzyć ściany.

Ale nie mamy jeepa ani nawet buldożera.

- A gdybyśmy tak... wysadzili Drzwi?

- Czym?

- Tomowi temu od Jerry' ego się udało.

- Świetnie, że wyteżasz szare komórki, ale trzeba wymyślić coś, co zadziała.

- Naprawdę wielki wybuch - mówię.

- Jeśli będzie naprawdę wielki, nas też zdmuchnie.

O tym nie pomyślałem. Dalej wyteżam te komórki.

- Mamo! Możemy... zrobić tak: kiedy Stary Nick przyjdzie kiedyś w nocy, ty powiesz: "Spójrz, jakie pyszne ciasto upiekliśmy, weź sobie wielki kawałek naszego pysznego ciasta świątecznego", a w środku będzie trucizna.

Mama kręci głową.

- Jeśli się pochoruje, to i tak nie poda nam szyfru.

Myślę i myślę aż do bólu.

- Masz coś jeszcze?

- I tak się na nic nie zgadzasz.

- Przepraszam. Przepraszam. Ja tylko staram się być realistką.

- A które pomysły są realistkowe?

- Nie wiem. Nie wiem. - Mama oblizuje wargi. - Prześladowuje mnie myśl o tej chwili, gdy otwierają się drzwi; gdybyśmy trafili dokładnie w ten ułamek sekundy, może udałoby nam się koło niego przemknąć?

- Pomysł jest super.

- Choćby tylko tobie się udało, a ja bym mu skoczyła do oczu... - Mama kręci głową. -

Nie da rady.

- Da rady.

- Złapałby cię, Jack, złapałby cię jeszcze w ogrodzie i...

- urywa.

Po minucie pytam:

- Masz coś jeszcze?

- Na okrągło przewijają mi się te same pomysły, jak szczury na kołowrotku.

Dlaczego szczury wchodzą na kołowrotek? To taki diabelski młyn, jak w wesołym miasteczku?

- Powinniśmy spróbować jakiegoś sprytnego podstępu.

- Na przykład jakiego?

- Na przykład takiego jak wtedy, kiedy byłaś studentką, a on cię zwabił do samochodu psem, który nie istniał naprawdę.

Mama wzdycha.

- Wiem, że się starasz, ale może byś się uciszył na chwilę, żebym mogła pomyśleć?

Przecież myśleliśmy oboje, myśleliśmy ze wszystkich sił.

Wstaję i idę po banana z kawałkiem brązowego, brązowe jest najśodsze.

- Jack! - Mama robi wielkie oczy i zaczyna superszybko mówić. - Właściwie z tym psem to świetny pomysł. A gdybyś tak udawał, że coś ci dolega?

Pogubiłem się, ale już rozumiem.

- Jak temu psowi?

- Właśnie tak. Mogłabym mu powiedzieć, że jesteś naprawdę chory.

- Na co chory?

- Może na jakąś wyjątkowo paskudną infekcję - mówi.

- Spróbuj mocno pokaszleć.

Kaszlę i kaszlę, a ona słucha.

- Hmm... - mruczy.

Chyba niezbyt dobrze mi idzie. Kaszlę głośniej, czuję, jakby zaraz miało mi się rozerwać gardło.

Mama kręci głową.

- Kaszel odpada.

- Mogę jeszcze mocniej...

- Dobra robota, ale i tak słychać, że to na niby.

Wydaję z siebie najmocniejszy, najbardziej najokropniejszy kaszel na świecie.

- Czy ja wiem... - zastanawia się Mama. - Może po prostu za trudno markować kaszel.

A zresztą... - Klepie się w czoło.

- Ale ze mnie ciemniak.

- Wcale że nie. - Głaszczę ją tam, gdzie się pacnęła.

- To musi być coś, co złapałeś od Starego Nicka, rozumiesz?

Tylko on wnosi zarazki, a nie przechodził przeziębienia. Nie, trzeba nam... może czegoś pokarmowego?

Patrzy dzikim wzrokiem na banany.

- E. coli? Dostaje się przy tym gorączki?

Nie ma mnie pytać, ma wiedzieć.

- Naprawdę paskudnej gorączki, takiej, że nie możesz mówić ani nawet się do końca ocknąć.

- Dlaczego nie mogę mówić?

- W ten sposób łatwiej ci będzie udawać. Dobra! - mówi

Mama; jej oczy błyszczą jak nie wiem. - Powiem mu: "Musisz wsadzić Jacka do auta i zabrać go do szpitala, żeby lekarze podali mu odpowiedni lek".

- Ja jadę w brązowym aucie?

Mama kiwa głową.

- Do szpitala.

Coś podobnego. Ale zaraz przypominam sobie planetę zdrowetną,

- Nie chcę, żeby mnie przecinali.

- Lekarze tak naprawdę nic ci nie zrobią, przecież nic ci nie będzie, pamiętasz? - Głaszcze mnie po ramieniu. - To tylko podstęp, który umożliwi nam naszą Wielką Ucieczkę. Stary Nick weźmie cię do szpitala, a ty na widok pierwszego lekarza - albo pielęgniarki, wszystko jedno - zaczniesz krzyczeć: "Ratunku!".

- Ty możesz krzyczeć.

Myślę może Mama nie dosłyszała. I wtedy się odzywa:

- Mnie nie będzie w szpitalu.

- A gdzie będziesz?

- Tu, w Pokoju.

Mam lepszy pomysł.

- Ty też byś mogła zachorować na niby, jak wtedy, kiedy oboje mieliśmy biegunkę. Zawiózłby nas razem.

Mama przygryza wargę.

- On tego nie kupi. Wiem, że strach jechać samemu, ale przez cały czas będę do ciebie mówić w myślach, obiecuję. Pamiętasz, jak Alicja spadała i spadała, i spadała, a w myślach cały czas mówiła do swojej kotki, Diny?

Ale Mamy tak naprawdę nie będzie w mojej głowie. Brzuszek mnie boli na samą

myśl.

- Nie podoba mi się ten plan.

- Jack...

- Niedobrze to wymyśliłaś.

- A właśnie...

- Bez ciebie nie idę do Nazewnątrz.

- Jack...

- Nic z tego, kolego, nic z tego, kolego, nic z tego, kolego...

- Dobrze już, dobrze. Damy sobie spokój.

- Serio?

- Tak, nie ma co próbować, skoro nie jesteś gotowy.

Ale jeszcze jest trochę cięta.

Dziś już kwiecień, więc mogę nadmuchać balon. Zostały trzy: czerwony, żółty i drugi żółty, wybieram żółty, żeby na następny miesiąc zostało po jednym z każdego koloru. Dmuchać go i puszczać, żeby śmigał po Pokoju, bo wtedy fajnie prychnie.

Trudno zdecydować, kiedy zawiązać supełek, bo potem balon już nie śmiga, tylko powoli lata. Ale i tak muszę go zawiązać, żeby zagrać w Tenisa Balonowego. To go jeszcze puszczać do ostrego prychośmigania i nadmuchać jeszcze trzy razy, potem wiążę supełek, razem ze swoim palcem niechętnie. Za drugim razem się udaje i gram z Mamą w Tenisa Balonowego, wygrywam pięć razy na siedem meczy.

- Chcesz się poczęstować? - pyta Mama.

- Poproszę z lewej - mówię i włączę do Łóżka.

Nie ma za wiele, ale mniam mniam.

Wydawało mi się, że drzemię, ale słyszę, jak Mama mówi mi do ucha:

- Pamiętaj, jak się czołgali ciemnym tunelem, żeby uciec nazistom? Ruszali pojedynczo.

- Tak.

- No to my też to zrobimy, jak już będziesz gotowy.

- A skąd tunel? - Rozglądam się wokół.

- Na niby, nie naprawdę. Chodzi mi o to, że jeńcy musieli być naprawdę dzielni i wyruszać w pojedynkę.

Kręcę głową.

- To jedyny wykonalny plan. - Mamie świecą się oczy. - Mój dzielny Książę JackerJack. Najpierw pojedziesz do szpitala, a potem wrócisz z policją...

- Aresztują mnie?

- Nie, nie, pomogą. Przywieziesz ich tu, żeby mnie uwolnili i znów będziemy razem przez cały czas.

- Nie umiem ratować - mówię. - Mam dopiero pięć lat.

- Za to masz supermoce - odpowiada Mama. - Tylko ty możesz tego dokonać. Zrobisz to?

Nie wiem, co powiedzieć, ale ona czeka i czeka.

- Dobra.

- Czyli zgadzasz się?

- Tak.

Daje mi ogromniastego buziaka.

Wstajemy z Łózka i zjadamy po pojemniku mandarynek w syropie.

Nasz plan jest chwilami trudny, Mama ciągle o czymś przypomina, mówi "o, nie", ale potem zawsze znajduje jakieś wyjście.

- Policjanci cię nie wydostaną, bo nie będą znali szyfra - mówię.

- Coś wymyślą.

- Co na przykład?

Pociera oko.

- No nie wiem, może wezmą palnik?

- Co...?!

- To takie narzędzie z płomieniem, może przepalić drzwi na wylot.

- Możemy sami takie zrobić - aż podskakuję na samą myśl.

- Możemy... możemy wziąć fiolkę po witaminach, tę z głową

Smoka, postawić ją na włączonej kuchence, aż się zapali i...

- Zginać w płomieniach - kończy Mama niezbyt miłym głosem.

- Ale...

- Jack, to nie jest zabawa. Omówmy od początku cały plan.

Parniętam wszystkie części, ale ciągle mi się miesza kolejność.

- Pomyśl o Dorze, jak przemieszcza się z jednego miejsca do drugiego, a potem do trzeciego - podpowiada Mama. - W naszym przypadku niech to będzie: Auto. Szpital. Policja.

Powtórzysz?

- Auto, Szpital, Policja.

- Albo lepiej pięć kroków. Chory, Auto, Szpital, Policja, Ocalić Mamę.

Czeka.

- Auto...
- Chory.
- Chory - powtarzam.
- Szpital... a nie, przepraszam, Auto. Chory, Auto...
- Chory, Auto, Szpital, Ocalić Mamę.
- Zapomniałeś o policji - mówi. - Policz na palcach. Chory, Auto, Szpital, Policja, Ocalić Mamę.

Przerabiamy to w kółko. Na papierze w linie rysujemy mapę z obrazkami, ten chory to ja z zamkniętymi oczami i wywieszonym językiem, potem brązowy pikap, potem osoba w długim białym płaszczu, to znaczy lekarze, potem wóz policyjny z migającą syreną, a wreszcie Mama, która macha i się śmieje, bo jest wolna, w ręce ma palnik ziejący ogniem jak smok. Głowa mi się zmęczyła, ale Mama twierdzi, że musimy przeciwiczyć ten fragment z chorobą, bo jest najbardziej najważniejszy.

- Jeśli on w to nie uwierzy, to nic z tego nie będzie. Pomyślałam sobie, że naprawdę mocno rozgrzeję ci czoło i pozwolę mu go dotknąć...

- Nie.

- Nie martw się, nie oparzysz się.

Nic nie rozumie.

- Nie że on mnie dotyka.

- Tylko raz, obiecuję. Będę tuż obok.

Dalej kręcę głową.

- Tak, to by mogło się udać - mówi Mama. - Może gdybyś się położył przy kratce wentylacyjnej...

Kłęką i wkłada rękę do Podłóżka przy Łóżkościance, zaraz marszczy brwi i mówi:

- Nie dość gorąco. A może... tuż przed jego przyjściem przyłożę ci do czoła worek z bardzo gorącą wodą? Będziesz w łóżku, a jak usłyszemy, że drzwi robią pik pik, schowam gdzieś worek z wodą.

- Gdzie?

- Nieważne.

- Właśnie że ważne.

Patrzy na mnie.

- Słusznie, musimy dopiąć wszystko na ostatni guzik, żeby plan się nie sknocił. Wrzucę worek z wodą pod łóżko, dobra?

Stary Nick dotknie twojego czoła, a ono będzie megagorące.

Przećwiczymy?

- Z workiem?

- Nie, na razie wejdź do łóżka i poćwicz wiotczenie, jak wtedy, kiedy bawimy się w Zdechłaka.

W tym jestem świetny, zwieszam i otwieram buzię. Mama udaje, że jest nim, przemawia bardzo grubym głosem. Kładzie dłoń nad moimi brwiami i odzywa się całkiem szorstko:

- No, no, ale gorące.

Chichoczę.

- Jack.

- Przepraszam. - Leżę w całkiem bezruchu.

Ćwiczymy jeszcze dużo razy, a potem mam już dość zabawy w na niby, więc Mama pozwala mi przerwać.

Na kolację hot dogi. Mama prawie nie je.

- Parniętasz plan?

Kiwam głową.

- To powiedz.

Przelykam piętękę bułki.

- Chory, Auto, Szpital, Policja, Ocalić Mamę.

- Wspaniale. No to co, jesteś gotowy?

- Na co?

- Na naszą Wielką Ucieczkę. Dzisiaj.

Nie wiedziałem, że to dzisiaj. Nie jestem gotowy.

- A dlaczego dzisiaj?

- Nie chcę już dłużej czekać. Po tym, jak wyłączył prąd...

- Przecież dzisiaj go znowu włączył.

- No tak, po trzech dniach. I Roślina zamarzła. Kto wie, co mu jutro przyjdzie do głowy?

Wstaje ze swoim talerzem, już prawie krzyczy.

- On wygląda jak człowiek, ale nie ma nic w środku.

Nie rozumiem.

- Jak robot?

- Gorzej.

- Bob Budowniczy zna takiego robota...

Mama się wtrąca.

- Słyszysz głos swojego serca, Jack?

- Bam bam - pokazuję jej swoją pierś.

- Nie, chodzi mi o to, co czujesz, kiedy jesteś smutny albo przestraszony, albo rozbawiony i tak dalej?

To się czuje gdzieś niżej, chyba w brzuszku.

- Chodzi o to, że on tego czegoś nie ma.

- Brzuszka?

- Uczuć - wyjaśnia Mama.

Patrzę na swój brzuszek.

- To co ma w zamian?

Wzrusza ramionami.

- Dziurę.

Czyli krater? Ale krater to dziura tam, gdzie coś się stało.

A co tu się stało?

Dalej nie rozumiem, dlaczego to, że Stary Nick jest robotem, znaczy, że akurat dzisiaj musimy wykonać chytry plan.

- Zróbmy to kiedy indziej.

- Dobrze - mówi Mama i klapie na krzesło.

- Dobrze?

- Tak - pociera czoło. - Przepraszam, Jack, wiem, że cię popędzam.

Ja już to obmyślam od dawna, ale dla ciebie to coś całkiem nowego.

Kiwam i kiwam głową.

- Kilka dni chyba nic nie zmieni. Pod warunkiem że nie pozwolę mu na kolejną awanturę.

Uśmiecha się do mnie.

- Może za parę dni?

- Może jak skończę sześć lat.

Mama wpatruje się we mnie.

- Tak, wykiwam go i pójdę do Nazewnarcz dopiero, jak skończę sześć lat.

Opuszcza głowę na złożone ręce.

- Nie rób. - Ciągnę ją.

Podnosi się i ma okropną minę.

- Powiedziałeś, że zostaniesz moim superbohaterem.

Ja coś takiego powiedziałem?

- Nie chcesz uciec?

- Chcę. Ale nie tak całkiem.

- Jack!

Patrzę na ostatni kęs hot doga, ale już go nie chcę.

- Lepiej tu zostańmy.

Mama kręci głową.

- Robi się za ciasny.

- Co?

- Pokój.

- Wcale nie jest ciasny. Popatrz.

Wspinam się na swoje krzesło, robię pajacyka i kręcę się dookoła. W nic się nie walnąłem. -

- Nie masz bladego pojęcia, co się tu z tobą porobiło - mówi drżącym głosem. -
Musisz coś zobaczyć, czegoś dotknąć...

- Zobaczam. Dotykam.

- Czegoś więcej, czegoś innego. Trzeba ci przestrzeni. Trawy.

Myślałam, że chcesz poznać Babcię i Dziadka, i Wujka Paula, pohuścić się na placu zabaw, pójść na lody...

- Nie, dzięki.

- No dobra, nie ma o czym mówić.

Mama zdejmuje ubrania i wkłada koszulkę do spania, a ja robię to samo. Nie odzywa się, taka jest wściekła. Zawiązuje worek ze śmieciami i stawia go przy Drzwiach. Dziś nie ma na nim listy zakupów.

Myjemy zęby. Ma białe na buzi. W lustrze jej oczy wpatrują się w moje.

- Dałabym ci więcej czasu, gdybym tylko mogła - mówi.

- Przysięgam, czekałabym tak długo, jak trzeba, gdybym wiedziała, że nic nam nie grozi. A tak nie jest.

Obracam się szybko do niej tej naprawdę i chowam buzię w jej brzuszku. Usmarowałem ją trochę pastą, ale jej to nie przeszkadza.

Leżymy na Łóżku i Mama mnie częstuje, z lewej. Nie rozmawiamy.

Leżę w Szafie i nie mogę usnąć. Śpiewam cichutko:

- Raz dobosz zuch...

Czekam i zaczynam jeszcze raz.

Wreszcie Mama odpowiada:

-... szedł sobie ulicami,

- I bił za dwóch...

-... w swój bęben pałeczkami.

Przeważnie Mama się przyłącza przy ram ram ram rata tam, bo to najśmieszniejsze, ale nie tym razem.

Mama mnie budzi, ale w środku nocy. Pochyla się nade mną w Szafie, uderzam się w ramię, kiedy próbuję wstać.

- Chodź coś zobaczyć - szepcze.

Stoimy przy Stole i patrzymy w górę, widać tam najogromniejszą okrągłą srebrną buzię Pana Boga. Ale jasna, cały Pokój błyszczy, krany i Lusterko i garnki i Drzwi i nawet policzki

Mamy.

- Wiesz - szepcze - czasem księżyc wygląda jak półkole, czasem jak rogalik, a innym razem jak cienki łuk, obcięta końcówka paznokcia.

- E, nie.

No chyba że w telewizorze.

Mama wskazuje Okno.

- Widzisz go tylko wtedy, gdy jest w pełni i wisi nam tuż nad głowami. Kiedy wyjdziemy, będziemy mogli go oglądać niżej na niebie, we wszystkich postaciach. Nawet za dnia.

- Nic z tego, kolego.

- Mówię ci, jak jest. Zobaczysz, zachłyśniesz się światem.

Poczekaj, aż zobaczysz zachodzące słońce, całe w różach i fioletach...

Ziewam.

- Przepraszam - znowu szepcze. - Chodź już do łóżka.

Sprawdzam, czy worek ze śmieciami zniknął. Tak.

- Stary Nick tu był?

- Był. Powiedziałam mu, że coś cię bierze. Skurcze, biegunka. - Mama się prawie śmieje głosem.

- Dlaczego tak...?

- Łatwiej uwierzy w nasz podstęp. Zaczynamy jutro wieczorem.

Wyszarpuję dłoń z jej dłoni.

- Po coś mu to powiedziałaś?

- Jack...

- Źle wymyśliłaś.

- To dobry plan.

- Głupi, durny plan.

- Innego nie mamy - mówi bardzo głośno.

- Powiedziałem nie.

- Uhm, a wcześniej powiedziałaś może, a jeszcze wcześniej powiedziałaś tak.

- Jesteś kłamczucha.

- Jestem twoją matką. - Mama prawie ryczy. - A to znaczy, że czasem muszę decydować za nas dwoje.

Idziemy do Łózka. Zwijam się ciasno w kłębek plecami do niej.

Szkoda, że nie zamówiliśmy na Niedzielną Rozpustę tych specjalnych rękawic bokserskich. Wtedy by mi było wolno ją zbić.

Boję się na dzień dobry i potem już też się boję.

Mama nie pozwala spuszczać kupy, łamie ją na kawałki trzonkiem Drewnianej Łyżki, żeby wyglądała jak sraczka, śmierdzi ze hej.

Zamiast się bawić, ćwiczymy, że jestem oklapły i nic się nie odzywam. Naprawdę robi mi się niedobrze, według Mamy to siła sugestii.

- Tak świetnie udajesz, że sam się dałeś nabrać.

Znowu pakuję plecak, znaczy się poszewkę, wkładam Pilota i żółty balon, ale Mama się nie zgadza.

- Jeśli weźmiesz coś ze sobą, Stary Nick się domyśli, że uciekasz.

- Mógłbym ukryć Pilota w kieszeni spodni.

Kręci głową.

- Będziesz miał na sobie tylko koszulkę do spania i bieliznę, bo właśnie tak byś był ubrany, gdyby naprawdę cię paliła gorączka.

Wyobrażam sobie, jak Stary Nick niesie mnie do auta, i od razu mi się kręci w głowie, jakbym miał upaść.

- Wiem, że się boisz - mówi Mama. - Ale postępujesz odwrotnie.

- Co?

- Jesteś i przestraszony, i dzielny. Przestraszodzielny.

- Przestradzielny.

Zawsze się śmieje ze słówkowych przekładańców, ale teraz się nie wygłupiałem.

Na lunch zupa wołowa, ale ja wkładam do buzi tylko krakersy.

- Czym się teraz martwisz? - pyta Mama.

- Szpitalem. Bo jeśli nie powiem jak trzeba?

- Musisz im tylko powiedzieć, że twoja matka jest uwięziona i że zrobił to człowiek, który cię przyniósł.

- Ale słowa...

- Co: słowa?

Czeka.

- A jeśli w ogóle ze mnie nie wyjdą?

Opiera buzię na palcach.

- Ciągle zapominam, że nie rozmawiałeś jeszcze z nikim innym niż ja.

Teraz ja czekam.

Wypuszcza powietrze długo i głośno.

- Wiesz co, mam pomysł. Napiszę ci liścik i gdzieś go sobie schowasz. Tam wszystko wyjaśnię.

- Dobrabobra.

- Daj go pierwszej napotkanej osobie, tylko nie pacjentowi, komuś w fartuchu.

- A co ta osoba z nim zrobi?

- Przeczyta, oczywiście.

- To osoby z telewizora umią czytać?

Gapi się na mnie.

- Oni istnieją naprawdę, pamiętasz? Tak jak my.

Dalej w to nie wierzę, ale się nie przyznaję.

Mama pisze liścik na kawałku kartki w linie. Opowiada o nas i Pokoju i o "Proszę jak najszybciej wezwać pomoc". Prawie na samym początku są dwa słowa, których nigdy wcześniej nie widziałem, Mama mówi, że to jej nazwy, takie jak u osób z telewizora, że tak na nią mówili wszyscy w Nazewnątrz, bo tylko ja mówię Mama.

Boli mnie brzusek, nie chcę, żeby miała inne nazwy, których wcześniej w ogóle nie znałem.

- Ja też mam inne nazwy?

- Nie, ty jesteś tylko Jackiem. Chociaż... chyba nosisz też moje nazwisko - wskazuje drugą nazwę.

- Po co?

- Żeby się odróżnić od innych Jacków na świecie.

- Jakich innych Jacków? Tych z czarodziejskich opowieści?

- Nie, prawdziwych chłopców - mówi Mama. - Na świecie żyją miliony ludzi i nie dla wszystkich starcza imion, trzeba się nimi dzielić.

Nie chcę się dzielić swoim imieniem. Jeszcze mocniej boli mnie brzusek. Nie mam kieszeni, więc wkładam liścik pod bieliznę, trochę drapie.

Światło już wycieka. Chciałbym, żeby dzień się jeszcze nie psuł, żeby nie nadchodziła noc.

Jest 08.41, leżę w Łóżku i ćwiczę. Mama nalała naprawdę gorącej wody do plastikowego worka i związała go mocno, żeby nic się nie rozlało, a teraz wkłada go do następnego worka i też ZWIĄZUJE.

- Au! - Próbuję się wywinąć.

- Pieką cię oczy? - Przykłada mi go Z powrotem do buzi.

- Musi być gorący, bo inaczej nic z tego nie wyjdzie.

- Boli.

Sprawdza na sobie.

- Jeszcze minuta.

Wkładam pięści pod worek.

- Musisz być dzielny jak Księżę JackerJack - mówi Mama.

- Inaczej nam się nie uda. A może mam powiedzieć Staremu Nickowi, że dochodzisz do siebie?

- Nie.

- Założę się, że Jack Pogromca Wielkoludów przyłożyłby sobie do twarzy gorący worek, gdyby musiał. No, jeszcze trochę.

- Daj.

Odkładam worek na poduszkę, krzywię się i przystawiam buzię do gorącego. Co jakiś czas robię sobie przerwę, a Mama dotyka wtedy mojego czoła albo policzków, mówi: "Ale skwar" i każe mi przykładać dalej. Troszkę płaczę, nie z gorąca, ale dlatego, że zobaczę Starego Nicka, jeśli dzisiaj przyjdzie, nie chcę, żeby przychodził, chyba się rozchoruję na naprawdę. Ciągłe nasłuchuję pik pik. Mam nadzieję, że nie przyjdzie, wcale nie jestem przestradzielny, ja się normalnie boję.

Lecę do sedesu i robię jeszcze kupę, a Mama ją miesza. Chcę spuścić, ale się nie zgadza, w Pokoju musi śmierdzieć, jakbym miał biegunkę od rana.

Wracam do Łóżka, a Mama całuje mnie w kark i mówi:

- Świetnie ci idzie, płacz jest bardzo wskazany.
- Dlaczego płacz...?
- Bo wyglądasz jeszcze bardziej niezdrowo. Czekał, trzeba ci coś zrobić z włosami...

Mogłam o tym wcześniej pomyśleć.

Wyciska na rękę trochę płynu do naczyń i wciera mi go mocno we włosy.

- Teraz wyglądają jak tłuste. Oj, ale za ładnie pachną, nie możesz tak ładnie pachnieć. Jeszcze raz biegnie do Zegarka.

- Coraz mniej czasu - mówi całkiem roztrzęsiona. - Ale ze mnie kretyńka, przecież musisz cuchnąć, na pewno... o, poczekaj.

Pochyla się nad Łóżkiem, kaszle jakoś inaczej, wkłada rękę do buzi i znów wydaje te dziwne dźwięki. Z buzi wypada jej coś jak ślina, ale o wiele gęściejsze. Widać kawałki paluszków rybnych z kolacji.

Mama wciera to w poduszkę i moje włosy.

- Przestań! - wrzeszczę i próbuję się wyrwać.
- Wybacz, nie mam innego wyjścia.

Jej oczy lśnią niesamowicie. Smaruje rzygami moją koszulkę, a nawet buzię. Śmierdzą naj ohydniej na świecie, ostro i trująco.

- Przyłóż jeszcze twarz do worka.
- Ale...
- Rób, co ci każe, Jack, szybko.
- Ja się tak nie bawię.
- To nie zabawa, którą można przerwać. Przyłóż.

Płaczę, śmierdząca buzia w gorącym worku, chyba zaraz się roztopi.

- Ale jesteś wredna.
- To dla naszego dobra.

Pik pik.

Mama wyrywa worek z wodą, zdziera mi buzię.

- Ciii...

Zamyka mi oczy, przyciska buzię do okropnej poduszki i podciąga Koldrę na plecy.

Razem z nim wchodzi zimniejsze powietrze. Mama od razu woła:

- No, nareszcie jesteś!
- Cicho bądź - warczy pod nosem Stary Nick.
- Ale...
- Przymknij się.

I znów pik pik, a potem łup.

- Znasz zasady - odzywa się. - Przed zamknięciem drzwi nie wychylasz nosa.

- Przepraszam, przepraszam. Tylko że z Jackiem jest naprawdę źle.

Mówi drżącym głosem i przez chwilę sam prawie w to wierzę, udaje jeszcze dobrzej niż ja.

- Ale smród.

- Bo mu wychodzi górą i dołem.

- Pewnie jakiś jednodniowy wirus - mówi Stary Nick.

- To już trwa ponad trzydzieści godzin. Ma dreszcze, jest cały rozpalony...

- Daj mu swoją tabletkę od bólu głowy.

- A myślisz, że co robię cały dzień? Od razu rzyga. Zwraca nawet wodę.

Stary Nick wzdycha.

- Daj no mi spojrzeć.

- Nie - mówi Mama.

- No już, odsuń się.

- Powiedziałam nie

Nie odrywam buzi od poduszki, cała się lepi. Nie otwieram oczu. Stary Nick już tu jest, przy samym Łóżku, widzi mnie.

Czuję na policzku jego dłoń i zachłystuję się ze strachu, Mama mówiła, że czoło, a on nie, dotyka policzka, jego dłoń jest inna niż Mamy, zimna i ciężka...

Już sobie poszedł.

- Kupię mu coś mocniejszego w całodobowej aptece.

- Coś mocniejszego? On ma dopiero pięć lat, jest zupełnie odwodniony i ma gorączkę

Bóg wie jaką wysoką!

Mama krzyczy, nie powinna krzyczeć, Stary Nick się wścieknie.

- Zamknij się na chwilę i daj mi pomyśleć.

- Musi natychmiast pojechać na ostry dyżur, wiesz doskonale.

Stary Nick wydaje jakiś odgłos, nie wiem, co to znaczy.

Mama prawie płacze.

- Jeśli go od razu nie zawieziesz, to może...

- Przestań już histeryzować.

- Proszę. Błagam cię.

- Nic z tego.

„Kolego”, mam na końcu języka. Myślę tak, ale nie mówię, nic nie mówię, tylko leżę

sflaczały, całkiem Nieobecny.

- Powiedz im, że to nielegalny imigrant bez papierów - mówi

Mama. - W tym stanie nie piśnie słówka, możesz go tu od razu odwieźć, jak tylko mu podadzą kroplówkę...

Jej głos się przesuwa za nim.

- Proszę, zrobię, co tylko zechcesz.

- Nie da się z tobą gadać. - Jego głos dobiega jakby spod Drzwi.

- Nie idź. Proszę, proszę...

Coś upada. Tak się boję, że nawet nie otwieram oczu.

Mama wyje. Pik pik. Łup, Drzwi zamknięte, zostaliśmy sami.

Całkiem cicho. Liczę zęby pięć razy, ciągle dwadzieścia, tylko raz dziewiętnaście, ale powtarzam i znów dwadzieścia. Zerkam na boki i podnoszę głowę ze śmierdzącej poduszki.

Mama siedzi na Dywanie oparta o Drzwiościankę. Patrzy na coś: na nic.

- Mamo? - szepczę.

Robi coś przedziwnego, podobnego do uśmiechu.

- Sknociłem udawanie?

- Och, nie. Byłeś fantastyczny.

- Ale nie wziął mnie do szpitala.

- Nie szkodzi. - Mama wstaje, moczy szmatkę w Umywalce i wyciera mi buzię.

- Przecież powiedziałaś: Chory, Auto, Szpital, Policja, Ocalić Mamę.

Piekąca buzia, rzygi i on mnie dotykał i w ogóle.

Mama kiwa głową, podnosi mi koszulkę i ociera piersi.

- To był Plan A, warto było spróbować. Ale za bardzo się wystraszył, tak jak przewidywałam.

Coś jej się pomyliło.

- On? On się wystraszył?

- Bał się, że powiesz lekarzom o Pokoju i policja go wsadzi do więzienia. Miałam nadzieję, że zaryzykuje, jeśli uzna, że grozi ci coś poważnego, ale tak naprawdę w to wątpiłam.

Już rozumiem.

- Oszukałaś mnie! - wrzeszczę. - Nie przejechałem się brązowym pikapem!

- Jack... - przyciska mnie do siebie, buzia mnie boli od jej kości.

Odpycham ją.

- Mówiłaś, że już nie będziesz kłamać, tylko odkłamywać, ale znowu okłamałaś.

- Staram się, jak mogę.

Przygryzam wargę.

- Słuchaj. Możesz mnie przez chwilę posłuchać?

- Ciebie już mam dość słuchania.

Kiwa głową.

- Wiem. Ale i tak posłuchaj. Mamy jeszcze Plan B. Plan A tak naprawdę był częścią Planu B.

- Nic nie mówiłaś.

- To nie takie proste. Sama się głowię od kilku dni.

- No ładnie, a ja mam masę szarych komórek do głowienia.

- To prawda - mówi Mama.

- O wiele więcej niż ty.

- Nie wątpię, ale nie chciałam, żebyś jednocześnie musiał sobie układać w głowie dwa plany. Mogłoby ci się wszystko pomylić.

- Już mi się pomyliło, wszystko mi się już pomyliło.

Całuje mnie przez włosy, całe zalepione.

- Opowiem ci o Planie B.

- Nie będę słuchał o twoich zaścierdłych głupich planach.

- Dobra.

Bez koszulki dygotam z zimna. Znajduję czystą w Komodzie, niebieską.

Idziemy do Łóżka, okropnie śmierdzi. Mama pokazuje mi, jak oddychać samą buzią, bo buzie nie czują.

- Możemy się położyć z nogami w drugą stronę?

- Genialny pomysł - mówi Mama.

Stara się być miła, ale i tak jej nie wybaczę.

Kładziemy nogi po śmierdzącej stronie od ściany, a głowy po drugiej.

Chyba dzisiaj w ogóle się nie wyłączę.

Już 08.21, spałem długo i teraz się częstuję, z lewej jest takie gęste. Stary Nick chyba nie wrócił.

- Dzisiaj sobota?

- Owszem.

- Super, umyjemy włosy.

Mama kręci głową.

- Nie możesz pachnieć czystością.

Już zdążyłem zapomnieć.

- No to jak?

- Co: jak?

- Z Planem B. Już jesteś gotów go wysłuchać?

Nie odpowiadam.

- No więc chodzi o to... - odchrząkuje. - Obracałam to w głowie z każdej możliwej strony i myślę, że może się udać. Nie wiem, nie jestem pewna, to wariactwo i w dodatku niezwykle niebezpieczne, ale...

- Mów.

- Dobrze, dobrze. - Bierze głośno oddech. - Pamiętasz hrabiego Monte Christo?

- Uwięzili go w lochu na wyspie.

- Tak, ale pamiętasz, jak się wydostał? Wcielił się w zmarłego przyjaciela, ukrył w całunie i strażnicy wrzucili go do morza, ale hrabia nie utonął, wypłatał się i odpłynął.

- I co było dalej?

Mama macha ręką.

- Nieważne. Chodzi o to, Jack, że ty masz zrobić to samo.

- Mam się dać wrzucić do morza?

- Nie, masz uciec jak hrabia Monte Christo.

Znów mi się wszystko miesza.

- Przecież nie mam zmarłego przyjaciela.

- Rzecz w tym, że ty odegrasz rolę zmarłego.

Gapię się na nią.

- To będzie raczej jak w przedstawieniu z mojego liceum.

Taka jedna dziewczyna, Julia, żeby uciec z ukochanym chłopakiem, wypila lekarstwo i udawała, że nie żyje, a parę dni później się ocknęła, tada!

- Nie, ty mówisz o Dzieciątku Jezus.

- No niezupełnie. - Mama pociera czoło. - Jezus był martwy przez trzy dni, a potem powrócił do życia. Ty w ogóle nie umiesz, tylko będziesz udawał, jak dziewczyna w sztuce.

- Nie umiem udawać dziewczynę.

- Masz udawać, że nie żyjesz. - Mama zaczyna się wkurzać.

- A skąd weźmiemy całun?

- Ha! Posłużymy się dywanem.

Patrzę na dywan, na jego czerwony, czarny i brązowy wzór z zygzaki.

- Gdy wróci Stary Nick, dzisiaj, jutro czy obojętnie kiedy, powiem mu, że umarłeś, pokażę zwinięty dywan, a w środku będziesz ty.

Nigdy nie słyszałem o czymś tak zwariowanym.

- Dlaczego?

- Bo skończyła ci się woda w ciele i kto wie, może serce się zatrzymało przez gorączkę.

- Nie, dlaczego dywan?

- Sprytne pytanie - mówi Mama. - W ten sposób będziesz zamaskowany i on się nie zorientuje, że tak naprawdę żyjesz.

Wiesz, wczoraj wieczorem popisowo udawałeś chorego, ale ze śmiercią jest o wiele trudniej. Jeśli zauważy, że choć raz odetchnąłeś, zrozumie, że to podstęp. Poza tym zmarli są bardzo zimni.

- Można by wziąć worek z zimną wodą...

Kręci głową.

- Masz być cały zimny, nie tylko na buzi. Aha, i jeszcze sztywniej, więc będziesz musiał leżeć jak robot.

- Nie flaczeć?

- Wprost przeciwnie.

Ale to on jest robotem, Stary Nick, ja mam przecież serce.

- No to trzeba cię zawinąć w dywan, bo inaczej się domyśli, że wcale nie umarłeś. Wtedy mu powiem, że musi cię gdzieś wywieźć i pochować, rozumiesz?

Buzia mi zaczyna drżeć.

- Dlaczego musi mnie pochować?

- Bo martwe ciała szybko zaczynają cuchnąć.

W Pokoju i tak już dziś cuchnie od niespuszczania wody, od rzygopoduszki i w ogóle.

- Robale tu, robale tam...

- No właśnie.

- Nie chcę być pochowany i się rozciapać razem z robalami.

Mama głaszcze mnie po głowie.

- To tylko podstęp, zapomniałeś?

- Taka zabawa?

- Ale nie do śmiechu. Zabawa na serio.

Kiwam głową. Zaraz się chyba rozplącę.

- Daję ci słowo, że gdybym wymyśliła inny plan i miała choć iskierkę nadziei, że się powiedzie... - mówi Mama.

Nie wiem, jak wygląda iskierka nadziei.

- No dobrze. - Wstaje z Łóżka. - Opowiem ci, jak to będzie, i wtedy nie będziesz się tak bardzo bał. Stary Nick wstuka cyferki, otworzy drzwi i wyniesie cię zawiniętego w dywan.

- Ty też będziesz w Dywanie? - Znam odpowiedź, ale pytam na wszelki wypadek.

- Zostanę tu i będę czekać - mówi Mama. - Zaniesie cię do swojego pikapa, położy z tyłu, w tej otwartej części...

- Ja też chcę tu poczekać.

Kładzie mi palec na ustach, żeby mnie uciszyć.

- I to właśnie twoja szansa.

- Co?

- Samochód! Jak tylko zwolni przed znakiem stopu, wypłaczesz się z dywanu, zeskoczysz na ulicę, uciekniesz i sprowadzisz policjantów, a oni mnie uwolnią.

Nic nie mówię, tylko patrzę.

- A więc tym razem plan brzmi: Martwy, Auto, Ucieczka, Policja, Ocalić Mamę. Spróbuj powtórzyć.

- Martwy, Auto, Ucieczka, Policja, Ocalić Mamę.

Jemy śniadanie, każde z nas po 125 płatków, bo musimy mieć dużo siły. Nie jestem głodny, ale Mama każe mi zjeść do końca.

Potem się ubieramy i trenujemy umieranie. To jak najdziwniejsze ćwiczenie z wuefu. Kładę się na końcu Dywanu, Mama mnie nim owija i każe mi się obracać na zmianę na brzuch i na plecy, aż jestem całkiem zrolowany. W Dywanie dziwnie pachnie, kurzem i jeszcze czymś, w każdym razie inaczej niż wtedy, kiedy tylko na nim leżę.

Mama mnie podnosi, cały jestem ściśnięty. Mówi, że przypominam podłużny ciężki pakunek, ale Stary Nick dźwignie mnie bez trudu, bo ma więcej mięśni.

- Przeniesie cię przez podwórko, pewnie do garażu, o tak...

Czuję, jak poruszamy się po Pokoju. Szyja mi się wykrzywiła, ale nie ruszam się ani trochę.

- Albo może na ramieniu, o tak...

Podnosi mnie i stęka, zgniata mnie na pół.

- Czy to daleko daleko?

- Co mówiłeś?

Słowa mi się gubią w Dywanie.

- Poczekaj - mówi. - Przyszło mi do głowy, że być może cię odłoży kilka razy, żeby otworzyć drzwi.

Odstawia mnie, głową w dół.

- Au!

- Chyba się nie odezwiesz, co?

- Przepraszam.

Mam Dywan na buzi, drapie mnie w nos, ale nie mogę go dosięgnąć.

- Zrzuci cię na platformę samochodu, mniej więcej tak.

Zrzuca mnie łup, zagryzam buzię, żeby nie krzyknąć.

- Masz być sztywny, sztywny, sztywny jak robot, dobra? Cokolwiek się stanie.

- Dobra.

- Jeśli zwiotczesz albo się ruszysz, albo choćby piśniesz, Jack, jeśli przez przypadek coś takiego zrobisz, zorientuje się, że wcale nie umarłeś, i tak się wścieknie, że...

- Co? - Czekam. - Mamo? Co zrobi?

- Nie martw się, uwierzy, że nie żyjesz.

Skąd może wiedzieć na pewno?

- Potem wsiądzie do kabiny i pojedzie.

- Gdzie?

- Prawdopodobnie gdzieś za miasto, w jakieś odludne miejsce, żeby nikt nie widział, jak kopie dziurę, na przykład do lasu.

Ale rzecz w tym, że gdy uruchomi silnik, auto się zatrzęsie i usłyszysz głośnie warczenie, coś w tym rodzaju... - Robi buzię brum brum, zazwyczaj mnie to śmieszy, ale nie teraz. - To będzie dla ciebie sygnał, żeby zacząć się wyplątywać z dywanu. Spróbuj.

Wiercę się, ale nic z tego, za ciasno.

- Nie mogę się ruszać! Mamo, nie mogę się ruszać!

Zaraz mnie odwija. Oddycham i oddycham.

- W porządku?

- W porządku.

Uśmiecha się do mnie, ale tym dziwnym uśmiechem na niby. Potem znów mnie zawija trochę luźniej.

- Dalej mnie gniecie.

- Przepraszam, nie pomyślałam, że tak się zaklinujesz. Poczekaj - odwija dywan. - A spróbuj może zgiąć ręce i wystawić nieco łokcie, żeby mieć więcej miejsca.

Zginam ręce, zawija mnie i tym razem mogę je unieść do głowy, przebieram palcami po krawędzi Dywanu.

- Świetnie. Teraz spróbuj się wyczołgać, jak z tunelu.

- Za ciasno. - Nie mam pojęcia, jak to się udało tonącemu hrabiemu. - Wypuść mnie.

- Poczekaj chwilę.

- Wypuść mnie już!

- Jeśli zaczniesz panikować, nici z naszego planu - mówi

Mama.

Znowu płaczę, Dywan się moczy od buzi.

- Chcę wyjść!

Dywan się odwija, znów mogę oddychać.

Mama kładzie mi dłoń na buzi, ale ją zrzucam.

- Jack...

- Nie.

- Posłuchaj.

- Durny Plan B.

- Wiem, że to straszne. Myślisz, że nie wiem? Ale musimy spróbować.

- Wcale że nie. Dopiero jak skończę sześć lat.

- Jest takie coś, co się nazywa egzekucją nieruchomości.

- Co? - Gapię się na nią.

- To trudno wyjaśnić - wzdycha. - Dom Starego Nicka tak naprawdę nie należy do niego, tylko do banku. A skoro stracił pracę, nie ma pieniędzy i nie płaci, bank się może zdenerwować i odebrać mu dom.

Ciekawe, jak bank to zrobi. Może olbrzymią koparką?

- A Stary Nick będzie w środku? Jak Dorotka, kiedy trąba powietrzna porwała jej dom?

- Słuchaj. - Mama chwytła mnie za łokcie tak mocno, że prawie bolało. - Tłumaczę ci, że on za żadne skarby nie wpuści nikogo do domu ani do ogrodu, bo wtedy ten ktoś znalazłby

Pokój, rozumiesz?

- I by nas uwolnił!

- Nie, Stary Nick by do tego nie dopuścił.

- To co by zrobił?

Mama tak mocno przygryza wargi, że całkiem znikają.

- Chodzi o to, że musimy uciec, zanim do tego dojdzie. Zawiniesz się teraz z

powrotem w dywan i jeszcze poćwiczysz, aż nauczyć się wypełzać.

- Nie.

- Jack, proszę...

- Okropnie się boję! - krzyczę. - Nie zrobię tego nigdy przenigdy, a w ogóle to cię nienawidzę!

Mama siada na Podłodze. Dziwnie oddycha.

- Nie szkodzi.

Ja ją nienawidzę, a ona mówi, że nie szkodzi?

Trzyma teraz dłonie na brzuszku.

- Sprowadziłam cię do Pokoju, nie planowałam tego, ale ani razu nie pożałowałam.

Patrzy na mnie, a ja na nią.

- Sprowadziłam cię tu, a dzisiaj wieczorem cię stąd wydostanę.

- Dobrze.

Mówię to cichuteńko, ale ona słyszy i kiwa głową.

- I siebie też, palnikiem. Wyjdziemy jedno po drugim, ale oboje.

Dalej kiwa głową.

- Ale to ty się liczysz. Tylko ty.

Kręcę głową, aż się kolebie, bo nie ma, że tylko ja.

Patrzemy na siebie całkiem serio.

- To jak, wracasz do dywanu?

Tak. Kładę się, a Mama mnie zawija bardzo ciasno.

- Nie mogę...

- Możesz, możesz. - Czuję, jak mnie poklepuje przez Dywan.

- Nie, nie mogę!

- A umiesz policzyć do stu?

Łatwizna. Odliczam, bardzo szybko.

- I już się trochę uspokoiłeś. Zaraz coś wykombinujemy - mówi Mama. - Hmm. Tak się zastanawiam... skoro nie da się wyczołgać, może byś spróbował się... jakoś odwinąć?

- Ale ja jestem w środku.

- Wiem, ale mógłbyś dosięgnąć krawędzi i znaleźć róg.

Spróbuj.

Macam dookoła, aż trafiam na coś kanciastego.

- Właśnie tak - mówi Mama. - Świetnie, teraz pociągnij.

Nie tak, w drugą stronę, aż poczujesz, że się luzuje. Wyobraź sobie, że obierasz

banana.

Odwijam tylko trochę.

- Leżysz na krawędzi i ją obciążasz.

- Przepraszam.

Łzy znów tu są.

- Nie musisz przepraszać, świetnie ci idzie. A gdybyś tak się przeturlał?

- W którą stronę?

- W którą ci będzie łatwiej. Może na brzusek i wtedy wymacaj znów krawędź dywanu i pociągnij.

- Nie da się.

A jednak. Jeden łokieć już wystaje.

- Fantastycznie - mówi Mama. - Naprawdę go poluzowałeś nad głową. A może byś spróbował usiąść? jak myślisz?

To boli, nie dam rady.

Siadam, już wystają oba łokcie i Dywan się rozplątuje przy głowie. Teraz już umiem go odwinąć całego.

- Udało mi się! - krzyczę. - Jestem bananem!

- Jesteś bananem - mówi Mama i całuje mnie po buzi całkiem mokrej. - A teraz spróbujmy jeszcze raz.

Kiedy już jestem tak zmęczony, że muszę przerwać, Mama mi opowiada, co się wydarzy w Nazewnątrz.

- Stary Nick jedzie ulicą. Ty jesteś z tyłu, w otwartej części auta, więc cię nie widzi, okay? Złap się krawędzi samochodu, żeby nie wypaść, bo będzie jechał szybko, o tak... - Chwyta mnie i potrząsa od lewej do prawej. - Potem zacznie hamować, poczujesz takie jakby szarpanie w jedną stronę i samochód zwolni. To oznacza, że zbliża się znak stopu, przed którym kierowcy muszą się na moment zatrzymać.

- Nawet on?

- O tak. Gdy tylko poczujesz, że auto się już prawie nie rusza, to możesz bezpiecznie wyskoczyć.

W Kosmos. Ale nie mówię tego głośno, bo wiem, że nie można.

- Lądujesz na jezdni, twardej jak... - Rozgląda się wokół.

- Jak wanna, ale bardziej szorstkiej. A potem biegiesz, biegiesz, biegiesz, jak Piernikowy Jack.

- Piernikowego Jacka zjadł lis.

- Racja, zły przykład - przyznaje Mama. - Ale tym razem to my jesteśmy liskamichytruskami. -"Nasz Jack jest zwinny, nasz Jack jest chyży"...

- "Ognik przeskoczy wyżej i wyżej".

- Musisz pobiec ulicą, jak najdalej od auta i superszybko jak... Pamiętasz tę kreskówkę, którą kiedyś oglądaliśmy, tę o Strusiu Pędziwiatrze?

- Tom i Jerry też biegają.

Mama kiwa głową.

- Najważniejsze, żeby Stary Nick cię nie złapał. Aha, postaraj się w miarę możliwości wbiec na chodnik, na takie podwyższenie, żeby cię nie potracił jakiś samochód. I musisz też krzyknąć, żeby ktoś ci pomógł.

- Kto?

- Nie wiem, kto bądź.

- A kto to jest ktobądź?

- Po prostu podbiegnij do pierwszej napotkanej osoby.

Albo... hmm, będzie dość późno. Możliwe, że nikt nie będzie szedł ulicą. - Gryzie kciuk, a właściwie paznokcie, nie upominam jej. - Jeśli nikogo nie spotkasz, będziesz musiał pomachać na jakiś samochód, a jak się zatrzyma, powiedzcie ludziom w środku, że zostałeś porwany razem z mamą. A jak nie przyjedzie żaden samochód... kurczę... chyba będziesz musiał podbiec do jakiegoś domu - pierwszego domu z oświetlonymi oknami - i jak naj mocniej zadudnić pięściami w drzwi. Ale tylko do oświetlonego domu, nie do pustego. I koniecznie do frontowych drzwi, wiesz, które to?

- Te od frontu.

- Spróbujemy?

Czeka na odpowiedź.

- Rozmawiaj z nimi tak jak ze mną. Załóżmy, że ja to oni.

Co mówisz?

- Ty i ja zostaliśmy...

- Nie, wyobraź sobie, że to ja jestem tymi ludźmi w domu, w samochodzie czy na chodniku, powiedz im, że ty i twoja mama...

- Ty i twoja mama...

- Nie, masz powiedzieć: "Moja mama i ja..."

- Ty i ja...

Wzdycha.

- No dobra, mniejsza z tym, daj im tylko liścik, masz go jeszcze?

Zaglądam pod bieliznę.

- Zniknął!

Ale zaraz go czuję, przesunął się i schował między półtyłkami. Wyjmuję go i pokazuję Mamie.

- Trzymaj go z przodu. Jeśli niechcący go upuścisz, wystarczy, że powiesz: "Zostałem porwany". Powtórz, dokładnie tymi słowami.

- Zostałem porwany.

- Powiedz to głośno i wyraźnie, żeby cię usłyszeli.

- Zostałem porwany! - wrzeszczę.

- Wspaniale. Wezwą policję, a policja, jak sądzę, przeszuka wszystkie okoliczne ogródki i znajdzie Pokój.

Wcale nie ma takiej pewnej miny.

- I przyjdzie z palnikiem - przypamiętuję jej.

Ćwiczymy i ćwiczymy. Martwy, Auto, Wyplątać się, Zeskoczyć, Pobiec, Ktoś, Liścik, Policja, Palnik. W sumie dziewięć.

Coś mi się zdaje, że nie uda mi się ich wszystkich naraz utrzymać w głowie. Mama twierdzi, że na pewno się uda, że jestem jej superbohaterem, Panem Piątakiern.

Chciałbym mieć nadal cztery lata..

Mogę wybrać, co jemy na lunch, bo dziś szczególny dzień, ostatni spędzony w Pokoju. Tak mówi Mama, ale ja niezupełnie wierzę. Umieram z głodu jak wilk, wybieram makaron z serem, hot dogi i krakersy, czyli trzy lunchy naraz.

Cały czas gramy w Szachy, przestrasza mnie nasza Wielka

Ucieczka, więc dwa razy przegrywam i już nie chcę więcej grać.

Próbujemy się zdrzemnąć, ale nie możemy się wyłączyć.

Częstuję się, najpierw z lewej, potem z prawej, a potem znów z lewej, aż się już prawie nic nie zlewa.

Nie chcemy kolacji, ani Mama, ani ja. Muszę włożyć z powrotem rzygokoszulkę. Mama mówi, że mogę zostawić skarpetki.

- Inaczej sobie poranisz stopy od jezdni. - Mama ociera oko, drugie też. - Włóż najgrubsze, jakie masz.

Nie wiem, dlaczego płacze o skarpety. Idę do Szafy poszukać Zęba pod poduszką.

- Włożę go sobie do skarpetki.

Mama kręci głową.

- A jeśli na niego nadepniesz i skaleczysz się w stopę?

- Nie nadepnę, zostanie na miejscu, tu, z boku.

Jest 06.13, czyli wieczór się już prawie robi. Mama mówi, że naprawdę powinienem być już zawinięty w Dywan, Stary Nick może przyjść wcześniej, bo jestem chory.

- Jeszcze nie.

- No cóż...

- Proszę nie nie.

- Dobrze, ale siedź tutaj, żebym w razie potrzeby mogła cię szybko zawinąć.

Bez przerwy obmawiamy plan, żebym się przeciwiczył w dziewiątce: Martwy, Auto, Wyplątać się, Zeskoczyć, Pobiec, Ktoś, Liścik, Policja, Palnik.

Co chwilę się wzdrygam, bo słyszę pik pik, ale tak naprawdę go nie ma, tylko sobie to wyobrażam. Gapię się na Drzwi, są całe błyszczące jak sztylet.

- Mamo?

- Tak?

- Zróbmy to jutro, a nie dzisiaj.

Pochyla się i mocno mnie przytula. Czyli nie.

Znowu ją troszeczkę nienawidzę.

- Gdybym mogła to dla ciebie zrobić, tobym się nie wahała.

- A dlaczego nie możesz?

Kręci głową.

- Tak mi przykro, że to musisz być ty i że nie możemy tego odwlec. Ale zostanę z tobą w twojej głowie, pamiętasz? Przez cały czas będę do ciebie mówić.

Przerabiamy Plan B jeszcze dużo razy.

- A jak otworzy Dywan? - pytam. - Żeby popatrzeć, jak nie żyję?

Mama się nie odzywa przez minutę.

- Wiesz, że nieładnie bić innych, prawda?

- No.

- Cóż, dzisiaj mamy szczególną sytuację. Szczerze wątpię, żeby to zrobił, będzie chciał jak najszybciej cię... jak najszybciej mieć to wszystko z głowy, ale jeśli przypadkiem... to wtedy uderz go z całej siły.

O.

- Kop, gryź, dźgaj w oczy. - Mama przeszywa palcami powietrze. - Rób, co możesz, żeby tylko uciec.

Nie wierzę własnym uchom.

- Wolno mi go nawet zabić?

Mama podbiega do Szafki, gdzie suszą się naczynia. Wyjmuje Gładki Nóż.

Patrzę, że błyszczący, myślę o tym, co opowiadała, jak przystawiła go Staremu Nickowi do gardła.

- Myślisz, że dałbyś radę trzymać go mocno w środku, a jeśli...

Spogląda na Gładki Nóż, a potem odkłada go z powrotem do widelców na Suszarce.

- Co ja sobie wyobrażałam?

A skąd mam wiedzieć, jak ona nie wie?

- Przecież się zadźgasz.

- Nie.

- Tak, Jack, jak to nie, potniesz się na kawałki, zawinięty w dywan, miotany na wszystkie strony z nagim ostrzem w ręce - chyba już całkiem straciłam głowę.

Nieprawda.

- Jest na swoim miejscu. - Klepię ją po włosach.

Mama gładzi mnie po plecach.

Sprawdzam, że Ząb jest w skarpetce, a liścik z przodu majtek. Śpiewamy dla zabicia czasu, ale cichutko. Zatrąć się w muzyce i Chumbawambę i Dom na prerii...

„Gdzie antylopa i jeleń hasają „ - zaczynam.

„Gdzie nie usłyszysz słowa złego „

„A niebo i słońce chmur nie znają”.

- Już czas - mówi Mama i rozchyła Dywan.

Nie chcę. Wyciągam się, kładę dłonie na ramionach i wystawiam łokcie. Czekam, aż Mama mnie zawinie.

Ale ona tylko patrzy. Na moje stopy nogi ręce głowę, jej wzrok ślizga się po całym mnie, jakby odliczała.

- Co jest? - pytam.

Nic nie mówi. Pochyla się, nie całuje mnie nawet, tylko dotyka buzią mojej buzi i sam już nie wiem, czyja jest czyja. W mojej piersi rymsrymsryms. Nie mogę jej puścić.

- No dobra - odzywa się Mama urywanym głosem. - Jesteśmy przestradzielni, prawda? Przestradzielni że hej. Do zobaczenia na zewnątrz.

Układa mi ręce jak trzeba, tak, że wystają łokcie. Przykrywa mnie Dywanem i światło odchodzi.

Jestem zawinięty w drapiące ciemno.

- Nie za ciasno?

Sprawdzam, czy mogę podnieść ręce nad głowę i z powrotem, trochę się podrapałem.

- Pasuje?

- Pasuje - mówię.

A potem tylko czekamy. Coś przechodzi górą i głaszcze mnie po włosach, to jej dłoń, wiem nawet bez widzenia. Słyszę, jak oddycham głośno. Myślę o hrabim w worku z pełzającymi robalami. Leci leci leci plask o morze. Czy robaki umiały pływać?

Martwy, Auto, Pobiec, Ktoś - nie, Wyplątać się, potem Zeskoczyć, Pobiec, Ktoś, Liścik, Palnik. Zapomniałem o Policji przed Palnikiem, to za skomplikowane, wszystko zepsuję i Stary Nick naprawdę mnie pochowa i Mama będzie czekać na zawsze.

Mija dużo czasu i szepczę:

- Przyjdzie czy nie?

- Sama nie wiem - odpowiada Mama. - Jak mógłby nie przyjść? Jeśli jest choć trochę człowiekiem...

Myślałem, że człowieki są albo ich nie ma, nie wiedziałem, że można być trochę człowiekiem. To reszta jego jest kim?

Czekam i czekam. Już ręk nie czuję. Dywan leży mi na nosie, chętnie bym się podrapał. Próbuję i próbuję i wreszcie dosięgam.

- Mama?

- Jestem.

- Ja też.

Pik pik.

Aż podskakuję, powinienem być martwy, ale nic na to nie poradzę, chcę się natychmiast wydostać z Dywanu, ale utknąłem i nawet nie mogę próbować, bo on...

Coś mnie naciska, to na pewno ręka Mamy. Jestem jej potrzebny jako Super Książę JackerJack, więc leżę całkiem spokojnie. Ani drgnę, jestem Umarlakiem, jestem hrabią albo nie, jestem jego zmarłym przyjacielem jeszcze martwiejszym, cały jestem sztywny jak robot po awarii prądu.

- Masz. - To głos Starego Nicka. Brzmi jak zwykle. On w ogóle nie wie, co się stało, że umarłem już. - Antybiotyki, tylko trochę przeterminowane. Gość mówił, że dla dziecka trzeba przełamać na pół.

Mama nie odpowiada.

- Gdzie on jest, w szafie?

To ja, ten on.

- W dywanie? Odbiło ci? Kto to widział tak zawijać chore dziecko?

- Nie wróciłeś. - Mama się odzywa naprawdę niesamowitym głosem. - W nocy mu się

pogorszyło i rano się już nie obudził.

Nic. A potem Stary Nick wydaje jakiś dziwny dźwięk.

- Jesteś pewna?

- Czy jestem pewna?! - Mama wrzeszczy, ale ja się nie ruszam, ja się nie ruszam, jestem całkiem sztywny nie słyszę nie widzę nie w ogóle.

- Och, nie. - Cały czas słyszę jego oddech. - Coś strasznego. Oj, ty bidulo...

Przez minutę nikt się nie odzywa.

- Czyli to musiało być coś naprawdę poważnego - mówi

Stary Nick. - Tabletki by i tak nie pomogły.

- Zabiłeś go! - wyje Mama.

- No już, uspokój się.

- Jak mam się uspokoić, skoro Jack... - Dziwnie oddycha i mówi, jakby nie mogła złapać powietrza. Niby na niby, ale naprawdę, aż prawie sam zaczynam w to wierzyć.

- Pokaż no. - Jego głos jest bardzo blisko, naprężam się sztywno sztywno sztywno.

- Nie dotykaj go!

- Dobrze już, dobrze.

Po chwili Stary Nick mówi:

- Nie możesz go tu trzymać.

- Moje dziecko!

- Wiem, to okropne. Ale muszę go już zabrać.

- Nie.

- Ile czasu minęło? - pyta. - Rano, mówiłaś? Może w nocy?

Pewnie już zaczyna... Nie można go tu trzymać, to niehigieniczne. Lepiej go wezmę i... i znajdę jakieś miejsce.

- Nie w ogrodzie! - Mama prawie warczy.

- W porządku.

- Jeśli zostawisz go w ogrodzie... ani mi się waży, to za blisko. Jeśli go tam pochowasz, usłyszę jego płacz.

- W porządku, powiedziałem.

- Wywieź go gdzieś daleko, dobrze?

- Dobrze. Przepuść mnie...

- Jeszcze nie. - Mama płacze i płacze. - Tylko nie zakłócaj mu spokoju.

- Nawet nie uchylę dywanu.

- Tylko spróbuj go tknąć...

- Dobra, dobra.

- Przysięgnij, że nawet na niego nie spojrzysz tym swoim paskudnym wzrokiem.

- Dobra.

- Przysięgnij.

- Przysięgam, jasne?

Nie żyję nie żyję nie żyję.

- Zorientuję się - mówi Mama. - Jeśli zostawisz go w ogrodzie, zorientuję się i będę wrzeszczeć, jak tylko otworzysz drzwi, wywrócę tę budę do góry nogami, przysięgam, już nigdy się nie zamknę. Mnie też będziesz musiał zabić, żeby mieć spokój, teraz już mam to gdzieś.

Dlaczego mu mówi, żeby ją zabił?

- Spokojnie. - Stary Nick odzywa się jak do psa. - Już go wezmę i zaniosę do auta, dobrze?

- Ostrożnie. I znajdź jakieś ładne miejsce - mówi Mama.

Placze tak strasznie, że ledwo można rozróżnić słowa. - Jakiś las, czy coś takiego.

- Jasne. Już czas jechać.

Ktoś mnie łapie przez Dywan i ściska, to Mama.

- Jack, Jack, Jack...

I wtedy ktoś mnie dźwiga. Przez chwilę myślę, że to Mama, ale potem już wiem, że to on. Nie rusz się nie rusz się nie rusz się JackerJack masz być sztywny sztywny sztywny. Dywan mnie miażdży, trudno oddychać, ale zmarli i tak nie oddychają. "Nie pozwól, żeby mnie odwinął". Szkoda, że nie mam Gładkiego

Noża.

Znowu pik pik, a potem klak, czyli Drzwi otwarte. Dorwał mnie potwór, fufufefi. Gorąco po nogach, o nie, Penis popuścił. I pupa strzyknęła troszkę kupy, Mama nic o tym nie mówiła. Śmierdzi. Sony, Dywanie. Coś mi stęka koło ucha, Stary

Nick złapał mnie mocniej. Tak się boję, że aż nie umiem być dzielny, stój stój stój ale nie mogę nawet pisnąć bo inaczej rozpozna podstęp i mnie zje od razu, oderwie mi nogi...

Liczę zęby, ale tracę rachubę, dziewiętnaście, dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa. Jestem Księżę Robot Super JackerJack Pan

Piątak i się nie ruszam. Jesteś tam, Ząbie? Nie czuję cię, ale pewnie schowałeś się w skarpetce, gdzieś z boku. Jesteś częścią Mamy, malutką częścią skóry zdjętej z Mamy i jedziesz tu ze mną.

Ręce mi zdrętwiały.

Inne powietrze. Kurzowe dywanowe, ale wystarczy odrobinę podnieść nos, żeby wpadło to powietrze z...

Nazewnątrz.

Czy to możliwe?

Nieruch. Stary Nick się zatrzymał. Dlaczego stoi w ogrodzie? Co on...?

Ruszył na nowo. Jestem sztywny sztywny sztywny.

Auuuú, spadam na coś twardego. Chyba nie pisałem, przynajmniej nie słyszałem. Wydaje mi się, że przygryzłem wargi, bo smakują jak krew.

Znów słycać pik, ale inne. Coś pobrzękuje jakby metalicznie. Jeszcze w górę i z powrotem w dół z hukiem, prosto na buzię, au au au. I łup. Leżę na brzuchu, a pod spodem wszystko zaczyna się telepać i warkotać i wyć, to jakieś trzęsienie ziemi...

A nie, to samochód, na pewno. W ogóle nie przypomina brum brum, chyba że razy milion."Mamo!" - krzyczę w myślach. Martwy, Auto, to tylko dwójka z dziewiątki. Leżę z tyłu brązowego pikapa tak jak opowiadała.

Jestem nie w Pokoju. Czy ja to ciągle ja?

Rusza. Śmigam autem naprawdę, całkiem prawdziwie naprawdę.

Oj, trzeba Wyplątać się, pozapomniałem. Wiję się jak wąż, ale Dywan' jakiś ciaśniejszy, nie wiem dlaczego, nie mogę się ruszyć nie mogę się ruszyć. Mamo Mamo Mamo... nie mogę się wydostać tak jak ćwiczyliśmy, chociaż ćwiczyliśmy i ćwiczyliśmy, wszystko na nic, przepraszam. Stary Nick zawiezie mnie gdzieś i zakopie, a potem robale tu, robale tam... Płacę znowu, leci mi z nosa, naprężam ręce pod pierściami, mocuję się z Dywanem, bo już przestał być moim przyjacielem, kopię jak w Karate, ale nie puszcza, to całun dla trupów wrzucanych do morza...

Ucisza się. Nieruch. Auto się zatrzymało.

Stop, znak stopu, a to znaczy, że mam Zeskoczyć, to numer pięć na liście, ale jeszcze nie zacząłem trójki, jak mam zeskoczyć, skoro nie mogę się wyplątać? Nie mogę przejść do cztery pięć sześć siedem osiem ani dziewięć, utknąłem przy trójce, zakopie mnie i przyjdą robale...

Rusza, brum brum.

Podnoszę dłoń do buzi całej zasmarkanej, dłoń przedziera się do góry i podciągam drugą rękę. Łapię palcami to inne powietrze, coś zimnego, coś metalowego i coś jeszcze, nie z metalu, ale z takimi jakby wypustkami. Łapię i ciągnę ciągnę ciągnę i wierzgam nogami, moje kolano, au au au. Nie da się, nie uda się."Znajdź róg", czy to Mama do mnie mówi w myślach, jak obiecywała, czy ja sobie to przypominam? Macam Dywan naokoło, a rogu nie

ma, o, jest, ciągnę, odwija się trochę, tak mi się zdaje. Turlam się na plecy, ale teraz jeszcze ciasniej i już się nie da wymacać rogu.

Stoi, auto znowu stoi, a ja jeszcze nie wylazłem, a miałem wyskoczyć za pierwszym razem. Ciągnę w dół krawędź Dywanu, zaraz mi złamie łokieć, i nagle coś mnie oślepia mocno, ale tylko na chwilę, bo auto rusza z miejsca brummm.

Myślę, że to Nazewnątrz widziałem, Nazewnątrz istnieje naprawdę i jest takie jasne, a ja nie mogę...

Mamy tu nie ma, nie czas na płacz, to ja, Księżę JackerJack, muszę być JackerJackiem, bo inaczej wpełzną robale. Przewracam się z powrotem na brzuch, uginam nogi w kolanach i wypinam pupę, wystrzelę z Dywanu, o, rozwija się, zsuwa mi się z buzi...

Oddycham cudownym czarnym powietrzem. Siadam i obieram z siebie Dywan, jakbym był wymiętolorrym bananem. Kucyk mi się rozwalił i pełno włosów mi wchodzi do oczu. Odnajduję swoje nogi, pierwsza i druga, a potem wyjmuję całego siebie, zrobiłem to, zrobiłem to, szkoda, że Dora tego nie widzi, zaśpiewałaby piosenkę "Udało się".

Jeszcze raz światło mignęło u góry. Przesuwają się po niebie myślę że drzewa. I domy i światła na wielgachnych słupach i samochody wszystko śmiga. To jak w kreskówce a ja w samym środku ale nie wiadomo o co chodzi. Trzymam się krawędzi auta zimnej i twardej. Najogromniejsze niebo, skrawek różowy i pomarańczowy, reszta szara. Patrzę na dół, ulica jest czarna i ciągnie się i ciągnie bez końca. Zeskoczyć wiem umiem ale nie jak wszystko warkocze i kołysze i światła się rozmazują i dziwne powietrze pachnie jak jabłko czy coś. Oczy mi się popsuły, jestem za bardzo przestraszony, żeby być przestradzielny.

Znowu się zatrzymało. Nie umiem zeskoczyć, normalnie nie mogę się ruszyć. Ledwo wstaję i wyglądam, a tu...

Auto ucieka spod nóg i zwałam się z hukiem, głowa uderza bółąco, niechcący krzyczę aaaaa!...

Stop.

Zgrzyt. Twarz Starego Nicka. Wysiadł z samochodu i ma najwścieklejszą minę na świecie i...

Hop!

Ziemia rozrywa mi stopy rozwała kolano uderza w buzię ale biegnę biegnę biegnę gdzie jest Ktobądz. Mama kazała krzyżeć do Ktobądzia do auta do domu ze światłami, widzę auto ale ciemno w środku i tak nie da się wydobyć słowa buzia pełna włosów ale biegnę dalej Jacku z Piernika bądź zwinny bądź chyży. Mamy nie ma ale przyrzekła że w moich myślach woła

„biegnij biegnij biegnij”. Ryk za moimi plecami to on, to Stary

Nick nadciąga rozerwać mnie na dwoje fujujeji, muszę znaleźć Ktobądzia i krzyczeć ratunku ratunku ale Ktobądz nigdzie nie jest, nie ma nigdzie Ktobądzia, muszę dalej biec bez końca ale oddech mi się zużył i nic nie widzę i...

Miś.

Wilk?

Pies, czy pies może być ktobądziem?

Ktobądz nadchodzi za psem, ale bardzo mała osoba, dziecko, pcha coś na kółkach, a w środku mniejsze dziecko. Nie pamiętam, co krzyczeć, mam wyłączony dźwięk, biegnę do nich tylko. Dziecko się śmieje, prawie nie ma włosów. To malutkie w pchajkółku chyba nie jest prawdziwe, to lala. Pies jest mały, ale istnieje naprawdę, wali kupę na ziemię, psy z telewizora tak nie robią nigdy. Nadchodzi za dzieckiem jakaś osoba i wkłada kupę do woreczka jak jakiś skarb, to chyba onosoba, ma krótkie włosy jak Stary Nick, ale kręcone, i jest ciemnoskórszy niż dziecko. Krzyczę „Ratunku!”, ale wychodzi za cicho. Biegnę, już jestem prawie przy nich, a pies hauczy, podskakuje i mnie pożera...

Otwieram buzię szeroko do krzyku, ale nie dobywa się żaden dźwięk.

- Raja!

Ręka czerwona, cała w kropki.

- Raja, leżeć! - Onosoba łapie psa za kark.

Z ręki mi wypada krew.

I wtedy cap od tyłu, to Stary Nick, trzyma wielkie łapy na moich żebrach. Sknociłem to, schwycił mnie, „Mamo przepraszam przepraszam przepraszam”. Podnosi mnie i wtedy krzyczę, krzyczę w ogóle bez słów. Wrzuca mnie pod pachę, niesie do auta, Mama mówiła, że mogę bić, mogę zabić, bijębijęalenięsięgam, bijęsiebietylko...

- Przepraszam! - woła osoba od woreczka z kupą. - Halo, proszę pana!

Nie mówi dudniącym głosem, tylko takim cichszym.

Stary Nick się odwraca. Zapomniałem krzyk.

- Bardzo przepraszam, czy pańskiej córeczce się nic nie stało?

Jakiej córeczce?

Stary Nick odchrząkuje, dalej niesie mnie do auta, ale tyłem.

- Nie, nie.

- Raja jest na ogół bardzo łagodny, ale wyskoczyła na niego nie wiadomo skąd...

- To tylko histeria - mówi Stary Nick.

- Halo! Proszę poczekać, chyba dłoń jej krwawi.

Patrzę na poźarty palec, kapie z niego krew.

A on podnosi małą osobę, trzyma ją na ręce, a woreczek z kupą w drugiej, i wygląda na całkiem zmieszanego.

Stary Nick mnie stawia i zaciska mi palce na ramionach, aż parzą.

- Wszystko jest w porządku.

- I z kolana też, źle to wygląda. Raja tego nie zrobił. Co jej się stało, upadła? - pyta pan.

- Ja to nie jej - mówię, ale tylko do gardła.

- Pilnuj pan lepiej swojego nosa. - Stary Nick już prawie warczy.

„Mamo, Mamo, powiedz coś”. Już jej nie ma w moich myślach, już jej nie ma nigdzie. Ale napisała liścik, pozaporuniałem, wkładam niepożartą rękę pod bieliznę i nie mogę znaleźć liściku, ale już mam, cały jest zasikany. Nie mogę nic wydusić, ale macham nim do ktosiapana.

Stary Nick wyrywa mi go z ręki i gdzieś zapodziewa.

- Nie... nie podoba mi się to - mówi pan. Trzyma w dłoni mały telefon, skąd on się wziął? - Tak, z policją proszę - dodaje.

Czyli jest tak, jak mówiła Mama, to już ósemka, czyli Policja, a ja nie zdążyłem nawet pokazać Liściku ani opowiedzieć o Pokoju, lecę od końca. Mam teraz porozmawiać z tym ktosiem jak z normalnym człowiekiem. Zaczynam mówić:”Zostałem porwany...”, ale wychodzi tylko szepty głos, bo Stary Nick znowu mnie podniósł, kieruje się do samochodu, biegnie, trzęsę się jak galaretką, nie mogę go trafić, on mnie...

- Mam pana numery!

To ktoś tak krzyczy, chyba nie na mnie? I jakie numery?

- Ka dziewięć trzy - wykrzykuje liczby, dlaczego on wykrzykuje liczby?

Nagle aaaaa! jezdnia wali mnie w brzusek dłonie buzię, Stary Nick biegnie, ale beze mnie. Upuścił mnie. Z każdą sekundą jest coraz dalej. Widocznie jak się wypowie te czarodziejskie liczby, to on mnie upuszcza.

Próbuję wstać, ale nie mogę sobie przypomnieć jak.

Ryk potwora, auto robi brummmmm i jedzie na mnie wrrrrrr, rozniesie mnie na strzępki na jezdni, nie wiem co gdzie jak - dziecko płacze, nigdy wcześniej nie słyszałem, jak płacze dziecko naprawdę...

Auto pojechało. Minęło mnie i pędem za róg. Jeszcze je słyszę przez chwilę, a potem już nie.

Na podwyższeniu, chodnik, Mama mówiła, że na chodnik.

Muszę pełzać, ale skaleczone kolano do góry. Chodnik jest cały w wielkie kwadraty i drapie.

Okropnie śmierdzi. Psi nos tuż przy mnie, wrócił mnie pogryźć, wrzeszczę.

- Raja! - Pan odciąga psa. Kuca, dziecko sadza na kolanie, a ono się wierci. Nie ma już torebki z kupą. Wygląda jak osoba z telewizora, ale bliżej i szerzej i z zapachami, jakby płynę do naczyń, mięty i curry razem wziętych. Ręka, która nie trzyma psa, wysuwa się w moją stronę, ale w samą porę turlam się w bok.

- Już dobrze, słońko. Już dobrze.

Kto jest słońko? Jego oczy wpatrują się w moje, to ja jestem słońko. Odwracam wzrok, to zbyt dziwaczne, że on mnie widzi i do mnie mówi.

- Jak ci na imię?

Ludzie z telewizora nigdy o nic nie pytają, może tylko Dora, ale ona już zna moje imię.

- Możesz mi powiedzieć, jak na ciebie wołają?

Mama mówiła, żeby rozmawiać z tym kłosem, to moje zadanie. Próbuję, ale nie da się. Oblizuję wargi.

- Jack.

- Co mówiłaś? - Pochyliła się niżej, kulę się z głową w ramionach.

- Już dobrze, nikt ci nie zrobi krzywdy. Możesz wymówić swoje imię trochę głośniej?

Łarwiej mówić, jak na niego nie patrzę.

- Jack.

- Jackie?

- Jack.

- Och. No tak, przepraszam. Twój tata już sobie poszedł, Jack.

O czym on opowiada?

Dziecko zaczyna go ciągnąć za, no, to na koszuli, już wiem, za kurtkę.

- A ja jestem Ajeet - mówi onosoba. - A to moja córka - poczekaj, Naisha. Jack potrzebuje plastra na to ała na kolanie, zobaczmy, czy... - Grzebie w torbie. - Raja bardzo żałuje, że cię pogryzł.

Pies wcale nie wygląda na takiego, co by żałował, ma szpiczaste brudne zęby. Czy on wypił mi krew jak wampir?

- Nie wyglądasz za dobrze, Jack, chory jesteś?

Kręcę głową.

- Mama.

- Co takiego?

- Mama mi nawymiotowała na koszulkę.

Dziecko się rozgadało, ale nie w języku. Łapie za uszy Raję-

- psa, dlaczego ona się go nie boi?

- Przepraszam, nie dosłyszałem - mówi Ajeetpan.

Już się nie odzywam.

- Zaraz przyjedzie policja, wiesz?

Odwraca się w stronę ulicy, mała Naisha trochę popłakuje i on zaczyna ją huścić na kolanie.

- Już, już, zaraz do domku do Musi, zaraz do łóżeczka.

Myszę o Łóżku. Ciepłym.

Pan wciska guziczki w telefonie i jeszcze coś mówi, ale nie słucham.

Chcę uciekać. Ale jak tylko się ruszę, to Rajapies chyba mnie ugryzie i wypije jeszcze więcej krwi. Siedzę na linii, więc trochę mnie jest na jednym kwadracie, a drugie trochę na innym. Pożarty palec boli i boli i tak samo kolano, to prawe, skóra pękła i leci krew, na początku czerwona, a teraz robi się czar:” na. Koło mojej stopy leży coś spiczastego i owalnego, próbuję to podnieść, ale przywarło, w końcu wsuwa mi się w palce, to liść. To liść z prawdziwego drzewa, jak ten, który leżał wtedy na Oknie. Patrę do góry, nade mną drzewo, na pewno ono zrzuciło liścia. Oślepia mnie wielki światłosłup. Za nim cała ta ogromność nieba, teraz już czarna, a różowe i pomarańczowe skrawki gdzie poszły? Powietrze mi się przesuwają po buzi i drzę niechcący.

- Na pewno ci zimno. Zimno ci?

Najpierw myślę, że Ajeetpan mówi do małej Naishy, ale nie, do mnie, bo zdejmuję kurtkę i wyciąga ją w moją stronę.

- Proszę, Kręcę głową, bo to kurtka osoby, ja nigdy nie miałem kurtki.

- Jak to się stało, że zgubiłeś buty?

Jakie buty?

Po tym Ajeetpan przestaje się już odzywać.

Zatrzymuje się auto, wiem jakie, to radiowóz z telewizora.

Osoby wysiadają, dwie, z krótkimi włosami, jedno czarne drugie żółte, ruszają się szybko. Mała Naisha próbuje się wyrwać, ale on ją trzyma w ramionach, nie robi jej krzywdy nie wydaje mi się. Raja leży na czymś brązowym, to trawa, myślałem, że będzie zielona, widać kilka trawiastych kwadratów wzdłuż chodnika. Chciałbym mieć jeszcze liścik, ale Stary Nick go zniknął.

Nie mam słów, wytrzesły mi się z głowy.

Mama dalej w Pokoju, tak bardzo bardzo bardzo bym chciał, żeby tu była. Stary Nick uciekł odjechał szybko autem ale gdzie on pojechał, już nie nad jezioro ani do drzew bo widział mnie niemartwego, wolno mi było go zabić ale nie dałem rady.

Nagle nachodzi mnie straszna myśl. Może wrócił do Pokoju, może właśnie teraz tam jest, robi Drzwiom pik pik i jest wściekły, to moja wina, że jestem niemartwy...

- Jack?

Patrzę na ruchomą buzię. To ktoś z policji, chyba ten ona, ale trudno powiedzieć, z czarnymi włosami, nie żółtymi. "Jack", powtarza. Skąd wie?

- Jestem z policji, nazywam się Oł. Możesz mi powiedzieć, ile masz lat?

Muszę Ocalić Mamę, muszę porozmawiać z policją, żeby wzięli Palnik, ale buzia mi się zablokowała. Pani ma takie coś przy pasie, to pistolet, jak u policji z telewizora. A jak to źli policjanci, ci, co uwięzili świętego Piotra, nie przyszło mi to wcześniej do głowy. Patrzę na pas zamiast na buzię, fajowski pas z klamrą.

- Wiesz, ile masz lat?

Łatwizna. Podnoszę pięć palców.

- Pięć lat, świetnie. - Pani Oł jeszcze coś mówi, ale nie słyszę. A potem dodaje coś o dresie. Dwa razy.

Odzywam się naj głośniejszym głosem jak umiem, ale bez patrzenia.

- Nie mam dresu.

- Nie? A jak chcesz już spać, to gdzie idziesz?

- Do Szafy.

- Do szafy?

„Postaraj się”, mówi Mama w moich myślach, ale jest przy niej Stary Nick, wściekły jak nie wiem i...

- Powiedziałeś: do szafy?

- Ty masz dres - mówię. - To znaczy Mama. Różowy. Ale wolisz... to znaczy woli dzinsy.

- Twoja mama? Dobrze zrozumiałam? - pyta Pani Oł. - Ona ma dres?

Kiwać głową ławiej.

- A gdzie jest dzisiaj twoja mama?

- W Pokoju.

- W pokoju, no dobrze - mówi. - A w którym pokoju?

- W Pokoju.

- A możesz nam powiedzieć, gdzie on jest?

Przypominam sobie coś.

- Nie ma go na żadnej mapie.

Robi wydech, coś mi się zdaje, że moje odpowiedzi są do mczego.

Drugi ktoś z policji to chyba on, nigdy nie widziałem na żywo takich włosów, prawie przezroczyстых. Mówi: "Róg Navaho i Alcott, nieletni z zaburzeniami, prawdopodobnie domówka". Wydaje mi się, że rozmawia przez telefon. To jak zabawa w Papugę, znam słowa, ale nie wiem, co znaczą. Policjant podchodzi bliżej do Pani Oł.

- Masz coś?

- Opornie idzie.

- Ze świadkiem też. Podejrzany biały mężczyzna, wzrost jakiegoś metr siedemdziesiąt pięć, wiek czterdzieści pięćdziesiąt, zbiegł bordowym albo ciemnobrązowym pikapem, być może

F sto pięćdziesiąt albo Ram, początek K dziewięć trzy, dalej B albo P, stan nieznany.

- Czy ten pan, który tu z tobą był, to twój tata? - Pani Oł znowu rozmawia ze mną.

- Nie mam taty.

- Chłopak twojej mamy?

- Nie mam chłopaka mamy.

Mogę tak odpowiadać?

- A wiesz, jak się nazywa?

Przyparniętuję sobie.

- Ajeet.

- Nie, ten drugi, ten, który odjechał autem.

- Stary Nick - szepczę, bo on by nie chciał, żeby powiedział.

- Jak?

- Stary Nick.

- Nie - mówi do telefonu pan policja. - Podejrzany zbiegł, imię Nick, Nicholas, nazwiska brak.

- A jak się nazywa twoja mama? - pyta Pani Oł.

- Mama.

- A poza tym ma jakieś imię albo nazwisko?

Podnoszę dwa palce.

- Obydwa? Świetnie. A pamiętasz je może?

Były zapisane w liściku, ale on go zniknął. Nagle coś sobie przypominam.

- On nas ukradł.

Pani Oł siada koło mnie na ziemi, która wcale nie przypomina Podłogi, cała jest twarda i dostają dreszczy.

- Chcesz koc, Jack?

Nie wiem. Koca tu nie ma.

- Masz tu paskudne skaleczenia. Czy ten cały Nick ci to zrobił?

Pan policja wraca i przynosi mi coś niebieskiego, nie dotykam.

- Dawaj - mówi do telefonu.

Pani Oł otula mnie tym niebieskim, nie jest takie szare i puchate jak Koc, bardziej szorstkie.

- Jak to się stało, że się skaleczyłeś?

- Pies jest wampirem. - Rozglądam się za Rają i jego człowiekami, ale gdzieś znikli. - W ten palec mnie ugryzł, a kolano mi na ziemi.

- Słucham?

- Ulica. Ulica mnie uderzyła.

- Dawaj. - To mówi pan policja, znów rozmawia przez telefon. Potem patrzy na Panią Oł i pyta:

- Od razu na pogotowie opiekuńcze?

- Daj mi jeszcze parę minut - odpowiada. - Jack, mogę się założyć, że lubisz opowiadać różne historyjki.

Skąd wie? Pan policja patrzy na zegarek, który mu się przyczepił do nadgarstka. Przypominam sobie nadgarstek Mamy, ten popsuty. Czy Stary Nick tam teraz jest, wykręca jej nadgarstek albo kark, rozrywa ją na strzępy?

- A opowiedziałbyś mi, co się dzisiaj stało? - Pani Oł uśmiecha się do mnie. - Może spróbujesz mówić naprawdę wolno i wyraźnie, bo ostatnio niezbyt dobrze słyszę.

Może jest głucha, ale przecież nie rozmawia palcami jak głuchowaci z telewizora.

- Zrozumiałem - mówi pan policja.

- To co, zaczynamy? - pyta Pani Oł.

Na mnie patrzy. Zamykam oczy i rozmawiam z Mamą na niby, to mi dodaje odwagi.

- To taki podstęp - mówię bardzo wolno. - Mamy i mój, udawaliśmy, że jestem chory, a potem umarnę, ale tak naprawdę odwinę się i wyskoczę z auta, tylko że miałem wyskoczyć, jak pierwszy raz zwolni, ale mi się nie udało.

- Dobrze, i co dalej? - Słyszę głos Pani Oł tuż przy mojej głowie.

Dalej nie patrzę, bo inaczej zapomnę historyjkę.

- Miałem liścik w majtkach, ale on go zapodział. Ale mam jeszcze Ząb.

Wkładam rękę do skarpetki, macam go i otwieram oczy.

- Mogę zobaczyć?

Chce zabrać Zęba, ale nie dają.

- To Mamy.

- To teraz mówiłeś o mamie?

Coś mi się zdaje, że jej mózg też nie działa, tak jak jej uszy, jak Mama może być zębem? Kręcę głową.

- To tylko kawałek zdjętej skóry, co odpadł.

Pani Oł patrzy na z bliska na Zęba i buzia jej się robi taka nieruchoma. Pan policja kręci głową i coś mówi, ale nie słyszę.

- Jack - odzywa się Pani Oł. - Mówiłeś, że miałeś wyskoczyć z auta, jak tylko zwolni?

- Tak, ale jeszcze leżałem w Dywanie, potem obrałem banana, ale byłem za mało przestradzielny - mówię i patrzę na Panią

Oł. - Ale po trzecim zatrzymaniu auto zrobiło wiuuuuu.

- Co zrobiło?

- O, tak... - Pokazuję jej. - Tak zjechało.

- Skręciło.

- No, i się łupnąłem, a on, Stary Nick, wyszedł wściekły jak nie wiem i wtedy skoczyłem.

- No i proszę! - Pani Oł klaszcze w dłonie.

- Że co? - pyta pan policja.

- Trzy znaki stopu i zakręt. W prawo czy w lewo? - Czeka.

- Nieważne, świetnie się spisałeś, Jack.

Patrzy na ulicę, a potem w jej ręce ląduje coś jak telefon, skąd to się wzięło? Patrzy na ekranik i mówi:

- Każ im zestawić fragment blach z... Carlingford Avenue, może Washington Drive.

Już w ogóle nie widzę psa Raja, Ajeeta ani Naishy.

- A pies poszedł do więzienia?

- Nie, nie - odpowiada Pani Oł. - On cię ugryzł niechcący.

- Dawaj - mówi swojemu telefonowi pan policja. Kręci głową do Pani Oł, a ona zaraz wstaje.

- Hej, a może Jack pomoże nam znaleźć ten dom. Chciałbyś się przejechać radiowozem?

Nie mogę wstać, Pani Oł wyciąga rękę, ale udaję, że nie widzę. Zginam w kolanie jedną nogę, potem drugą i podnoszę się, trochę się chwieję. Gramolę się do auta tam, gdzie otwarte drzwi. Pani Oł siada ze mną z tyłu i robi klak pasem, kurczę się, żeby dotykała tylko niebieskiego koca.

Auto rusza, nie tak terkotliwie jak pikap, tylko cicho buczy.

Czuję się trochę jak na kanapie w telewizorze, na tej planecie, gdzie pani z napuszonymi włosami zadaje pytania. Tylko że tu jest Pani Oł.

- A ten pokój jest w parterowym domu czy są tam schody?

- To nie dom.

Patrzę na coś błyszczącego pośrodku, to jak Lusterko, ale mniejsze. Widzę w nim buzię pana policji, to on kieruje. Jego oczy patrzą na mnie w małym lusterku, więc zaczynam wyglądać przez okno. Wszystko przelatuje szybko i w głowie mi się kręci. Pełno światła wylatuje z auta na drogę, zamalowuje wszystko dokoła. O, jedzie inny samochód, biały i megaszzybki, zaraz się roztrzaska na...

- Nic się nie bój - mówi Pani OL.

Zdejmuję dłonie z buzi i drugiego auta już nie ma, czy to nasze je wzięło i sprzątnęło?

- Może coś ci świta?

Świta? Przecież do świtu jeszcze daleko. Drzewa i domy i auta, wszystko ciemne."Mamo, Mamo, Mamo". Nie słyszę jej w myślach, nie rozmawia. A on zaciska na niej rękę, mocniej mocniej mocniej, Mama nie może mówić, nie może oddychać, nie może nic. To, co żyje, daje się zgiąć, ale ona się zginała i zginała i...

- Nie rozpoznajesz przypadkiem swojej ulicy? - pyta Pani OL.

- Nie mam ulicy.

- Chodzi mi o ulicę, z której cię dzisiaj zabrał ten cały

Nick.

- Nigdy jej nie widziałem.

- Słucham?

Mówienie mnie już zmęczyło.

Pani Oł klaska językiem.

- Ani śladu pikapów oprócz tego czarnego po drodze - mówi pan policja.

- W sumie można zjechać.

Auto się zatrzymuje, a mi przykro.

- Jak myślisz, sekta? - odzywa się on. - Długie włosy, brak nazwisk, stan tego zęba...

Pani Oł wykrzywia buzię.

- Jack, a do tego twojego pokoju wpada słońce?

- Przecież jest noc - przypominam. Nie zauważyła?

- Ale w dzień. Którędy wpada słońce?

- Przez Okno w dachu.

- Mamy okno dachowe, rewelacyjnie.

- Dawaj - mówi do telefonu pan policja.

Pani Oł znów patrzy na błyszczący ekranik.

- Satelita pokazuje kilka domów z oknami dachowymi na Carlingford...

- Pokój nie jest w domu - powtarzam.

- Nie bardzo rozumiem, Jack. To w takim razie gdzie jest?

- Nigdzie. W środku jest Pokój.

Mama tam jest i Stary Nick też, chce czyjejs śmierci, nie mojej.

- To co jest na zewnątrz?

- Nazewnątrz.

- Opowiedz mi o tym.

- Łatwo nie odpuszczasz, to ci trzeba przyznać - mówi pan policja.

Ci czyli mi?

- No, Jack - mówi Pani Ol. - Powiedz mi, co jest zaraz na zewnątrz.

- Nazewnątrz! - krzyczę. Muszę szybko wyjaśnić, bo Mama, czekaj Mammo czekaj na mnie! - Tam są rzeczy naprawdę, lody, drzewa i sklepy i samoloty i farmy i hamaki.

Pani Oł kiwa głową.

Muszę się bardziej postarać, nie wiem jak.

- Ale jest zamknięte i nie znamy szyfra.

- Chcieliście otworzyć drzwi i wyjść na zewnątrz?

- Jak Alicja.

- Alicja? To jakaś twoja koleżanka?

- Mieszka w książce.

- Alicja w Krainie Czarów, do licha. Nic tylko się i płakać - mówi pan policja.

Znam to. Ale jak on przeczytał naszą książkę, przecież nigdy nie był w Pokoju.

- Zna pan to, jak z jej łez robi się jeziorko?

- Co takiego? - Patrzy na mnie przez małe lusterko.

- No płacze i robi się jeziorko, pamięta pan to?

- Twoja mama płakała? - pyta Pani Oł.

Ci z Nazewnątrz nic nie rozumia, moze ogladaja za duzo telewizora.

- Nie, Alicja. Ciagle chce sie dostac do ogrodu, jak my.

- Wy tez chcieliście sie dostac do ogrodu?

- Tam jest ogród za domem, ale nie znamy tajnego szyfra.

- Ten pokój jest przy tylnym ogrodzie? - pyta.

Kręcę głową

Pani Oł pociera sobie buzię.

- Pomóż mi, Jack. Czy ten pokój jest blisko ogrodu?

- Nie blisko.

- Aha.

Mamo, Mamo, Mamo.

- Wszędzie wokół.

- Czy ten pokój jest w ogrodzie?

- Tak.

Ucieszyłem Panią Oł, ale sam nie wiem jak.

- No to jedziemy. - Patrzy na ekranik i wciska guziki. - Wolno stojące konstrukcje na tyłach Carlingford i Washington...

- Okno - dodaje pan policja.

- Racja, z oknem dachowym...

- To telewizor? - pytam.

- Hmm? Nie, to zdjęcie wszystkich tych ulic. Aparat jest tam wysoko w przestrzeni.

- W przestrzeni kosmicznej?

- Tak.

- Fajowsko.

Pani Oł mówi teraz podnieconym głosem.

- Trzy cztery dziewięć Washington, szopa na tyłach, światło w oknie dachowym... jesteśmy w domu.

- Trzy cztery dziewięć Washington - mówi do telefonu pan policja. - Dawaj. - Patrzy w lusterko. - Imię właściciela się nie zgadza, ale mężczyzna, biały, urodzony dwunasty października sześćdziesiąt jeden...

- Pojazd?

- Dawaj - powtarza. Czeka. - Dwa tysiące jeden Silverado, brązowy, K dziewięć trzy P siedem cztery dwa.

- Bingo - mówi Pani Oł.

- W drodze - odzywa się pan policja. - Proszę o wsparcie trzy cztery dziewięć Washington.

Wóz zawraca dokładnie w drugą stronę. Jedzie szybciej, rzuca mną na boki.

Stajemy. Pani Oł wygląda przez okno na dom.

- Ciemno - mówi.

- On jest w Pokoju - mówię. - Robi tak, żeby umarnęła - płacz topi mi słowa i sam ich nie słyszę.

Za nami drugi wóz dokładnie taki sam. Wysiada więcej osób policyjnych.

- Nie ruszaj się, Jack. - Pani Oł otwiera drzwi. - Idziemy po twoją mamę.

Podrywam się, ale jej ręka każe mi zostać w aucie.

- Ja też... - Próbuję się odezwać, ale płyną same łzy.

Pani Oł ma wielką latarkę i ją włącza.

- Ten funkcjonariusz zostanie z tobą.

Wciska się obca głowa.

- Nie!

- Nie narzucaj mu się - mówi nowej policji Pani Oł.

- Palnik - przypominam, ale już za późno, poszła sobie.

Coś skrzypi i podnosi się tył samochodu, bagażnik, tak to się nazywa.

Zakładam ręce na głowę, żeby nic się nie przedarło, ani twarze ani światła ani hałasy ani zapachy. Mamo Mamo nie bądź martwa nie bądź martwa nie bądź martwa...

Liczę do stu, jak mi kazała Pani Oł, ale wcale się nie uspokajam. Liczę do pięciuset, liczby dzisiaj nie działają. Plecy mi podskakują i drżą, to pewnie od zimna, gdzie spadł ten koc?

Okropny dźwięk. Policja na przednim siedzeniu wydmuchuje nos. Uśmiecha się lekko i wtyka chusteczkę do nosa, nie patrząc.

Wyglądam przez okno na dom z ciemnymi oknami. Część jest teraz otwarta, co wcześniej nie była chyba nie, garaż, wielki ciemny kwadrat. Czekam setki godzin, oczy mnie kłują. Ktoś wychodzi z ciemności, ale to następna policja, której wcześniej nie widziałem. Potem jakaś osoba, która jest Panią Oł, a koło niej...

Walę ramię w drzwi samochodu, ale nie wiem jak, muszę rozwalić szybę, ale się nie da
Mama Mama Mama Mama Mama

Mama Mama Mama...

Mama tak robi, że drzwi się otwierają i wypadam w połowie. Już mnie łapie i bierze na ręce. To ona naprawdę, żywa w stu procentach.

- Udało nam się - mówi, gdy już siedzimy razem na tylnym siedzeniu. - A właściwie udało się tobie.

Kręcę głową.

- Cały czas knociłem plan.

- Ocaliłeś mnie - mówi Mama, całuje mnie w oko i przytula mocno.

- Wrócił?

- Nie, siedziałam całkiem sama i czekałam, to była najdłuższa godzina w moim życiu.

A potem drzwi wybuchły na oścież, myślałam, że dostanę zawału.

- Palnik!

- Nie, przestrelili je.

- Chcę zobaczyć, jak wybuchają.

- To był moment. Kiedyś jeszcze zobaczysz, obiecuję - uśmiecha się Mama. - Teraz już możemy robić, co chcemy.

- A dlaczego?

- Bo jesteśmy wolni.

W głowie mi się kręci, oczy się zamykają, chociaż ja wcale nie chcę. Strasznie jestem śpiący, chyba zaraz odpadnie mi głowa.

Mama nachyla mi się nad uchem i mówi, że trzeba jeszcze porozmawiać z inną policją. Przywieram do niej i mówię:

- Chcę do Łóżka.

- Zaraz nas gdzieś ulokują.

- Nie. Do Łóżka.

- Do Pokoju? - Mama się odsuwa i patrzy mi w oczy.

- Tak. Widziałem już świat i jestem zmęczony.

- Och, Jack - mówi. - My już tam nie wracamy.

Auto rusza, a ja płaczę tak bardzo, że nie mogę przestać.

POTEM

Pani Oł jedzie na przednim siedzeniu, tyłem wygląda inaczej.

Odwraca się, uśmiecha do mnie i mówi:

- A oto i komisariat.

- Dasz radę wysiąść? - pyta Mama. - Zaniosę cię.

Otwiera drzwi i od razu wskakuje zimne powietrze. Kurczę się cały. Wyciąga mnie,

stawia i walę uchem w auto. Idzie, trzymając mnie na biodrze, przylepiam się do jej ramion. Wokół ciemno, tylko światełka błyskają cyk cyk jak fajerwerki.

- Sępy - mówi Pani Oł.

- Żadnych zdjęć! - krzyczy pan policja.

Jakich zdjęć? Nie widzę sępów, tylko osobobuzie z błyskającymi maszynkami i grubymi czarnymi kijami. Coś wykrzykują, ale nie rozumiem. Pani Oł próbuje mi założyć na głowę koc, odpycham go. Mama biegnie, cały się trzęsę, już jesteśmy w budynku jasnym na tysiąc procent, aż muszę zasłonić ręką oczy.

Podłoga lśni twarda nie jak Podłoga, ściany są niebieskie i więcej ich, za głośno. Wszędzie osoby nie moi przyjaciele. Coś jak statek kosmiczny całe rozświetlone, w środku różne rzeczy w kwadratowych przegródkach, chipsy i batoniki, idę zobaczyć i spróbować i dotknąć, ale są zamknięte za szybą. Mama ciągnie mnie za rękę.

- Tędy - mówi Pani Oł. - Nie, tutaj...

Znajdujemy się w pokoju, już ciszej. Wielki tęgi pan mówi:

- Bardzo przepraszam za zamieszanie medialne, przeszliśmy na system trankingowy, ale oni mają te nowoczesne skanery do nasłuchu...

Wyciąga rękę. Mama mnie odstawia i macha jego ręką w górę i w dół jak osoby z telewizora.

- A ty, kawalerze, podobno jesteś wyjątkowo odważnym młodym człowiekiem.

Na mnie patrzy. Przecież mnie nie zna i dlaczego mówi na mnie kawaler? Mama siada na krześle, które nie jest żadnym z naszych krzeseł, i wpuszcza mnie na kolana. Próbuję się huścić, ale to nie Bujak. Wszystko jest złe.

- Zdaję sobie sprawę, że jest późno i pani syn ma otarcia, które trzeba opatrzyć, poza tym oczekują was w klinice Cumberland, to bardzo przyjemna placówka...

- Co to za placówka?

- Ach, psychiatryczna.

- Ale my nie...

Wchodzi jej w słowo.

- Otoczą was właściwą opieką, to bardzo kameralne miejsce.

Ale przede wszystkim jeszcze dzisiaj muszę bardziej szczegółowo zająć się pani zeznaniem, jeśli czuje się pani na siłach.

Mama kiwa głową.

- Niektóre fragmenty przesłuchania mogą być przykre, czy życzy sobie pani, żeby przy rozmowie była obecna funkcjonariuszka?

- Nie wiem, lepiej nie - mówi Mama i ziewa.

- Pani syn wiele dzisiaj przeszedł, może powinien poczekać na zewnątrz, gdy będziemy omawiać, ekhm...

Przecież już jesteśmy w Nazewnątrz.

- Nie trzeba - mówi Mama i owija mnie niebieskim kocem. - Proszę nie zamykać - mówi bardzo szybko do wychodzącej Pani Oł.

- Jasne - mówi Pani Oł i zostawia drzwi otwarte tak trochę.

Mama rozmawia z wielkim panem, on nazywa ją inaczej niż ja. Rozglądam się po ścianach, zrobiły się białawe jakby bez koloru. Na ścianach ramki, a w środku pełno słów, jedna z orłem, który mówi "Dla nas nie ma przeszkód". Ktoś przechodzi koło drzwi, podskakuję. Wołałbym zamknięte. Tak strasznie chcę się poczęstować.

Mama obciąga koszulkę.

- Nie teraz - szepcze. - Rozmawiam z panem nadkomisarzem.

- I to miało miejsce... Pamięta pani może datę? - pyta.

Mama kręci głową.

- Pod koniec stycznia. Raptem kilka tygodni wcześniej wróciłam na zajęcia...

Dalej mi się chce pić, znowu podnoszę koszulkę, a Mama tym razem sapie i pozwala, zwija mnie w kłębek.

- Może ekhm... wołałaby pani...? - pyta Pan Nadkomisarz.

- Nie, nie przerywajmy - mówi Mama. Trafiła się prawa, nie ma tam za wiele, ale nie chcę schodzić i zmieniać strony, bo jeszcze powie "już dość", a wcale nie mam dość.

, Mama opowiada bez końca o Pokoju, Starym Nicku i tak dalej, za bardzo jestem zmęczony, żeby słuchać. Wchodzi ona-

- osoba i mówi coś do Pana Nadkomisarza.

- Coś nie tak? - pyta Mama.

- Nie, nie - odpowiada Pan Nadkomisarz.

- To dlaczego tak się nam przygląda? - Obejmuje mnie mocno ramieniem. - Karmię synka, przeszkadza to pani?

Może w Nazewnątrz nic nie wiedzą o częstowaniu, to taka tajemnica.

Mama i Pan Nadkomisarz jeszcze długo rozmawiają. Prawie już śpię, ale jest za jasno i nie mogę się wygodnie ułożyć.

- Co jest? - pyta Mama.

- Naprawdę musimy wracać do Pokoju - mówię. - Chcę na Sedes.

- Nie martw się, w komisariacie też mają sedesy.

Pan Nadkomisarz kieruje nas koło niezwyklej maszyny i prawie dotykam batoników przez szybę. Szkoda, że nie znam szyfra, tobym je wypuścił.

Jeden dwa trzy cztery sedesy, każdy w małym pokoiku w środku większego pokoju z czterema umywalkami i wielkimi lustrami. To prawda, toalety w Nazewnątrz mają pokrywki na zbiornikach, nie można zajrzeć do środka. Mama sika, wstaje i wtedy rozlega się okropne wycie, wybucham płaczem.

- Nie bój się - mówi Mama i ociera mi buzię płaską częścią dłoni. - To tylko automatyczna spłuczka. Zobacz, sedes widzi swoim oczkiem, że już skończyliśmy, i sam spuszcza wodę, sprytnie, co?

Nie podoba mi się, że sprytny sedes patrzy na nasze pupy.

Mama każe mi wyjść z majtek.

- Pokupkałem się trochę niechcący, kiedy Stary Nick mnie niósł - mówię.

- Nic się nie martw - mówi i robi coś dziwnego, wrzuca moją bieliznę do kosza.

- Ale...

- Już ich nie potrzebujesz, kupimy ci nowe.

- Na Niedzielną Rozpustę?

- Nie, kiedy tylko zechcemy.

Dziwne. Wolałbym w niedzielę.

Kran przypomina ten prawdziwy w Pokoju, ale ma nie ten kształt, co trzeba. Mama odkręca wodę, moczy papier i wyciera mi nogi i pupę. Wkłada dłonie pod maszynę, bucha z niej gorące powietrze, jak z naszych kanałów wentylacyjnych, ale gorętsze i głośniejsze, znowu.

- To suszarka do rąk, chcesz wypróbować? - Uśmiecha się do mnie, ale jestem zbyt zmęczony na uśmiechy.

- Dobrze, to wytrzymaj dłonie w koszulce.

Owiają mnie niebieskim kocem i wychodzimy. Chcę zajrzeć do maszyny, gdzie siedzą w areszcie wszystkie puszki i torebki i batoniki, ale Mama ciągnie mnie do pokoju, do Pana Nadkomisarza na dalszą rozmowę.

Mijają setki godzin i Mama mnie stawia na ziemi, cały się chwieję. Niedobrze mi się robi, jak śpię w nie - Pokoju.

Jedziemy do takiego jakby szpitala, ale czy to nie było w starym Planie A: Chory, Auto, Szpital? Mama ma na sobie niebieski koc, to chyba ten mój, ale nie, mój jest dalej na mnie, więc ten jej musi być inny. Radiowóz wygląda jak to samo auto, ale sam już nie wiem, rzeczy w Nazewnątrz lubią łątać figle. Potykam się na ulicy i prawie upadam, ale Mama mnie

łapie.

Jedziemy. Kiedy widzę nadjeżdżające auto, zaciskam powieki za każdym razem.

- One są po drugiej stronie, wiesz? - mówi Mama.

- Jak po drugiej stronie?

- Widzisz tę linię pośrodku? Muszą się trzymać po tamtej stronie linii, a my po tej, więc się nie zderzamy.

Zatrzymujemy się nagle. Auto się otwiera i zagląda osoba bez buzi. Wrzeszczę.

- Jack, Jack...

- To zombi.

Nie odrywam buzi od jej brzuszka.

- Jestem doktor Clay, witamy w klinice Cumberland - mówi bezbuzia najbardziej dudniącym z tubalnych głosów. - Maską jest tylko dla waszego bezpieczeństwa. Chcesz zajrzeć pod spód?

- Podciąga to białe i uśmiecha się onosoba, bardzo brązowa buzia z malutkim trójkątem czarnej brody. Zakłada z powrotem maskę, trzask. Odzywa się zza białego:

- Proszę, po jednej dla każdego.

Mama odbiera maski.

- Czy to konieczne?

- Niech pani tylko pomyśli o tym, co fruwa w powietrzu, a z czym pani syn prawdopodobnie nigdy nie miał kontaktu.

- Zgoda. - Zakłada maskę sobie i mnie, taką z pętelkami za uszami. Uciska, nie podoba mi się to.

- Nie widzę, żeby coś fruwało - szepczę do Mamy.

- Zarazki - odpowiada.

Myślałem, że są tylko w Pokoju, nie wiedziałem, że w świecie też.

Wchodzimy do wielkiego oświetlonego budynku, wydaje mi się, że to znów Komisariat, ale nie. Jakiś ktoś, kto się nazywa Recepcjonistka, stuka na... Wiem, to komputer, jak w telewizorze. Wszyscy wyglądają jak osoby z planety zdrowotnej, muszę sobie przypominać, że istnieją naprawdę.

Widzę coś superanckiego, ogromną kanciastą szybę, ale zamiast puszek i batoników w środku żywe ryby, pływają i chowają się za kamieniami. Ciągnę Mamę za rękę, ale nie chce iść, dalej rozmawia z Recepcjonistką, która też ma nazwę na plakietce: Pilar.

- Posłuchaj, Jack - mówi doktor Clay, zgina nogi i wygląda jak ogromna żaba, po co on tak robi? Jego głowa znajduje się teraz prawie przy mojej, zamiast włosów ma tylko

meszek gdzieś na ćwierć cala. Zdjął już maskę, tylko my je dalej nosimy. - Musimy obejrzyć twoją mamę w tym gabinecie po drugiej stronie korytarza, dobrze?

Do mnie rozmawia. Ale przecież już wcześniej ją obejrzał?

Mama kręci głową.

- Jack zostaje ze mną.

- Obawiam się, że nasz lekarz ogólny, doktor Kendrick - akurat ona ma dziś dyżur - musi się natychmiast zająć zabezpieczeniem dowodów. Krew, mocz, próbki włosów, drobiny z paznokci, wymaz z jamy ustnej i pochwy...

Mama robi wielkie oczy i wzdycha.

- Będę tuż obok - mówi do mnie i pokazuje drzwi. - Zawsze możesz mnie zawołać, dobra?

- Nie dobra.

- Proszę. Jesteś takim dzielnym JackerJackiem, jeszcze troszkę, dobrze?

Chwytam ją i nie puszczam.

- Hmm, może by wszedł i wstawimy parawan? - proponuje doktor Kendrick. Włosy ma prawie kremowe i całe poskręcane na głowie.

- A telewizor? - szepczę do Mamy. - Tam jakiś jest.

O wiele większy niż ten z Pokoju, roztańczony i rozślepiony kolorami.

- W sumie czemu nie - mówi Mama. - Może posiedzi w Recepcji? To skuteczniej odciągnie jego uwagę.

Kobieta Pilar za blatem rozmawia przez telefon, uśmiecha się do mnie, ale udaję, że nie widzę. Wszędzie dużo krzesel, Mama wybiera jedno dla mnie. Patrzę, jak odchodzi z lekarzami. Muszę się chwycić krzesła, żeby nie pobiec za nią.

Planeta się zmieniła i grają w futbol, osoby z wielkimi ramionami i w kaskach. Ciekawe, czy to się naprawdę dzieje naprawdę, czy tylko na obrazkach. Patrzę na to szklane z rybkami, ale jest za daleko, nie widzę rybek, ale na pewno jeszcze tam są, przecież sobie nie poszły. Drzwi, za którymi znikła Mama, są trochę uchylone, wydaje mi się, że słyszę jej głos. Dlaczego zabierają jej krew i siki i paznokcie? Ona dalej tam jest, chociaż jej nie widzę, w Pokoju też była cały czas, jak robiłem naszą Wielką

Ucieczkę. Stary Nick śmignął gdzieś swoim pikapem, nie ma go w Pokoju i nie ma go w Nazewnątrz, w telewizorze też go nie widzę. Głowa mi się wykończyła od zastanawiania.

Nie cierpię, jak ta maska uciska, wsuwam ją na głowę, z jednej strony sterczy, chyba ma w środku drut. Przynajmniej włosy mi nie spadują na oczy. Teraz widać czołgi w jakimś mieście rozwalonym, stara osoba płacze. Mama już długo długo siedzi w tym pokoju, czy oni

robią jej krzywdę? Kobieta Pilar dalej rozmawia przez telefon. Jeszcze inna planeta, panowie rozmawiają w gigantycznym pokoju, każdy w marynarce, chyba się tak jakby kłóć. Gadają i gadają i gadają.

Znów zmiana i teraz widać Mamę i ona kogoś niesie i to jestem ja!

Zrywam się i podchodzę do ekranu. To taki ja jak w Lusterku, tylko że malutki. Pod spodem przesuwają się słowa INFORMACJE LOKALNE Z OSTATNIEJ CHWILI. Ona osoba mówi, ale jej nie widać:”... bezzenny samotnik zaadaptował szopę ogrodową na niedostępny loch na miarę dwudziestego pierwszego wieku. Ofiary despoty są upiornie blade i po długotrwałym więziennym koszmarze najwyraźniej znajdują się na granicy stanu katatonicznego”. O, Pani Oł próbuje mi założyć na głowę koc, a ja nie pozwalam. Niewidzialny głos mówi:” Widzimy, jak niedożywiony chłopiec, niezdolny do poruszania się o własnych siłach, rzuca się spazmatycznie na funkcjonariuszkę, która wzięła udział w akcji ratunkowej”.

- Mama! - krzyczę.

Nie wychodzi. Słyszę, jak woła:

- Jeszcze parę minetek!

- To my! To my w telewizorze!

Ekran gaśnie. Pilar stoi, wskazuje go pilotem i patrzy na mnie. Wychodzi doktor Clay i mówi do Pilar różne nieprzyjemne rzeczy.

- Jeszcze, jeszcze - mówię. - To my, chcę zobaczyć nas.

- Bardzo, bardzo przepraszam... - mówi Pilar.

- Jack, chcesz już iść do mamy? - Doktor Clay wyciąga rękę pokrytą jakimś dziwnym białym plastikiem. Nie tykam.

- Załóż maskę, dobrze?

Opuszczam ją na nos. Idę za nim, nie za blisko.

Mama siedzi na małym wysokim łóżku w sukience z papieru i z tyłu jest rozdarta. Śmiesznie się ubierają w Nazewnątr.

- Musieli zabrać moje prawdziwe ubrania. - To jej głos, chociaż nie widzę, którądy wychodzi spod maski.

Wdrapuję się jej na kolana całe pogniecione.

- Widziałem nas w telewizorze.

- Właśnie słyszałam. I jak wyglądaliśmy?

- Mało.

Ciągnę ją za sukienkę, ale nie ma którądy się dostać.

- Nie w tej chwili.

W zamian całuje mnie w kącik oka, ale nie takiego buziaka bym chciał.

- O czym to mówiliśmy?

Ja nic nie mówiłem.

- A tak, o pani nadgarstku - mówi doktor Kendrick. - Prawdopodobnie prędzej czy później trzeba będzie go ponownie złamać.

- Nie!

- Ciii, nic mi się nie stanie - mówi Mama.

- Będzie wtedy spała - mówi doktor Kendrick, patrząc na mnie. - Chirurg włoży taką śrubkę, żeby staw lepiej działał.

- Jak u cyborga?

- Słucham?

- Tak, trochę jak u cyborga - uśmiecha się Mama.

- Ale według mnie na razie najbardziej paląca jest kwestia uzębienia - mówi doktor Kendrick. - Dlatego od razu zaaplikuję kurację antybiotykową i przepiszę też bardzo silne analgetyki...

Ziewam od ucha do ucha.

- Wiem, wiem - mówi Mama. - Już dawno powinieneś być w łóżku.

- To co, może przeprowadzimy szybką kontrolę Jacka? - pyta doktor Kendrick.

- Nie, już mówiłam.

Co ona chce dla mnie przyprowadzić?

- Mają coś dla mnie? - szepczę do Mamy.

- To nie jest konieczne - mówi Mama. - Daję słowo.

- My tylko postępujemy zgodnie z protokołem obowiązującym w takich przypadkach - odpowiada doktor Clay.

- Aha, czyli macie tu całe mnóstwo takich przypadków, tak?

- Mama jest wściekła, poznaję po głosie.

Doktor kręci głową.

- Inne sytuacje urazowe, owszem, ale jeśli mam być z panią szczerzy, żadna z nich nie przypomina waszej. Właśnie dlatego musimy o wszystko zadbać i z miejsca otoczyć was jak najlepszą opieką medyczną,

- Jack nie potrzebuje opieki medycznej, tylko snu - mówi z zaciśniętymi zębami Mama. - Ani razu nie spuściłam go z oka i nic mu się nie przytrafiło, nic z tego, co państwo insynuują.

Lekarze patrzą na siebie.

- Ale ja nie... - zaczyna doktor Kendrick.

- Chroniłam go przez te wszystkie lata.

- Wszystko na to wskazuje - mówi doktor Clay.

- Bo to prawda. - Po buzi Mamy lecą łzy, o, jedna ciemna na skraju maski. Dlaczego ją doprowadzają do płaczu? - A to, co musiał dzisiaj... On śpi na stojąco.

Wcale że nie śpię.

- Doskonale rozumiem - mówi doktor Clay. - Wzrost, waga i opatrunek na skaleczenia, co pani na to?

Po krótkiej chwili Mama kiwa głową.

Nie chcę, żeby doktor Kendrick mnie dotykała, ale nie przeszkadza mi, że stoję na maszynie, która pokazuje moją ciężkość, opieram się o ścianę niechący, ale Mama mnie prostuje. Potem staję przy numerkach, tak jak to robiliśmy przy Drzwiach, ale tu mają ich więcej i linie są prostsze.

- Brawo - mówi doktor Clay.

Doktor Kendrick pisze i pisze. Celuje różnymi maszynkami w moje oczy, uszy i buzię, w końcu mówi:

- Wygląda na to, że nie ma się do czego przyczepić.

- Szczotkujemy się zawsze przy jedzeniu.

- Słucham?

- Wolniej i głośniej - mówi Mama.

- Szczotkujemy się zawsze po jedzeniu.

- Oby wszyscy moi pacjenci tak o siebie dbali - mówi doktor Kendrick.

Mama pomaga mi ściągnąć koszulkę przez głowę. Maską spada i zakładam ją z powrotem. Doktor Kendrick każe mi ruszać wszystkimi końcówkami. Mówi, że biodra są bez zarzutu, ale może kiedyś warto by było zbadać gęstość kości, to taki rodzaj rentgena. W środku dłoni i na nogach mam zadrapania od zeskakania z pikapa. Na prawym kolanie pełno zaschniętej krwi.

Podskakuję, kiedy doktor Kendrick go dotyka.

- Przepraszam - mówi.

Przyklejam się do brzuszka Mamy, papier się gniece.

- Zarazki wskoczą w dziurkę i urnarnę.

- Nic się nie martw - mówi doktor Kendrick. - Mam taką specjalną chusteczkę, która je pozbiera.

Pieczę. Przeciera też mój nadgryziony palec, ten u lewej ręki, z którego pies wypił krew. Potem przyklepia mi na kolano taką jakby taśmę, ale w buzie, patrzę, a tu machają do mnie Dora i Butek.

- O!O!

- Boli?

- Większej przyjemności mu pani nie mogła sprawić - mówi Mama.

- Jesteś fanem Dory? - pyta doktor Clay. - To jak moi siostrzeniec i siostrzenica.

Uśmiecha się zębami jak śnieg.

Doktor Kendrick zakłada mi na palec następną Dorę z Butkiem, dosyć ciasno.

Ząb jest jeszcze bezpieczny w mojej prawej skarpetce, z boku.

Zakładam koszulkę i koc, a lekarze w tym czasie coś tam szemrają, po czym doktor Clay pyta:

- Wiesz, co to jest igła, Jack?

- No, nie - jęczy Mama.

- Laboratorium z samego rana wykona pełną morfologię krwi. Markery infekcji, niedobory żywieniowe... to wszystko można wykorzystać jako dowody i, co ważniejsze, to nam pomoże ustalić, czego najpilniej potrzeba Jackowi.

Mama spogląda na mnie.

- Zmienisz się w superbohatera jeszcze na minutę i pozwolisz pani doktor Kendrick nakłuć sobie rękę?

- Nie. - Chowam obie ręce pod kocem.

- Proszę.

Nie i jeszcze raz nie, zużyłem już całą swoją dzielność.

- Potrzebuję tylko tyle - mówi doktor Kendrick i pokazuje rurkę.

To o wiele więcej niż zabiera pies albo komar, prawie nic mi już nie zostanie.

- A potem dostaniesz... Co by chciał? - pyta Mamy.

- Chciałbym pójść do Łóżka.

- Ale chodzi o coś specjalnego - mówi Mama. - Ciasto, czy coś takiego.

- Hmm, ciasta chyba nie mamy, kuchnie już zamknięte - mówi doktor Clay. - A może coś do lizania?

Pilar przynosi słój pełen lizaków, aha, o to chodziło.

- No, wybierz sobie któregoś - mówi Mama.

Za dużo tego, żółte i zielone i czerwone i niebieskie i pomarańczowe. Są płaskie, takie

koła, a nie kulki jak ta od Starego Nicka, którą Mama wrzuciła do Kosza, a ja i tak potem

215 zjadłem. Mama wybiera za mnie, czerwonego, ale kręcę głową, bo on mi dał czerwonego i chyba znowu mi się zbiera na płkanie. Mama wybiera zielonego. Pilar zdejmuje folię. Doktor

Clay wbija mi igłę w łokieć od środka i wrzeszczę i próbuję się wyrwać, ale Mama mnie trzyma, wkłada mi do buzi lizaka i ssę, ale wcale nie przestaje boleć.

- I już po krzyku - mówi.

- Nie chcę.

- Zobacz, igła już wyszła.

- Dobra robota - odzywa się doktor Clay.

- Nie, lizaka.

- Masz przecież lizaka - mówi Mama.

- Nie chcę lizaka, zielony niedobry.

- Nie ma sprawy, to wypłuj.

Zabiera go Pilar.

- Spróbuj pomarańczowego, to moje ulubione - mówi.

Nie wiedziałem, że mogę wziąć dwa. Pilar odwija dla mnie pomarańczowego i jest dobry.

Najpierw ciepło, a zaraz potem chłodno. Ciepło było przyjemne, ale chłodno jest chłodne, bo mokre. Mama i ja leżymy w Łóżku, ale się skurczyło i robi się zimno, zimne prześcieradło i zimna poszewka, a Kołdra gdzieś zgubiła białe i jest całkiem niebieska...

To nie Pokój.

Niemądry Penis stoi.

- Jesteśmy w Nazewnątrz - szepczę do niego.

- Mamo...

Podskakuje jak porażona prądem.

- Posiusiałem się.

- Nie szkodzi.

- Ale wszystko zamknięte. Moja koszulka na brzuszku też.

- Zapomnij o tym.

Próbuję zapomnieć. Patrzę nad jej głową. Podłoga jest jak

Dywan, ale puszysta, bez wzorków i bez krawędzi, szarawa, ciągnie się aż do ścian, nie wiedziałem, że ściany są zielone. Wisi obrazek z potworem, ale jak się przyglądam, to

robi się z niego wielka fala morza. Coś jak Okno, tylko że w ścianie, wiem, to okno ścienne, biegną przez nie setki drewnianych pasków, ale spomiędzy nich wpada światło.

- Jeszcze pamiętam.

- Nic dziwnego. - Znajduje mój policzek do buziaka.

- Nie mogę zapomnieć, bo dalej jestem mokry.

- Aha, to - mówi innym głosem. - Nie chodziło mi o to, że masz zapomnieć o zmoczeniu łóżka, tylko że masz się tym nie przejmować.

Schodzi z łóżka, dalej ma na sobie sukienkę z papieru, teraz wymiętaloną.

- Pielęgniarki zmieniają pościel.

Nie widzę pielęgniarek.

- Ale reszta moich koszulek...

Jest w Komodzie, w dolnej szufladzie. Przynajmniej były tam wczoraj, więc pewnie teraz też. Ale czy Pokój dalej tam jest, skoro nas w nim nie ma?

- Coś wymyślimy - mówi Mama.

Stoi przyoknie, rozchyła drewniane paski i wpada masa światła.

- Jak to zrobiłaś? - Podbiegam, stół uderza mnie w nogę bam.

Mama mi ją masuje na polepszenie.

- Tym sznurkiem, widzisz? To sznurek do żaluzji.

- Dlaczego...?

- To sznurek, który rozsuwa i zasuwa żaluzje - tłumaczy.

- To się nazywa żaluzja okienna. Kiedy jest zasunięta, nic przez nią nie zobaczysz.

- Dlaczego nic nie zobaczę?

- Mówię "ty", ale mam na myśli wszystkich.

Dlaczego ja to wszyscy?

- Nic nie widać, nie można przez nią zajrzeć do środka ani wyjrzeć na zewnątrz - mówi Mama.

Ale ja wyglądam, to trochę jak telewizor. Widać trawę i drzewa i kawałek białego budynku i trzy auta, niebieskie i brązowe i srebrne, częściowo w paski.

- Na trawie...

- Co?

- Czy to sęp?

- Nie, chyba wrona.

- A ten drugi...

- To chyba ten, jak mu tam... gołąb. Przedwczesny alzheimer! No dobra, czas się

ogarnąć.

- Jeszcze nie jedliśmy śniadania - przypominam.

- Możemy zjeść później.

Kręcę głową.

- Najpierw śniadanie, potem kąpiel.

- Nie musi tak być, Jack.

- Ale...

- Nie musimy robić wszystkiego jak dotychczas. Możemy robić, co nam się podoba.

- Mi się podoba najpierw śniadanie, potem kąpiel.

Ale ona już znika za rogiem i jej nie widzę, biegnę szybko.

Znajduję ją w małym pokoju w środku tego dużego, podłoga się zmienia w błyszczące, zimne białe kwadraty i ściany też się zrobiły białe. Jest tu też sedes, który nie jest Sedesem, i umywalka, dwa razy taka jak Umywalka, i wysokie niewidzialne pudło, to na pewno prysznic, taki, w jakim chlapią się osoby z telewizora.

- A gdzie się schowała wanna?

- Nie ma wanny. - Mama trzaska przodem pudła na boki i otwarte. Zdejmuje papierową sukienkę i upycha ją w pojemniku, który chyba ma być Koszem, ale nie ma pokrywy robiącej dęg.

- Tego paskudztwa też się pozbędziemy.

Koszulka ciągnie mnie za buzię przy zdejmowaniu. Mama ją zgniata i wrzuca do kosza.

- Ale...

- To szmata.

- Wcale że nie, to moja koszulka.

- Kupię ci nową, niejedną. - Ledwo słyszę, bo włączyła prysznic, łoskotliwy jak nie wiem. - Wskakuj.

- Nie wiem jak.

- To cudowne, daję ci słowo.

Czeka.

- Skoro tak... postaram się pospieszyć.

Wchodzi i zaczyna zamykać niewidzialne drzwi.

- Nie.

- Muszę, bo inaczej woda się wyleje.

- Nie.

- Możesz na mnie patrzeć przez szybę, nigdzie się nie ruszam.

Zasuwa drzwi trach, już jej nie widzę, tylko za mgłą, nie jak prawdziwa Mama, tylko jakiś duch wydający dziwne dźwięki.

Walę w drzwi, nie wiem, jak to się robi, w końcu otwieram z hukiem.

- Jack...

- Nie podoba mi się, że ty w środku, a ja nie.

- No to wchodź.

Zaczynam płakać.

Mama ociera mi buzię dłonią, łyzy się rozłaza.

- Przepraszam - mówi. - Przepraszam. Chyba to się dzieje za szybko.

Przytula mnie i cały jestem mokry.

- Nie ma już co płakać.

Kiedy byłem dzidziusiem, nie płakałem bez powodu. Ale

Mama idzie pod prysznic i zamyka mnie po niewłaściwej stronie - to już jest powód.

Tym razem wchodzę za nią, przyklejam się plecami do szyby, ale i tak na mnie przyska. Mama wsadza buzię pod głośny wodospad i długo jęczy.

- Boli cię? - krzyczę.

- Nie, rozkoszuję się pierwszym od siedmiu lat prysznicem.

Otwiera torebeczkę z napisem "Szampon" i zużywa do końca, prawie nic nie zostaje. Polewa włosy całymi godzinami i nakłada jeszcze coś z drugiej torebeczki, z napisem "Odżywka", to na jedwabiste włosy. Chce też nałożyć na moje, ale nie chcę być jedwabisty, nie wsadzę buzi pod ten plusk. Mama myje mnie dłonią, bo nie ma ściereczki. Nogi mi się zrobiły fioletowe częściami tam, gdzie wyskoczyłem z pikapa lata temu. Skaleczenia wszędzie boją, szczególnie na kolanie pod plastrem z Dorą i Butkiem, poskręcał się trochę. Mama twierdzi, że skaleczenia się goją. Nie wiem, dlaczego boli znaczy goi.

Supergruby biały ręcznik jest dla każdego z nas, nie musimy używać wspólnego. Wolałbym wspólny, ale Mama mówi, że to bez sensu. Zawiązuje sobie na głowie inny trzeci ręcznik, że robi się wielki i szpiczasty jak lodowy rożek, śmiejemy się z tego.

Pić mi się chce.

- Mogę się teraz poczęstować?

- Oj, za chwilę. - Podaje mi coś wielkiego z rękawami i paskiem jak z jakiegoś przebrania. - Na razie załóż ten szlafrok.

- Ale on jest na wielkoluda.

- Będzie pasował.

Podwija rękawy, aż robią się krótkie i pękate. Pachnie inaczej, pewnie przez odżywkę. Zawiązuje mi szlafrok w pasie. Łapię za długie końce i robię krok.

- Fanfary! - mówi. - Oto Król Jack.

Wyjmuje drugi taki sam szlafrok z szafy, która nie jest Szafą. Sięga jej aż do kostek.

- "Zostanę królem, diddle, diddle, a ty królową" - nucę.

Mama cała zaróżowiona i uśmiechnięta, włosy ma czarne od mokrości. Moje są związane z powrotem w kucyk, ale posplątany, bo nie ma Grzebienia, został w Pokoju.

- Czemu nie przynosisz Grzebienia? - pytam.

- Przyniosłaś - poprawia. - Nie zapominaj, że chciałam cię jak najszybciej zobaczyć.

- No tak, ale jest potrzebny.

- Ten stary plastikowy grzebień z wyłamanymi zębami? Potrzebny nam jak dziura w moście - mówi.

Znajduję skarpetki za łóżkiem i wkładam, ale Mama mówi stop, bo są brudne z ulicy, kiedy biegłem i biegłem i mają dziury. Je też wrzuca do kosza, wszystko marnuje.

- Ale Ząb, zapomnieliśmy o nim. - Pędzę wyjąć skarpetki z kosza i znajduję Zęba w drugiej.

Mama przewraca oczami.

- To mój przyjaciel - mówię jej i wkładam Zęba do kieszeni szlafroka. Oblizuję zęby, bo są dziwne w dotyku.

- O nie, nie szczotkowałem po lizaku.

Przyciskam je mocno palcami, żeby nie wypadły, ale nie nadgryzionym palcem.

Mama kręci głową.

- On nie był prawdziwy.

- Smakował jak prawdziwy.

- Chodzi mi o to, że był bez cukru, dodają do nich takiego nieprawdziwego cukru, który nie szkodzi na zęby.

Mam mętlik w głowie. Pokazuję na drugie łóżko.

- A to dla kogo?

- Dla ciebie.

- Przecież śpię z tobą.

- No tak, pielęgniarki o tym nie wiedziały.

Mama wygląda przez okno. Jej cień ciągnie się przez całą miękką szarą podłogę, nigdy nie widziałem takiego długiego.

- Czyżby to był kot, tam na parkingu?

- Pokaż. - Biegnę spojrzeć, ale oczy mi go nie znajdują.
- Idziemy zwiedzać?
- Gdzie?
- Na zewnątrz.
- Przecież jesteśmy w Nazewnątrz.
- No tak, ale chodźmy na świeże powietrze poszukać kota - mówi Mama.
- Fajowsko.

Znajduje dla nas dwie pary papuci, ale na mnie nie pasują i się potykam, Mama mówi, że na razie mogę chodzić boso.

Kiedy znów wyglądam przez okno, coś śmiga koło innych samochodów, to furgonetka z napisem "Klinika Cumberland".

- A jeśli przyjedzie? - szepczę.
 - Kto?
 - Stary Nick, jeśli przyjedzie swoim pikapem.
- Prawie go zapomniałem, jak mogłem go zapominać?
- E, nie przyjedzie. Nie wie, gdzie jesteśmy - mówi Mama.
 - To znowu jesteśmy po kryjomu?
 - Można tak powiedzieć, ale w dobrym sensie.

Koło łóżka stoi - wiem co, telefon. Podnoszę to górne i mówię "Halo", ale nikt nie rozmawia, słychać tylko taki szum.

- Jej u, Mamo, jeszcze się nie częstowałem.
- Później.

Dzisiaj wszystko od tyłu.

Mama naciska klamkę w drzwiach i zaraz się krzywi, pewnie to ten bolący nadgarstek. Otwiera drugą ręką. Wychodzimy do długiego pokoju z żółtymi ścianami i oknami po jednej stronie, a drzwiami po drugiej. Każda ściana ma inny kolor, widocznie tak trzeba. Nasze drzwi to drzwi ze złotym numerem Siedem.

Mama mówi, że nie można wchodzić do pozostałych drzwi, bo należą do innych osób.

- Jakich innych osób?
 - Jeszcze ich nie poznaliśmy.
- No to skąd wie?
- A można wyrzeć przez te okna ścienne?
 - Ależ tak, one są dla każdego.

- A my jesteśmy każdy?

- My i ktokolwiek inny.

Ktokolwieka innego tu nie ma, więc zostajemy tylko my. Na tych oknach nie ma żaluzji, żeby nie widzieć. To inna planeta, na niej więcej innych samochodów, zielony i biały i czerwony, i jeszcze takie coś z kamienia i chodzą takie różne, to osoby.

- Ale są mali, jak duszki.

- Nie, to tylko dlatego, że są daleko.

- A naprawdę istnieją naprawdę?

- Tak jak ty i ja.

Próbuję uwierzyć, ale ciężko jest.

Jedna kobieta nie jest naprawdę, wiem, bo jest szara, to posąg, i to całkiem goły.

- Chodź - mówi Mama. - Umieram z głodu.

- Już, tylko...

Ciągnie mnie za rękę. I wtedy okazuje się, że nie można iść dalej, bo na dół prowadzą schody, bardzo dużo ich.

- Trzymaj się poręczy.

- Po czego?

- Tego czegoś, tej takiej szyny.

Słucham się.

- Stawiaj obie nogi na każdym stopniu.

Zaraz spadnę. Lepiej usiądę.

- Dobrze, można i tak.

Jadę na pupie, stopień za stopniem za stopniem, aż mi się rozwiązuje szlafrok od wielkoluda. Duża osoba pędzi po schodach myk myk, jakby latała, ale nie, to prawdziwy człowiek cały na biało. Przyciskam buzię do szlafroka Mamy, że nie stać się widzialnym.

- Ach, trzeba było zabrzączec - mówi ta ona.

Jak pszczoły?

- Przy łóżku jest brzączek.

- Daliśmy sobie radę - mówi Mama.

- Jestem Noreen, zaraz wam przyniosę nowe maski.

- Oj, przepraszam, zapomniałam - mówi Mama.

- Nie szkodzi, może zaniosę je do pokoju?

- Dobrze, my właśnie schodzimy.

- Świetnie. Jack, mam kogoś wezwać, żeby cię zniósł ze schodów?

Czego ona chce? Znowu chowam buzię.

- Nie trzeba - mówi Mama. - On to robi po swojemu.

Zjeżdżam na pupie jeszcze po jedenastu schodach. Na dole

Mama zawiązuje mi szlafrok i znów jesteśmy królem i królową jak w piosence o lawendzie. Noreen daje mi nową maskę i muszę ją założyć, dodaje, że jest pielęgniarką, że pochodzi z innego miejsca, które się nazywa Irlandia, i że podoba jej się mój kucyk. Wchodzimy do wielkiego czegoś z samymi stołami, nigdy ich tylu nie widziałem, z talerzami i szklankami i nożami i jeden z nich mnie kłuje w brzusek, to znaczy stół. Szklanki są niewidzialne jak nasze, ale talerze są niebieskie, ohyda.

Czuję się jak w telewizyjnej planecie tylko o nas, osoby mówią "Dzień dobry" i "Witamy w Cumberland" i "Gratuluję", nie wiem czego. Niektórzy noszą szlafroki podobne do naszych, inni piżamy, a jeszcze inni różne mundurki. Prawie wszyscy są ogromni, ale nie mają włosów długich jak my, poruszają się szybko i nagle są już ze wszystkich stron, nawet za nami. Podchodzą blisko, tyle zębów, źle pachną. Jakiś on z wielką brodą pyta:

- No, kolego, ponoć jesteś bohaterem.

Do mnie mówi. Nie patrzę.

- I jak ci się podoba na świecie?

Nic nie mówię.

- Miło jest?

Kiwam głową. Trzymam Mamę mocno za rękę, ale palce mi się ślizgają, pomoczyły się. Mama połyka pigułki od Noreen.

Znam tę wystającą wysoko głowę z krótkim meszkiem, to doktor Clay bez maski. Wyciąga do Mamy swoją białą plastikową dłoń i pyta, czy dobrze spała.

- Byłam za bardzo podminowana.

Podchodzą inne mundurkowe osoby, doktor Clay mówi nazwy, ale ich nie rozumiem. Jedna ma loki z włosów całkiem szarych i mówią na nią dyrektor kliniki, czyli tu rządzi, ale ona się śmieje i mówi niezupełnie, nie wiem, co w tym śmiesznego.

Mama wskazuje mi krzesło, żebym usiadł koło niej. Na talerzu widzę coś zupełnie niezwykłego, srebrnoniebieskoczerwonego, wydaje mi się, że to jajko, ale nie prawdziwe, tylko z czekolady.

- A, właśnie, Wielkanoc, wesołych świąt - mówi Mama.

- Całkiem mi to wypadło z głowy.

Trzymam w ręce to na niby jajko. Nie wiedziałem, że Zajączek przychodzi też do budynków.

Mama zsunęła maskę na szyję i pije sok o dziwnym kolorze.

Zakłada mi maskę na głowę, żebym mógł spróbować soku, ale spływają mi do gardła niewidzialne strzępki jak zarazki, więc cichutko wykaszluję wszystko z powrotem do szklanki. Ktokolwiek siedzą bardzo blisko i jedzą pozwijane bekony i dziwne kwadraty, na których są mniejsze kwadraty. Jak mogą kłaść jedzenie na niebieskie talerze, przecież się zafarbuje? Pachnie pycha, ale za dużo wszystkiego i ręce mi się znów ślizgają, odkładam Wielkanoc z powrotem na sam środek talerza. Wycieram ręce o szlafrok, ale nie ugryziony palec. Noże i widelce też są nie te, nie ma białego na rączce, tylko metal, to na pewno boli, jak się je trzyma.

Osoby są z wielkim oczami, każda ma buzię w innym kształcie, z wąsami i dyndającymi świecidełkami i malunkami.

- Nie ma dzieci - szepczę do Mamy.

- Słucham?

- Gdzie są dzieci?

- Tu chyba nie ma.

- Mówiłaś, że w Nazewnątrz jest ich pełno.

- Klinika to tylko mały wycinek świata - mówi Mama.

- Wypij sok. O, popatrz, tam jest jakiś chłopak.

Zerkam tam, gdzie pokazuje, ale on jest długi jak pan i ma gwoździe w nosie i w brodzie i w nadoczach. Może to robot?

Mama bierze łyk czegoś brązowego i parującego, ale się krzywi i odstawia.

- Na co masz ochotę? - pyta.

Norcenpielęgniarka stoi tuż przy mnie, podskakuję.

- Mamy szwedzki stół - mówi. - Możesz zjeść, o, na przykład gofry, omlet, naleśniki...

- Nie - szepczę.

- Mówi się "Nie, dziękuję" - upomina mnie Mama. - Tak jest grzecznie.

Osoby nie moi przyjaciele patrzą na mnie i laserują niewidzialnymi promieniami, przyciskam buzię do Mamy.

- Co byś zjadł, Jack? - pyta Noreen. - Parówkę, grzankę?

- Nie, dziękuję. Oni się patrzą - dodają już do Mamy.

- Chcą być tylko mili.

Żeby już przestali.

Doktor Clay znów tu jest, nachyla się nad nami.

- Pewnie Jack się czuje trochę osaczony, zresztą pani też.

Może to za duże wyzwanie jak na pierwszy dzień?

Co to jest Pierwszy Dzień?

Mama wzdycha.

- Chcieliśmy zobaczyć ogród.

Nie, to Alicja chciała.

- Nie ma pośpiechu - odpowiada doktor Clay.

- Spróbuj może coś przekąsić - mówi mi Mama. - Przynajmniej wypij sok, od razu się lepiej poczujesz.

Kręcę głową.

- A może naszykuję kilka talerzy i przyniosę wam do pokoju? - proponuje Noreen.

Mama z trzaskiem zakłada maskę.

- N o to chodźmy.

Chyba jest zła. Łapię się krzesła.

- A co z Wielkanocą?

- Z czym?

Pokazuję, Doktor Clay rabuje jajko i ledwo powstrzymuję się od krzyku.

- Proszę - mówi i wrzuca mi je do kieszeni szlafroka.

Schody są o wiele trudniejsze pod górę, więc Mama mnie wnosi.

- Pani pozwoli, pomogę - mówi Noreen.

- Nie trzeba. - Mama prawie krzyczy.

Po odejściu Noreen Mama zamyka szczelnie drzwi Numer

Siedem. Kiedy jesteśmy sami, możemy zdjąć maseczki, bo mamy te same zarazki.

Mama próbuje otworzyć okno, wali w nie, ale się nie da.

- A teraz mogę się poczęstować?

- Nie chcesz śniadania?

- Potem.

No to się kładziemy i się częstuję, z lewej, mniem mniem.

Mama mówi, żeby się nie przejmować talerzami, niebieskie nie przechodzi na jedzenie, każe mi potrząść talerz palcem, żeby się przekonać. A jeśli chodzi o widelce i noże, to dziwnie się dotyka metalu bez białych trzonków, ale to jednak nie boli.

Naleśniki się polewa syropem, ale ja nie chcę, żeby moje były mokre. Kosztuję po trochu wszystkiego i wszystko są dobre poza sosem na jajecznicę. Wielkanoc z czekolady jest w środku stopiona. Jest dwa razy bardziej czekoladowsza niż czekoladki, które dostawaliśmy czasem na Niedzielną Rozpusztę. Nigdy nie jadłem nic lepszego.

- Oj! Zapomnieliśmy podziękować Dzieciątku Jezus - mówię Mamie.

- Zrobimy to teraz, na pewno się nie obrazi.

Po wszystkim głośno bekam.

A potem wracamy spać.

Pukają drzwi, Mama wpuszcza doktora Claya i zakłada maskę sobie i mnie. Już się go aż tak nie boję.

- Co tam, Jack?

- W porządku.

- Przybijesz piątkę?

Plastikowa dłoń się podnosi i przebiera palcami, udaję, że nie widzę. Nie przybiję mu swoich pięciu palców, to może boleć.

On i Mama rozmawiają, na przykład o tym, dlaczego ona nie może spać, o tachykardii i przeżywaniu od nowa.

- Proszę spróbować tych, jedną przed snem - mówi doktor

Clay, zapisując coś w swoim bloku. - A jeśli chodzi o ból zęba, to być może pomogą środki przeciwzapalne...

- Czy mogę sama zażywać leki? Pielęgniarki mi je wydzielają, jakbym była chora.

- Nie mam nic przeciwko, pod warunkiem że nie będą się poniewierać po pokoju.

- Jack wie, że nie wolno ruszać tabletek.

- Myślałem raczej o kilku naszych pacjentach, którym zdarzało się nadużywać środków psychoaktywnych. A dla ciebie mam dziś czarodziejski plaster.

- Jack, doktor Clay do ciebie mówi - odzywa się Mama.

Plaster ma pójść na moją rękę i zrobić tak, żebym poczuł, że jej częściowo nie ma. Przyniósł też superanckie ciemne okulary, które mamy zakładać, kiedy jest za jasno w oknach, moje są czerwone, a Mamy niebieskie.

- Jak gwiazdy rapu - mówię jej. Przyciemniają się, gdy jesteśmy na zewnątrz Nazewnątrz, a rozjaśniają, gdy jesteśmy w środku Nazewnątrz. Doktor Clay mówi, że moje oczy są superbystre, ale jeszcze się nie przyzwyczyły do patrzenia w dal, muszę je rozciągnąć poza okno. W ogóle nie wiedziałem, że mam w oczach mięśnie, przykładam palce, ale ich nie czuję.

- I jak tam plaster, straciłeś już czucie? - pyta doktor Clay.

Odrywa go i dotyka mnie, widzę jego palec, ale go nie czuję. Co za pech, wyciąga igły i mówi, że mu przykro, ale musi mi zrobić sześć zastrzyków, bo inaczej dostanę okropnych

chorób, po to ten plaster, żeby igły nie bolały. Sześć nie ma mowy, lecę do tej części pokoju z sedesem.

- Możesz od nich umrzeć - mówi Mama i ciągnie mnie z powrotem do doktora Claya.

- Nie!

- Nie od zastrzyków, tylko od zarazków.

Nie i koniec.

Doktor Clay mówi, że jestem naprawdę dzielny, ale to nieprawda, dzielny mi się wyczerpał przy Planie B. Krzyczę i krzyczę. Mama trzyma mnie na kolanach, a on wtyka bez końca te swoje igły i bołą, bo zdjął plaster, błagam o niego i w końcu

Mama go z powrotem przylepia.

- Na dziś to już koniec, obiecuję.

Doktor Clay wkłada igły do zawieszzonego na ścianie pojemnika z napisem Odpady skażone. W kieszeni ma dla mnie lizaka, pomarańczowego, ale jestem zbyt pełny. Mówi, że mogę go sobie zostawić na potem.

-... pod wieloma względami jak noworodek, mimo swoich niezwykle zaawansowanych umiejętności czytania, pisania i liczenia - mówi do Mamy.

Słucham uważnie, bo wiem, że to o mnie.

- Poza kwestiami odpornościowymi można się spodziewać trudności w zakresie, powiedzmy, adaptacji społecznej, rzecz jasna, modulacji sensorycznej - filtrowania i różnicowania masy bodźców - i dodatkowo trudności z orientacją w przestrzeni...

- To dlatego ciągle wpada na przedmioty? - pyta Mama.

- Jak najbardziej. Tak dobrze znał swoje ciasne środowisko, że nie musiał się uczyć oceniać odległości.

Mama kryje buzię w dłoniach.

- Myślałam, że wszystko z nim dobrze. Przynajmniej z grubsza.

To nie jest ze mną dobrze?

- Można spojrzeć na to z innej strony...

Urywa, bo ktoś puka. Otwiera i wchodzi Noreen z następną tacą, Odbija mi się, mam jeszcze napchany brzusek po śniadaniu.

-... najlepiej psychoterapeuta z doświadczeniem w dziedzinie terapii przez zabawę i sztukę - mówi doktor Clay. - Podczas porannego konsylium zgodnie orzekliśmy, że na razie zdecydowanie najpilniejsze jest przywrócenie mu poczucia bezpieczeństwa. To znaczy wam. Chodzi o to, by powoli, stopniowo rozszerzać krąg zaufania. - Rozkłada ręce w powietrzu. - Ponieważ wczoraj wieczorem to ja miałem szczęście dyżurować na izbie przyjęć...

- Szczęście? - pyta Mama.

- Źle się wyraziłem. - Robi minę jak uśmiech. - Na razie więc to ja będę z wami pracował.

Jak to pracował? Nie wiedziałem, że dzieci muszą pracować.

-... oczywiście z pomocą współpracowników, specjalistów od psychiatrii dzieci i młodzieży, naszego neurologa, psychoterapeutów, zaangażujemy też dietetyka, fizjo...

Znów pukanie. To jeszcze raz Noreen, tym razem z panem-

- policją, ale nie tym wczorajszym z żółtymi włosami.

W pokoju są teraz trzy osoby i jeszcze my dwoje, to się równa pięć, wszędzie pełno rąk, nóg i piersi. Wszyscy mówią aż do bólu.

- Przestańcie gadać wszyscy naraz - mówię, ale z wyłączonym dźwiękiem. Wpycham palce do uszu.

- Mam dla ciebie niespodziankę, chcesz?

To do mnie mówiła Mama, nie wiedziałem. Noreen sobie poszła i policja też. Kręcę głową.

- Nie jestem pewien, czy to jest wskazane... - odzywa się doktor Clay.

- Jack, mam wspaniałą wiadomość - przerywa mu Mama i podnosi rękę ze zdjęciami. Nie muszę nawet podchodzić, bo wiem, kto na nich jest, Stary Nick. Ta sama buzia jak wtedy, kiedy na niego zerkałem w Łóżku, ale ma tabliczkę na szyi i stoi przy cyferkach takich jak te, na których zaznaczaliśmy w urodziny moją wysokość, sięga prawie szóstki, ale nie do końca. Na jednym zdjęciu patrzy w bok, a na drugim na mnie.

- W środku nocy policja go złapała i wsadziła do więzienia, i już się stamtąd nie ruszy - mówi Mama.

Czy brązowy pikap też poszedł do więzienia ciekawe.

- Czy na widok zdjęć odczuwa pani któryś z objawów, o których rozmawialiśmy? - pyta doktor Clay.

Mama przewraca oczami.

- Naprawdę pan sądzi, że po siedmiu latach obcowania z nim na żywo rozsypię się na widok zdjęcia?

- Jack, a dla ciebie jakie to uczucie?

Nie znam odpowiedzi.

- Chcę cię o coś zapytać - mówi doktor Clay. - Nie musisz odpowiadać, jeśli nie chcesz. Dobrze?

Patrzę na niego, a potem znowu na zdjęcia. Stary Nick jest uwięziony w cyferkach i

już się nie wydostanie.

- Czy ten mężczyzna zrobił kiedyś coś, co ci się nie podobało?

Kiwam głową.

- A możesz mi powiedzieć, co to było?

- Odetnął prąd i warzywa oślizgły.

- Uhm. A zrobił ci kiedyś krzywdę?

- Proszę nie... - zaczyna Mama.

Doktor Clay podnosi rękę.

- Wierzę pani na słowo, ale myślę o tych wszystkich nocach, kiedy pani spała.

Zaniedbałbym swoje obowiązki, gdybym nie zapytał o to samego Jacka, nie sądzi pani?

Mama bardzo długo wypuszcza powietrze.

- Dobrze - mówi do mnie. - Możesz odpowiedzieć. Czy

Stary Nick zrobił ci kiedyś krzywdę?

- Tak - odpowiadam. - Dwa razy.

Oboje wytrzeszczają oczy.

- Jak robiłem Wielką Ucieczkę, to rzucił mnie na auto, a potem na ulicę, za drugim razem najboleło.

- W porządku. - Doktor Clay się uśmiecha, nie wiem czemu.

- Pójdę od razu do laboratorium i zapytam, czy nie potrzebują od was jeszcze po jednej próbce do badań DNA - mówi Mamie.

- DNA? - Znowu mówi wściekłym głosem. - Sądzi pan, że przyjmowałam jakichś gości?

- Sądzę, że tak funkcjonują sądy, trzeba zadbać o każdy szczegół.

Mama przygryza całą buzię, zupełnie nie widać jej warg.

- Co chwila uniewinniają jakiegoś potwora, bo czegoś nie dopatrzone - mówi, jakby się złościł. - Rozumiemy się?

- Rozumiemy się.

Poszedł już, zrywam maskę i pytam:

- On jest na nas zły?

Mama kręci głową.

- Jest zły na Starego Nicka.

Nie wiedziałem, że doktor Clay go w ogóle zna, myślałem, że tylko my.

Idę popatrzeć na tacę, którą przyniosła Noreen. Nie jestem głodny, ale pytam Mamy i mówi, że już po pierwszej, już nawet po lunchu, lunch ma być o dwunastej z czymś, ale

jeszcze nie mam miejsca w brzuszku.

- Spokojnie - mówi Mama. - Tu wszystko jest inaczej.

- Ale jakie są zasady?

- Nie ma żadnych zasad. Możemy jeść lunch o dziesiątej, pierwszej, trzeciej albo w środku nocy.

- Nie chcę lunchu w środku nocy.

Mama wzdycha.

- Ustalmy nową zasadę, że jemy lunch... między dwunastą a drugą. A jeśli nie jesteśmy głodni, to go opuszczamy.

- Jak się opuszcza lunch?

- Nic się nie je. Zero.

- Dobrze.

Fajnie jeść zero.

- A co Noreen robi z całym jedzeniem?

- Wyrzuci.

- Ale to marnowanie.

- Tak, ale musi wylądować w koszu, bo... jest takie jakby brudne.

Patrzę na jedzenie różnokolorowe na niebieskich talerzach.

- Nie wygląda brudne.

- Bo nie jest, ale nikt go nie zechce z naszych talerzy - mówi

Mama. - Nie przejmuj się tym.

Ciągle to powtarza, ale ja nie umiem się nie przejmować.

Ziewam tak szeroko, że prawie się przewracam. Dalej boli mnie ręka tam, gdzie nie straciłem czucia. Pytam, czy możemy wracać spać i Mama mówi jasne, ale idzie czytać gazetę. Nie wiem, dlaczego chce czytać, zamiast ze mną spać.

Budzę się i światło jest nie tam, gdzie trzeba.

- W porządku. - Mama przytula buzię do mojej. - Wszystko jest w porządku.

Zakładam swoje superanckie okulary, żeby popatrzeć na żółtą buzię Pana Boga w oknie, światło ślizga się po puszystym zielonym dywanie.

Wchodzi Noreen z torbami.

- Mogła pani zapukać. - Mama prawie krzyczy i zakłada maskę sobie i mnie.

- Przepraszam - odpowiada Noreen. - Pukałam, ale następnym razem na pewno zrobię to głośniej.

- Nie, przepraszam, ja nie... rozmawiałam z Jackiem. Może słyszałam, ale nie wiedziałam, że to do drzwi.

- Nie ma sprawy - mówi Noreen.

- Dochodzą tu odgłosy z... z innych pokojów, słyszę coś i sama nie wiem, co, gdzie i skąd.

- Pewnie to wszystko jest dla was trochę nowe.

Mama śmieje się niby.

- Słuchaj no, młody człowieku - mówi Noreen, a oczy jej błyszczą. - Może chciałbyś zobaczyć swoje nowe ubrania?

To nie nasze ubrania, leżą takie różne w torbach, a jeśli nie będą pasować albo nam się nie spodobać, to Noreen zanieś je z powrotem do sklepu i przyniesie inne. Przymierzam wszystko, najbardziej mi się podoba piżama, jest taka misiowata i ma wzór w astronautów. Wygląda jak kostium telechłopca. Buty zapinają się na takie trzeszczące coś, co się przykleja i nazywa rzep. Lubię go otwierać i zamykać rrrrrpppp rrrrrpppp. Ale chodzić w nich trudno, są ciężkie i chcą, żebym się potknął. Wolę je nosić na łóżku, macham nogami w powietrzu i buty się biją, a potem znowu kolegują.

Mama przymierza dżinsy bardzo ciasne.

- Tak się teraz nosi - mówi Noreen. - I Bóg mi świadkiem, że przy pani figurze to pasuje.

- Kto tak nosi?

- No, młodzi.

Mama się uśmiecha, nie wiem dlaczego. Wkłada bluzkę, też bardzo ciasną.

- To nie twoje prawdziwe ubrania - szepczę do niej.

- Teraz już tak.

Puk puk do drzwi, wchodzi druga pielęgniarka, ten sam mundurek, ale buzia inna. Mówi, że mamy gościa. Nigdy wcześniej nie miałem gościa, nie wiem jak.

Wchodzi jakaś osoba i biegnie na Mamę, zrywam się z pięściami, ale Mama się śmieje i płacze jednocześnie, widocznie się cieszosmuci.

- Och, mamo - to Mama mówi. - Och, mamo.

- Moja maleńka...

- Wróciłam.

- Wróciłaś - mówi osoba. - Kiedy zadzwonili, byłam pewna, że to kolejny głupi kawał...

- Tęskniłaś za mną? - Mama zaczyna się śmiać jakoś dziwnie.

Kobieta też płacze, kapie jej czarne z oczu, ciekawe, czemu ma czarne łzy. Buzię ma w kolorze krwi jak kobiety z telewizora. Włosy żółtawe krótkie, ale nie całe krótkie, i wielkie złote pokręta wetknięte w uszy pod dziurami. Dalej trzyma Mamę mocno w ramionach, jest trzy razy okrągłsza niż ona. Nigdy nie widziałem, jak Mama kogoś przytula.

- Niech no cię zobaczę na chwilę bez tej głupiej maski.

Mama zsuwa maskę, uśmiecha się i uśmiecha.

Kobieta patrzy teraz na mnie.

- To nie do wiary, to wprost nie do wiary.

- Jack - odzywa się Mama. - To twoja babcia.

A więc naprawdę mam babcie.

- Istny skarb. - Kobieta rozkłada ręce, jakby chciała pomachać, ale tego nie robi.

Zbliża się. Wchodzę za krzesło.

- Jest bardzo uczuciowy - mówi Mama - tylko nie zna nikogo poza mną.

- Naturalnie, naturalnie. - Ta Babcia podchodzi jeszcze bliżej. - Och, Jack, jesteś najdzielniejszym bączkiem na świecie, sprowadziłeś mi z powrotem moją dziewczynkę...

Jaką dziewczynkę?

- Podnieś na momencik maskę - mówi Mama.

Podnoszę i zaraz zakładam z powrotem.

- Szczękę ma po tobie - stwierdza ta Babcia.

- Myślisz?

- Oczywiście, zawsze miałaś bzika na punkcie dzieci, niańczyłaś za darmo...

Gadają i gadają. Zaglądam pod plaster i sprawdzam, czy palec dalej ma mi odpaść. Czerwone kropki zaczynają się łuszczyć.

Dmucha powietrzem. W drzwiach jakaś buzia, buzia z włosami wszędzie na policzkach i na brodzie i pod nosem, ale na głowie nie.

- Przekazałam pielęgniarce, żeby nikt nam nie przeszkadzał - mówi Mama.

- To Leo - mówi Babcia.

- Hej - mówi ten on i przebiera palcami.

- Kto to jest Leo? - pyta bez uśmiechu Mama.

- Miał poczekać na korytarzu.

- No problemo - mówi Leo i już go nie ma.

- A gdzie tata? - pyta Mama.

- W tej chwili w Canberze, ale już jedzie - odpowiada Babcia. - Wszystko się zmieniło, kochanie.

- W Canberze?

- Oj, kotku, pewnie teraz tego wszystkiego nie ogarniesz...

Okazuje się, że włochaty Leo to nie mój prawdziwy Dziadek, ten prawdziwy wrócił do Australii, bo myślał, że Mama nie żyje, i zrobił dla niej pogrzeb, a Babcia była na niego zła, bo cały czas miała nadzieję. Ciągłe sobie powtarzała, że jej ukochana córeczka widocznie miała powody, żeby zniknąć i pewnego pięknego dnia się odezwie.

Mama wybałusza oczy.

- Pewnego pięknego dnia?

- A nie jest piękny? ~ Babcia pokazuje okno.

- Jakie niby powody...?

- Och, łamaliśmy sobie głowy. Pracownik socjalny powiedział nam, że dzieci w twoim wieku czasem znikają ni stąd, ni zowąd. Czasem przez narkotyki, przekopałam twój pokój...

- Miałam średnią trzy siedem.

- To prawda, byłaś naszą dumą i pociechą.

- Porwał mnie z ulicy.

- Tak, teraz już wiem. Rozwieszaliśmy plakaty po całym mieście, Paul założył stronę internetową. Policja rozmawiała ze wszystkimi twoimi znajomymi z uczelni i z liceum, żeby się dowiedzieć, czy zadawałaś się z kimś, kogo nie znaliśmy. Ciągłe mi się wydawało, że cię gdzieś widzę, to była męka - opowiada

Babcia. - Zatrzymywałam się przy różnych dziewczynach i trąbiłam, ale to nigdy nie byłaś ty. Przed twoimi urodzinami zawsze piekłam twoje ulubione przysmaki, bo liczyłam, że przyjdiesz.

Pamiętasz moje ciasto bananowoczekoladowe?

Mama potakuje. Ma zalaną łzami buzię.

- Nie mogłam zasnąć bez pigulek. Ta niewiedza mnie zabijała, to nie było w porządku wobec twojego brata. A wiesz - chociaż nie, bo skąd? - Paul ma córeczkę, jeszcze nie skończyła trzech lat, a już wyszła z pieluch. Ma też przemiłą partnerkę, radiologa.

Rozmawiają jeszcze długo, uszy mi się męczą od słuchania.

Potem przychodzi Noreen z tabletkami dla nas i szklanką soku, który nie jest pomarańczowy, tylko jabłkowy, lepszego nie piłem.

Babcia już idzie do domu. Ciekawe, czy śpi na hamaku.

- Czy mam... czy Leo może wpaść na moment się przywitać? - pyta przy drzwiach.

Mama nic nie mówi.

- Może następnym razem - odzywa się w końcu.

- Jak wolisz. Lekarze mówią, żeby się nie spieszyć.

- Z czym?

- Ze wszystkim. - Babcia odwraca się do mnie. - No. Jack.

Umiesz powiedzieć pa, pa?

- Umiem wszystko powiedzieć - odpowiadam.

Śmieje się i nie może przestać.

Całuje swoją własną dłoń i dmucha w moją stronę.

- Złapiesz?

Chyba chce, żebym się bawił w łapanie buziaków, więc to robię i jest zadowolona, znów jej lecą łzy.

- Dlaczego się śmiała, że umiem wszystko powiedzieć, przecież to nie był żart? - pytam potem Mamy.

- To bez znaczenia, zawsze dobrze kogoś rozbawić.

006.12 Noreen przynosi następną, całkiem nową tacę z kolacją, kolację możemy jeść o piątej z czymś albo szóstej z czymś albo nawet siódmej z czymś, mówi Mama. Takie zielone chrupiące, co się nazywa rukola, ma za ostry smak, ale dobre są ziemniaki o chrupiących brzegach i leżące na nich mięso w paski. W chlebie jest coś, co mnie drapie w gardło, więc próbuję to powymować, ale robią się dziury, Mama każe zostawić. Są też truskawki, Mama mówi, że smakują Niebiańsko, ale skąd wie, jak smakuje Niebo? Nie możemy zjeść wszystkiego. Według Mamy i tak większość ludzi za bardzo się napycha, lepiej zjeść tylko to, co smakuje, a resztę zostawić.

Moja ulubiona część Nazewnątrz to okno. Za każdym razem jest trochę inne. Tuż tuż przelatuje ptak.fru, nie wiem, jak się nazywa. Cienie znowu się wydłużyły, mój spływa przez pokój na zieloną ścianę. Patrzą, jak powoli powoli opada buzia

Pana Boga, coraz bardziej pomarańczowa, chmury mienią się wszystkimi kolorami, a potem już zostają tylko smugi i ciemno się zakrada tak po trochu, że widać je dopiero, jak już jest po wszystkim.

W nocy Mama i ja ciągle się szturchamy. Budzę się trzeci raz i tęsknię za Jeepem i Pilotem, ale tu ich nie ma.

W Pokoju nikt nie został, tylko rzeczy, wszystko leży bardzo nieruchomo i pokrywa się kurzem, bo Mama i ja jesteśmy w klinice, a Stary Nick siedzi w więzieniu. Musi siedzieć zamknięty już zawsze.

Przypominam sobie, że mam piżamę z astronautami. Macam nogę przez materiał, w

dotyku jest jakby nie moja. Wszystkie nasze rzeczy, które były nasze, są zamknięte w Pokoju, poza moją koszulką, którą Mama wrzuciła do kosza i już jej nie ma, sprawdzałem przed snem, widocznie salowa ją zabrała. Myślałem, że salowa to jest taki ktoś, kto mieszka w dużej sali, ale Mama mówi, że to osoba, która sprząta. Myślę, że one są niewidzialne jak elfy. Chciałbym, żeby salowa odniosła mi moją starą koszulkę, ale wtedy znów Mama by stroiła fochy.

Musimy być w świecie, już nigdy nie wracamy do Pokoju, Mama mówi, że tak już jest i powinienem się cieszyć. Nie wiem, dlaczego nie możemy wracać choćby tylko na spanie.

Ciekawe, czy musimy zostawać zawsze w tej klinicowej części Nazewnątrz, czy możemy jechać do innych, na przykład do domu z hamakiem, tylko że prawdziwy Dziadek jest w Australii to za daleko.

- Mamo?

- Jack, wreszcie zaczęłam przysypiać... - jęczy.

- Na jak długo tu jesteśmy? - pytam.

- Dopiero dobę. Tylko nam się wydaje, że dłużej.

- Nie, ale ile tu będziemy, jak się skończy teraz? Ile dni i nocy?

- Tak dokładnie to nie wiem.

Przecież Mama zawsze wszystko wie.

- Powiedz.

- Ciii.

- Ale jak długo?

- Tylko trochę - odpowiada. - A teraz sza, pamiętaj, że za ścianą są inni ludzie, a ty im przeszkadzasz.

Nie widzę osób, ale i tak tam są, to te z jadalni. W Pokoju nigdy nikomu nie przeszkadzałem, może tylko czasem Mamie, jak mocno ją bolał Ząb. Ona mówi, że osoby przebywają tutaj w Cumberland, bo są trochę chore na głowę, ale nie bardzo. Nie mogą spać na przykład ze zmartwienia albo nie mogą jeść albo za często myją ręce, nie wiedziałem, że mycie może być za często. Niektórzy się uderzyli w głowy i już nie znają nawet siebie, niektórzy są cały czas smutni albo nawet drapią się po rękach nożami, nie wiem dlaczego. Lekarze i pielęgniarki i Pil ar i niewidzialne salowe nie są chorzy, oni chcą pomóc. Mama i ja też nie jesteśmy chorzy, mamy tu tylko odpocząć, no i nie chcemy, żeby nas namierzyli paparazzi, to są ci sępowie z kamerami i mikrofonami, bo teraz jesteśmy sławni jak gwiazdy rapu, tylko że niechący. Mama twierdzi, że w zasadzie potrzebujemy tylko trochę wsparcia, żebyśmy mogli uporządkować pewne rzeczy.

Nie wiem, które to rzeczy.

Sięgam teraz pod poduszkę, żeby wymacać, czy Ząb się zmienił w pieniążek, ale nie. Myślę, że Wróżka nie wie, gdzie się mieści klinika.

- Mamo?

- Co?

- A my jesteśmy zamknięci?

- Nie - prawie warczy. - Oczywiście, że nie. A co, nie podoba ci się tu?

- Ale chodzi o to, że czy musimy tu mieszkać?

- Nie, nie, jesteśmy wolni jak ptaki.

Myślałem, że wszystko, co dziwne, zdarzyło się wczoraj, ale dzisiaj czeka o wiele więcej.

Nie mogę wycisnąć kupy, bo mój brzusek nie jest przyzwyczajony do takich ilości jedzenia.

Nie musimy pracować pościeli pod prysznicem, bo i tym zajmują się niewidzialne salowe.

Mama pisze w zeszycie, dostała zadanie domowe od doktora

Claya. Myślałem, że muszą tak robić tylko dzieci, które chodzą do szkoły, to jest takie zadanie, które trzeba odrobić w domu, ale

Mama mówi, że klinika nie jest niczym domem tak naprawdę, każdy w końcu idzie do swojego.

Nie cierpię swojej maski, nie mogę przez nią oddychać, ale

Mama twierdzi, że owszem, mogę.

Jemy śniadanie w jadalni, która jest tylko do jedzenia, ludzie w świecie lubią robić różne rzeczy w osobnych pokojach. Parniętam o manierach, maniery to są wtedy, kiedy osoby się boją, że zdenerwują inne osoby.

- Czy mogę jeszcze prosić pani dać naleśniki?

Ta ona w fartuchu mówi:

- Jaki on słodki.

Wcale nie jestem słodki, ale to znaczy, że ta kobieta mnie lubi, mówi Mama, więc powinienem jej pozwolić tak do mnie mówić.

Próbuję syropu, jest bardzo megasłodki, wypijam cały mały pojemnik, zanim Mama zdąży mi nie pozwolić. Mówi, że to tylko do polewania naleśników, fuj.

Ludzie podchodzą do niej z dzbankami kawy, odmawia.

Zjadam tyle bekonu, że tracę rachubę, a kiedy mówię "Dziękuję, Jezusku", inni się na

mnie patrzą, myślę, że oni go nie znają tu, w Nazewnątrz.

Mama mówi, że jak osoba śmiesznie się zachowuje, na przykład Hugo, ten długi chłopak z kawałkami metalu z buzi, zaczyna buczeć, albo pani Garber drapie się ciągle w szyję, to się nie śmiejemy, a jak musimy, to w środku, za buziami.

Nigdy nie wiem, kiedy przytrafi się jakiś dźwięk i poderwie mnie z miejsca. Bardzo często nie widzę, skąd się biorą, niektóre są cichutkie jak na przykład świst małych robaczków, ale od innych boli mnie głowa. Chociaż wszystko jest ciągle takie hałaśliwe, Mama stale powtarza, żebym nie krzyczał, bo przeszkadzam osobom. A znowu kiedy się odzywam, to często mnie nie słyszą.

- Gdzie masz buty? - pyta Mama.

Wracamy i znajdujemy je w jadalni pod stołem, na jednym leży kawałek bekonu, który zaraz zjadam.

- Zarazki - przypomina Mama.

Niosę swoje buty za rzepowe paski. Mama każe założyć.

- Stopy mnie od nich bolą.

- Źle dobrali rozmiar?

- Za ciężkie są.

- Wiem, że trudno ci się przyzwyczaić, ale nie możesz łązić w skarpetkach, jeszcze wdepniesz w coś ostrego.

- Nie wdepnę, słowo.

Czeka, aż założę. Stoimy w korytarzu, ale nie tym na samej górze schodów, tylko w innym, w klinice są różne. Nie wydaje mi się, żebyśmy kiedyś tędy szli, chyba się zgubiliśmy?

Mama wygląda przez następne okno.

- Może dzisiaj udałoby nam się wyjść na zewnątrz i pooglądać drzewa i kwiaty.

- Nie.

- Jack...

- Chciałem powiedzieć nie, dziękuję.

- Świeże powietrze!

Ja lubię powietrze w Pokoju Numer Siedem, Noreen prowadzi nas z powrotem. Przez nasze okno widzimy samochody jak zaparkują i odparkowują, i gołębie, i czasem tego kota.

Potem idziemy się bawić z doktorem Clayem w innym pokoju, w którym leży dywan z długimi włosami, nie Dywan, który jest całkiem płaski i zygzakowaty. Ciekawe, czy Dywan za nami tęskni, czy dalej leży w tyle pikapa w więzieniu?

Mama pokazuje doktorowi Clayowi swoje zadanie domowe, rozmawiają długo o niezbyt ciekawych rzeczach, o depersonalizacji i jamais vu. Potem pomagam doktorowi rozpakować skrzynkę z zabawkami, wtedy jest najfajniej. Mówi do telefonu komórkowego, który nie jest prawdziwy.

- Świetnie, że dzwoniisz, Jack. Akurat jestem w klinice.

A ty?

Znajduję plastikowego banana i mówię do niego:

- Ja też.

- Co za zbieg okoliczności. I co, cieszysz się, że tu jesteś?

- Cieszę się, że dają bekon.

Śmieje się, nie wiedziałem, że znów powiedziałem coś zabawnego.

- Ja też lubię bekon. Aż za bardzo.

Jak lubienie może być za bardzo?

Na dnie skrzynki znajduję małe pacynki: psa w ciapki, pirata, księżyc i chłopca z wystawionym językiem, najbardziej podoba mi się pies.

- Jack, pan doktor cię o coś pyta.

Gapię się na Mamę.

- A co ci się tu mniej podoba? - pyta doktor Clay.

- Że osoby patrzą.

- Mhm?

Bardzo często tak mówi zamiast używać słów.

- I jeszcze że nagle.

- Jakie żagle?

- Nie, że dużo rzeczy się dzieje nagle. Ciach i już.

- Ach, tak.”Świat jest bardziej nieprzewidywalny, niż sobie wyobrazamy”*

[*Fragment wiersza Snow Louisa MacNeice’ a w przekładzie Bohdana Zadury.]

- Co?

- Przepraszam, był taki wiersz. - Doktor Clay uśmiecha się do Mamy. - Jack, a możesz opowiedzieć, gdzie byłeś przed pobytem w klinice?

Nigdy nie wchodził do Pokoju, więc opowiadam wszystko ze wszystkimi szczegółami, co robiliśmy nacoziennie i tak dalej, Mama dopowiada, jak o czymś zapomnę. Doktor wyjmuję masę, którą widziałem kolorową w telewizorze, lepi z niej kulki i glisty podczas rozmowy. Wtykam palec do żółtego i trochę mi zostaje za paznokciem, nie chcę go żółtego.

- Nie dostałeś nigdy ciasto liny w ramach Niedzielnej Rozpusty? - pyta.

- Przecież wysycha - wtrąca się Mama. - Nie pomyślał pan o tym? Nawet jeśli ją sumiennie odkładać do pojemnika, to prędzej czy później stwardnieje.

- Pewnie tak - mówi doktor Clay.

- Z tego samego powodu prosiłam o kredki, a nie pisaki, i o pieluchy z tetry, i o cokolwiek trwałego, żebym nie musiała już prosić tydzień później.

Doktor Clay przytakuje.

- Wyrabialiśmy ciasto chlebowe, ale tylko białe. - Mama zaczyna się wściekać. - Sądzi pan, że nie dawałabym Jackowi ciasto liny co dzień w innym kolorze, gdybym tylko mogła?

Doktor Clay wymawia inną nazwę Mamy.

- Nikt tu nie wygłasza opinii na temat pani decyzji i metod.

- Noreen mówi, że lepsza by była masa solna, wiedział pan o tym? Ja nie, bo i skąd? Nawet nie prosiłam o barwniki spożywcze. Do cholery, gdyby tylko mi przeszło przez myśl...

Powtarza doktorowi Clayowi, że nic jej nie jest, ale słyhać, że to nieprawda. Rozmawiają o zniekształceniach poznawczych, ćwiczą oddychanie, a ja się bawię pacynkami. Potem kończymy, bo doktor Clay idzie się pobawić z Hugonem.

- On też siedział w szopie? - pytam.

Doktor Clay kręci głową.

- Każdy ma własną historię.

Wracamy do pokoju, Mama i ja, kładziemy się na łóżku i częstujemy się do woli. Mama jeszcze źle pachnie odżywką, za jedwabiscie.

Po drzemce dalej jestem zmęczony. Kapie mi z nosa i z oczu też, jakby się topiły od środka. Mama mówi, że złapałem pierwsze przeziębienie i tyle.

- Przecież nosiłem maskę.

- Zarazki jakoś się przekradają. Pewnie do jutra zdążą przejść na mnie.

Zaczynam płakać.

- Jeszcze nie skończyliśmy się bawić.

Przytula mnie.

- Nie chcę jeszcze iść do Nieba.

- Kochanie. - Mama nigdy tak do mnie nie mówiła. - Nie martw się, jeśli zachorujemy, to lekarze nam pomogą.

- To ja chcę.

- Co chcesz?

- Chcę, żeby doktor Clay mi teraz pomógł.

- Hmm, on nie umie leczyć przeziębień. - Mama przygryza wargi. - Ale obiecuję, że za kilka dni będzie po wszystkim. Hej, a może chcesz się nauczyć wydmuchiwać nos?

Udaje mi się już za czwartym razem, wszystkie smarki lądują na chusteczce, a Mama klaszcze.

Noreen przynosi lunch: zupy, kebab i ryż taki na niby, który się nazywa komosa. Na potem dają sałatkę owocową i próbuję zgadnąć z czego, z jabłek i pomarańczy, a reszty nie znam: ananas, mango, borówki, kiwi i arbuza, dwa dobrze i pięć źle równa się minus trzy. Banana nie dali.

Chcę znów zobaczyć rybki, więc schodzimy do części, która się nazywa Recepcja. Rybki mają paski.

- Czy one są chore?

- Wyglądają dosyć dziarsko - odpowiada Mama. - Szczególnie ta duża despotka w wodorostach.

- Ale nie, czy są chore na głowę? Czy to psychiczne rybki?

Śmieje się.

- Nie sędzę.

- A może tu tylko odpoczywają na chwilę, bo są sławne?

- Te akurat wykluły się tutaj, w tym akwarium - odzywa się kobieta Pilar.

Wzdrygam się, nie zauważyłem, kiedy wyszła zza blatu.

- A dlaczego?

Patrzy na mnie i dalej się uśmiecha.

- No bo...

- Dlaczego tu są?

- Chyba po to, żeby na nie patrzeć. Piękne, prawda?

- Chodź, Jack - odzywa się Mama. - Pani na pewno ma dużo pracy.

W Nazewnątrz nie da się połapać w czasie. Mama ciągle powtarza: "Wolniej, Jack", "Poczekaj", "Kończ już", "Pospiesz się, Jack", często mówi "Jack", żebym wiedział, że to do mnie, a nie do osób. Prawie nigdy nie wiem, która godzina, wiszą zegary, ale ze szpiczastymi wskazówkami, nie znam ich tajemnicy, a Zegarka z cyferkami tu nie ma, więc muszę pytać Mamy, a ona już nie ma siły słuchać moich pytań.

- Nie musisz pytać, bo sam wiesz, że już czas wyjść na zewnątrz.

Nie chcę, ale ona powtarza:

- Spróbujmy, chociaż spróbujmy. I to zaraz, czemu nie?

Najpierw trzeba założyć buty. Potrzebujemy też kurtek, czapek i lepiącej mazi na skórę pod maskami i na rękach, słońce może nam wypalić skórę, bo jesteśmy z Pokoju. Doktor Clay i Noreen idą z nami, ale nie mają superanckich okularów ani niczego.

Wyjście zewnętrzne to nie drzwi, ale coś jak śluza powietrzna na statku kosmicznym. Mama nie może sobie przypomnieć nazwy.

- Drzwi obrotowe - podpowiada doktor Clay.

- No tak - mówię. - Znam je z telewizora.

Fajnie się idzie w kółko, ale zaraz znajdujemy się na zewnątrz i światło mnie boli w okulary całkiem ciemne, a wiatr daje klapsa w buzię, muszę wracać do środka.

- Wszystko dobrze - powtarza Mama.

- Nie podoba mi się.

Obrotowe się zacięło, już się nie obraca, tylko mnie wyciska na dwór.

- Daj mi rękę.

- Wiatr nas rozniesie.

- To tylko lekki wietrzyk - mówi Mama.

Światło jest inne niż w oknie, wchodzi zewsząd przez krawędzie moich superanckich okularów, podczas naszej Wielkiej

Uciezki tak nie było. Za dużo okropnego promieniowania i świeżenia powietrza.

- Skóra mi się wypala.

- Nic ci nie będzie - mówi Noreen. - Oddychaj powoli i głęboko, no, to rozumiem.

Co rozumie? Tu w ogóle nie ma oddechów. Na okularach plamy, w mojej piersi łubudu, a wiatr tak huczy, że nic nie słyszę.

Noreen robi coś dziwnego, ściąga mi maskę i zakłada na buzię jakiś inny papier, odpycham go lepkimi rękami.

- Nie jestem pewien, czy to taki... - zaczyna doktor Clay.

- Oddychaj do torby - mówi mi Noreen.

Oddycham, robi się ciepło, tylko ją wsysam i wsysam.

Mama trzyma mnie za ramiona.

- Wracajmy - mówi.

Idziemy do Pokoju Numer Siedem i częstuję się na łóżku, jeszcze w butach i lepkiej mazi.

Potem przychodzi Babcia, tym razem rozpoznaję buzię. Przyniesła książki ze swojego domu z hamakiem, trzy dla Mamy bez obrazków i bardzo się cieszy, i pięć dla mnie z obrazkami, Babcia nie wiedziała, że pięć to moja najulubieńsza liczba. Mówi, że należały

do Mamy i mojego Wujka Paula, jak jeszcze byli dziećmi, chyba nie kłamie, ale to przecież nie może być prawda, że

Mama była kiedyś dzieckiem.

- Może usiądziesz Babci na kolanach i coś ci poczytam?

- Nie, dziękuję.

- Nie jestem pewien, czy to taki... - zaczyna doktor Clay.

- Oddychaj do torby - mówi mi Noreen.

Oddycham, robi się ciepło, tylko ją wsysam i wsysam.

Mama trzyma mnie za ramiona.

- Wracajmy - mówi.

Idziemy do Pokoju Numer Siedem i częstuję się na łóżku, jeszcze w butach i lepkiej mazi.

Potem przychodzi Babcia, tym razem rozpoznaję buzię. Przyniesła książki ze swojego domu z hamakiem, trzy dla Mamy bez obrazków i bardzo się cieszy, i pięć dla mnie z obrazkami, Babcia nie wiedziała, że pięć to moja najulubieńsza liczba. Mówi, że należały do Mamy i mojego Wujka Paula, jak jeszcze byli dziećmi, chyba nie kłamie, ale to przecież nie może być prawda, że

Mama była kiedyś dzieckiem.

- Może usiądziesz Babci na kolanach i coś ci poczytam?

- Nie, dziękuję.

Dostałem Bardzo głodną gąsienicę, Drzewo darów, jedź, piesku. Jedź!, Loraksa i Piotrusia Królika, oglądam teraz obrazki.

- Naprawdę, ze szczegółami - mówi Babcia do Mamy bardzo cicho. - Wszystko zniosę.

- Wątpię.

- Jestem gotowa.

Mama dalej kręci głową.

- Po co, mamó? Już po wszystkim, nie chcę do tego wracać.

- Ale, skarbie...

- Nie chcę, żebyś o tym myślała, ilekroć na mnie spojrzysz, rozumiesz?

Po buzi Babci schodzą następne łzy.

- Kochanie - mówi. - Kiedy na ciebie patrzę, to myślę tylko: alleluja!

Po jej wyjściu Mama czyta mi tę o króliku, ma na imię Piotruś, ale nie ten święty. Nosi staromodne ubrania i ucieka przed ogrodnikiem, nie wiem, po co mu się chce rabować

warzywa.

Nieladnie kraść, ale gdybym sam został rabusiem, kradłbym dobre rzeczy: auta i czekoladki. Ta książka nie jest zbyt znakomita, ale znakomicie mieć tak wiele nowych. W Pokoju miałem pięć plus teraz pięć równa się dziesięć. Chociaż teraz nie mam starych książek, czyli chyba mam tylko pięć nowych. Te w Pokoju może są już nikogo.

Babcia została tylko na chwilę, bo spodziewamy się następnego gościa, naszego adwokata Morrisa. Nie wiedziałem, że mamy adwokata, to jak na planecie z salą rozpraw, w której człowieki krzyczą, a sędzia wali młotkiem. Spotykamy się z nim w pokoju na nie górze, jest tam stół i wszędzie słodko pachnie. Morris ma megakręcone włosy. Rozmawia z Mamą, a ja w tym czasie ćwiczę wydmuchiwanie nosa.

- Na przykład ta gazeta, która wydrukowała pani zdjęcie z piątej klasy - mówi adwokat. - Mamy tu do czynienia z ewidentnym naruszeniem prawa do prywatności.

Teraz to chyba mówi całkiem do Mamy, bo ja nic nie rozumiem. Coraz lepiej mi idzie zgadywanie, do kogo ludzie mówią.

- Mam ich pozwać? Nigdy bym na to nie wpadła - odpowiada Mama. Pokazuję jej chusteczkę z moją wydmuchawką, unosi kciuk.

Morris kiwa głową dużo razy.

- Chodzi o to, że może powinna pani pomyśleć o swojej przyszłości, swojej i chłopca. Chłopiec to ja.

- Co prawda na razie klinika zrezygnowała z opłat, a ja założyłem fundusz z myślą o waszych fanach, ale musi pani wiedzieć, że prędzej czy później czekają was astronomiczne wydatki.

Rehabilitacja, specjalistyczna terapia, zakwaterowanie, czesne za naukę dla was obojga...

Mama pociera oczy.

- Nie chcę pani popędzać.

- Powiedział pan: naszych fanów?

- Pewnie - odpowiada Morris. - Stale napływają datki, jakiś worek dziennie.

- Worek czego?

- Wszystkiego. Zgarnąłem na oślep kilka rzeczy.

Wyjmuje zza swojego krzesła wielki plastikowy worek i zaczyna wyjmować paczki.

- Otwarte - mówi Mama na widok kopert.

- Proszę mi wierzyć, dla waszego dobra lepiej było je posegregować. FEKALIA, a to jeszcze nie wszystko.

- Dlaczego ktoś nam przysłał kupę? - pytam Mamy.

Morris wybałusza oczy.

- Umie już literować - mówi Mama.

- Pytałeś dlaczego, Jack? Bo na świecie nie brakuje czubków.

Myślałem, że wszystkim czubkom pomaga się tu, w klinice.

- Większość darów pochodzi jednak od życzliwych osób - dodaje. - Przesyłają czekoladki, zabawki, tego typu rzeczy.

Czekoladki!

- Pomyślałem, że najpierw przyniosę kwiaty, bo mojej asystentce głowa od nich pęka.

Podnosi mnóstwo kwiatów w foliowej niewidce, to od nich ten zapach.

- A z zabawek jakie zabawki? - pytam szeptem.

- Na przykład taka - mówi Mama i wyjmuję coś z koperty.

To mała kolejka z drewna. - Nie wrywamy.

- Przepraszam.

Robię ciufciufpo stole, po nodze stołowej, po podłodze i do góry po ścianie, która w tym pokoju jest niebieska.

- Kilka sieci telewizyjnych jest poważnie zainteresowanych - mówi Morris. - Może przy okazji warto by było się zastanowić nad napisaniem książki...

Mama nie ma przyjaznej miny.

- Czyli mamy się sprzedać, zanim kto inny na to wpadnie.

- Ja bym tego tak nie ujął. Przypuszczam, że świat się może dużo od pani nauczyć. Jak przeżyć, mając tak niewiele - cóż może być bardziej aktualnego?

Mama wybucha śmiechem.

Morris podnosi otwarte dłonie.

- Ale to oczywiście zależy od pani. Nie wybiegajmy za bardzo w przyszłość.

Mama czyta listy.

- Mały Jacku, wspaniały chłopczyku, ciesz się z każdej chwili, bo na to zasłużyłeś, bo dosłownie przeszedłeś piekło!

- Kto to mówi? - pytam.

Mama odwraca kartkę.

- Jakaś nieznajoma.

- Dlaczego mówi, że jestem wspaniały?

- Słyszała o tobie w telewizji.

Zaglądam do najgrubszych kopert w poszukiwaniu następnych pociągów.

- Proszę, na pewno są pyszne. - Mama trzyma pudełko czekoladek.

- Tu jest więcej. - Znalazłem naprawdę wielką bombonierkę.

- Nie, to za dużo, jeszcze się pochorujemy.

Nie szkodzi, i tak już jestem chory, z przeziębienia.

- Podarujemy je komuś.

- Komu?

- Może pielęgniarce?

- Zabawki i całą resztę mogę przekazać jakiemuś szpitalowi pediatrycznemu - mówi

Morris.

- Świetny pomysł. Wybierz sobie jakieś - mówi do mnie

Mama.

- Ile?

- Ile chcesz.

Czyta następny list:

- Niech Bóg błogosławi panią i pani świętego słodkiego synka, modłę się, żebyście odkryli wszystko co najpiękniejsze na tym świecie spełniły się wasze marzenia a wasza droga życiowa była usłana szczęściem i bogactwem.

Odkłada list na stół.

- Jak ja zdążę im wszystkim odpisać?

Morris kręci głową.

- Ten sukin... chciałem powiedzieć oskarżony, odebrał już pani siedem najlepszych lat życia. Na pani miejscu nie marnowałbym już ani sekundy więcej.

- Skąd pan wie, że to by były najlepsze lata mojego życia?

Wzrusza ramionami.

- No w końcu... miała pani dziewiętnaście lat, prawda?

Ale megafajne rzeczy, auto z kółkami, które robią zzzzzzhhhhmmmm, i jeszcze gwizdek w kształcie świnki, chyba dmuchnę.

- O! Ale głośno - mówi Morris.

- Za głośno - dodaje Mama.

Dmucha jeszcze raz.

- Jack...

No to odkładam. Znajduję jeszcze aksamitnego krokodyla długiego jak moja noga, grzechotkę z dzwoneczkiem i buzią klauna, jak się naciśnie nos, to robi ha ha ha ha ha.

- To też nie, aż mnie dreszcze przechodzą - mówi Mama.

Szepczę pa, pa klaunowi i odkładam go z powrotem do koperty. Znajduję jeszcze kwadrat z przyklejonym takim jakby długopisem do rysowania, ale z twardego plastiku, a nie z papieru, i pudełko małych z poskręcanyimi łapami i ogonami do szepiania w łańcuchy. I jeszcze wóz strażacki i misia w czapce, której się nie da zdjąć, nawet na siłę. Na metce widać obrazek dzidziusia z przekreśloną buzią i napisem 0-3, może to znaczy, że zabija dzidziusia w ciągu trzech sekund?

- No nie, Jack - mówi Mama. - Aż tyle ci nie trzeba.

- A ile mi trzeba?

- Czy ja wiem...

- Proszę podpisać tutaj, tutaj i tutaj - mówi do niej Morris.

Gryzę palec pod maską. Mama już mi nie zabrania.

- To ile mi trzeba?

Podnosi wzrok znad papierów, które pisuje.

- Wybierz... wybierz może pięć.

Liczę: auto i małe i kwadrat do pisania i kolejka z drewna i grzechotka i krokodyl, razem sześć, a nie pięć, ale Mama i Morris gadają i gadają. Znajduję wielką pustą kopertę i wkładam wszystkie sześć.

- No dobrze - mówi Mama i wrzuca resztę paczek do wielkiego worka.

- Czekać - mówię. - Mogę napisać na worku Prezenty od

Jacka dla Chorych Dzieci.

- Niech Morris się tym zajmie.

- Ale...

Mama robi wydech.

- Mamy wiele do zrobienia i trzeba pozwolić, żeby inni nas częściowo wyręczyli, inaczej mi głowa pęknie.

Dlaczego jej pęknie głowa, jeśli napiszę coś na worku?

Wyjmuję znowu pociąg, wkładam go pod koszulkę, to moje dziecko, zaraz wyskakuje i zasypuję je buziakami.

- Może w styczniu. Do procesu nie dojdzie wcześniej niż w październiku - mówi Morris.

Proces to jest o torty, Jaszczurka musi pisać palcem, a jak

Alicja strąca ławę sędziowską, to potem przez pomyłkę sadza

Jaszczurkę do góry nogami ha ha ha.

- Nie, pytałam, jak długo będzie w więzieniu.

Chodzi o niego, o Starego Nicka.

- Cóż, prokurator okręgowy mówiła, że liczy na minimum dwadzieścia pięć, może nawet dożywocie, a w przypadku przestępstw federalnych zwolnienie warunkowe nie wchodzi w grę - tłumaczy Morris. - A tu mamy porwanie na tle seksualnym, bezprawne pozbawienie wolności, zarzut wielokrotnego gwałtu, naruszenie nietykalności cielesnej... - Liczy na palcach, a nie w głowie.

Mama potakuje.

- A co z dzieckiem?

- Z Jackiem?

- Z pierwszym. Czy to nie podpada pod morderstwo?

O tym nie słyszałem.

Morris zaciska usta.

- Nie, chyba że się urodziło nieżywe.

- Urodziła.

Nie wiem, kto się urodziła.

- Urodziła, przepraszam bardzo. Możemy co najwyżej liczyć na zarzut karygodnego zaniedbania, ewentualnie lekkomyślności...

Alicję próbują wykopać z sądu, bo jest wysoka na ponad milę. Potem jest taki wiersz, którego nie rozumiem:

Gdybyśmy, ja lub ona, mieli przypadkiem

Wciągnięci być w tę sprawę, On wierzy, że ty ich uwolnisz

Tak, jak my byliśmy wolni*. [*Wszystkie cytowane fragmenty Alicji w Krainie Czarów Lewi są Carrolla pochodzą z przekładu Marii Morawskiej.]

Wchodzi Noreen i nawet jej nie zauważam, pyta, czy zjemy kolację sami czy w jadalni.

Zabieram swoje zabawki w wielkiej kopercie. Mama nie wie, że wziąłem sześć, zamiast pięciu. Niektóre osoby machają na nasz widok, więc odmachuję, na przykład dziewczynie bez włosów i z szyją całą w tatuażach. Osoby mi tak bardzo nie wadzą, jeśli tylko mnie nie dotykają.

Kobieta z fartuchem mówi, że słyszała, że wyszedłem na zewnątrz, nie wiem, jak mogła mnie słyszeć.

- I co, byłeś zachwycony?

- Nie - odpowiadam. - To znaczy, nie, dziękuję.

Uczę się dużo nowych manier. Jak coś jest ohydne, należy powiedzieć, że jest

interesujące, na przykład dziki ryż, który w gryzie smakuje jak nieugotowany. Jak wydmuchuję nos, składam chusteczkę, żeby nikt nie zobaczył smarków, to taka tajemnica.

Jak chcę, żeby Mama słuchała mnie, a nie innej osoby, mówię

„Przepraszam, czasem powtarzam”Przepraszam, przepraszam” bez końca, a jak pyta, o co chodzi, to już nie pamiętam.

Kiedy już leżymy w łóżku w piżamach i bez masek, a ja się częstuję, przypominam sobie i pytam:

- Kto to było pierwsze dziecko?

Mama patrzy na mnie z góry.

- Powiedziałaś Morrisowi, że zrobiła morderstwo.

Kręci głową.

- Powiedziałaś, że to ją zamordowano, w pewnym sensie.

Odwraca buzię ode mnie.

- Ja to zrobiłem?

- Nie! Ty nic nie zrobiłeś, urodziłeś się dopiero rok później.

Pamiętasz, jak kiedyś mówiłam, że gdy się pojawiłeś pierwszy raz na Łóżku, byłeś dziewczynką?

- Pamiętam.

- No to właśnie o nią mi chodziło.

Teraz to już nic nie rozumiem.

- Wydaje mi się, że próbowała być tobą. Sznurek...

Mama chowa buzię w dłoniach.

- Sznurek od żaluzji? - Patrzę na okno, przez paski wchodzi tylko ciemno.

- Nie, nie, ten taki sznurek, który leci do pępka, pamiętasz?

- Odcięłaś go nożyczkami i wtedy byłem wolny.

Kiwa głową.

- Ale z dzieckiemdziewczynką było tak, że sznurek się poplątał, kiedy wychodziła, i nie mogła oddychać.

- Nie podoba mi się ta historyjka.

Ściąga brwi.

- Pozwól dokończyć.

- Nie podo...

- A on tam był i patrzył. - Mama prawie krzyczy. - Nie miał bladego pojęcia o porodach, nawet mu się nie chciało sprawdzić w Internecie. Dotykałam czubka śliskiej

główki, parłam i parłam, krzyczałam: "Pomóż, nie dam rady, pomóż mi!"

A on tylko stał.

Czekam.

- I co, została ci w brzuszku? Ta dzieckodziewczynka?

Mama się nie odzywa przez minutę.

- Wyszła sina.

Sina?

- W ogóle nie otworzyła oczek.

- Mogłaś na Niedzielną Rozpustę poprosić Starego Nicka o lekarstwo.

Kręci głową.

- Sznurek zacisnął jej się wokół szyi.

- To była do ciebie przywiązana?

- Dopóki go nie przeciął.

- I wtedy już była wolna?

Łzy spadają na koc. Marna potakuje i płacze, ale bez dźwięku.

- I to już koniec historyjki?

- Prawie.

Oczy ma zamknięte, ale dalej wypływa woda.

- Zabral ją i pochował w ogródku pod krzakiem. To znaczy jej ciało.

Sina.

- To, co było w niej dziewczynkowe, wróciło prosto do

Nieba.

- I poszło na makulaturę?

Mama prawie się uśmiecha.

- Taka wersja mi się bardzo podoba.

- Dlaczego ci się podoba?

- Może tak naprawdę to byłeś ty, po roku spróbowałeś znowu i zszedłeś pod postacią chłopca.

- Nie, wtedy to byłem ja naprawdę. Wcale nie wróciłam.

- Nic z tego, kolego.

Znów jej lecą łzy, wyciera je.

- Za drugim razem już go nie wpuściłam.

- Dlaczego nie?

- Usłyszałam pikanie drzwi i ryknęłam: "Wynoś się!"

Na pewno się wściekł.

- Byłam gotowa, tym razem chciałam, żebyśmy byli przy tym tylko ja i ty.

- A jaki miałem kolor?

- Jaskraworóżowy.

- A otworzyłem oczka?

- Urodziłeś się z otwartymi.

Ziewam jak największy hipopotam.

- Możemy już iść spać?

- O, tak - mówi Mama.

W nocy trach spadam na podłogę. Strasznie mi leci z nosa, ale nie umiem, jak wydmuchać po ciemku.

- To łóżko jest za małe dla nas dwojga - mówi rano Mama.

- Byłoby ci wygodniej w tym drugim.

- Nie.

- A może zdejmujemy materac i położymy go tuż przy moim łóżku, żebyśmy chociaż mogli trzymać się za rękę?

Kręcę głową.

- Pomóż mi coś wymyślić, Jack.

- Zostańmy w tym jednym, tylko nie rozpychajmy się łokciami.

Mama wydmuchuje głośno nos, coś mi się zdaje, że przeziębienie przeskoczyło ze mnie na nią, ale ode mnie też sobie jeszcze nie poszło.

Umawiamy się, że idę z nią pod prysznic, ale wystawiam głowę za szybę. Odpadł mi plaster z palca i nie mogę go znaleźć.

Mama szczotkuje mi włosy, płatanina boli. Mamy szczotkę do włosów i dwie szczoteczki do zębów i dużo nowych ubrań i małą drewnianą kolejkę i inne zabawki, Mama jeszcze nie policzyła, więc nie wie, że wziąłem sześć, a nie pięć. Nie wiem, gdzie dawać rzeczy, niektóre idą do komody, niektóre na stoliczek przy łóżku, inne do szary, ciągle muszę pytać Mamy, gdzie co leży.

Mama czyta swoją książkę bez obrazków, więc przynoszę jej swoją obrazkową. Bardzo głodna gąsienica to okropny marnotrawca, tylko wyżera dziury w truskawkach i salami i wszystkim, a całą resztę zostawia. Palec mi przechodzi przez dziury, myślałem, że ktoś podarł książkę, ale Mama mówi, że to specjalnie, żeby było zabawniej. Jedź, piesku. Jedź! mi się bardziej podoba, szczególnie jak się biją rakietami tenisowymi.

Puka Noreen i jestem cały przejęty, bo przynosi miękkie, rozciągliwe buty jak skarpetki, ale ze skóry, i zegarek z samymi cyferkami, żebym mógł z niego czytać jak z Zegarka. Mówię:

„Godzina jest dziewiąta pięćdziesiąt siedem”. Na Mamę jest za mały, należy tylko do mnie, Noreen mi pokazuje, jak zapiąć pasek na nadgarstku.

- Co dzień prezenty, rozpuście go - mówi Mama i podnosi maskę, żeby znów wytrzeć nos.

- Doktor Clay mówi: trzeba zrobić wszystko, żeby młody czuł, że choć odrobinę panuje nad sytuacją - mówi Noreen.

Mruży oczy przy uśmiechu. - Pewnie trochę tęsknisz za domem, co?

- Za domem? - Mama robi wielkie oczy.

- Przepraszam, nie chciałam...

- To nie był dom, tylko dźwiękoszczelna cela.

- Źle to ujęłam, bardzo przepraszam - mówi Noreen.

Wychodzi w pośpiechu. Mama się nie odzywa, tylko zapisuje coś w zeszycie.

Skoro Pokój nie był naszym domem, to znaczy, że w ogóle go nie mamy?

Dziś rano przybijam piątkę doktorowi Clayowi, nie może się nacieszyć.

- Noszenie tych masek zakrawa na absurd, skoro i tak mamy silny katar - mówi Mama.

- Może was spotkać coś gorszego.

- Rozumiem, ale i tak musimy je co chwilę zdejmować, żeby wycierać nos.

Doktor wzrusza ramionami.

- Ostatecznie decyzja należy do pani.

- Maski precz, Jack - mówi Mama.

- Hura!

Wrzucamy je do śmieci.

Kredki doktora Clay'a mieszkają w takim specjalnym kartonowym pudełku z napisem 120, to znaczy, że tyle jest różnych.

Mają przedziwne nazwy wypisane z boku małymi literkami: eozyrna, marengo, ultramaryna, tango - nie wiedziałem, że tango ma kolor, indygo, ochra, cyklamen, grynszpan. Niektóre są napisane z błędami, chyba dla żartu, na przykład ugier zamiast ogier, ale to nie jest śmieszne nie wydaje mi się. Doktor Clay mówi, że mogę rysować wszystkimi, ale wybieram tylko pięć, co znam kolory z Pokoju, niebieską i zieloną i pomarańczową i czerwoną i brązową. Pyta, czy mogę narysować Pokój, ale już wziąłem brązową i rysuję

statek kosmiczny. W pudełku jest nawet biała kredka, przecież jej nie widać?

- A gdyby papier był czarny? - pyta doktor Clay. - Albo czerwony?

Znajduje dla mnie czarną kartkę i próbuję, ma rację, widzę białe.

- A co to jest ten kwadrat wokół statku?

- Ściany - odpowiadam.

Narysowałem też siebiedziwczynkę, jak robi rączką pa, pa, i Dzieciątko Jezus i Jana Chrzciciela, bez ubrań, bo jest słonecznie przez żółtą buzię Pana Boga.

- A twoja mama też jest na obrazku?

- Na samym dole, ucina sobie drzemkę.

Prawdziwa Mama chichocze i wydmuchuje nos. Przypominam sobie, że ja też muszę, bo mi cieknie.

- A co z tym panem, którego nazywasz Starym Nickiem, jest tu gdzieś?

- Dobra, może siedzieć tu w kącie w swojej klatce.

Rysuję go za bardzo grubymi prętami, próbuje je przegryźć.

Prętów jest dziesięć, to najmocniejsza liczba, nawet anioł nie umie ich przepalić na oścież palnikiem, zresztą Mama mówi, że anioł i tak nie włączyłby swojego palnika dla złych ludzi. Pokazuję doktorowi Clayowi, jak umiem liczyć nawet do 1 000 i jeszcze dalej, jak chcę.

- Znam jednego małego chłopca, który liczy na okrągło te same rzeczy, jak się denerwuje. Nie może przestać.

- Jakie rzeczy? - pytam.

- Linie na chodniku, guziki, takie tam.

Myślę, że ten chłopiec powinien liczyć zęby, bo ma je zawsze przy sobie, no chyba że wypadną.

- Stale pan wspomina o lęku przed rozstaniem - mówi

Mama do doktora Claya. - Przecież się nie zapowiada, żeby ktoś nas rozdzielił.

- A jednak już nie żyjecie tylko we dwoje, prawda?

Mama przygryza wargi. Rozmawiają o resocjalizacji i o poczuciu winy.

- Grunt, że wyciągnęła go pani tak wcześnie - mówi doktor.

- W tym wieku człowieka można jeszcze ukształtować.

Ale ja nie jestem z ciastoliny, jestem prawdziwym chłopcem.

-... na tyle mały, że prawdopodobnie zapomni - mówi.

- I dzięki Bogu.

O, doktor Clay chyba będzie coś jadł, że dziękuje.

Chcę się jeszcze pobawić pacynką chłopczykiem z języczkiem, ale już koniec, doktor Clay musi się pobawić z panią Garber. Mówi, że mogę pożyczyć pacynkę do jutra, ale to nie znaczy, że już nie jest jego.

- Dlaczego?

- Wszystko na świecie jest czyjeś.

Jak sześć moich nowych zabawek i pięć moich nowych książek i Ząb też jest mój chyba, Mama go już nie chce.

- Oprócz tego, co należy do wszystkich - dodaje doktor

Clay. - Na przykład rzek i gór.

- I ulicy?

- Racja, ulica jest dla wszystkich.

- A ja biegłem po ulicy.

- Tak, kiedy uciekałeś.

- Bo my nie należymy do niego.

- Żebyś wiedział - uśmiecha się doktor Clay. - A wiesz, do kogo należysz, Jack?

- Wiem.

- Do siebie.

Nieprawda. Bo należę do Mamy.

W klinice jest więcej różnych rzeczy, na przykład pokój z gigantycznym telewizorem i podskakuję do sufitu, bo mam nadzieję, że znajdę Dorę albo SpongeBoba, nie widziałem ich od wieków, ale leci tylko golf i ogląda go trzech starych ludzi, co nie wiem, jak się nazywają.

W korytarzu coś sobie przypominam i pytam:

- Dlaczego całe szczęście?

- Słucham?

- Doktor Clay powiedział, że jestem jak z ciastoliny i zapomnę.

- Uhm. Myśli, że już niedługo zapomnisz o Pokoju.

- Na pewno nie zapomnę. - Patrzę na nią. - A mam zapomnieć?

- Nie wiem.

Ostatnio to ciągle powtarza. Wyprzedziła mnie, już jest przy schodach, muszę podbiec, żeby ją dogonić.

Już po lunchu. Mama mówi, że już pora spróbować znów wyjść na zewnątrz.

- Jeśli będziemy cały czas siedzieć w czterech ścianach, to będzie tak, jakbyśmy nigdy nie zorganizowali Wielkiej Ucieczki.

Ma marudny głos i już wiąże sznurówki.

Znów czapka i okulary i buty i lepiąca maź i już się zmęczyłem.

Noreen czeka na nas przy akwarium.

Mama pozwala mi się pokręcić w drzwiach pięć razy, potem popycha i wychodzimy.

Jest tak jasno, że chce mi się krzyczeć. Potem okulary się zaciemniają i nic nie widać.

Powietrze dziwnie pachnie w moim chorym nosie i kark mi się cały naciągnął.

- Pobawmy się, że oglądasz to w telewizji - mówi Noreen.

- Że co?

- Spróbujmy.

Podkłada specjalny głos:

- A oto chłopiec o imieniu Jack wychodzi na spacer ze swoją Mamą i koleżanką Noreen.

Oglądam.

- A co Jack ma na nosie? - pyta.

- Bajeranckie czerwone okulary.

- Właśnie. Popatrz, właśnie idą parkingiem w przyjemny kwietniowy dzień.

Stoją cztery samochody, czerwony i zielony i czarny i brązowawozłotny. Siena palona, tak się nazywa ta kredka. Wewnątrz okien wyglądają jak domki z siedzeniami. W czerwonym wisi na lusterku mały miś. Głaszczę auto z przodu, jest całe gładkie i zimne jak kostka lodu.

- Ostrożnie - mówi Mama. - Jeszcze uruchomisz alarm.

Nie wiedziałem, wsadzam z powrotem dłoń pod łokcie.

- Chodźmy na trawę. - Ciągnie mnie lekko.

Rozgniatam butami zielone szpileczki. Schylam się i pocieram dłonią, wcale się nie skaleczyłem w palce. Ten, którego próbował pożreć Raja, prawie się zarósł. Patrzę znowu na trawę, widzę gałązkę i liść brązowy i jeszcze coś, coś żółtego.

Coś szumi, więc podnoszę wzrok, niebo jest takie wielkie, że prawie się przewracam.

- Mamo! Następny samolot!

- Smuga kondensacyjna - mówi i pokazuje palcem. - Właśnie sobie przypomniałam, to się nazywa smuga kondensacyjna.

Nadeptuję niechcący na kwiatek, są ich setki, nie w takich bukietach, jakie przysłali nam pocztą czubki, tylko na ziemi, wyrastają jak moje włosy z głowy.,

- Żonkile - wskazuje Mama. - Magnolie, tulipany, bez. Czy to jabłonie tak kwitną?

Wącha wszystko, przystawia mi nos do kwiatka, ale za słodko pachnie i kręci mi się w

głowie. Wybiera dla mnie gałązkę bzu.

Z bliska drzewa to wielkowiełkoludy z taką jakby skórą, ale guzowatą w dotyku. Znajduję coś trójkątowego wielkości mojego nosa i Noreen mówi, że to kamień.

- Ma miliony lat - tłumaczy Mama.

A skąd wie? Patrzę na spód, nie ma nalepki.

- A popatrz tu. - Mama klęka.

Coś pełza. Mrówka.

- Nie! - krzyczę i otulam ją dłońmi jak pancierzem.

- O co chodzi? - pyta Noreen.

- Proszę, proszę, proszę - błagam Mamę. - Tej nie.

- Nie bój się - mówi. - Oczywiście, że jej nie rozgniotę.

- Przrzeknij.

- Przrzekam.

Odsuwam ręce i mrówki już nie ma i płaczę.

Ale Noreen znajduje następną i następną, idą dwie i niosą razem coś dziesięć razy większego od nich.

Coś jeszcze nadlatuje, wiruje po niebie i ląduje przede mną, aż się zrywam.

- O, noski - mówi Mama.

- Noski?

- To owoce klonu w takim małym... no, takim skrzydełku, łączą się po dwa, żeby mogły daleko zalecieć.

Są takie cienkie, że widać ich malutkie suche kreski, a pośrodku robią się grubsze i brązowe. I z małą dziurką. Mama wyrzuca je w powietrze i znów wirują na ziemię.

Pokazuję jej jeszcze jeden, coś z nim jest nie tak.

- To pojedynczy nosek, zgubił gdzieś drugie skrzydełko.

Wyrzucam go wysoko i dalej umie latać. Zabiorę go ze sobą w kieszeni.

Ale najfajniej. że nagle słycać potężne furkotanie, patrzę do góry, a to helikopter, o wiele większy niż samolot...

- Wracajmy do środka - mówi Noreen.

Mama łapie mnie za rękę i szarpie.

- Chwileczkę... - mówię, ale tracę dech, ciągną mnie między sobą, leje mi się z nosa.

Wskakujemy przez drzwi obrotowe i w głowie mi się mgli.

W tym helikopterze było pełno paparazzich, którzy próbowali ukraść zdjęcia moje i Mamy.

Po drzemce dalej mi się nie naprawił nos. Bawię się swoimi skarbami, kamieniem i rannym noskiem i bzem, który się zrobił oklapnięty. Puka Babcia, a z nią więcej gości, zostaje na zewnątrz, żeby nie robić tłumu. Osób są dwie, nazywają się mój

Wujek, czyli Paul, ze zwisającymi włosami do uszu i Deana, czyli moja Ciocia z prostokątnymi okularami i milionem czarnych warkoczyków jak wężyki.

- Mamy córeczkę, Bronwyn. Oszaleje z radości, jak cię zobaczy - mówi do mnie. - Nawet nie wiedziała, że ma kuzyna, właściwie żadne z nas nie wiedziało, aż do przedwczoraj, kiedy to zadzwoniła twoja babcia.

- Od razu byśmy wskoczyli do samochodu, tylko że lekarze mówili... - Paul przerywa i przykłada pięści do oczu.

- Już dobrze, kotku - mówi Deana i głaszcze go po rękę.

Paul odchrząkuje bardzo głośno.

- To mnie tak walnęło...

Nie widziałem, żeby coś go walnęło.

Mama obejmuje go ramieniem.

- Przez te wszystkie lata obawiał się, że jego siostrzyczka nie żyje - mówi do mnie.

- Kto, Bronwyn? - pytam bez dźwięku, ale ona słyszy.

- Nie, ja, pamiętasz? Paul to mój brat.

- Nowiem.

- Nie wiedziałem, co... - Głos mu się znowu kończy i wydmuchuje nos, ale o wiele głośniejszy niż ja, raczej jak słoń.

- A gdzie jest Bronwyn? - pyta Mama.

- No cóż, pomyśleliśmy... - mówi Deana i patrzy na Paula.

- Niedługo się poznacie, może następnym razem - mówi

Paul. - Bronwyn jest w grupie Żabek.

- W czym? - pytam.

- To znaczy, że chodzi do takiego budynku, do którego rodzice posyłają dzieci, kiedy mają dużo innych zajęć - wyjaśnia

Mama.

- Dlaczego dzieci mają dużo...?

- Nie, to rodzice mają dużo zajęć.

- Akurat Bronwyn uwielbia tam chodzić - mówi Deana.

- Umie się już przeżegnać i tańczyć hip-hop - dodaje Paul.

Wujek chce zrobić zdjęcia i wysłać je przez Internet do Australii, do Dziadka, który jutro wsiada do samolotu.

- Nie martw się, jak go zobaczy, to mu przejdzie - mówi

Paul do Mamy, nie wiem, kim są ci go i mu. Nie wiem też, jak się robić do zdjęć, ale Mama mówi, że wystarczy patrzeć na aparat jak na przyjaciela i się uśmiechać.

Paul pokazuje mi potem zdjęcia na małym ekranie i pyta, jak myślę, które jest najlepsze, pierwsze, czy drugie, czy trzecie, ale one się niczym nie różnią.

Zmęczyły mi się uszy od tego rozmawiania.

Jak już sobie idą, to myślę, że teraz już znowu będziemy sami, ale wchodzi Babcia i długo obejmuje Mamę, a potem wychuchuje mi kolejnego buziaka z całkiem bliska, aż czuję podmuch.

- Jak się czuje mój ulubiony wnuk?

- To do ciebie - mówi Mama. - Co się mówi, kiedy ktoś pyta, jak się czujesz?

Aha, maniery.

- Dziękuję.

Obie się śmieją, czyli następny niechący żart.

- "Bardzo dobrze", a potem "dziękuję" - mówi Babcia.

- Bardzo dobrze, a potem dziękuję.

- Chyba że nie czujesz się dobrze, to wtedy oczywiście można powiedzieć: "Nieźle, chociaż bywało lepiej".

Odwraca się do Mamy.

- A, przypomniało mi się, dzwonili Sharon, Michael Keelor i Joyce, jak jej tam.

Mama kiwa głową.

- Nie mogą się doczekać, żeby cię powitać.

- Ale ja... lekarze mówią, że jeszcze za wcześnie na wizyty - mówi Mama.

- No tak, oczywiście.

W drzwiach staje ten Leo.

- Może wejść na minutkę? - pyta Babcia.

- Wszystko mi jedno - odpowiada Mama.

To mój przybrany dziadek i Babcia mówi, że mogę go nazywać Przydziadkiem, nie wiedziałem, że ona też zna słówkowe przekładańce. Przydziadek dziwnie pachnie, jakby dymem, ma koślawe zęby, a jego brwi rozchodzą się na wszystkie strony.

- Dlaczego on ma wszystkie włosy na buzi, a nie na głowie?

Przydziadek się śmieje, chociaż szeptałem do Mamy.

- A żebyś ja to wiedział - mówi.

- Spotkaliśmy się podczas weekendowych warsztatów hinduskiego masażu głowy - mówi Babcia. - Wybrałam go, bo miał najgładszą powierzchnię do masowania.

Śmieją się oboje, ale Mama nie.

- Mogę się poczęstować? - pytam.

- Za moment - odpowiada Mama. - Jak pójdą.

- Co on chce? - pyta Babcia.

- Nic takiego.

- Mogę wezwać pielęgniarkę.

Mama kręci głową.

- Chce, żebyś go nakarmiła.

Babcia wytrzeszcza oczy.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że jeszcze...

- Nie było po co go odstawiać.

- No tak, domyślałam się, że w tym więzieniu wszystko było... ale mimo wszystko, pięć lat...

- Co ty możesz o tym wiedzieć?

Babcia ma zaciśniętą buzię.

- Pewnych rzeczy się nie wybiera.

Przydiadek się podnosi.

- Nie zwracajmy im już głowy.

- Słusznie - mówi Babcia. - To pa, pa, do jutra...

Mama znowu mi czyta Drzewo darów i Loraksa, ale po cichu, bo ją boli gardło i głowa też. Częstośćuję się, częstośćuję się dużo dużo zamiast kolacji, Mama zasypia. Lubię patrzeć na jej buzię, kiedy o tym w ogóle nie wie.

Znajduję złożoną gazetę, pewnie któryś gość ją przynosi.

Z przodu widać zdjęcie mostu, który się złamał na pół, ciekawe, czy naprawdę. Na następnej stronie widać mnie i Mamę i policję, jak mnie niesie do Komisariatu. I napis CHŁOPIEC.

- BONSAI MA JESZCZE SZANSE. Potrzebuję trochę czasu, żeby rozgryźć wszystkie słowa.

Dla personelu ekskluzywnej kliniki Cumberland to

„Cudowny Jack”. Wszyscy stracili głowę dla niepozornego bohatera, który w sobotni wieczór obudził się w nowym wspaniałym świecie. Nieziemski długowłosy

Mały Książę to owoc seryjnych gwałtów, których dopuszczał się na młodej piękności Potwór z Ogrodowej

Szopy (ujęty w niedzielę o drugiej nad ranem po dramatycznym starciu z policją stanową). Jack utrzymuje, że wszystko jest "ładne", i ubóstwia czekoladowe jajka, ale nadal chodzi po schodach na czworakach, jak małpka. Całe pięć lat życia spędził szczelnie zamknięty w gnijącej, wyłożonej płytami korkowymi celi i specjaliści nie potrafią jeszcze stwierdzić, jaki stopień długotrwałego upośledzenia w rozwoju...

Mama się zbudziła i wyjmuję mi z rąk gazetę.

- A może poczytamy Piotrusia Królika?

- Ale to ja, chłopiecbonsai.

- Chłopiec boco?

Patrzy znów na gazetę, odgarnia włosy z buzi i tak jakby jęczy.

- Co to jest bonsai?

- Bardzo małe drzewo. Ludzie hodują je w domach i codziennie przycinają, żeby było poskręcane.

Myślę o Roślinie. Wcale jej nie przycinaliśmy, pozwalaliśmy jej rosnąć, jak chciała, a ona za to umarła.

- Ale ja nie jestem drzewem. Jestem chłopcem.

- Tak tylko napisali. - Mama wpycha gazetę do kosza.

- Tu pisze, że jestem nieziemski, ale tak się przecież mówi o duchach.

- Pismaki lubią wszystko przeinaczać.

Piżmaki? Jak piżmak Muskie z kreskówki?

- I mówią, że jesteś piękną.

Mama się śmieje.

Ale to prawda. Teraz już widziałem na naprawdę tak dużo buzi i buzia Mamy jest najbardziej najpiękniejsza.

Muszę znowu wydmuchać nos, skóra się zaczerwieniła i piecze.

Mama bierze swoje leki, ale nie wykasowują bólu głowy. Nie sądziłem, że w Nazewnątrz będzie ją jeszcze bolało. W ciemnościach głaszczę ją po włosach. W Pokoju Numer Siedem nie jest całkiem czarno, w oknie wisi srebrna buzia Pana Boga i Mama ma rację, ona wcale nie jest kołem, ma teraz dwa szpice na końcach.

W nocy latają wszędzie wampirowate zarazki w maskach, więc nie widać ich buzi, i jeszcze pusta trumna, która zmienia się w wielki sedes i splukuje cały świat.

- Ciii, ciii, to tylko sen. - Słysząc głos Mamy.

Ajeetczubek wkłada do paczki kupę psa, żeby nam ją wysłać, bo zabrałem sześć zabawek, ktoś mi łamie kości i wtyka w nie śrubki.

Budzę się z płaczem i Mama pozwala mi się częstować do woli, z prawej, ale nawet dość gęste.

- Wziąłem sześć zabawek, a nie pięć - mówię.

- Co?

- No tych od stukniętych fanów, wziąłem sześć.

- Nie szkodzi.

- Szkodzi, wziąłem szóstą, nie posłałem jej chorym dzieciom.

- Były dla ciebie, to twoje prezenty.

- To dlaczego mogłem wziąć tylko pięć?

- Możesz wziąć, ile tylko chcesz. Śpij już.

Nie mogę.

- Ktoś mi zamknął nos.

- To tylko smarki gęstnieją, czyli niedługo wydobrzejesz.

- Nie mogę dobrzeć, jak nie umiem oddychać.

- Po to Pan Bóg dał ci buzię, żebyś przez nią oddychał. Plan B.

Kiedy się robi światło, liczymy naszych przyjaciół ze świata: Noreen, doktor Clay, doktor Kendrick, Pilar i fartuchowa pani, co nie wiem, jak się nazywa, i Ajeet i Naisha.

- A to kto?

- Ten pan i dziewczynka i pies, co wezwali policję - odpowiadam.

- A, tak.

- Ale wydaje mi się, że Raja to wróg, bo mnie ugryzł w palec. Aha, jeszcze Pani Oł i pan policja, co nie wiem, jak się nazywa, i Pan Nadkomisarz. Czyli dziesięć i jeden wróg.

- Babcia i Paul, i Deana - podpowiada Mama.

- I Bronwyn moja kuzynka, tylko że jej jeszcze nie widziałem. I Leo ten Przydiadek.

- Który ma chyba siedemdziesiątkę na karku i zalatuje trawą - mówi Mama. - Musiała być zdesperowana.

- Co to jest zdesperowana?

Zamiast odpowiedzieć, pyta:

- To ile mamy w sumie?

- Piętnaście i jeden wróg.

- Wiesz, pies się bał, może miał powód.

Pchły gryzą bez powodu. Dobranoc, pchły na noc, karaluchy pod poduchy, Mama zapomina mi to mówić.

- No dobrze, szesnaście - zgadzam się. - Plus pani Garber i dziewczyna z tatuażami i Hugo, tylko że my prawie z nimi nie rozmawiamy, to się liczy?

- Jasne, że tak.

- Czyli dziewiętnaście.

Muszę wziąć drugą chusteczkę, są miększe niż papier toaletowy, ale czasem się rozrywają, jak przemokną. Już wstałem i robimy wyścig ubieraczy, wygrywam poza tym, że zapomniałem o butach.

Teraz już zjeżdżam na pupie po schodach naprawdę szybko bęc bęc bęc, aż mi zęby szczękają. Nie sądzę, żebym był małpką, jak mówią pizmaki, ale nie mam pewności, bo na planecie przyrodniczej nie ma schodów.

Na śniadanie zjadam cztery grzanki po francusku.

- Czy ja rosnę?

Mama zmiata mnie oczami od spodu do góry.

- Z minuty na minutę.

Idziemy się spotkać z doktorem Clayem i Mama mi każe opowiedzieć sen.

Doktor Clay przypuszcza, że mój mózg urządza wiosenne porządki.

Wybałuszam oczy.

- Teraz, gdy jesteś bezpieczny, gromadzi wszystkie straszne myśli, których już nie potrzebujesz, i wyrzuca je pod postacią złych snów. - Pokazuje rękami wyrzucanie.

Nie odzywam się, bo mam maniery, ale tak naprawdę wszystko mu się pokręciło. Bezpieczny to byłem w Pokoju, a straszne jest Nazewnątrz.

Doktor Clay rozmawia teraz z Mamą o tym, że ona ma ochotę uderzyć Babcie.

- Tak nie wolno robić - mówię.

Robi wielkie oczy.

- Nie tak na serio. Tylko czasami.

- A zdarzało się jeszcze przed porwaniem? - pyta doktor Clay.

- No pewnie. - Mama patrzy na niego i tak się trochę śmieje, a trochę jęczy. - Pięknie.

Wracam do życia.

Znajdujemy nowy pokój z dwoma przedmiotami, co wiem, jak się nazywają, to komputery. Mama mówi:

- Wspaniale, wyślę maile do paru przyjaciół.

- Do których z tych dziewiętnastu?

- A nie, do moich starych przyjaciół, jeszcze ich nie poznałeś.

Siada i robi stuk stuk literkami, a ja patrzę. Potem się marszczy do ekranu.

- Nie pamiętam hasła.

- A co to jest?

- Ale ze mnie... - Zakrywa buzię i świszczy oddechem przez nos. - Mniejsza z tym.

Hej, Jack, a może poszukamy czegoś fajnego dla ciebie?

- Gdzie?

Przesuwa trochę myszkę i nagle wyskakuje obrazek Dory.

Patrzę z bliska, Mama pokazuje mi, co klikać małą strzałką, żebym mógł sam pograć. Układam rozsypane kawałki latającego talerza, a Dora i Butek biją brawo i dziękują mi piosenką. Jeszcze lepiej niż w telewizorze.

Ma siedzi przy drugim komputerze i przegląda listę twarzy, mówi, że to taki nowy wynalazek. Wpisuje nazwy i wyskakują uśmiechnięte buzie.

- To oni są bardzo, bardzo starzy? - pytam.

- Większość ma dwadzieścia sześć lat, jak ja.

- Przecież mówiłaś, że to starzy przyjaciele.

- To znaczy, że znam ich od bardzo dawna. Ale się pozmieniali...

Patrzy z bliska na zdjęcia i pomrukuje pod nosem "Korea

Południowa" albo "Już rozwiedziona, coś takiego..."

Znajduje jeszcze inną nową stronę z filmikami i piosenkami i tak dalej, pokazuje mi dwa koty tańczące w baletkach, bardzo śmieszne. Porem idzie na inne strony, gdzie tylko pisze "życie w zamknięciu" i "handel ludźmi", mówi, żebym jej pozwolił trochę poczytać, więc znowu gram w grę z Dorą i tym razem wygrywam Świetlistą Gwiazdę.

Ktoś staje w drzwiach, zrywam się. To Hugo i wcale się nie uśmiecha.

- O drugiej siedzę na Skajpie.

- Że co? - pyta Mama.

- O drugiej siedzę na Skajpie.

- Sorry, nie mam pojęcia, o co...

- Codziennie o drugiej po południu gadam z matką przez

Skaj pa, czeka na mnie od dwóch minut, przeczytaj sobie w harmonogramie na drzwiach.

W naszym pokoju znajdujemy na łóżku małe urządzenie i liścik od Paula, Mama mówi, że właśnie czegoś podobnego słuchała, kiedy ukradł ją Stary Nick, tylko że w tym są

obrazki, które można przesuwać palcami, i nie tysiące piosenek, ale miliony. Wkłada do uszu takie jakby waciki i kiwa głową w rytm niesłyszalnej muzyki i podśpiewuje cicho coś, że z dnia na dzień zmienia się milion razy.

- Daj posłuchać.

- Ta piosenka ma tytuł Symfonia słodkogorzka i jako trzynastolatka słuchałam jej na okrągło. - Wkłada mi do ucha jeden wacik.

- Za głośno. - Wyszarpuję go z ucha.

- Ostrożnie, Jack, to prezent dla mnie od Paula.

Nie wiedziałem, że urządzenie jest jejniemoje. W Pokoju wszystko było nasze.

- Czekaj, czekaj, teraz Beatlesi, taki przebój sprzed pięćdziesięciu lat, może ci się spodoba - mówi. - Sama miłość wystarczy.

Nic nie rozumiem.

- To ludzie nie potrzebują jedzenia i tak dalej?

- Potrzebują, ale życie jest do niczego, jeśli się nie ma kogo kochać - mówi Mama bardzo głośno i dalej przeskakuje palcem po nazwach. - Na przykład prowadzono kiedyś takie doświadczenia na malutkich małpkach, naukowcy odebrali je matkom i zamknęli każdą z osobna w klatce. I wiesz, co się stało? Nie rozwinęły się jak należy.

- Dlaczego się nie rozwinęły?

- Rosły normalnie, ale dziwnie się zachowywały, bo nikt ich nie tulił.

- Jak: dziwnie?

Mama wyłącza urządzenie.

- Przepraszam cię, Jack, nie wiem, po co w ogóle o tym wspomniałam.

- Jak: dziwnie?

Mama przygryza wargę.

- Były chore na głowę.

- Jak czubki?

Kiwa głową.

- Gryzły same siebie i tak dalej.

Hugo kroi sobie ręce, ale chyba się nie gryzie.

- A dlaczego?

- Gdyby matki były przy swoich małych małpkach, toby je przytulały, ale ponieważ mleko płynęło z rurek, to... no, okazało się, że tak samo jak mleka potrzebowały miłości.

- Niedobra historyjka.

- Przepraszam. Bardzo przepraszam. Niepotrzebnie ci ją opowiedziałam.

- Potrzebnie.

- Ale...

- Nie chcę, żeby były niedobre historyjki, a ja ich nie znam.

Mama przytula mnie mocno.

- Jack, jestem trochę nieswoja w tym tygodniu, prawda?

Nie wiem, bo wszystko jest nieswoje.

- Strasznie namieszałam. Wiem, że potrzebujesz, żebym była twoją mamą, ale ja jednocześnie muszę sobie przypominać, jak to jest być sobą i...

Ale ja myślałem, że ta ona i ta Mama to jedno i to samo.

Chcę znowu wyjść na zewnątrz, ale Mama jest zrnęczona.

- Jaki mamy dzień dziś rano?

- Czwartek - odpowiada Mama.

- A kiedy będzie niedziela?

- Piątek, sobota, niedziela...

- Za trzy dni, jak w Pokoju?

- Tak, tydzień wszędzie ma siedem dni.

- A o co poprosimy na Niedzielną Rozpustę?

Mama tylko kręci głową.

Dzisiaj po południu przejedziemy się furgonetką z napisem

„Klinika Cumberland”, wyjedziemy w cały świat przez wielkie bramy. Ja nie chcę, ale musimy pojechać pokazać dentystce

Mamy ząb, który dalej boli.

- A będą tam osoby, co nie są naszymi przyjaciółmi?

- Tylko lekarka i asystent - mówi Mama. - Wszystkich innych odesłali, będziemy ich mieć na wyłączność.

Musimy założyć swoje czapki i bajeranckie okulary, ale nie krem z filtrem, bo niedobre promienie odbijają się od szyb. Mogę zostać w swoich rozciągliwych butach. W furgonetce siedzi kierowca w czapce, chyba ktoś mu wyłączył dźwięk. Do siedzenia przypięli dla mnie specjalny fotelik, żebym był wyższy i żeby pas mi się nie wgniótł w gardło, jak nagle zahamujemy. Nie podoba mi się, że pas jest taki ciasny. Patrzą przez okno i wycieram nos, dzisiaj smarki są zieleńsze.

Na chodniku całe mnóstwo onów i onych, nigdy nie widziałem tylu naraz, ciekawe, czy wszyscy naprawdę istnieją naprawdę czy tylko niektórzy.

- Kobiety noszą czasami długie włosy jak my - mówię Mamie.

- A mężczyźni nie.

- Niektórzy tak, na przykład gwiazdy rocka. To nie jest zasada, raczej konwencja.

- Co to...?

- Taki śmieszny zwyczaj. A co, chcesz się ostrzyć?

- Nie.

- To nie boli. Sama miałam krótkie włosy, zanim... kiedy jeszcze miałam dziewiętnaście lat.

Kręcę głową.

- Nie chcę stracić mojej siłowni.

- Czego?

- Mięśni, jak w tej historyjce o Samsonie.

Śmieje się.

- Mama, patrz, jakiś człowiek się podpala!

- Tylko zapala papierosa. Sama kiedyś paliłam.

Patrzę zdziwiony.

- Apo co?

- Już nie pamiętam.

- Zobacz, zobacz!

- Nie krzycz tak.

Pokazuję na samych malutkich, co idą wzdłuż ulicy.

- Powiązane dzieci.

Mama przysuwa buzię do okna.

- Nie sądzę, żeby były powiązane. E, nie, tylko się trzymają sznurka, żeby się nie pogubić. Spójrz, te najmniejsze są w specjalnych wózkach, po sześć w każdym. To pewnie dzieci z takiego przedszkola, do którego chodzi Bronwyn.

- Ja chcę poznać Bronwyn. Proszę pan może nas zawieźć do tego miejsca, gdzie są dzieci i moja kuzynka Bronwyn? - mówię do kierowcy.

Nie słyszy mnie.

- Dentystka na nas czeka - mówi Mama.

Dzieci już nie ma, szukam we wszystkich oknach.

Dentystka nazywa się doktor Lopez, ściąga na chwilę maskę i widać czerwoną szminkę. Najpierw zerknie na mnie, bo ja też mam zęby. Leżę na wielkim fotelu, który się porusza. Patrzę do góry z szeroko otwartą buzią, a ona mnie prosi, żebym policzył to, co widzę na suficie. Trzy koty i jeden pies i dwie papugi i...

Wypluwam to metalowe.

- Jack, to tylko małe lusterko, widzisz? Liczę twoje zęby.

- Dwadzieścia - podpowiadam.

- Zgadza się - uśmiecha się doktor Lopez. - Nie spotkałam jeszcze pięciolatka, który by umiał policzyć swoje zęby.

Wkłada lusterko z powrotem.

- Hmm, duże odstępy, w to mi graj.

- Wco?

- Nie, nic, mówię tylko, że mam tu duże pole manewru.

Mama spędzi na fotelu dużo czasu, bo wiertło musi wyciągnąć jej fuj z zęba. Nie chcę siedzieć w poczekalni, ale Yang asystent mówi:

- Chodź, zobaczysz nasze fajne zabawki.

Pokazuje mi rekina na kijku, który robi kłap kłap, mają też stołek do siedzenia w kształcie zęba, ale nie człowiekowego, tylko wielkoludowego, całkiem białego, bez próchnicy. Oglądam książkę o Transformersach i drugą bez okładki o zmutowanych żółwiach, które mówią narkotynom nie. I wtedy słyszę dziwny dźwięk.

Yang zastawia drzwi.

- Może twoja mama wołałaby...

Nurkuję mu pod pachą i patrzę, a tu doktor Lopez trzyma

Mamie w buzi piszczącą maszynę.

- Zostaw ją!

- Wszystko w porządku - mówi Mama, ale z połamaną buzią, to jej zrobiła dentystka?

- Jeśli tu będzie się czuł bezpieczniejszy, to nie mam nic przeciwko - mówi doktor Lopez.

Yang stawia dla mnie w kącie stołekzab i oglądam, okropność, ale lepsze to niż nie oglądać. Raz Mama drga na fotelu i wydaje jęk, wstaję, ale doktor Lopez pyta: "Znieczulić bardziej?" i wkłuwają igłę i Mama znowu siedzi cicho. Ciągnie się to godzinami. Muszę wysmarkać nos, ale już mi schodzi z niego skóra, więc tylko przykładam chusteczkę.

Kiedy wychodzę z Mamą na parking, światło łupie mnie w głowę. Kierowca czyta gazetę, wysiada i otwiera nam drzwi.

- Wenkuję - mówi Mama.

Ciekawe, czy jeszcze kiedyś będzie mówiła normalnie. Wołałbym bolący ząb niż tak mówić.

Przez całą drogę powrotną do kliniki patrzę na uciekającą drogę i śpiewam piosenkę o

wstążce szosy i nieskończonym niebie.

Ząb nadal leży pod poduszką, daję mu buziaka. Trzeba było go zabrać ze sobą, może doktor Lopez by go naprawiła.

Dostajemy kolację na tacy, to danie nazywa się Strogonow i składa się z ułożonego na sypkim ryżu mięsa i kawałków czegoś, co wygląda jak mięso, ale to grzyby. Mama nie może jeszcze jeść mięsa, dziobie trochę ryżu, ale za to już prawie dobrze mówi. Puka Noreen i mówi, że ma dla nas niespodziankę, tatę

Mamy z Australii.

Mama krzyczy i zrywa się z miejsca.

- Mogę zabrać swojego strogonowa? - pytam.

- Może sprowadzę Jacka za kilka minut, kiedy skończy?

- proponuje Noreen.

Mama nawet się nie odzywa, tylko pędzi.

- On nam zrobił pogrzeb - mówię Noreen. - Ale w trumnie nas nie było.

- Bardzo się cieszę.

Gonię po talerzu małe ryżki.

- To pewnie najbardziej męczący tydzień twojego życia - mówi Noreen i siada koło mnie.

Robię wielkie oczy.

- Dlaczego?

- No, wszystko jest nowe, pewnie czujesz się jak gość z innej planety, prawda?

Kręcę głową.

- Nie jesteśmy goście, Mama mówi, że musimy tu zostać na zawsze, aż umarniemy.

- Ach tak, chciałam powiedzieć... przybysz.

Już zjedzone i Noreen znajduje pokój, w którym siedzi

Mama i trzyma się za rękę z osobą w czapce. Osoba się zrywa i mówi do niej:

- Mówiłem twojej matce, że nie chcę...

- Tato - przerywa mu Mama. - To jest Jack.

A on kręci głową.

Ale to ja jestem Jack, a co, spodziewał się jakiegoś innego?

Patrzy na stół i jest całkiem spocony na buzi.

- Bez urazy.

- Co to znaczy "bez urazy"? - Mama mówi prawie krzykiem.

- Nie mogę przebywać w tym samym pokoju. Aż się cały trzęsę, jak to widzę.

- Jakie znowu”to”! On jest chłopcem! Ma pięć lat! - ryczy

Mama.

- Źle się wyraziłem, ja... to przez tę zmianę czasu. Zadzwońię potem z hotelu, dobra?

Pan, który jest Dziadkiem, przechodzi koło mnie i nie patrzy, już jest prawie przy drzwiach.

Łup, Mama trzasnęła ręką w stół.

- Nie dobra.

- W porządku, w porządku.

- Siadaj, tato.

Nie rusza się.

- Świata poza nim nie widzę - mówi Mama.

Poza jej Tatą? Nie, chyba nim to ja.

- Oczywiście, to całkiem normalne. - Pan ten Dziadek ociera skórę pod oczami. - Ale ja nie mogę przestać myśleć o tym potworze i o tym, co ci...

- A, czyli wolisz sobie wyobrażać, że umarłam i leżę pod ziemią?

Znowu kręci głową.

- No to naucz się z tym żyć - mówi Mama. - Ja wróciłam...

- To cud.

- Wróciłam, z Jackiem. To cud za cudem.

Ten Dziadek kładzie rękę na kłamce.

- Na razie nie mogę...

- Ostatnia szansa - odzywa się Mama. - Siadaj.

Nikt nic nie robi.

A potem ten Dziadek wraca i siada do stołu. Mama wskazuje mi krzesło obok niego, to idę sięść, chociaż wcale nie chcę tu być. Patrzę na swoje buty, marszczą się po bokach.

Dziadek zdejmuję czapkę i patrzy na mnie.

- Miło mi cię poznać, Jack.

Nie wiem, które maniery, więc odpowiadam:

- Nie ma za co.

Wieczorem leżymy w łóżku, częstujemy się po ciemku.

- Dlaczego nie chciał mnie poznać? To znowu jakaś pomyłka, tak jak z trumną? - pytam.

- W pewnym sensie. - Mama wzdycha. - On myśli... to znaczy myślał, że bez ciebie

byłoby mi lżej.

- Gdzie indziej?

- Nie, gdybyś w ogóle się nie urodził. Wyobrażasz sobie?

Próbuję, ale nie umiem..

- A wtedy dalej byś była Mamą?

- No właśnie nie. Dlatego to naprawdę durny pomysł.

- A on jest prawdziwym Dziadkiem?

- Obawiam się, że tak.

- Dlaczego się obawiasz...?

- Źle powiedziałam. Tak, jest nim.

- Tym Tatą z wtedy, jak byłaś małą dziewczynką na hamaku?

- Od niemowlęcia, odkąd skończyłam sześć tygodni. Wtedy przynieśli mnie do domu ze szpitala.

- A dlaczego ona cię tam zostawiła, ta mamusia od brzusia?

Przez pomyłkę?

- Wydaje mi się, że zabrakło jej sił - mówi Mama. - Młoda była.

Siada i wyciera nos bardzo głośno.

- Tata szybko się weźmie w garść - dodaje.

- W którą garść?

Śmieje się niby.

- Chodzi mi o to, że będzie się lepiej zachowywał. Jak prawdziwy dziadek.

Jak Przydziadek, tylko że on nie jest ten prawdziwy.

Wpadam w sen bardzo szybko, ale budzę się z płaczem.

- Już dobrze, już dobrze. - Mama całuje mnie w głowę.

- Dlaczego oni nie przytulają małpek?

- Kto?

- Naukowcy, dlaczego nie przytulają małych małpek?

- Ojej... może przytulają - dodaje po sekundzie. - Może po pewnym czasie małpki już lubią się przytulać do ludzi.

- Nie, ale mówiłaś, że się robią dziwne i same się gryzą.

Mama się nie odzywa.

- Dlaczego naukowcy nie sprowadzą z powrotem małych matek i nie przeproszą?

- Nie wiem, po co ci opowiadałam tę starą historię, to się zdarzyło wieki temu, nawet mnie nie było wtedy na świecie.

Zaczynam kaszleć i nie mam w co wytrzeć nosa.

- Nie myśl już o tych małych małpkach, dobrze? Już im nic nie jest.

- Myślę, że coś im jest.

Mama przytula mnie tak mocno, że aż mnie boli szyja.

- Au.

Zmienia pozycję.

- Jack, na świecie jest mnóstwo różnych rzeczy.

- Miliony?

- Miliony milionów. Jeśli będziesz próbował je wszystkie pomieścić w głowie, to kiedyś ci pęknie.

- Ale co z małymi małpkami?

Słyszę, jak inaczej oddycha.

- To prawda, niektóre te rzeczy są złe.

- Jak ta historyjka o małpkach.

- Jeszcze gorsze - mówi Mama.

- Jakie gorsze?

Próbuję sobie wyobrazić gorszą rzecz.

- Nie dzisiaj.

- Może jak skończę sześć lat?

- Może.

Przygarnia mnie do siebie.

Słucham jej oddechów, liczę do dziesięciu, a potem liczę swoje.

- Mamo?

- Tak?

- A myślisz o tych gorszych rzeczach?

- Czasami - odpowiada. - Czasami muszę.

- Ja też.

- Ale potem wyrzucam je z głowy i idę spać.

Znowu liczę nasze oddechy. Próbuję się gryźć, w ramię, to boli. Zamiast o małpkach próbuję myśleć o wszystkich dzieciach na świecie, o tym, że nie są z telewizora, tylko naprawdę, jedzą i śpią i robią siusiu i kupę jak ja. Gdybym miał coś ostrego i je ukłuł, toby im leciała krew, gdybym połaskotał, toby się śmiały.

Chciałbym je zobaczyć, ale kręci mi się w głowie, jak sobie pomyślę, że ich jest tak dużo, a ja jestem tylko jeden.

- To co, wszystko jasne?

Leżę w naszym łóżku w Pokoju Numer Siedem, ale Mama tylko siedzi na skraju.

- Ja tutaj drzemię, ty w telewizorze.

- Tak naprawdę prawdziwa ja będzie siedzieć na dole w gabinecie doktora Claya i rozmawiać z ludźmi z telewizji - mówi. - Tylko mój obrazek będzie w kamerze, a wieczorem w telewizji.

- Dlaczego chcesz rozmawiać z sępami?

- Nie chcę, wierz mi - mówi. - Ale muszę odpowiedzieć na ich pytania, raz na zawsze, bo inaczej nigdy nie przestaną pytać.

Ani się obejrzyysz, a będę z powrotem, dobrze? Prawie na pewno, zanim się obudzisz.

- Dobrze.

- A jutro wyruszamy na spotkanie przygodzie, pamiętasz, dokąd nas zabierają Paul i Deana, i Bronwyn?

- Do Muzeum Historii Naturalnej pooglądać dinozaury.

- Zgadza się - mówi Mama i wstaje.

- Piosenkę.

Siada i śpiewa Kołysz się lekko, miły rydwanie, ale za szybko i jeszcze chrypi z przeziębienia. Przyciąga mój nadgarstek, żeby spojrzeć zegarek z cyferkami.

- Jeszcze jedną.

- Czeka ją na mnie.

- Ja też chcę iść. - Siadam i oplatom ją rękami.

- Nie, nie chcę, żeby cię widzieli - mówi i układa mnie na poduszce. - Idź już spać.

- Nie jestem śpiący bez ciebie.

- Będziesz wykończony, jeśli się nie zdrzemniesz. Puść, proszę.

Zdejmuje z siebie moje ręce. Zaplatam je mocniej, żeby jej się nie udało.

- Jack!

- Nie idź.

- Puszczaj. Już jestem spóźniona.

Odpycha mnie, ale trzymam się jeszcze bardziej.

- Nie jesteś już niemowlakiem. Puszczaj, powiedziałam...

Odpycha tak mocno, że nagle się puszczam, odpych mnie uderza w głowę o mały stolik ciaaach.

Mama siedzi z dłonią przyciśniętą do buzi.

A ja krzyczę.

- Och, Jack, Jack, tak cię...

- I jak idzie? - Głowa doktora Clay'a w drzwiach. - Ekipa jest gorowa i czeka na panią. Krzyczę najgłośniejszym głosem i trzymam się za rozwaloną głowę.

- Coś mi się zdaje, że nic z tego nie będzie - mówi Mama i głaszcze mnie po zamoczonej buzi.

- Może się jeszcze pani wycofać - mówi doktor Clay i podchodzi bliżej.

- Nie, nie mogę, to na studia dla Jacka.

Doktor wykrzywia usta.

- Dyskutowaliśmy już, czy to dostatecznie dobry powód...

- Nie chcę iść na studia - mówię. - Chcę iść z tobą do telewizora.

Mama robi długi wydech.

- Zmiana planów. Możesz ze mną pójść popatrzeć, pod warunkiem że będziesz siedział cicho, dobrze?

- Dobrze.

- Ani słówka.

- Jest pani pewna, że to dobry pomysł? - pyta doktor Clay.

Ale ja już zakładam swoje rozciągliwe buty myk myk, głowa mi się jeszcze trochę chwieje.

W jego gabinecie całkiem inaczej wokół pełno osób i świateł i urządzeń. Mama sadza mnie na krześle w kącie, całuje w łupniętą część głowy i coś szepcze, ale nie słyszę. Podchodzi do większego krzesła i on osoba przypina jej do żakietu mały czarny podsłuch. Podchodzi kobieta z pudełkiem farbek i zaczyna jej kolorować buzię.

Rozpoznaję Morrisa naszego adwokata, właśnie przerzuca jakieś kartki.

- Musimy dostać do wglądu ścinki i wstępny montaż - mówi do kogoś. Patrzy na mnie i przebiera palcami. - Proszę państwa?

- odzywa się głośniejszym głosem. - Przepraszam! Chłopiec jest z nami, ale nie wolno go pokazywać, żadnych fotosów, pamiątkowych zdjęć, nic z tych rzeczy, rozumiemy się?

Wtedy wszyscy na mnie patrzą, zamykam oczy.

Kiedy je otwieram, jakaś inna osoba ściska Mamie rękę, jeju, to kobieta z napuszonymi włosami, ta z czerwonej kanapy. Ale kanapy tu nie ma. Nigdy wcześniej nie widziałem prawdziwej osoby z telewizora, szkoda, że to nie Dora.

- Tak, w czołówce wmontujemy twoją setkę w lotnicze ujęcie szopy - mówi do niej jakiś pan. - To przechodzi w zbliżenie na nią, na końcu ogólny was obu.

Kobieta z napuszonymi włosami uśmiecha się do mnie jak najszerzej. Dużo wszystkich mówi i się krząta, zamykam znowu oczy i zatykam uszy, doktor Clay radził tak robić, kiedy już nie mogę wytrzymać. Ktoś liczy:

- Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden...

To teraz wystrzelą raketę?

Kobieta z napuszonymi włosami podkłada specjalny głos i składa dłonie do paciorka.

- Na wstępie w imieniu własnym i naszych widzów chciałabym wyrazić wdzięczność, że zechciała pani z nami porozmawiać raptem sześć dni po uwolnieniu. Że już pani nie pozwala zamykać sobie ust.

Mama uśmiecha się blado.

- Może na początek powie nam pani, za czym najbardziej tęskniła podczas tych siedmiu długich lat niewoli? Poza rodziną oczywiście.

- Za dentystą. - Mama mówi szybko i cienkim głosem. - Paradoksalnie, bo wcześniej nie znosiłam nawet, jak mi usuwali kamień.

- Po wyjściu ujrzała pani całkiem nowy świat. Globalny kryzys gospodarczy i ekologiczny, nowy prezydent...

- Oglądaliśmy zaprzysiężenie w telewizji - mówi Mama.

- No proszę! Ale z pewnością wiele rzeczy się zmieniło.

Mama wzrusza ramionami.

- Nie zauważyłam żadnych drastycznych zmian. Inna sprawa, że tak naprawdę jeszcze nie wychodziłam, tylko do dentysty.

Kobieta się uśmiecha, jakby usłyszała dowcip.

- Chociaż nie, wszystko jest inne, ale to dlatego, że ja jestem inna.

- Co nas nie zabije, to nas wzmocni?

Mama się krzywi.

- Wcześniej byłam całkiem zwykłą dziewczyną. No wie pani, nawet nie byłam wegetarianką. Ani nie przesłam fazy rocka gotyckiego.

- A teraz jest pani niezwykłą młodą kobietą, która ma do opowiedzenia niezwykłą historię, i czujemy się zaszczytzeni, że to my, że to nam...

Odwraca się do osoby z urzędzeniem.

- Jeszcze raz.

Patrzy znów na Mamę i podkłada specjalny głos.

- I czujemy się zaszczytzeni, że postanowiła pani ją opowiedzieć właśnie w tym programie. Dobrze. Może nawiązanie do, hmm, syndromu sztokholmskiego byłoby tu

pewnym nadużyciem, ale wielu naszych widzów zadaje sobie pytanie, podszyte pewną obawą, czy w pewnym sensie czuła się pani... emocjonalnie zależna od porywacza.

Mama kręci głową.

- Nie cierpiałam go.

Kobieta potakuje.

- Kopałam i wrzeszczałam. Kiedyś zdzieliłam go w głowę wiekiem od sedesu. Nie kąpałam się, przez długi czas w ogóle się nie odzywałam.

- Czy to się zdarzyło przed tragedią, jaką było urodzenie martwego dziecka, czy już po?

Mama podnosi dłoń do buzi.

- Klauzula - wtrąca się Morris, kartkując strony. - O tym nie chce rozmawiać.

- Nie mam zamiaru dopytywać o szczegóły - odpowiada kobieta z napuszonymi włosami. - Ale wydaje mi się, że przede wszystkim trzeba ustalić kolejność...

- Nie, przede wszystkim trzeba się trzymać umowy - mówi

Morris.

Mamie trzęsą się ręce, siada na nich. Wcale na mnie nie patrzy, zapomniała, że tu jestem? Rozmawiam z nią w myślach, ale nie słyszy.

- Proszę mi uwierzyć - mówi do niej kobieta. - Chcemy pomóc. Pomóc pani, żeby opowiedziała pani światu swoją historię.

Zerka na kartkę na kolanach.

- Tak. Zaszła pani w ciążę po raz drugi, w piekle, w którym już wtedy przemęczyła pani dwa bezcenne lata młodości. Czy miewała pani odczucie, że wbrew własnej woli musi nosić pod sercem spłodzone przez tego człowieka...

Mama przerywa.

- To było dla mnie wybawienie.

- Wybawienie. Pięknie to pani ujęła.

Mama się krzywi.

- Mogę mówić tylko za siebie. Na przykład jako osiemnastolatka usunęłam ciążę i nigdy tego nie żałowałam.

Kobieta z napuszonymi włosami otwiera na chwilę buzię.

Potem zerka na kartkę i znów na Mamę.

- Pięć lat temu, w ten zimny marcowy dzień, w spartańskich warunkach samodzielnie urodziła pani zdrowe dziecko. Czy to najtrudniejsze, czego pani kiedykolwiek dokonała?

- Najlepsze.

- To też, nie wątpię. Każda matka twierdzi...

- Tak, ale muszę pani powiedzieć, że dla mnie Jack był wszystkim. Znowu żyłam i się liczyłam. Dlatego odtąd już byłam grzeczna.

- Grzeczna? Ach, w kontaktach z...

- Zależało mi tylko na tym, żeby chronić Jacka.

- Czy ta, jak pani to ujęła, grzeczna postawa bardzo dużo panią kosztowała?

Mama kręci głową.

- Nie, robiłam to mechanicznie. Taka żona robot.

Kobieta z napuszonymi włosami bez przerwy kiwa głową.

- Wychowywanie dziecka w pojedynkę, bez poradników, specjalistów, czy nawet krewnych, musiało być bardzo trudne.

Mama wzrusza ramionami.

- Wydaje mi się, że małym dzieciom najczęściej wystarcza do szczęścia bliskość matki. Nie, bałam się tylko, że Jack się rozchoruje albo że ja się rozchoruję, a potrzebował mnie zdrowej.

Dlatego przestrzegałam zapamiętanych ze szkoły zasad higieny: mycia rąk, dogotowywania potraw...

Kobieta przytakuje.

- Karmiła go pani piersią. Co więcej - a to może zaskoczyć niektórych naszych widzów - rozumiem, że nadal pani to robi?

Mama się śmieje, a kobieta robi wielkie oczy.

- I to jest szokujące w całej tej historii?

Kobieta patrzy znów na kartkę.

- Skazana razem z niemowlęciem na samotność niczym w więziennej izolatce...

Mama kręci głową.

- Żadne z nas ani przez minutę nie było samotne.

- Tak, rozumiem, ale jak mawiają Mrykanie, do wychowania dziecka potrzeba całej wioski...

- Jeśli się ją ma. A jak nie, to może wystarczy dwoje ludzi.

- Dwoje? Mówi pani o sobie i o swoim...

Mamy buzia robi się taka zamrożona.

- Mówię o sobie i Jacku.

- Aha.

- Zrobiliśmy to razem.

- To urocze. A mogę zapytać... Wiem, że nauczyła go pani modlić się do Pana Jezusa. Czy wiara była dla pani jakoś szczególnie ważna?

- Musiałam mu przekazać pewne rzeczy, między innymi to.

- I, jak rozumiem, dla zabicia długich godzin nudy oglądaliście telewizję?

- Nigdy się nie nudziłam z Jackiem - mówi Mama. - Ani on ze mną, jak sądzę.

- Cudownie. Podobno na pewnym etapie podjęła pani decyzję, niezrozumiałą dla niektórych ekspertów, by nauczyć Jacka, że świat ma jednaście stóp kwadratowych, a wszystko inne - to, co widział w telewizji albo zasłyszał przy okazji lektury swoich kilku książeczek - jest zmyślone. Czy miała pani do siebie pretensje, że go oszukuje?

Mama wygląda na złą.

- A co mu miałam powiedzieć? Na świecie jest tyle przyjemności, ale ty ich nigdy nie poznasz?

Kobieta przygryza wargi.

- Dobrze. Jestem pewna, że nasi widzowie znają sensacyjne szczegóły waszego uwolnienia...

- Ucieczki - poprawia Mama. Uśmiecha się prosto do mnie.

Zatkało mnie. Uśmiecham się też, ale już nie patrzy.

- Tak, ucieczki, a także aresztowania yyy... domniemanego porywacza. Czy przez te wszystkie lata miała pani poczucie, że ten człowiek, w takim najbardziej podstawowym ludzkim wymiarze, czuje coś do swojego syna, choćby i opacznie?

Oczy Mamy robią się wąskie.

- Jack jest moim synem. Wyłącznie moim.

- Ależ oczywiście, takie są fakty - mówi kobieta. - Zastanawiam się tylko, czy według pani genetyczne, biologiczne więzy...

- Nie było żadnych więzów. - Mama mówi przez zęby.

- A patrząc na Jacka, nigdy nie przekonała się pani, że boleśnie przypomina pani o swoim pochodzeniu?

Mamie jeszcze mocniej zaciskają się oczy.

- Jack przypomina mi wyłącznie samego siebie.

- Mhm - mówi kobieta z telewizora. - A czy teraz na myśl o porywaczu czuje pani, że zżera ją nienawiść?

Czeka.

- Czy myśli pani, że po spotkaniu w sądzie zdoła pani kiedyś mu wybaczyć?

Mama wykrzywia buzię.

- Mam teraz ważniejsze sprawy na głowie - mówi. - Staram się o nim myśleć jak najmniej.

- Czy wie pani, że jest pani jak światło?

- Jak... przepraszam, co?

- Światło w tunelu - mówi kobieta z uśmiechem. - Odkąd ogłosiliśmy, że wyemitujemy ten wywiad, widzowie zaczęli zasypywać nas telefonami, emailami i SMSami, w których opisują panią jako anioła, symbol dobroci...

Mama się krzywi.

- Moją jedyną zasługą jest to, że udało mi się przeżyć i całkiem przyzwoicie wychować Jacka. Dosyć przyzwoicie.

- Jest pani bardzo skromna.

- Nie, właściwie to jestem poirytowana.

Kobieta z napuszonymi włosami dwa razy mruga oczami.

- Cała ta nabożna... żadna ze mnie święta. - Mama znów mówi głośno. - Chciałabym, żeby ludzie przestali nas traktować tak, jakbyśmy byli jedynymi osobami, które przeżyły coś okropnego. Znajduję w Internecie takie historie, że aż się nie chce wierzyć.

- Inne podobne przypadki?

- Tak, ale nie tylko. Oczywiście kiedy ocknąłam się w tej szopie, pomyślałam, że przytrafiła mi się najgorsza rzecz na świecie. Ale sęk w tym, że niewolnictwa nie wynaleziono wczoraj.

Co do więziennych izolatek, to czy wiedziała pani, że w samej

Ameryce mamy ponad dwadzieścia pięć tysięcy osadzonych w jednoosobowych celach? Niektórzy spędzają w nich ponad dwadzieścia lat.

Mama wymierza palec w kobietę o napuszonych włosach.

- A co się tyczy dzieci, są na świecie miejsca, w których niemowlęta z sierocińców leżą po pięć w łóżeczku z przyklejonymi smoczkami, dzieci są gwałcone co noc przez tatusiów, dzieci siedzą w więzieniach i tak dalej, dzieci plotą dywany, aż oślepną...

Przez minutę jest całkiem cicho.

- Te doświadczenia obudziły w pani ogromną empatię dla pokrzywdzonych dzieci z całego świata - odzywa się kobieta.

- Nie tylko dzieci - odpowiada Mama. - Ludzi się zniewala na różne sposoby.

Kobieta odchrząkuje i patrzy na kartkę na kolanach.

- Powiedziała pani, że udało się jej "całkiem przyzwoicie" wychować Jacka, chociaż oczywiście to dzieło wcale nie jest skończone. Ale teraz może już pani liczyć na

wszechstronną pomoc rodziny, a także wielu zaangażowanych specjalistów.

- I jest trudniej. - Mama spuszcza oczy. - Kiedy nasz świat miał jedenaście stóp kwadratowych, łatwiej było go opanować.

Dziś wiele rzeczy działa Jackowi na nerwy. Ale przykro mi, że w mediach mówią o nim dziwoląg, genialny idiota, dzikus i tak dalej.

- No cóż, bardzo szczególny z niego chłopiec.

Mama wzrusza ramionami.

- On tylko spędził pięć początkowych lat życia w dziwnym miejscu, to wszystko.

- Nie sądzi pani, że ta męka go jakoś ukształtowała, jakoś mu zaszkodziła?

- Dla Jacka to nie była męka, tylko chleb powszedni. Tak, możliwe, ale każdemu coś kiedyś zaszkodziło.

- Niewątpliwie wygląda na to, że wielkim krokami dochodzi do siebie - mówi kobieta z napuszonymi włosami. - Srwierdziła pani przed chwilą, że w niewoli”łatwiej było zapanować” nad Jackiem...

- Nie, nad otoczeniem.

- Musi pani teraz odczuwać - co całkiem zrozumiałe - niemal patologiczną potrzebę ustrzeżenia syna przed światem.

- Tak, to ma nawet nazwę: macierzyństwo. - Mama prawie warczy.

- Czy pod jakimiś względami brakuje pani czasem życia za zamkniętymi drzwiami?

Mama odwraca się do Morrisa.

- Czy ona ma prawo mi zadawać takie głupie pytania?

Napuszczona kobieta wyciąga rękę i inna osoba wkłada w nią butelkę wody. Bierze łyk.

Doktor Clay podnosi rękę.

- Jeśli można... Chyba wszyscy odnosimy wrażenie, że moja pacjentka jest na granicy wytrzymałości, a właściwie już poza nią.

- Jeśli potrzebuje pani przerwy, możemy wznowić nagranie później - mówi do Mamy kobieta.

Mama kręci głową.

- Miejmy to już za sobą.

- No dobrze - mówi kobieta ze swoim następnym uśmiechem sztucznym jak u robota.

- Chciałabym wrócić do pewnego wątku, jeśli pani pozwoli. Kiedy urodził się Jack... nasi widzowie zastanawiają się, czy kiedykolwiek przemknęła pani przez głowę myśl, żeby...

- Co, położyć mu na głowie poduszkę?

O mnie mówi? Przecież poduszki się kładzie pod głową.

Kobieta przesuwając ręką w obie strony.

- Broń Boże. Ale czy nie myślała pani o tym, żeby poprosić porywacza o zabranie Jacka?

- Zabranie?

- Podrzucenie go pod szpital, na przykład żeby ktoś go adoptował. Tak jak panią zresztą, co, o ile mi wiadomo, skończyło się bardzo szczęśliwie.

Widzę, jak Mama przełyka ślinę.

- Dlaczego miałabym to zrobić?

- Żeby dać mu wolność.

- Wolność beze mnie?

- Naturalnie, to by wymagało poświęcenia - najwyższego poświęcenia - ale gdyby tak Jack mógł spędzić normalne, szczęśliwe dzieciństwo z kochającą rodziną?

- On miał mnie. - Mama mówi słowo po słowie. - Spędził dzieciństwo ze mną, czy nazwie je pani normalnym, czy nie.

- Przecież wiedziała pani, co on traci - mówi kobieta.

- Z dnia na dzień potrzebował coraz więcej przestrzeni, tymczasem ta, którą mogła mu pani zaoferować, tylko się kurczyła.

Musiały panią dręczyć wspomnienia o wszystkim, czego Jack nie pragnął, bo nawet nie znał. Koleżki i koleżanki, szkoła, trawa, pływanie, karuzele w wesołym miasteczku...

- Co wy wszyscy z tym wesołym miasteczkiem? - Mama już całkiem ochrypla. - Sama jako dziecko nie cierpiałam tam chodzić.

Kobieta lekko się śmieje.

Mamie leżą łzy po buzi, podnosi ręce, żeby je złapać.

Zrywam się z krzesła i biegnę do niej, coś się przewraca traataach, już jestem przy Mamie i obejmuję ją całą, a Morris krzyczy:

- Nie pokazywać chłopca...!

Budzę się rano, a Mama jest Nieobecna.

Nie wiedziałem, że w świecie też będzie miała takie dni.

Trzęsę ją za ramię, ale tylko cicho jęczy i wkłada głowę pod poduszkę. Tak mi się chce pić, przypełzam bliżej, żeby się poczęstować, ale się nie obraca i nie pozwala. Leżę przy niej zwinięty setki godzin.

Nie wiem, co robić. W Pokoju, jak Mama była Nieobecna, mogłem sam wstać i zrobić śniadanie i oglądać telewizor.

Pociągam nosem, nic tam nie ma, chyba katar mi się zgubił.

Idę pociągnąć sznurek i otworzyć trochę żaluzje. Jest jasno, światło odbija się od szyby samochodu. Przelatuje wrona i mnie wystrasza. Mamie chyba się nie podoba światło, więc odciągam sznurek. Brzuszek robi grrrr.

Potem sobie przypominam o brzeczku przy łóżku. Naciskam, nic się nie dzieje. Ale po minucie słyszę puk puk.

Uchylam tylko trochę, to Noreen.

- Cześć, słońce, co słychać?

- Głód. Mama jest Nieobecna - szepczę.

- No to chodźmy jej poszukać, dobrze? Na pewno wymknęła się tylko na minutkę.

- Nie, jest tutaj, ale nie do końca.

Noreen się dziwi na buzi.

- Tam. - Pokazuję łóżko. - Dzisiaj ma taki dzień, że nie wstaje.

Noreen woła Mamę po innej nazwie i pyta, czy wszystko w porządku.

- Nie odzywaj się do niej - szepczę.

- Mogę coś dla pani zrobić? - pyta jeszcze głośniej.

- Dajcie mi spać.

Nigdy wcześniej nie słyszałem Nieobecnej Mamy, mówi jak jakiś potwór.

Noreen idzie do komody i wyjmuję moje ubrania. Trudno się ubrać w prawie całkiem ciemności, wkładam obie nogi do jednej nogawki i na moment muszę się oprzeć o Noreen. Nie tak źle dotykać człowieka celowo, gorzej, jak oni mnie dotykają, to wtedy jakby mnie prąd kopnął.

- Buty - szepcze.

Znajduję je, wciskam na nogi i zapinam rzepy, to nie te rozciągliwe, co lubię.

- Brawo, młody.

Noreen stoi przy drzwiach i macha ręką, żebym poszedł za nią. Związuję kucyk, bo się rozpadał. Znajduję Ząb i mój kamień i mój klonowy nosek, lądują w kieszeni.

- Twoja Mama musi być wykończona po tym wywiadzie - mówi w korytarzu Noreen.

- Twój wujek już od pół godziny siedzi w recepcji i czeka, aż się obudzicie.

Przygoda! Ale nie, nie da się, bo Mama Nieobecna.

Na schodach Noreen rozmawia z doktorem Clayem. Trzymam się mocno szyny oboma rękami, obniżam jedną stopę, potem drugą, zsuwam ręce i wcale nie upadam, przez sekundę się tego boję, ale wtedy staję na dwóch nogach.

- Noreen.

- Chwileczkę.

- Ale nie, schody się udały.

Noreen się uśmiecha.

- Patrzcie państwo!

- Piątka - mówi doktor Clay.

Puszczam jedną rękę i przybijam piątkę.

- To jak, chcesz zobaczyć dinozaury?

- Bez Mamy?

Doktor Clay przytakuje.

- Ale cały czas będziesz z wujkiem i ciocią, nic ci się nie stanie. Czy wolisz to przełożyć na inny dzień?

Tak ale nie, bo może dinozaury sobie pójdą.

- Proszę dzisiaj.

- To mi się podoba - mówi Noreen. - Przynajmniej Mama sobie pośpi, a ty po powrocie opowiesz jej o dinozaurach.

- Cześć, stary.

To Paul mój Wujek, nie wiedziałem, że go wpuszczają do jadalni. Zdaje się, że "stary" to takie "kochanie" u mężczyzn.

Jem śniadanie, a Paul siedzi obok, dziwne. Rozmawia przez swój mały telefon, mówi, że po drugiej stronie jest Deana. Druga strona to ta niewidzialna. Dzisiaj dali sok bez farfocli, pycha, Noreen mówi, że zamówili go specjalnie dla mnie.

- Gotowy na pierwszą wyprawę na zewnątrz?

- Już sześć dni jestem w Nazewnątrz - mówię. - Trzy razy byłem w powietrzu, widziałem mrówki i helikoptery i dentystów.

- Szok.

Zjadam babeczkę i wkładam kurtkę i czapkę i okulary i smaruję się kremem. Noreen daje mi torbę z szarego papieru, jakby mi zabrakło oddechu.

Wychodzimy obrotowymi drzwiami i Paul mówi:

- Swoją drogą to nawet dobrze, że twoja mama dzisiaj z nami nie jedzie, bo po tym wczorajszym programie w telewizji wszyscy ją znają,

- Wszyscy na całym świecie?

- W sumie tak - odpowiada Paul.

Na parkingu wystawia rękę w bok, jakbym miał się go złapać. Zaraz ją opuszcza z powrotem.

Coś mi spada na buzię i krzyczę.

- To tylko kropla deszczu - mówi Paul.

Patrzę na niebo, szare jest.

- Spadnie na nas?

- Nic się nie martw, Jack.

Chcę już z powrotem do Pokoju Numer Siedem, do Mamy, chociaż jest Nieobecna.

- No, już są...

Podjeżdża zielona furgonetka, Deana siedzi z przodu z kierownicą. Przebiera do mnie palcami przez okno. W środku widzę mniejszą buzię. Furgonetka się nie otwiera w bok, jej kawałek się przesuwa i wtedy się wdrapuję.

- Nareszcie - mówi Deana. - Bronwyn, kotku, powiedz cześć swojemu kuzynowi Jackowi.

To dziewczynka prawie taka sama duża jak ja, ma same warkoczyki jak Deana, ale z błyszczącymi koralikami na końcach, słonia z futrem i płatki śniadaniowe w pudełku z pokrywką w kształcie żaby.

- Ceś, ceś - mówi bardzo cienko.

Koło Bronwyn jest fotelik dla mnie. Paul pokazuje mi, jak zatrzasać klamrę. Za trzecim razem zapinam całkiem sam, Deana klaszcze i Bronwyn też. Potem Paul z hukiem zasuwa drzwi furgonetki. Podskakuję, chcę do Mamy, chyba się rozplaczę, ale jednak nie.

- Ceś, ceś - powtarza Bronwyn. Jeszcze się nie nauczyła mówić, mówi "tatu śpiewa" i "śliczny piesek" i "musia plosie jescce plecla", "Plosie" znaczy "proszę". Tatu to Paul, a Musia to

Deana, ale tylko Bronwyn może tak do nich mówić, tak jak tylko ja mówię do Mamy Mama.

Jestem przestradzielny, ale trochę bardziej dzielny niż przestraszony, bo lepsze to niż udawanie umarlaka w Dywanie. Jak tylko jedzie w nas auto, powtarzam sobie w głowie, że musi zostać po swojej stronie, inaczej Pani Oł wsadzi go do więzienia jak brązowego pikapa. Obrazki w oknie są jak z telewizji, tylko bardziej rozmazane, widzę zaparkowane samochody, betoniarkę, motocykl i naczepę z raz dwa trzy cztery pięcioma autami, to moja najlepsza liczba. Przed domem dziecko pcha taczkę, na niej mniejsze dziecko, ale ubaw. Przez ulicę przechodzi pies z człowiekiem na linie, chyba jest przywiązany, a nie tylko się trzyma jak przedszkolaki. Światła zmieniają się na zielone i kobieta z kulami robi hop hop i wielki ptak siedzi na śmietniku, Deana mówi, że to tylko mewa, one zjedzą byle co.

- Są wszystkożerne - mówię.

- Ojejku, ale znasz trudne słowa.

Skręcamy przy drzewach.

- Jesteśmy z powrotem w klinice? - pytam.

- Nie, nie, robimy przystanek przy centrum handlowym, musimy kupić prezent, bo Bronwyn idzie dzisiaj na urodziny do koleżanki.

Centrum handlowe to znaczy sklepy, tam, gdzie Stary Nick kupuje nam jedzenie, tylko że już nie kupuje.

Do centrum idzie tylko Paul, ale mówi, że nie wie, co wybrać, więc jednak idzie Deana, ale wtedy Bronwyn zaczyna zawodzić

„ja z rnsią, ja z musią”. Idzie więc Deana z Bronwyn w czerwonym zabawkowym wózku, a Paul i ja zaczekamy w aucie.

Patrzę na czerwony wózek.

- Mogę się przejechać?

- Później, w muzeum - mówi Deana.

- Słuchaj, ja i tak muszę pędem do toalety - mówi Paul.

- Będzie szybciej, jeśli wyskoczmy wszyscy razem.

- Czy ja wiem...

- W środku tygodnia nie powinno być tłumów.

Deana patrzy na mnie i się nie uśmiecha.

- Jack, chciałbyś się przejechać wózkiem do centrum handlowego, tylko na parę minut?

- Pewnie, że bym chciał.

Jadę z tyłu i pilnuję, żeby Bronwyn nie wypadła, jestem w końcu starszym kuzynem.

- Jak Jan Chrzyciel - mówię do Bronwyn, ale nie słucha.

Podjeżdżamy pod drzwi, a one robią pyk i same pękają na boki, prawie wypadam z wózka, ale Paul mówi, że to tylko takie komputerki przesyłają sobie wiadomości i że mam się nie przejmować.

Jak tu jasno i głośno, nie wiedziałem, że wewnątrz może być takie wielkie jak Nazewnątrz, rosną nawet drzewa. Słyszę muzykę, ale nie widzę muzyków z instrumentami. Coś pięknego, torba z Dorą, schylam się, żeby dotknąć jej buzi, uśmiecha się i tańczy do mnie.

- Dora - szepczę do niej.

- A, tak - mówi Paul. - Bronwyn też za nią szalała, ale teraz jest Hannah Montana.

- Hannah Montana - śpiewa Bronwyn. - Hannah Montana.

Torba z Dorą ma paski, jest jak Plecak, ale z przodu ma

Dorę, zamiast buzi Plecaka. Ma też uchwyt, łapię i się wysuwa, wydaje mi się, że popsułem, ale chowa się z powrotem, to jednocześnie plecak i torba na kółkach, ale czary.

- Podoba ci się? - To Deana do mnie mówi. - Chciałbyś w niej trzymać swoje rzeczy?

- Może jednak nie różową - mówi do niej Paul. - A ta, Jack, chyba jest spoko, co? -

Trzyma torbę ze Spidermanem.

Przytulam mocno Dorę, wydaje mi się, że szepcze "Hola, Jack".

Deana próbuje mi odebrać torbę, ale nie puszczam.

- Dobrze, dobrze, muszę tylko zapłacić pani, dostaniesz ją za dwie sekundy...

Wcale nie dwie, tylko trzydzieści siedem.

- O, toaleta - mówi Paul i już go nie ma.

Pani zawija torbę w papier, więc nie widzę już Dory, potem wkłada ją do wielkiego pudełka, a Deana mi je podaje, huśtając za sznurkowe uchwyty. Wyjmuję Dorę, wsuwam ręce w paski i już ją noszę, naprawdę noszę Dorę.

- I co powiesz?

Nie wiem, co powiem.

- Blonwyn ślicną tolbę - mówi Bronwyn i macha torbą z cekinów z wiszącymi serduszkami.

- Tak, kotku, ale w domu masz mnóstwo ślicznych toreb.

Zabiera jej błyszczącą torbę, Bronwyn wrzeszczy i jedno serduszko spada na ziemię.

- Czy doczekam się kiedyś czasów, kiedy uda się przejść parę metrów bez awantury? - pyta Paul, który właśnie wrócił.

- Może gdybyś tu był, tobyś ją jakoś zabawił - odpowiada

Deana.

- Blonwyn ślicną toooooooobęęę!

Deana wsadza ją z powrotem do wózka.

- Idziemy.

Podnoszę serduszko, wkładam do kieszeni do moich skarbów i idę przy wózku.

Zaraz zmieniam zdanie i przekładam wszystkie skarby do mojej torby z Dorą, do tej części z przodu, z zamkiem. Buty mnie bołą, to je zdejmuję.

- Jack! - To Paul mnie woła.

- Przestań w końcu wrzeszczeć do niego po imieniu - mówi

Deana.

- Aha, faktycznie.

Widzę gigantyczne jabłko z drewna.

- Ale fajne.

- Oblędne, co? - mówi Paul, - A może taki bębenek dla Shirelle? - pyta Deana.

Deana przewraca oczami.

- Wstrząs mózgu gwarantowany. Nie ma szans.

- Mogę jabłko, dziękuję? - pytam.

- Chyba ci się nie zmieści do torby - odpowiada z uśmiechem Paul.

Potem znajduję takie coś srebrnoniebieskie jak rakietka.

- To bym chciał, dziękuję.

- To dzbanek do kawy - mówi Deana i odkłada z powrotem na półkę. - Kupiliśmy ci już torbę, na dziś wystarczy, okay? Poszukamy tylko prezentu dla koleżanki Bronwyn i zaraz stąd wyjdziemy.

- Przepraszam, czy to należy do państwa starszej córki?

- Jakaś stara kobieta trzyma moje buty.

Deana robi wielkie oczy.

- Jack, stary, co jest grane? - pyta Paul i wskazuje moje skarpetki.

- Bardzo pani dziękuję - mówi Deana, odbiera od kobiety buty i klęka. Siłą wciska mi prawego, a potem lewego. - Ciągłe mówisz do niego po imieniu - mówi przez zęby do Paula.

Ciekawe, co jest niedobrze z moim imieniem.

- Przepraszam, przepraszam - odpowiada Paul.

- Dlaczego powiedziała starszej córki? - pytam.

- A, to przez twoje długie włosy i torbę z Dorą - mówi Deana.

Stara kobieta znikła.

- Ona była zbirem?

- Nie, nie.

- Ale gdyby się zorientowała, że jesteś tym Jackiem, to mogłaby ci zrobić zdjęcie swoją komórką, czy coś takiego, i wtedy twoja mama by nas zabiła - tłumaczy Paul.

Łupie mi w piersi.

- Dlaczego mama...?

- Przepraszam, chciałem powiedzieć...

- Chciał tylko powiedzieć, że by była wściekła - mówi Deana.

Myślę o Mamie, jak leży po ciemku Nieobecna.

- Nie lubię, żeby była wściekła.

- Nie, oczywiście, że nie.

- Można mnie już proszę wrócić do kliniki?

- Za momencik.

- Teraz.

- Nie chcesz zobaczyć muzeum? Za chwilę się zbieramy.

Pluszak interaktywny - mówi Deana do Paula. - To jej raczej nie zrobi krzywdy. Wydaje mi się, że za częścią restauracyjną jest sklep z zabawkami...

Cały czas ciągnę za sobą torbę, mam za ciasno zarzepowane buty. Bronwyn jest głodna, więc dostajemy prażoną kukurydzę, to najchrupsza rzecz na świecie, tylko że mi się przykleja do gardła i zaczynam kaszleć. Paul kupuje dla siebie i Deany kawę latte w kawiarni. Trochę ziaren wysypuje mi się z torebki, ale Deana mówi, żeby zostawić, bo mamy dużo, poza tym nie wiadomo, co leżało na tej podłodze. Naśmiecilem, Mama się wścieknie.

Deana daje mi mokrą chusteczkę, żebym sobie odślizgał palce, wkładam ją do torby z Dorą. Za jasno tu i chyba się zgubiliśmy, chcę już do Pokoju Numer Siedem.

Muszę siku, Paul bierze mnie do toalety, gdzie na ścianie wiszą śmieszne obwisłe umywalki. Macha ręką w ich stronę.

- No, dawaj.

- A gdzie sedes?

- To takie specjalne sedesy, tylko dla nas, facetów.

Kręcę głową i wychodzę.

Deana mówi, że mogę iść z nią i Bronwyn, pozwala mi wybrać kabinę.

- Świetnie, Jack, w ogóle nie rozchlapałeś.

Dlaczego bym rozchlapał?

Deana zdejmuje Bronwyn bieliznę i nie ma tam Penisa ani pochwy jak u Mamy, tylko grubiotki mały kawałek ciała z fałdą w środku, bez futerka. Wyciągam palec i naciskam, gąbkowate.

Deana wali mnie w rękę, żebym ją zabrał.

Krzyczę i krzyczę.

- Uspokój się, Jack. Czy ja... czy coś ci się stało w rękę?

Krew mi leci z nadgarstka.

- Przepraszam - mówi Deana. - Bardzo cię przepraszam, to na pewno przez mój pierścionek.

Patrzy na pierścionek ze złotem.

- Słuchaj, ale nie dotykamy czyichś miejsc intymnych, to nie jest porządku, jasne?

Miejsca intymne tego nie znam.

- Skończyłaś, Bronwyn? Czekaj, musia wytrze.

Pociera tę samą część Bronwyn, co ja wcześniej, ale po wszystkim wcale się nie uderza w rękę.

Kiedy myję ręce, krew jeszcze bardziej boli. Deana przekopuje torebkę i szuka plastra. W końcu składa brązowy ręcznik z papieru i każe mi przyłożyć do skaleczenia.

- Okej? - pyta Paul po naszym wyjściu.

- Nawet nie pytaj - odpowiada Deana. - Możemy już stąd wyjść?

- A co z prezentem dla Shirelle?

- Możemy spakować coś Bronwyn, co wygląda jak nowe.

- Nie coś moje! - krzyczy Bronwyn.

Kłóć się. Chcę być w łóżku po ciemku z Mamą i jej wszystkim miękkim, bez niewidzialnej muzyki i chodzących szerokich osób z czerwonymi buziami i śmiejących dziewczyn ze splecionymi rękami i kawałkami ciała na wierzchu. Uciskam skaleczenie, żeby krew nie wypadła, idę z zamkniętymi oczami, wpadam na donicę z rośliną, a właściwie to nie roślina, jaką była Roślina, zanim umarła, tylko jej plastik.

I wtedy jakiś ktoś się do mnie uśmiecha - Delma! Podbiegam i przytulam ją mocno.

- Książka - mówi Deana. - Idealnie, wracam za dwie sekundy.

- To koparka Delma, moja przyjaciółka z Pokoju - mówię

Paulowi. - Jceeedzie Delma, chwacka koparka! Fury ziemi dźwiga na barkach! Spójrz, ręka długa w ziemię już wnika...

- Super, stary. Odłóżmy ją na miejsce.

Głaszczę Delmę po okładce, zrobiła się cała gładka i błyszcząca, jak się tu dostała?

- Ostrożnie, żebyś nie zakrwawił. - Paul przykłada mi do ręki chusteczkę, widocznie szary papier odpadł. - Może wybierzesz sobie jakąś książkę, której jeszcze nie czytałeś?

- Musiu, musiu! - Bronwyn próbuje oderwać jakąś biżuterię z okładki książki.

- Leć zapłacić - mówi Deana, wciskając książkę Paulowi, a sama biegnie do Bronwyn.

Otwieram swoją torbę z Dorą, wkładam Delmę i ochraniam ją zamkiem.

Wracają Deana z Bronwyn i idziemy pod fontannę posłuchać, jak chlapie, ale nie dać się ochlapać.

- Piniąski, piniąski - mówi Bronwyn, więc Deana daje jej monetę, a Bronwyn wrzuca ją do wody.

- Chcesz wrzucić? - To głos Deany.

To pewnie specjalny śmietnik na pieniądze, które są już bardzo brudne. Biorę monetę, wrzucam ją i wyjmuję mokrą chusteczkę, żeby wytrzeć palce.

- Pomyślałeś życzenie?

Jeszcze nigdy nie myślałem sobie życzenia przy śmietniku.

- A jakie?

- Pomyśl sobie o czymś, czego chcesz najbardziej w świecie - mówi Deana.

Najbardziej chciałbym być w Pokoju, ale on chyba nie jest w świecie.

Jakiś pan rozmawia z Paulem i wskazuje moją torbę.

Paul podchodzi, odpina ją i wyjmuję Delmę.

- Jack... stary!

- Bardzo przepraszam - mówi Deana.

- Wie pan, on ma taką w domu - mówi Paul. - Myślał, że to jego.

Podaje panu Delmę.

Podbiegam, wyrywam i mówię:

- Jeeeeedzie Delma, chwacka koparka! Fury ziemi dźwiga na barkach!

- Nie dociera do niego.

- Spójrz, ręka długa w ziemię już wnika...

- Jack, kochanie, to ze sklepu. - Deana próbuje mi zabrać książkę.

Łapię jeszcze mocniej i wkładam pod koszulkę.

- Ja nie jestem stąd - mówię panu. - Stary Nick zamknął mnie i Mamę, a teraz siedzi w więzieniu ze swoim pikapem, ale anioł go nie wybuchnie palnikiem, bo jest zbirem. A my jesteśmy sławni i jak nam zrobisz zdjęcie, to cię zabijemy.

Pan mruga oczami.

- Yyy... za ile ta książka? - pyta Paul.

- Muszę przyłożyć do czytnika - odpowiada pan.

Paul wyciąga rękę, a ja zwijam się na podłodze wokół Delmy.

- Wie pan co, przyniosę inny egzemplarz - mówi Paul i wbiega z powrotem do sklepu.

Deana rozgląda się i krzyczy:

- Bronwyn? Kotku?

Goni wokół fontanny i zagląda do środka.

- Bronwyn?

A Bronwyn jest na wystawie z sukienkami i przylepia język do szyby.

- Bronwyn?! - wrzeszczy Deana.

No to też wystawiam język, a Bronwyn za szybą się śmieje.

W zielonej furgonetce prawie zasypiam, ale nie do końca.

Noreen mówi, że moja torba z Dorą jest wspaniała i błyszczące serduszko też, a O koparce Delmie to na pewno świetna książka.

- A jak tam dinozaury?

- Nie zdążyliśmy ich obejrzeć.

- O, to szkoda.

Przylepia mi do nadgarstka plaster, ale bez obrazków.

- Twoja Mama cały dzień drzemie, na pewno bardzo się ucieszy na twój widok.

‘Puka i otwiera drzwi Pokoju Numer Siedem.

Zdejmuję buty, ale nie ubrania, i wreszcie włączę do Mamy.

Jest ciepłutko miękka, wtulam się, ale ostrożnie. Poduszka brzydko pachnie.

- Do zobaczenia na kolacji - szepcze Noreen i zamyka drzwi.

To brzydkie to wymioty, pamiętam z naszej Wielkiej Ucieczki.

- Obudź się - mówię do Mamy. - Zwymiotowałaś się na poduszkę.

Ale ona się nie włącza, nawet nie jęczy ani nie przewraca na drugi bok, ciągnę, ale się nie rusza. Taka Nieobecna jeszcze nie była.

- Mama, Mama, Mama.

Ona jest chyba zombi.

- Noreen? - krzyczę i biegnę do drzwi. Nie należy przeszkadzać osobom, ale...

- Noreen!

Jest na końcu korytarza, obraca się.

- Mama się powymiotowała.

- To nic takiego, zaraz uprzątniemy. Czeka, przyprowadzę tylko wózek...

- Nie, chodź zaraz.

- Dobrze, dobrze.

Włącza światło i jak patrzy na Mamę, to już nie mówi dobrze, tylko podnosi telefon i powtarza:

- Kod niebieski, pokój siedem, kod niebieski...

Nie wiem co to... a potem widzę na stoliku otwarte fiołki z lekami Mamy, wyglądają na prawie puste. Nigdy więcej niż dwie, taka jest zasada, jak mogą być prawie puste, co się stało z tabletkami? Noreen przyciska Mamie z boku dłoń do gardła i mówi jej inną nazwę i powtarza:

- Słyszysz mnie pani? Słyszysz mnie pani?

Ale myślę, że Mama nie słyszy, myślę, że nie widzi.

- Źle wymyśliłaś! Źle wymyśliłaś! Źle wymyśliłaś! - krzyczę.

Wpada masa osób, jedna wyciąga mnie na korytarz.

- Mama! - krzyczę jak umiem najgłośniejszym głosem, ale za cicho, żeby ją obudzić.

ŻYCIE

Jestem w domu z hamakiem. Wyglądam za nim przez okno, ale Babcia mówi, że zwykle wisi z tyłu, a nie przed domem, zresztą jeszcze za wcześnie, bo to dopiero dziesiąty kwietnia. Widać krzaki i kwiaty i chodnik i ulicę i inne trawniki i inne domy, naliczam ich jednaście, tam mieszkają sąsiedzi. Ssę w poszukiwaniu Zęba, leży na samym środku języka. Na zewnątrz białe auto się nie rusza, przyjechałem nim z kliniki, chociaż nie było fotelika; doktor Clay chciał, żebym został "dla ciągłości" i "ze względu na potrzebę odosobnienia terapeutycznego", ale Babcia krzyczała, że nie ma prawa mnie przetrzymywać jak więźnia, skoro mam rodzinę. Moja rodzina to Babcia Przydziadek Bronwyn

Wujek Paul i Deana i Dziadek, tylko że on się trzęsie, jak mnie widzi. I jeszcze Mama. Przesuwam Ząb pod policzek.

- Ona umarła?

- Nie, mówiłam ci już. Na pewno nie. - Babcia opiera głowę o drewno wokół szyby.

Czasem kiedy osoby mówią "na pewno", to jakoś mniej im wierzę.

- A może ty się tylko tak bawisz, że ona żyje? - pytam Babci. - Bo jeśli nie, to ja też nie chcę.

Po jej buzi znowu leci pełno łez.

- Nie... nie mogę ci powiedzieć nic ponad to, co sama wiem, kochanie. Powiedzieli, że niedługo zadzwonią z aktualnymi informacjami.

- Co to jest aktualnymi?

- No, powiedzą, jak się teraz czuje.

- A jak się teraz czuje?

- Nie najlepiej, bo wzięła za dużo niedobrych lekarstw, tak jak ci mówiłam, ale prawdopodobnie już teraz je wyszła z żołądka, przynajmniej większość.

- Ale dlaczego ona...?

- Bo nie czuje się za dobrze. W głowie. Ale już się nią zajęli - mówi Babcia. - Nie trzeba się martwić.

- Dlaczego?

- Bo nic nie wskórasz.

Buzia Pana Boga, całkiem czerwona, zawisła na kominie.

Robi się ciemno. Ząb mi się wgryza w dziąsło, niedobry bolący ząb.

- Nie tknąłeś lazanii - mówi Babcia. - Chcesz się napić soku albo czegoś innego?

Kręcę głową.

- Zmęczony jesteś? Na pewno jesteś zmęczony, Jack. Bo ja bardzo' Bóg mi świadkiem. Chodź na dół, pokażę ci wolny pokój.

- Dlaczego jest wolny?

- To znaczy, że go nie używamy.

- Po co macie pokój, jak go nie używacie?

Babcia wzrusza ramionami.

- Nigdy nie wiadomo, kiedy się przyda.

Czeka, aż przerobię schody na pupie, bo nie ma poręczy do trzymania. Ciągnę za sobą torbę z Dorą umpapa umpa. Przechodzimy przez pokój, który się nazywa pokój dzienny, nie wiem dlaczego, bo we wszystkich był dzień.

Rozlega się okropne łaa łaa, zasłaniam uszy.

- Odbiorę - mówi Babcia.

Wraca po minucie i prowadzi mnie do pokoju.

- Gotowy?

- Na co?

- Żeby pójść spać, kotku.

- Nie tu.

Wygladzają jej się pęknięcia wokół buzi.

- Wiem, że tęsknisz za mamą, ale na razie musisz spać sam.

Nic ci się nie stanie, Przydziadek i ja będziemy na górze. Chyba nie boisz się straszydeł, co?

Zależy od straszydła, czy jest naprawdę czy nie, i czy jest tam, gdzie ja.

- Hmm. Dawny pokój twojej mamy jest przy naszej sypialni - mówi Babcia. - Tylko urządziliśmy tam sobie salę gimnastyczną i nie wiem, czy będzie dość miejsca na materac dmuchany...

Na górę idę na nogach, ale przy ścianie, Babcia niesie mi torbę z Dorą. W pokoju leżą gąbkowate niebieskie maty i hantle i urządzenia do ćwiczeń, które znam z telewizora.

- Jej łóżko stało tu, dokładnie tam, gdzie kołyska, jak była jeszcze niemowlakiem - mówi Babcia i wskazuje rower, ale taki przylepiony do podłogi. - Na ścianach miała pełno plakatów, no wiesz, ulubionych zespołów, i olbrzymi wachlarz i łapacz snów.

- A dlaczego łapał jej sny?

- Kto?

- Wachlarz.

- Ach nie, to tylko takie dekoracje. Okropnie mi głupio, że oddałam je wszystkie dla biednych, ale tak mi doradzili na terapii dla osób w żałobie...

Ziewam jak hipopotam, Ząb prawie wypada, chwytam go w ostatniej chwili.

- A to co? - pyta Babcia. - Koralik? Nie wolno brać do buzi drobnych przedmiotów, mama ci nie...?

Próbuje mi odgiąć zaciśnięte palce i zabrać. Moja ręka uderza ją mocno w brzusek.

Babcia wytrzeszcza oczy.

Wkładam Ząb z powrotem pod język i zaciskam zęby.

- A wiesz co, może rozłożę materac przy naszym łóżku, tylko na dzisiejszą noc, żebyś mógł się oswoić?

Ciągnę torbę z Dorą. Za ścianą jest sypialnia Babci i Przydziadka. Materac to taki jakby wielki worek, ciągle wyskakuje z niego pompka i Babcia musi wołać na pomoc Przydziadka.

Nadmuchany wygląda jak balon, ale prostokątny. Babcia kładzie na górę pościel. Jacy oni wyszali Mamie brzusek? Gdzie włożyli pompkę? Czy Mama nie wybuchła?

- Jack, pytałam cię, gdzie masz szczoteczkę?

Znajduję ją w torbie z Dorą, w której mieści się moje wszystko. Babcia każe mi włożyć piżamkę. Pokazuje materac i mówi

„wskakuj”, osoby zawsze mówią o skakaniu, jak chcą udawać, że coś jest fajne. Babcia pochyla się z buzią jak do całusa, ale wkładam głowę pod kołdrę.

- Przepraszam - mówi. - Opowiedzieć ci coś?

- Nie.

- Nie masz nawet siły słuchać, no dobrze. To dobranoc.

Robi się całkiem ciemno. Siadam.

- A Pchły?

- Pościel jest świeżo wyprana.

Nie widzę jej, ale rozpoznaję głos.

- Nie, Pchły.

- Jack, raz już powiedziałam.

- Te Pchły co na noc.

- Aha, dobranoc, pchły na noc... racja, zawsze tak mówiłam, kiedy twoja mama była...

- Powiedz całe.

- Dobranoc, pchły na noc, karaluchy pod poduchy.

Wchodzi trochę światła, to drzwi się otwierają.

- Gdzie idziesz?

Widzę w dziurze kształt Babci całkiem czarny.

- Tylko na dół.

Zjeżdżam z materaca, bo się chwieje.

- To ja też.

- Nie, idę oglądać swoje programy, one nie są dla dzieci.

- Mówiłaś ty i Przydiadek na łóżku, a ja obok na materacu.

- Tak, ale później, jeszcze nie jesteśmy zmęczeni.

- Mówiłaś, że jesteś.

- Jestem zmęczona tym... - Babcia prawie krzyczy. - Nie chce mi się spać, chcę po prostu pooglądać telewizję i przez chwilę nie myśleć.

- Możesz nie myśleć tutaj.

- Spróbuj się położyć i zamknąć oczy.

- Nie umiem, nie całkiem sam.

- Oj... - mówi Babcia. - Oj, ty moje biedactwo.

Dlaczego biedactwo i dlaczego jej?

Nachyla się nad materacem i dotyka mnie po buzi.

Odsuwam się.

- Chciałam ci tylko zamknąć oczy.

- Ty w łóżku. Ja na materacu.

Słyszę, jak wzdycha.

- Dobrze, położę się na chwilkę.

Widzę jej kształt na kołdrze. Coś spada pac, to jej but.

- A może chcesz kołysankę?

- Co?

- Piosenkę?

Mama mi śpiewa piosenki, ale już nie. Rozwaliła mi głowę o stół w Pokoju Numer Siedem. Wzięła niedobre lekarstwa, wydaje mi się, że nie miała siły się już bawić, spieszyła się do

Nieba i nie poczekała, dlaczego na mnie nie poczekała?

- Płaczesz?

Nic nie mówię.

- Oj, skarbie. No nic, lepiej na zewnątrz niż w środku.

Chcę się poczęstować, bardzo chcę się poczęstować, inaczej nie zasnę. Ssę Ząb, który jest Mamą, a przynajmniej jej częścią, Mama ma brązowe i popsute i twarde komórki. Ząb był od bólu

Mamy, czy może sam się bolał, ale już po wszystkim. Dlaczego lepiej na zewnątrz niż w środku? Mama mówiła, że będziemy wolni, ale wcale się tak nie czuję.

Babcia śpiewa bardzo cicho, znam tę piosenkę, ale brzmi nie tak, jak należy. Jedzie pociąg z daleka...

- Nie, dziękuję - mówię i Babcia już leży cicho.

Ja i Mama w morzu, zaplątałem się w jej włosy, cały jestem powiązany i tonę...

To tylko zły sen. Tak by powiedziała Mama, gdyby tu była, ale jej nie ma.

Leżę i liczę pięć palców u rąk pięć palców u rąk pięć palców u nóg pięć palców u nóg, ruszam nimi po kolei. Próbuję do niej mówić w myślach "Mama? Mama? Mama?", ale nie słyszę, że odpowiada.

Kiedy robi się jaśniej, naciągam kołdrę na głowę, żeby robić ciemniej. Chyba tak to jest, jak się jest Nieobecny.

Wokół chodzą osoby i szepczą "Jack?". Przy uchu Babcia, więc zwijam się daleko w kłębek.

- Jak się czujesz?

Nie zapomniałem manier.

- Nieźle, chociaż bywało lepiej, dziękuję.

Mamrotuję, bo Ząb mi się przylepił do języka.

Kiedy jej już nie ma, siadam i liczę swoje rzeczy w torbie z Dorą, ubrania i buty i klonowy nosek i kolejkę i kwadrat do rysowania i grzechotkę i błyszczące serduszko i krokodyla i kamień i małpki i auto i sześć książek, szósta to O koparce Delmie ze sklepu.

Mijają godziny i słychać laa laa, czyli telefon. Przychodzi

Babcia.

- Dzwonił doktor Clay, stan mamy się ustabilizował. To dobra wiadomość, prawda?

Usta bili sowa?

- A na śniadanie mamy naleśniki z jagodami.

Leżę bez ruchu jak szkielet. Kołdrę czuć kurzem.

Dingdong dingdong i Babcia znowu schodzi.

Głosy pode mną. Liczę palce u nóg potem palce u rąk potem zęby i na nowo. Za każdym razem się zgadza, chociaż nie jestem pewien.

Babcia wchodzi zadyszana i mówi, że Dziadek przyszedł się pożegnać.

- Z nami wszystkimi, wraca do Australii. Wstawaj, Jack, nie ma co się nad sobą rozczulać.

Nie wiem, co to znaczy.

- On chce, żebym nie był.

- Żebyś co?

- Powiedział, że lepiej, żebym nie był, to wtedy Mama nie musiałaby być Mamą.

Babcia nic nie mówi, więc chyba poszła na dół. Wyjmuję buzię, żeby zobaczyć. Stoi i mocno się owija rękami.

- Nie przejmuj się tym palantem.

- A co to jest...?

- Chodź na naleśniki.

- Nie umiem.

- Spójrz no na siebie.

Niby jak mam to zrobić?

- Oddychasz, chodzisz, rozmawiasz i śpisz bez mamy, prawda? To na pewno umiesz też bez niej jeść.

Trzymam Ząb w policzku na ochronę. Grzebię się na schodach.

W kuchni Dziadek, ten prawdziwy, ma niebieskie na buzi.

Jego naleśnik leży w kałuży syropu i jeszcze więcej niebieskiego, to jagody.

Talerze są normalne białe, ale szklanki mają nie ten kształt, są kanciaste. Na stole wielka miska z parówkami. Nie wiedziałem, że jestem głodny. Zjadam jedną, a potem jeszcze dwie.

Babcia mówi, że nie ma soku bez mięszu, ale że muszę się czegoś napić, bo się zakrztuszę parówkami. Piję z mięszem i zarazki mi się wiją w gardle. Lodówka jest ogromna i pełno w niej pojemników i butelek. W szafkach jest tyle różnych jedzeń, że

Babcia musi wchodzić na stopnie, żeby zajrzeć do wszystkich.

Babcia mówi, że teraz czas na prysznic, ale udaję, że nie słyszałem.

- Co to znaczy usta bili sowa? - pytam Dziadka.

- Ustabilizował? - Łza mu wychodzi z oka i zaraz ją ociera. - Jeśli stan jest stabilny; to znaczy, że chyba nie jest ani lepiej, ani gorzej.

Odkłada na talerz widelec razem z nożem.

Ani lepiej, ani gorzej niż co?

Ząb ma kwaśny smak od soku. Wracam na górę spać.

- Kochanie - odzywa się Babcia. - Nie ma mowy, żebyś znów przesiedział cały dzień przed tym pudłem.

- Co?

Wyłącza telewizor.

- Właśnie dzwonił doktor Clay w sprawie twoich potrzeb rozwojowych, musiałam mu powiedzieć, że gramy w warcaby.

Mrugam i przecieram oczy. Dlaczego go okłamała?

- Czy Mama...?

- Mówi, że jej stan jest nadal stabilny. A chciałbyś naprawdę pograć w warcaby?

- Twoje pionki są dla wielkoludów i się odlepiają.

Babcia wzdycha.

- Mówiłam ci już, tak właśnie mają wyglądać pionki, i to samo dotyczy szachów i kart. Ta miniatuurka magnetyczna, którą mieliście, to wersja podróżna.

Ale my nie podróżowaliśmy.

- Chodźmy na plac zabaw.

Kręcę głową. Mama powiedziała, że pójdziemy razem, jak już będziemy wolni.

- Przecież już nieraz wychodziłeś.

- To było w klinice.

- Powietrze się nie zmieniło, prawda? No chodźże, twoja mama mówiła, że lubisz się wspinać.

- Tak, wspinałem się na Stół i na nasze krzesła i na Łóżko po tysiąc razy.

- Nie na mój stół, kawalerze.

Chodziło mi o Pokój.

Babcia związuje mi kucyk bardzo mocno i wkłada go pod kurtkę, zaraz go wyciągam. Nic nie wspomina o lepkiej mazi i o czapce, może w tej części świata skóra się nie spala?

- Załóż okulary, aha, i normalne buty, w tych kapciach łatwo się poślizgnąć.

Stopy mi się zgniatają przy chodzeniu, chociaż poluzowałem rzepy. Nic nam nie grozi pod warunkiem, że pójdziemy chodnikiem, ale jeśli wejdziemy niechcący na ulicę, to umarniemy. Mama nie umarnęła, Babcia mówi, że by mnie nie okłamała. Ale okłamała doktora Claya z warcabami.

Chodnik co chwilę się kończy i musimy przechodzić przez ulicę, ale nic nam się nie stanie, jeśli tylko będziemy się trzymać za ręce. Nie lubię się dotykać, ale Babcia mówi o jak mi przykro. Powietrze mi się wdmuchuje w oczy i słońce oślepia poza oprawkami okularów.

Pod nogami coś różowego co jest gumką do włosów i zakrętka od butelki i kółko nie od prawdziwego auta tylko od zabawki i paczka orzeszków ale bez orzeszków i kartonik po soku w którym słyszę chlup czy resztkę soku i jeszcze żółta kupa. Babcia mówi, że ona nie jest ludzka tylko od jakiegoś wstrętnego kundla, ciągnie mnie za kurtkę i mówi:

- Nie ruszaj.

Śmieci nie powinny tu leżeć, może oprócz liści, bo drzewo nic nie może poradzić na to, że mu spadają. We Francji puszczają psy wolno, żeby się załatwiały, kiedyś mogę pojechać zobaczyć.

- Kupy?

- Nie, nie - odpowiada Babcia. - Wieżę Eiffla. Kiedyś, jak już będziesz dobrze umiał wchodzić po schodach.

- A Francja jest w Nazewnątrz?

Patrzy na mnie dziwnie.

- W świecie?

- Wszystko jest w świecie. No, jesteśmy!

Nie mogę iść na plac zabaw, bo pełno tam dzieci nie moich przyjaciół.

Babcia przewraca oczami.

- Po prostu się pobaw tak jak inne dzieci.

Patrzę przez siatkę w romby z drutu. Jest jak to tajemne ogrodzenie w ścianach i Podłodze, przez które Mama nie mogła się przekopać, ale jednak się wydostaliśmy, ocaliłem ją, tylko że potem już nie chciała być żywa. Jakaś duża dziewczynka zwisa z huśtawki do góry nogami. Dwa chłopcy na innej huśtawce, która lata góradół, chłopcy walą nią mocno o ziemię i się śmieją i spadają chyba specjalnie. Liczę zęby do dwudziestu i jeszcze raz.

Od trzymania się ogrodzenia mam białe paski na palcach. Patrzę, jak jakaś kobieta kładzie małe dziecko na domku ze zjeżdżalnią, dziecko pełźnie przez tunel, a ona robi do niego miny przez otwory z boku i udaje, że nie wie, gdzie ono jest. Patrzę na dużą dziewczynkę, ale ona się tylko huśta, czasem prawie z włosami w ziemi, a innym razem jak należy. Chłopcy się gonią i strzelają z palców jak z pistoletów, jeden się przewraca i płacze. Wybiega przez furtkę i wpada do domu, Babcia mówi, że widocznie tam mieszka, skąd może wiedzieć? Szepcze:

- No idź się pobawić z tym drugim chłopcem. Cześć! - woła do niego.

Chłopiec na nas patrzy, a ja uciekam w krzaki, kłują mnie w głowę.

Po chwili Babcia mówi, że jest chłodniej, niż się wydaje, i może czas wracać do domu na lunch.

Idziemy i idziemy i idziemy i nogi mi pękają.

- Może następnym razem ci się bardziej spodoba - mówi

Babcia.

- To było interesujące.

- Mama ci tak każe mówić, jak ci się coś nie podoba? - uśmiecha się lekko Babcia. -

Tak ją uczyłam.

- A ona teraz umiera?

- Nie! - Babcia prawie krzyczy. - Leo by zadzwonił, gdyby zaszła jakaś zmiana.

Leo to Przydiadek, już mi się mylą te wszystkie nazwy. Ja chcę być tylko Jackiem.

Po powrocie do jej domu Babcia pokazuje mi Francję na kuli, która jest jak pomnik świata i ciągle się kręci. Całe miasto, w którym jesteśmy, to ledwo kropka i klinika też się tam mieści. I Pokój, ale Babcia mówi, że nie muszę już o nim myśleć, lepiej go wymazać z głowy.

Na lunch zjadam pełno bułki z masłem, bułka się nazywa paryska, ale nie ma na niej kupy chyba nie. Mój nos jest czerwony i gorący, tak samo policzki i górna część piersi i ręce i dłonie z góry i kostki nad skarpetkami.

Przydiadek mówi Babci, żeby się nie zdręczała.

- Nawet tak mocno nie świeciło - powtarza Babcia i ociera oczy.

- Odpadnie mi skóra? - pytam.

- Tylko troszeczkę - odpowiada Przydiadek.

- Nie strasz chłopaka - mówi Babcia. - Wszystko będzie dobrze, Jack, nic się nie martw. Nałóż no sobie więcej tego fajnego pachnącego balsamu po opalaniu, o...

Trudno sięgnąć za siebie, ale nie lubię palców innych osób, więc daję radę.

Babcia mówi, że powinna zadzwonić do kliniki, ale na razie się nie czuje na siłach.

Jestem poparzony, więc mogę leżeć na kanapie i oglądać kreskówki, Przydiadek siedzi w rozkładanym fotelu i czyta swoje czasopismo o podróżach.

Nocą nadciąga Ząb, odbija się od ulicy trach trach trach, wysoki na dziesięć stóp, całkiem spleśniały, odpadają od niego wyszczerbione fragmenty, rozbija się o mury. Potem płynę w łodzi zabitej deskami na amen i robale tu, robale tam...

Coś syczy w ciemnościach nie wiem co, a, to Babcia.

- Jack. Już dobrze.

- Nie.

- Idź spać.

Nie wydaje mi się.

Przy śniadaniu Babcia łyka pigułkę. Pytam, czy to jej witaminy. Przydziadek się śmieje.

- Przyganiał kocioł garnkowi - mówi mu Babcia. - Każdy czegoś potrzebuje od czasu do czasu.

Domu się trudno nauczyć. Zawsze wolno mi wchodzić do kuchni i do pokoju dziennego i do sali gimnastycznej i do wolnego pokoju i do sutereny i do tej części przy sypialni, która się nazywa korytarz, chociaż nie ma tam żadnych koryt. Wolno mi wchodzić do sypialni, chyba że drzwi są zamknięte, to wtedy mam zapukać i poczekać. Do łazienki też mogę wchodzić, chyba że nie da się otworzyć, a to znaczy, że ktoś tam jest i trzeba poczekać. Wanna i umywalka i sedes są zielone w kolorze zwanym awokado, oprócz deski sedesowej z drewna, żeby można było na niej siadać. Deskę należy podnosić, a po sikaniu opuszczać przez wzgląd na panie, czyli Babcie. Sedes ma pokrywę na zbiorniku jak ta, którą Mama walnęła Starego Nicka. Mydło to twarda kulka i muszę trzeć i trzeć, żeby zadziałało. Ludzie z Nazewnątr są inni niż my, mają milion rzeczy, a każda rzecz ma wiele rodzajów, na przykład dużo jest różnych batoników i urządzeń i butów. Każda rzecz jest do czegoś innego, na przykład szczoteczka do paznokci i szczoteczka do zębów i szczotka do zamiatania i szczotka do sedesu i szczotka do ubrań i szczotka do zamiatania podwórka i szczotka do włosów. Rozsypuje mi się na podłodze trochę proszku, co się nazywa talk, i zamiatam, ale wchodzi Babcia i mówi, że to szczotka do sedesu, i jest zła, że roznoszę zarazki.

To też dom Przydziadka, ale on nie ma nic do gadania.

Najczęściej siedzi w kanciapie, to taki specjalny pokój tylko do niego.

- Ludzie nie zawsze chcą przebywać z innymi - mówi mi.

- To się robi męczące.

- Dlaczego?

- Uwierz mi na słowo, miałem dwie żony.

Przez drzwi frontowe nie mogę wyjść bez pytania Babci, ale i tak bym nie wyszedł. Siadam na schodach i ssę mocno Zęba.

- Weź się czymś pobaw, co? - mówi Babcia i przeciska się koło mnie.

Nie wiem, czym, bo wszystkiego dużo. Moje zabawki od życzliwych czubków, co Mama myślała, że jest ich pięć, a tak naprawdę wziąłem sześć. Kolorowe kredy, które przyniosła Deana, jak jej nie widziałem, ale za bardzo mi brudzą dłonie. Mam ogromny rulon papieru i czterdzieści osiem pisaków w długiej niewidzialnej folii. Pudełko z klockami w zwierzątka, którymi

Bronwyn już się nie bawi, nie wiem dlaczego, sięgają mi nad głowę, jak się je ustawi

w wieżę.

Siedzę i wpatruję się w buty, to moje mięczaki. Jak się wykręcę, to prawie widzę palce pod skórzaną podeszwą. "Mama!"

- krzyczę bardzo głośno w myślach. Raczej jej tam nie ma. Ani lepiej ani gorzej. Chyba że wszyscy kłamią.

Tam, gdzie dywan zmienia się w drewno schodowe, widzę coś malutkiego i brązowego. Wyskrobuję, to z metalu. Moneta. Na niej buzia jakiegoś pana i napis W BOGU POKŁADAMY NADZIEJĘ WOLNOŚĆ, 2004. Na drugiej stronie też pan, może ten sam, ale tym razem pokazuje ręką mały domek i mówi STANY ZJEDNOCZONE AMERYKI E PLURIBUS UNUM ONE CENT.

Babcia staje na najniższym stopniu i patrzy na mnie.

Zrywam się i przesuwam Ząb pod dziąsło, z tyłu.

- Tu coś pisze po hiszpańsku - mówię jej.

- Co ty powiesz? - Marszczy brwi.

Pokazuję jej palcem.

- To po łacinie. E PLURIBUS UNUM. Hmm, to chyba znaczy "Zgoda buduje" czy coś w tym rodzaju. Chcesz zobaczyć inne?

- Co?

- Czekać, przyniosę portmonetkę...

Wraca z czymś okrągłym i płaskim, co trzeba nacisnąć i wtedy się otwiera jak buzia, a w środku jest dużo różnych pieniędzy. Na srebrzystym jest pan z kucykiem jak ja i napis PIĘĆ CENTÓW, ale według Babci wszyscy mówią piąтак. Mały srebrzysty to dziesięciocentówka.

- Dlaczego pięć jest bardziej większe od dziesięciu, jeśli to pięć?

- Tak już jest.

Nawet jeden cent jest większy niż dziesięć, myślę, że głupio to tak urządzone.

Na największym srebrzystym jest inny pan, ale nie zadowolony, z tyłu pisze NEW HAMPSHIRE 1788 WOLNOŚĆ ALBO ŚMIERĆ. Babcia mówi, że New Hampshire to inna część Ameryki, nie ta nasza.

- Wolność to taka posiadłość, gdzie jest dużo wolnych pokojów?

- Ach, nie, nie. To taki stan, kiedy... nikt nie decyduje za ciebie.

Znajduję jeszcze jedną taką samą z przodu, ale po obróceniu widać obrazki malutkiej osoby na łodzi i kieliszka i znowu pisze po hiszpańsku GUAM E PLURIBUS UNUM 2009 i jeszcze Guahan J Tanó Man Chamorro. Babcia mruży oczy i idzie po okulary.

- To jeszcze inna część Ameryki?

- Guam? Nie, to chyba gdzie indziej.

Może ludzie z Nazewnątrz tak mówią na Pokój.

Telefon się rozkrzyczał w holu, biegnę na górę, żeby nie słyszeć.

Babcia wchodzi za mną i znowu płacze.

- Wychodzi na prostą.

Robię wielkie oczy.

- Twoja mama.

- Na jaką prostą?

- Wraca do zdrowia, prawdopodobnie wyzdrowieje.

Zamykam oczy.

Babcia mną trzęsie na pobudkę, bo mówi, że minęły ponad trzy godziny, i obawia się, że nie będę mógł spać w nocy.

Trudno się chodzi z Zębem, więc przekładam go do kieszeni.

Dalej mam mydło za paznokciami. Przydałoby się coś ostrego, żeby je wydłubać, na przykład Pilot.

- Brakuje ci mamy?

Kręcę głową.

- Pilota.

- Co to jest plot?

- Pilota.

- Od telewizora?

- Nie, Pilota, którym robiłem brum brum Jeepem, ale potem się zламаł o Szafę.

- Aha. Cóż, na pewno możemy je odzyskać.

Kręcę głową.

- Oni są w Pokoju.

- Zróbmy małą listę.

- I wyślemy ją przez Sedes?

Babcia wygląda, jakby nie rozumiała.

- Nie, zadzwonię potem na policję.

- A coś się stało?

Kręci głową.

- Przywiozą tu twoje zabawki, jak już z nimi skończą.

Nie chce mi się wierzyć.

- Policja może wchodzić do Pokoju?

- Pewnie nawet teraz tam są i zbierają dowody.

- A co to dowody?

- No, takie ślady tego, co się stało. Pokażą je potem w sądzie. Zdjęcia, odciski palców...

Podczas pisania listy myślę o czarnym na Torze i o dziurze pod Stołem, o wszystkich śladach, które zostawiliśmy z Mamą.

I o sędzi, jak ogląda mój obrazek z niebieską ośmiornicą.

Babcia mówi, że to grzech marnować taki piękny wiosenny dzień, więc jeśli włożę koszulkę z długim rękawem i normalne buty i okulary i nasmaruję się grubo kremem, to mogę wyjść do ogrodu.

Wyciska sobie krem na dłonie.

- Mów "jedź" i "stój", kiedy tylko zechcesz. Jakbyś sterował samochodem.

To nawet śmieszne.

Zaczyna mi smarować dłonie z góry.

- Stój!

Po minucie:

- Jedź. - I Babcia znów smaruje.

- Jedź.

Przerywa.

- Mam dalej jechać?

- Tak.

Smaruje mi buzię. Koło oczu nie lubię, ale jest ostrożna.

- Jedź.

- Właściwie już po wszystkim, Jack. Gotowy?

Przechodzi pierwsza przez oba drzwi, te ze szkła i te z siatki, macha po mnie i światło się łamie zygzakami. Stoimy na tarasie całym drewnianym jak pokład statku. Leży na nim meszek, takie małe kłębki. Babcia mówi, że to jakieś pyłki z drzew.

- Których? - Patrzę do góry na różne.

- Tego to już nie wiem, niestety.

W Pokoju wiedzieliśmy, jak się co nazywa, ale w świecie jest tak dużo wszystkiego, że osoby nawet nie znają nazw.

Babcia siada na drewnianym krześle i wierci pupą. Na ziemi leżą patyczki, które się

łamią, jak się na nie nadeptnie, i jakieś malutkie żółte listki i jeszcze brązowe, rozpaprane. Babcia mówi, że Leo miał je uprzątnąć jeszcze w listopadzie.

- A Przydiadek ma pracę?

- Nie, przeszliśmy na wcześniejszą emeryturę, ale oczywiście teraz nasz kapitał jest już zdziesiątkowany...

- A co to znaczy?

Opiera głowę o samą górę krzesła i zamyka oczy.

- Nic, nie zwracaj sobie tym głowy.

- A on niedługo umarnie?

Babcia otwiera oczy i patrzy.

- Czy najpierw ty?

- Spieszę ci donieść, że mam dopiero pięćdziesiąt dziewięć lat, młody człowieku.

Mama ma dopiero dwadzieścia sześć. Wychodzi na prostą, to znaczy, że jest już w drodze?

- Nikt nie umrze - mówi Babcia. - Przestań już głądzić.

- Mama mówi, że każdy kiedyś umrze.

Zaciska buzię, wokół ma kreski jak promyki słońca.

- Dopiero co nas poznałeś, kawalerze, więc nie spiesz się tak z tymi pożegnaniami.

Patrzę na zieloną część ogrodu.

- A gdzie hamak?

- Skoro taki jesteś chętny, to może uda się go wykopać z sutereny.

Wstaje ze stękaniem.

- Ja też idę.

- Siedź tu i korzystaj ze słońca, ani się obejrzysz, jak wrócę.

Ale ja nie siedzę, tylko stoję.

Cicho, poza piskliwymi odgłosami z drzew, to chyba ptaki, ale nie widać. Wietrzyk wieje i liście robią szu szu. Jakieś dziecko krzyknęło, może na drugim podwórku za żywopłotem albo gdzie indziej niewidzialnie. Żółta buzia Pana Boga przykryta od góry chmurą. Nagle zimniej. Świat cały czas zmienia jasność i ciepłość i dźwiękość. nigdy nie wiadomo, jaki będzie za minutę. Chmura wygląda na taką szaroniebieską, ciekawe, czy ma w środku deszcz. Jeśli zacznie na mnie kropić, najwyżej wbiegnę do domu, zanim mi przemoczy skórę.

Słyszę jakieś bzzzz, patrzę na kwiatki, a tam coś niezwykłego, żywa pszczoła, wielka, z żółtym i czarnym, tańczy na samym środku kwiatka.

- Cześć - mówię. Wyciągam palec, żeby ją pogłaskać i wtedy...

Auuuuuuuuuu.

Ręka mi wybucha najgorszym bólem w ogóle.

- Mama! - wrzeszczę, "Mama w głowie, ale jej na podwórku nie ma ani nigdzie, jestem sam i boli i boli i boli..."

- Coś ty sobie zrobił? - Babcia pędzi przez taras.

- To nie ja, to pszczoła.

Babcia nakłada specjalną maść i już tak okropnie nie boli, ale nadal bardzo.

Muszę jej pomagać drugą ręką. Hamak wieszka się na hakach wbitych w dwa drzewa na samym końcu ogrodu, jedno jest maławie, może dwa razy takie jak ja, i do tego pochylone, a drugie milion razy wysokie ze srebrzystymi liśćmi. Niektóre linki się tak jakby wyiętosily od leżenia w suterenie, trzeba ciągnąć, aż wszystkie dziury się wyrównają. I dwie linki się urwały, więc są dwie dziury, w których musimy uważać, żeby nie siadać.

- To pewnie sprawka moli.

Nie wiedziałem, że mole tak rosną, że umieją urwać linki.

- Szczerze mówiąc, nie rozwieszaliśmy go od lat.

Dodaje, że nie zaryzykuje włożenia, zresztą woli mieć podparte plecy.

Wyciągam się i wypełniam hamak całym sobą. Wiercę nogami w butach, przekładam je przez dziury, i ręce też, ale nie prawą, bo jeszcze się męczy po pszczole. Myślę o małej Mamie i małym

Paulu, jak się huścali na hamaku, dziwne, gdzie oni się podziiali?

Duży Paul jest pewnie z Deaną i Bronwyn, mówili, że jeszcze kiedyś pojedziemy zobaczyć dinozaury, ale coś mi się zdaje, że kłamali. A duża Mama jest w klinice i wychodzi na prostą.

Ciągnę za linki, jestem muchą w pajęczynie. Albo rabusiem złapanym przez Spidermana. Babcia popycha hamak, huścami się i kręci mi się w głowie, ale tak fajowsko.

- Telefon! - krzyczy z tarasu Przydziadek.

Babcia biegnie przez trawę, znów zostawia mnie całkiem samego w Nazewnątrz, ale na zewnątrz. Zeskakuję z hamaka i prawie się przewracam, bo jeden but się zaciął. Wyciągam stopę, a but spada. Biegnę za nią, prawie tak samo szybko.

W kuchni Babcia rozmawia przez telefon.

- Oczywiście, ma się rozumieć, już ci go dają. Ktoś chce z tobą rozmawiać.

Do mnie mówi, wyciąga słuchawkę, ale jej nie biorę.

- Jak myślisz, kto to?

Robię wielkie oczy.

- To twoja mama.

To prawda, w telefonie słysząc głos Mamy.

- Jack?

- Cześć.

Nic więcej nie słyszę, więc oddaję Babci.

- To znów ja, no, jak się czujesz, tylko szczerze? - pyta Babcia. Potakuje i potakuje i w końcu mówi: - Trzyma się.

Daje mi znów telefon, słucham, jak Mama przeprasza i przeprasza.

- Już nie jesteś zatruta niedobrymi lekarstwami? - pytam.

- Nie, nie, już mi lepiej.

- Nie jesteś w Niebie?

Babcia zasłania usta.

Mama wydaje jakiś odgłos, nie wiem, czy się śmieje, czy płacze.

- Żałuję, ale nie.

- Dlaczego żałujesz, że nie jesteś w Niebie?

- Nie żałuję, tylko żartowałam.

- To nie było śmieszne.

- Nie.

- Nie żałuj.

- Dobrze. Jestem tu, w klinice.

- Już nie miałaś siły się bawić?

Nic nie słyszę, chyba już sobie poszła.

- Mamo?

- Nie miałam - mówi. - Popęłniłam błąd.

- A teraz już masz siłę?

Nic się nie odzywa. A potem mówi:

- Nie mam. Ale nie szkodzi.

- Możesz tu przyjechać pohościć się na hamaku?

- Już niedługo - mówi.

- Kiedy?

- Nie wiem, to zależy. Dobrze ci tam u babci?

- I Przydziadka.

- No tak. Co nowego?

- Wszystko - odpowiadam.

Śmieje się, nie wiem dlaczego.

- Dobrze się bawisz?

- Słońce mi spaliło skórę i pszczoła mnie urządziła.

Babcia przewraca oczami.

Mama coś mówi, ale nie słyszę.

- Muszę już kończyć, Jack, potrzebuję jeszcze snu.

- Ale potem się obudzisz?

- Obiecuję. Tak cię... - Oddech jej się urywa. - Niedługo znów zadzwonię, dobra?

- Dobra.

Już nie ma rozmawiania, więc odkładam słuchawkę.

- A gdzie twój drugi but? - pyta Babcia.

Patrzę nad płomienie, jak tańczą pomarańczowo pod garnkiem z makaronem. Zapałka leży na blacie, a jej końcówka jest cała czarna i poskręcana. Przystawiam ją do ognia, robi syk i rozpala się na nowo, więc upuszczam ją na kuchenkę. Mały ogienek przesuwają się prawie niewidzialnie, nadgryza zapałkę po troszku, aż jest cała czarna i dymek unosi się jak srebrzysta wstążka. Czarodziejsko pachnie. Wyjmuję z pudełka drugą zapałkę, odpalam końcówkę od ognia i tym razem trzymam, nawet jak syczy. To mój własny ogienek, który mogę ze sobą wszędzie zabrać. Wywijam nim w kółko, chyba już zniknął, a nie, jednak jest. Ogień rośnie i rozpełza się byle jak po zapałce, właściwie są już dwa płomienie, a na drewniku między nimi taka czerwona kreseczka...

- Hej!

Podskakuję, to Przydziadek. Nie mam już zapałki.

Podchodzi i staje mi na stopie.

Wyję z bólu.

- Miałeś ją na skarpetce.

Pokazuje mi poskręcaną zapałkę i otrzepuje mi skarpetkę, na której zostało trochę czarnego,

- Mama cię nie uczyła, że nie wolno się bawić ogniem?

- Nie było.

- Czego nie było?

- Ognia. Nie na naprawdę.

Dziadek patrzy na mnie.

- Aha, pewnie mieliście kuchenkę elektryczną. Jasna sprawa.

- Co tam? - Wchodzi Babcia.

- Uczymy się nazywać sprzęty kuchenne - mówi Przydiadek i miesza w garnku.

Podnosi jakąś rzecz i mi pokazuje.

- Tarka. - Przypominam sobie.

Babcia nakrywa do stołu.

- A to?

- Ubijak do czosnku.

- Wyciskarka do czosnku. O wiele bardziej brutalna niż ubijak - uśmiecha się do mnie Przydiadek. Nie powiedział Babci o zapałce, to takie jakby kłamstwo, ale miał dobry powód, bo nie chciał mnie wsypać. Podnosi coś jeszcze.

- Inna tarka?

- Skrobaczka do skórki cytrusów. A to?

- Eee... trzepaczka.

Długa wstążka makaronu dynda na widelcu i Przydiadek ją wciąga z siorbaniem.

- Jak mój starszy brat miał trzy lata, to ściągnął na siebie garnek z ryżem i do teraz jego ręka jest pofalowana jak czips.

- A, wiem, co to czipsy, widziałem w telewizorze.

Babcia wytrzeszcza oczy.

- Nie mów, że nigdy nie jadłeś czipsów ziemniaczanych!

Wchodzi na stopnie i grzebie w wiszącej szafce.

- Przewidywany czas przybycia: dwie minuty - odzywa się Przydiadek.

- E tam, kilka nie zaszkodzi.

Babcia schodzi i otwiera szeleszczącą paczuszkę.

Czipsy są w paski, biorę jednego i nadgryzam.

- Nie, dziękuję - mówię i odkładam do paczki.

Przydiadek się śmieje, nie wiem, co w tym śmiesznego.

- Chłopak chce sobie zostawić miejsce na moje tagliatelle carbonara.

- A mogę za to zobaczyć skórę?

- Jaką skórę? - pyta Babcia.

- Brata.

- On mieszka w Meksyku. Jest twoim, hmm, stryjecznym dziadkiem.

Przydiadek wrzuca całą wodę do zlewu i robi wielką chrnu-: rę mokrego powietrza.

- A co to jest stryjeczny?
- To znaczy, że jest bratem Leona. Wszyscy nasi krewni są też teraz twoimi krewnymi
- mówi Babcia. - Co nasze, to i twoje.
- LEGO - dodaje Przydiadek.
- Co? - pyta Babcia.
- Jak LEGO. Połączone rodzinne klocki.
- Aha, je też widziałem w telewizorze - mówię im.
- Babcia znów robi wielkie oczy.
- Dzieciństwo bez LEGO - mówi do Przydiadka. - To mi się dosłownie nie mieści w głowie.
- Wyobraź sobie, że parę miliardów dzieci na świecie jakoś się bez nich obywa - odpowiada Przydiadek. - Jak i my kiedyś.
- Pewnie masz rację. - Babcia chyba nie jest pewna. - Ale coś mi się zdaje, że w piwnicy jeszcze się wala jakieś pudełko...

Przydiadek rozbija jedną ręką jajko i robi pac na makaron.

- Kolacja na stole.

Dużo jeżdżę na rowerze, który się nie rusza. Jak się naciągnę, to sięgam pedałów palcami u nóg. Gnam przez tysiące godzin, żeby moje nogi stały się megasilne i żebym mógł uciec z powrotem do Mamy i znowu ją ocalić. Kładę się na niebieskich matach, nogi mi się zmęczyły. Podnoszę hantle i kładę jeden na brzuszku, fajnie mnie dociska, przynajmniej nie spadnę z tego obrotowego świata.

Dingdong, Babcia krzyczy, że mam gościa, to doktor Clay.

Siadamy na tarasie i doktor ma mnie ostrzegać, jak przyleci jakaś pszczoła. Ludzie i pszczoły mają tylko do siebie machać, bez dotykania. Psa się nie poklepuje, chyba że dołączony do niego człowiek powie "dobrze", nie przebiega się przez ulice, nie dotyka się okolic intymnych, chyba że swoich w sytuacji intymnej.

Są jeszcze wyjątki, na przykład policji wolno strzelać, ale tylko do zbirów. Za dużo tych zasad na moją małą głowę, więc razem z doktorem Clayem szykujemy listę jego superciężkim złotym piórem. I jeszcze drugą, ze wszystkimi nowymi rzeczami: hantlami, czipsami ziemniaczanymi i ptakami.

- Cieszysz się, że je widzisz na żywo, nie tylko w telewizji?

- No. Tylko że w telewizji nic mnie nigdy nie pokłuło.

- Słuszna uwaga - mówi doktor Clay i kiwa głową. - Ród ludzki nie umie znieść

niczego, co zbyt rzeczywiste*. [*T.S. Eliot, Burnt Norton w przekładzie Krzysztofa Boczkowskiego.]

- To znowu jakiś wiersz?

- Skąd wiedziałeś?

- Bo pan mówił dziwnym głosem. A co to jest ród ludzki?

- Ludzkość, my wszyscy.

- Czyli ja też?

- O, bez wątpienia, ty to my.

- I Mama.

Doktor Clay przytakuje.

- Tak, ona też.

Ale mi chodziło o to, że może i jestem rodem ludzkim, ale jestem też sobą i Mamą. Nie wiem, jak się nazywa nas dwoje.

Pokojowi?

- A ona niedługo po mnie przyjdzie?

- Jak tylko będzie mogła - odpowiada. - A może czułbyś się lepiej w klinice, a nie tu, u Babci?

- Z Mamą w Pokoju Numer Siedem?

Kręci głową.

- Ona jest teraz w innym skrzydle, musi pobyć trochę sama.

Myślę, że on nie ma racji, gdybym to ja był chory, jeszcze bardziej potrzebowałbym Mamy.

- Ale naprawdę ciężko pracuje nad sobą - mówi doktor.

Myślałem, że ludzie są albo chorzy albo zdrowi, nie wiedziałem, że do tego trzeba pracy.

Na do widzenia przybijam doktorowi Clayowi piątkę i zółwika.

Z toalety słyszę, jak rozmawia na werandzie z Babcią. Babcia mówi dwa razy głośniejsz niż on.

- Na litość boską, przecież to tylko lekkie oparzenie i użądlenie pszczoły - mówi. - Odchowałałam dwoje dzieci, niech mi pan tu nie wyjeżdża z dopuszczalnym poziomem opieki.

W nocy milion malutkich komputerków rozmawia ze sobą na mój temat. Mama weszła na łądogę fasoli, a ja stoję na ziemi i próbuję ją strząsnąć...

Nie. To tylko sen.

- Właśnie mnie olśniło - mówi mi do ucha Babcia, pochyla się nade mną, ale jej dolna połowa nie wychodzi z łóżka. - Pojedźmy na plac zabaw przed śniadaniem, wtedy nie będzie tam innych dzieci.

Nasze cienie są naprawdę długie i rozciągnięte. Wymachuję pięściami jak od wielkoluda. Babcia już ma sięść na ławce, ale tam jest mokrość, więc tylko opiera się o płot. Na wszystkim jest trochę mokrości, Babcia mówi, że to rosa, która wygląda jak deszcz, ale nie leci z góry, jest bardziej jak pot, który się przytrafia w nocy. Rysuję buzię na zjeżdżalni.

- Nieważne, czy przemoczysz ubrania, nie krępuj się.

- Ja się nie krępuję, tylko zimno.

Na środku coś wypełnionego piaskiem, Babcia mówi, że mogę tam sięść i się nim pobawić.

- Ale w co?

- Hmm?

- W co się pobawić?

- No nie wiem, kopać, nakładać, czy coś.

Dotykam, ale drapie, nie chcę go na sobie.

- To może drabinka albo huśtawka?

- A pójdziesz ze mną?

Śmieje się pod nosem i mówi, że pewnie by coś połamała.

- Dlaczego byś...?

- Nie celowo, ale dlatego, że swoje ważę.

Wchodzę po stopniach, stawiam nogi jak chłopiec, a nie małopka. Stopnie są metalowe i trochę chropowate tam, gdzie nazywają się rdza, a od prętów do trzymania odmarzają mi dłonie.

Na końcu jest mały domek jak dla elfów, siadam przy stoliku i mam dach tuż nad głową, czerwony, a stolik jest niebieski.

- Kuku!

Podsakuję, to Babcia macha przez okienko. Potem podchodzi z drugiej strony i znowu macha. To też do niej macham, cieszy się.

W rogu stołu coś się rusza, to pajaczek. Ciekawe, czy Pająk jest jeszcze w Pokoju, czy jego sieć dalej rośnie i rośnie. Wystukuję melodie, jak w grze w Mruczando, ale tylko palcami, i Mama ma zgadnąć, najczęściej jej się udaje. Kiedy wystukuję butem, słychać je inaczej, bo to metal. Na ścianie coś pisze, ale nie umiem przeczytać, bo jest nabazgrane, obok rysunek chyba penisa, ale takiego wielkiego jak osoba.

- Spróbuj zjechać, Jack, na pewno ci się spodoba.

To Babcia mnie woła. Wychodzę z małego domku i patrzę na dół, zjeżdżalnia jest srebrna, a na niej małe kamyczki.

- Fiu! No, dawaj, złapię cię na dole.

- Nie, dziękuję.

Jest jeszcze drabinka z linek, jak hamak, ale opadająca, palce mnie od niej bolą. I pełno prętów do zwisania, ale musiałbym mieć bardziej silniejsze ręce albo naprawdę być małpką. Pokazuję

Babci takie coś, z czego złodzieje musieli ukradnąć szczebelki.

- Popatrz, tam jest za to rura strażacka - mówi Babcia.

- A tak, widziałem w telewizorze. Ale dlaczego oni mieszkają tam w górze?

- Kto?

- Strażacy.

- Och, to nie jest prawdziwa rura, tylko zabawka.

Jak miałem cztery lata, to myślałem, że wszystko w telewizorze jest tylko z telewizora, a potem miałem pięć lat i Mama odkłamała, że to bardzo często obrazki tego, co naprawdę, a Nazewnątrz jest całkiem naprawdę. Teraz jestem w Nazewnątrz, ale okazuje się, że bardzo dużo rzeczy wcale nie jest naprawdę.

Wracam do domku elfów. Pajaczek już sobie poszedł. Zdejmuję buty pod stolikiem i prostuję stopy.

Babcia stoi przy huśtawkach. Dwie są płaskie, ale jedna to gumowaty kubek z dziurami na nogi.

- Z tej się nie da wypaść - mówi. - Chcesz spróbować?

Musi mnie podnieść, dziwnie czuć, jak jej ręce uciskają mnie pod pachami. Pcha mnie od tyłu kubek, ale to mi się nie podoba, ciągle się przekręcam, żeby ją widzieć, więc w końcu przechodzi do przodu. Huśtam się szybciej szybciej i szybciej wyżej i wyżej, to coś najdziwniejszego.

- Odchyl głowę do tyłu.

- Po co?

- Nie pożałujesz.

Odchylam głowę i wszystko koziółkuje, niebo i drzewa i domy i Babcia i wszystko, nie mogę w to uwierzyć.

Na drugiej huśtawce dziewczynka, nawet nie zauważyłem, jak przyszła. Huśta się nierówno ze mną, jak ona jest z tyłu, to ja z przodu.

- Jak się nazywasz? - pyta.

Udaję, że nie słyszę.

- To jest Ja... Jason - mówi Babcia.

Dlaczego tak o mnie mówi?

- Ja jestem Cara i mam cztery i pół roku - mówi dziewczynka. - A czy ona jest dzidziusiem?

- To chłopiec i ma pięć lat - odpowiada Babcia.

- To dlaczego siedzi w huśtawce dla dzidziusiów?

Chcę wyjść, ale nogi mi utknęły w tym gumowym, wierzgam i ciągnę za łańcuchy.

- Pomału, pomału - mówi Babcia.

- Czy ona wpadła w szal? - pyta dziewczynka Cora.

Moja noga niechcący kopie Babcie.

- Przestań.

- Bo młodszy braciszek mojej koleżanki czasem wpada w szal.

Babcia szarpie mnie pod pachami, stopa mi się wykręca przy wychodzeniu.

Zatrzymuje się przy wyjściu i mówi:

- Jack, buty.

Z całej siły próbuję sobie przypomnieć. Już wiem.

- Zostały w małym domku.

- No to zasuważ po nie.

Czeka.

- Dziewczynka ci nic nie robi.

Ale nie mogę się wspinać, bo ona może patrzeć.

No to Babcia wchodzi i pupa jej utyka w domku dla elfów, wścieka się. Rzepuje mi lewego buta o wiele za mocno, więc go znów ściągam, i drugiego tak samo. Do białego samochodu idę w skarpetkach. Babcia mówi, że nadepnę na jakieś szkło, ale nie nadeptuję.

Spodnie mam mokre od rosy i skarpetki też. Przydziadek siedzi z wielkim kubkiem w swoim rozkładanym fotelu.

- I jak poszło?

- Krok po kroczeniu - mówi Babcia i idzie na górę.

Przydziadek daje mi skosztować swojej kawy, biorę łyk i dostaję dreszczy.

- Dlaczego kafeateria się nazywa kafeateria, jak dają tam jeść?

- No cóż, sprzedają tam przede wszystkim kawę, bo większość z nas jej potrzebuje, żeby być dalej na chodzie, tak jak samochód potrzebuje gazu.

Mama pije tylko wodę i mleko i sok tak jak ja, ciekawe, jak się trzyma na chodzie.

- A dzieci co dostają?

- E, dzieci są na chodzie nawet po fasolce.

Po fasoli z puszki jestem na chodzie, jak najbardziej, ale fasolka szparagowa to mój jedzeniowy wróg. Kilka dni temu

Babcia ugotowała ją na kolację i udawałem, że jej nie widzę na talerzu. Teraz już jestem na świetle i nigdy nie ruszę fasolki szparagowe).

Siedzę na schodach i słucham rozmów pań.

- Hmm. Na matematyce zna się lepiej niż ja, ale nie wie, jak się zjeżdża ze zjeżdżalni - mówi Babcia.

To chyba o mnie.

Panie są z klubu książki, ale nie wiem dlaczego, bo wcale nie czytają książek. Babcia zapomniała je odwołać, więc przyszły wszystkie o 15.30 z półmiskami ciast i innych rzeczy. Dostałem trzy kawałki ciasta na talerzyku, ale mam się nie plątać pod nogami. Babcia dała mi też pięć kluczy z breloczkiem, na którym pisze POZZO - DOM PIZZY, nie wiedziałem, że pizza ma swój dom. To są klucze donikąd, ale brzęczą, więc je dostałem za obietnicę, że nie wyniosę już klucza od barku. Pierwsze ciasto nazywa się kokosowe i jest fuj. Drugie cytrynowe, a trzecie nie wiem jakie, ale smakuje mi najbardziej.

- Musisz być zmordowana - mówi pani z najciemniejszym głosem.

- Prawdziwa bohaterka - dodaje inna.

Dostałem też aparat na pożyczenie, ale nie ten bajerancki od

Przydziadka, ten z gigantycznym kołem, ale taki schowany w telefonie Babci, jak zadzwoni, to mam ją zawołać i nie odbierać.

Na razie zrobiłem dziesięć zdjęć: pierwsze - moich mięczakowatych butów, drugie - lampy na suficie sali gimnastycznej, trzecie - ciemności w piwnicy (tylko że wyszło za jasne), czwarte - mojej dłoni od środka, ze wszystkimi liniami, piąte - dziury koło lodówki, bo miałem nadzieję, że to nora myszki, szóste - mojego kolana w spodniach, siódme - dywanu w pokoju dziennym, z bliska, na ósmym miała być Dora, jak dzisiaj rano była w telewizorze, ale wyszły zygzaki, na dziewiątym - Przydziadek, jak się nie uśmiecha, na dziesiątym - jak widać przez okno sypialni, że leci mewa, ale mewy już nie ma na zdjęciu. Chciałem zrobić zdjęcie sobie w lustrze, ale wtedy bym był jak paparazzi.

- Na zdjęciach wygląda jak aniołek - mówi jedna pani.

Jak to się stało, że zobaczyła moich dziesięć zdjęć? A w ogóle to wcale nie wyglądam

jak anioł, one są ogromne i mają skrzydła.

- Mówisz o tym ziarnistym kadrze sprzed komisariatu?

- pyta Babcia.

- Ależ skąd, o zbliżeniach z tego dnia, kiedy robili wywiad z...

- Tak, z moją córką. Ale o zbliżeniach Jacka? - pyta wściekłym głosem.

- Kochana, w Internecie aż się od nich roi - mówi inny głos.

Mówią teraz wszystkie, jedna przez drugą.

- Nie wiedziałaś?

- W dzisiejszych czasach niczego nie ukryjesz.

- Świat się zrobił taki mały.

- Coś strasznego.

- Codziennie takie okropieństwa w wiadomościach, aż się czasem nie chce wstawać z łóżka.

- Do mnie to jeszcze nie dotarło - odzywa się jakiś głęboki głos. - Pamiętam, że siedem lat temu powiedziałam Billowi: jak coś takiego mogło spotkać dziewczynę, którą znamy?

- Każda z nas myślała, że ona nie żyje. Oczywiście nie chcieliśmy ci tego...

- A ty tak wierzyłaś.

- Kto by pomyślał?

- Komuś jeszcze herbaty?

To głos Babci.

- Chociaż sama już nie wiem. Kiedyś spędziłam tydzień w szkockim klasztorze - mówi inny głos. - Miałam święty spokój.

Ciasto mi się skończyło oprócz kokosowego. Zostawiam talerzyk na schodach i idę do sypialni pooglądać swoje skarby.

Z powrotem wkładam do buzi Zęba, żeby posać. Wcale nie smakuje Mamą.

Babcia wynalazła w piwnicy wielkie pudło LEGO Paula i Mamy.

- Co byś chciał zbudować? - pyta. - Dom? Wieżowiec?

A może miasto?

- Obniżyłabyś trochę poprzeczkę - odzywa się zza gazety

Przydziadek.

Tak dużo małych kawałków we wszystkich kolorach, jak w zupie.

- No ro poszalej - mówi Babcia. - Ja idę prasować.

Patrzę na LEGO, ale nie dotykam, żeby nie popsuć.

Po minucie Przydiadek odkłada gazetę.

- Całe wieki tego nie robiłem.

Zbiera klocki byle jak i przyciska do siebie, żeby się połączyły.

- A dlaczego?

- Dobrze pytanie, Jack.

- A bawiłeś się LEGO ze swoimi dziećmi?

- Nie mam dzieci.

- Jak to nie masz?

Przydiadek wzrusza ramionami.

- Jakoś nie było okazji.

Patrzę na jego dłonie, są guzowate, ale zręczne.

- A jak się mówi na dorosłych, jak nie są rodzicami?

Śmieje się.

- Ludzie, którzy mają inne zajęcia.

- Jakie?

- Swoją pracę, na przykład. Przyjaciół. Podróże. Hobby.

- A co to jest hobby?

- To, co się robi w weekendy. Ja na przykład zbierałem kiedyś stare monety z całego świata, przechowywałem je w kasetach wyłożonych welurem.

- Po co?

- Łatwiej się było nimi zajmować niż dziećmi, nie robiły w pieluchy.

Śmieję się z tego.

Przydiadek podaje mi połączone klocki, czarymary - to samochód. Ma jeden dwa trzy cztery koła, które się obracają, i dach i kierownicę i wszystko.

- Jak to zrobiłeś?

- Po kawałku. Teraz ty wybierz sobie klocek - mówi.

- Który?

- Który chcesz.

Wybieram duży czerwony kwadrat.

Przydiadek podaje mi mały klocek z kółkiem.

- Przyczep.

Przykładam tak, że to wystające wchodzi do dziury pod innym wystającym, i mocno przyciskam.

Podaje mi następne klocek z kółkiem, a ja go doczepiam.

- Fajny motor. Brrrum!

Mówi to tak głośno, że upuszczam LEGO na podłogę i odpada kółko.

- Przepraszam.

- Nie masz co przeproszać. Coś ci pokażę.

Odkłada swój samochód na podłogę i nadeptuje go, chrup.

Auto rozpada się na kawałki.

- Widzisz? - mówi. - No problemo. Zaczniemy od nowa.

Babcia mówi, że mnie czuć.

- Myję się myjką,

- Tak, ale brud lubi się ukrywać w zakamarkach. Zaraz napuszczę wody do wanny, a ty do niej wejdiesz.

Wody jest bardzo dużo i paruje, a Babcia wlewa takie coś bąbelkowe i robią się połyskliwe wzniesienia. Zielone wanny prawie się schowało, ale wiem, że tam jest.

- Wyskakujemy z ubrań, kochanie.

Stoi z rękami na biodrach.

- Mam nie patrzeć? Wolisz, żebym wyszła?

- Nie!

- No to o co chodzi? Myślisz, że bez mamy utoniesz w wannie, czy co?

Nie wiedziałem, że osoba może utonąć w wannie.

- Usiądę tu i nie ruszę się na krok - mówi, uderzając dłonią klapę sedesu.

Kręcę głową.

- Ty też do wanny.

- Ja? Oj, Jack, ja co rano biorę prysznic. A gdybym tak usiadła na krawędzi wanny, o tak?

- W wannie.

Babcia robi wielkie oczy, a potem jęczy i mówi:

- No dobrze, skoro tak trzeba, raz zrobię wyjątek... ale włożę strój pływacki.

- Nie umiem pływania.

- Nie, nie będziemy pływać, chodzi o to... wołałabym się nie pokazywać nago, jeśli ci to nie przeszkadza.

- A co, boisz się?

- Nie - odpowiada. - Tylko... no, wołałabym nie, jeśli mogę.

- A ja mogę być goły?

- No pewnie, ty jesteś dzieckiem.

W Pokoju czasem chodziliśmy na golasa, a czasem nie, nigdy nam to nie przeszkadzało.

- Jack, możemy w końcu wejść do tej wanny, bo woda stygnie?

Wcale nie stygnie, jeszcze wzlazuje z niej para. Zaczynam się rozbierać, a Babcia mówi, że wróci za sekundkę.

Posągi mogą być gołe, nawet jak są dorosłe, albo może muszą. Przydziadek mówi, że to dlatego, że starają się wyglądać jak stare posągi, które zawsze były gołe, bo dawno temu Rzymianie uważali ciała za coś najpiękniejszego. Opieram się o wannę z zewnątrz, ale mi zimno i twardo w brzuszku. W Alicji jest taki fragment:

Oni mówili, że ty byłeś u niej

I wspomniałeś mi o mnie - Ona mi przyznała dobrą duszę, Ale powiada, że nie umiem pływać.

Moje palce to płetwonurki. Mydło wpada do wody i bawię się, że to rekin. Babcia wchodzi w takim czymś paskowatym, co wygląda jak majtki połączone z podkoszulką z paciorkami, a na głowie ma foliowy woreczek i mówi, że to czepek pod prysznic, choć przecież mamy się kąpać w wannie. Nie śmieję się z niej, może trochę po cichu.

Kiedy wchodzi do wanny, woda się podnosi, ja też włączę i teraz już się prawie przelewa. Siada po gładkiej stronie, Mama zawsze siadała tam, gdzie kran. Uważam, żeby nie dotykać się z Babcią nogami. I łupię się głową w kran.

- Uważaj.

Dlaczego osoby zawsze to mówią dopiero po szkodzie?

Babcia nie pamięta żadnych zabaw kąpielowych oprócz piosenki o wiosłowaniu, ale kiedy śpiewamy z pokazywaniem, woda robi chlup na podłogę.

Nie ma żadnych zabawek. Bawię się, że szczoteczka do paznokci to łódź podwodna, która szoruje dno morza i znajduje mydło, czyli oślizgłą meduzę.

Już wytarty ręcznikiem drapię się po nosie i kawałek zostaje mi za paznokciem. W lustrze widzę małe łuszczące się kółka tam, gdzie obieram się ze skóry.

Wchodzi Przydziadek po swoje kapcie.

- Uwielbiałem to kiedyś... - dotyka mojego ramienia i nagle schodzi pasek całkiem cienki i biały, w ogóle nie poczułem.

Przydziadek wyciąga rękę i mi go podaje.

- Mniem.

- Przestań - mówi Babcia.

Rozcieram to białe i się zwija, mała zaschnięta kulka mnie.

- Jeszcze - mówię.

- Czekaj, czekaj, znajdę jakiś długi na plecach...

- Ech, mężczyźni - mówi Babcia i robi śmieszny minę.

Dziś rano kuchnia jest pusta. Wyjmuję z szuflady nożyczki i całkiem odcinam sobie kucyk.

Wchodzi Babcia i patrzy zdziwiona.

- Tylko trochę wyrównam, jeśli pozwolisz - mówi. - A potem możesz chwycić za śmietniczkę i zmiotkę. Trzeba by zachować kosmyk, bo to przecież twoje postrzyżyny...

Większość idzie do śmieci, ale Babcia wybiera trzy długie kawałki i robi dla mnie warkoczykbransoletkę z zieloną nitką na końcu.

Mówi, żebym poszedł się zobaczyć w lustrze, ale najpierw sprawdzam mięśnie, czy mam jeszcze swoją siłownię.

Na górze gazety pisze "sobota, 17 kwietnia", czyli jestem w domu

Babci i Przydziadka cały tydzień. Wcześniej byłem przez tydzień w klinice, to się równa dwa tygodnie jestem na świecie. Ciągłe dodaję dla pewności, bo wydaje mi się, że minęło milion lat, a Mama jeszcze po mnie nie przychodzi.

Babcia mówi, że musimy wyjść z tego domu. Nikt mnie teraz nie rozpozna, bo moje włosy są krótkie i zaczynają się kręcić.

Mówi, żebym zdjął okulary, bo oczy mi na pewno już przywykły do Nazewnątrz, a poza tym okulary tylko zwracają uwagę.

Przechodzimy przez mnóstwo ulic, cały czas trzymamy się za rękę i nie pozwalamy, żeby auta nas wymiętosily. Nie lubię się trzymać za ręce, udaję, że trzyma jakiegoś chłopca innego.

Wtedy Babcia wpada na dobry pomysł, mogę się trzymać łańcuszka jej torebki.

Na świecie jest masa wszelkiej rzeczy, ale za wszystko trzeba płacić, nawet za to do wyrzucenia, na przykład w sklepie spożywczym pan stojący przed nami w kolejce kupuje jakieś coś w pudełku i natychmiast drze pudełko i wrzuca je do kosza. Małe karty zapisane cyferkami nazywają się loteria, idioci je kupują, bo mają nadzieję, że czarymary i zostaną milionerami.

Na poczcie kupujemy znaczki, wysyłamy Mamie mój rysunek mnie w statku kosmicznym.

Idziemy do wieżowca, który jest biurem Paula, Paul mówi, że ma urwanie głowy, ale

kseruje mi dłonie i kupuje batonik z automatu. Jak zjeżdżamy windą, to wciskam przyciski i bawię się, że tak naprawdę siedzę w automacie.

Idziemy do urzędu, żeby wyrobić Babci nową kartę ubezpieczenia, bo starą zgubiła, musimy czekać i czekać. Potem Babcia zabiera mnie do kafeterii, w której w ogóle nie dają fasolki szparagowej, wybieram sobie ciastko większe niż cała moja buzia.

Jakiś dzidzius się częstuje, tego jeszcze nie widziałem.

- Ja lubię z lewej - mówię i pokazuję palcem. - Ty też najbardziej lubisz z lewej?

Ale dzidzius nie słucha.

Babcia mnie odciąga.

- Przepraszam panią.

Kobieta naciąga szal i nie widzę już buzi dzidziusia.

- Ona chciała pobyć na osobności - szepcze Babcia.

Nie wiedziałem, że na świecie można być na osobności.

Idziemy do pralni samoobsługowej, tylko tak popatrzeć.

Chcę wejść do maszynykręciołki, ale Babcia mówi, że bym tego nie przeżył.

Wybieramy się do parku karmić kaczki z Deaną i Bronwyn. Bronwyn za jednym zamachem wyrzuca wszystkie chleby i woreczek też i Babcia go musi wyjąć patykiem. Bronwyn chce moje chleby, Babcia mówi, że muszę jej dać połowę, bo jest malutka. Deana mówi, że jej przykro z powodu dinozaurów i że kiedyś jeszcze na pewno pojedziemy do Muzeum Historii Naturalnej.

Przechodzimy koło sklepu, przed którym są tylko buty, jaskrawe, gąbczaste i z dziurkami i Babcia pozwala mi przymierzyć, wybieram żółte. Nie ma sznurówek ani rzepów, wsuwam tylko stopę. Są takie lekkie, że jakbym ich w ogóle nie nosił.

Wchodzimy i Babcia płaci za buty pięć dolarowych papierków, to jak dwadzieścia dwudziestopięciocentówek, mówię jej, że są najfajniejsze na świecie.

Wychodzimy i jakaś kobieta siedzi na ziemi ze zdjętą czapką. Babcia daje mi dwie dwudziestopięciocentówki i pokazuje czapkę.

Wkładam jedną do czapki i gonię Babcie.

Podczas zapinania pasa pyta:

- A co masz w ręce?

Pokazuję drugą monetę,

- To NEBRASKA, dołożę ją do swoich skarbów.

Babcia mlaska językiem i zabiera ją z powrotem.

- Miałaś ją dać tej pani z ulicy, tak jak ci mówiłam.

- Dobrze, to...

- Teraz już za późno.

Włącza silnik. Widzę tylko jej żółtawe włosy od tyłu.

- A dlaczego ona jest pani z ulicy?

- Bo tam mieszka, na ulicy. Nie ma nawet łóżka.

Teraz mi przykro, że jej nie dałem drugiej monety.

Babcia mówi, że to się nazywa głos sumienia.

Na wystawie sklepu widzę kwadraty jak w Pokoju, płytki korkowe, Babcia pozwala mi wejść i pogłaskać i powąchać, ale nie chce kupić.

Jedziemy do myjni samochodowej, szczotki chlastają w nas ze wszystkich stron; ale woda się nie wlewa przez nasze szczelne okna, ubaw że hej.

Widzę, że osoby na świecie są prawie zawsze zdenerwowane i nie mają czasu. Nawet Babcia tak często mówi, ale ona i Przydziadek nie mają pracy, to nie wiem, jak osoby z pracą robią pracę i całą resztę. W Pokoju ja i Mama mieliśmy czas na wszystko.

Myślę, że czas się rozproszcza po świecie cienko jak masło, po drogach i domach i placach zabaw i sklepach, tak że na każdym miejscu jest tylko troszkę rozsmarowanego czasu, a potem każdy musi pędzić do następnej porcji.

I tak samo jak patrzę na dzieci, to myślę, że dorośli ich nie lubią, nawet rodzice. Mówią, że dzieci są śliczne i takie słodkie, każą dzieciom coś zrobić jeszcze raz, żeby mogli to sfotografować, ale nie chcą się z nimi tak naprawdę bawić, wolą pić kawę i rozmawiać z innymi dorosłymi. Czasem jakieś małe dziecko płacze, a ta dołączona do niego Mama nawet nie słyszy.

W bibliotece mieszkają miliony książek, za które nie musimy płacić pieniędzy. Wiszą ogromne owady, ale nie prawdziwe, tylko z papieru. Babcia szuka Alicji pod C i znajduje, nie ten kształt, ale te same słowa i obrazki, ale dziwne. Pokazuję Babci najstraszniejszy obrazek, Księżny. Siadamy na sofie i Babcia czyta mi Szczurołapa, nie wiedziałem, że on był z książki, a nie tylko z historyjki. Najbardziej lubię, jak rodzice słyszą śmiech przez skałę. Krzyczą do dzieci, żeby wracały, ale one są już w cudownym kraju, wydaje mi się, że może w Niebie. Góra się w końcu nie otwiera i nie wpuszcza rodziców.

Jakiś duży chłopiec gra w Harry'ego Pottera na komputerze, Babcia mówi, żeby nie stać za blisko, bo to nie moja kolej.

Na stoliku malutki świat z torami kolejowymi i budynkami, małe dziecko się bawi zielonym wagonem. Podchodzę i biorę czerwoną lokomotywę. Wjeżdżam nią trochę w wagon dziecka, dziecko chichocze. Śmigam szybciej i wagon wypada z torów, dziecko jeszcze

głośniej chichocze.

- Bardzo ładnie, Walker, trzeba się dzielić - mówi pan siedzący na fotelu i wpatrzony w takie coś jak BlackBerry Wujka Paula.

Chyba dziecko to Walker.

- Jeszcze raz - mówi.

Tym razem ostrożnie ustawiam swoją lokomotywę na wagonie, a potem biorę pomarańczowy autobus i zderzam go z rurą.

- Nie tak mocno - mówi Babcia, ale Walker powtarza "jeszcze raz" i zaczyna podskakiwać.

Podchodzi drugi pan i całuje tego pierwszego, a potem Walkera.

- Powiedz pa, pa koledze - mówi.

Niby mnie?

- Pa, pa. - Walker macha rączką góradół.

Chyba go uściskam. Ale za szybko to robię i go przewracam, łupie się o stół z pociągiem i płacze.

- Bardzo przepraszam - powtarza w kółko Babcia. - Mój wnuk nie... on się dopiero uczy, że pewnych granic się nie...

- Nic się nie stało - mówi pierwszy pan. Odchodzą, a mały chłopiec huśta się między nimi raz, dwa, trzy, hopa i już nie płacze. Babcia patrzy za nimi z niepewną miną.

- Pamiętaj, że nieznanym się nie obejmuj. Nawet tych miłych - mówi w drodze do białego samochodu.

- Dlaczego nie?

- Bo nie, uściski się zostawia dla tych, których się kocha.

- Ale ja kocham tego chłopca Walkera.

- Jack, widziałeś go pierwszy raz w życiu.

Dzisiaj rano posmarowałem naleśnika kapką syropu. Właściwie dobre to jest, jedno z drugim.

Leżę, a Babcia zaznacza mój kształt, mówi, że można rysować po tarasie, bo przy następnym deszczu kreda się zmyje. Patrzę na chmury, najwyżej jak zaczną padać, to wbiegnę do domu z prędkością światła, zanim walnie we mnie kropla.

- Tylko mnie nie pomaz kredą - mówię.

- Oj, przestań już jęczeć.

Pomaga mi wstać i na tarasie zostaje kształt dziecka, to ja.

Mam wielką głowę bez buzi, puste ciało i nadęte dłonie.

- Przesyłka dla ciebie, Jack - woła Przydziadek, o co mu chodzi?

Wchodzę do domu, a on już rozcina wielkie pudło, wyciąga coś ogromnego i mówi:

- No, to od razu na śmietnik.

To się rozwija.

- Dywan! - Obejmuję go mocno. - To nasz Dywan, mój i Mamy!

Przydziadek podnosi ręce i mówi:

- Jak tam sobie chcesz.

Babcia wykrzywia buzię.

- Może byś to wziął na dwór i porządnie przetrzepał, Leo...

- Nie! - krzyczę.

- No dobra, tylko odkurzę, ale nawet nie chcę myśleć, co w nim jest... - Pociera Dywan między palcami.

Mam trzymać Dywan na materacu w sypialni i nie ciągać go po domu. No to rozwijam go nad głową jak namiot, zapach jest dokładnie taki, jak pamiętam i w dotyku tak samo. Pod nim ułożyłem inne rzeczy, które przynosiła policja. Daję Jeepowi i Pilotowi szczególnie wielkie buziaki, i Łyżce - Roztopce też. Szkoda, że Pilot jest złamany i nie może poruszać Jeepa. Słówkopiłka jest bardziej spłaszczona, niż pamiętam, a czerwonego balonu to prawie wcale nie ma. Statek Kosmiczny jest, ale brakuje wyrzutni rakiet, nie wygląda to za dobrze. Nie ma Fortu ani Labiryntu, może były za duże i się nie zmieściły do pudła. Mam swoich pięć książek, nawet Delme. Wyjmuję drugą Delmę, tą nową, którą wziąłem ze sklepu, bo myślałem, że to moja, ale ta nowa jest o wiele bardziej błyszcząca. Babcia mówi, że na świecie są tysiące książek takich samych i tysiące osób mogą czytać jedną książkę w tej samej chwili, aż mi się w głowie kręci od tego. Nowa Delma mówi:

- Cześć, Delma, miło cię poznać.

- Ja jestem Delma Jacka - mówi Stara Delma.

- Ja też jestem Jacka - odpowiada Nowa.

- Tak, ale mnie Jack miał wcześniej.

Potem Stara i Nowa grzmocą się rogami, aż rozdziera się strona Nowej i zaraz przestają, bo podarłem książkę i Mama będzie zła. Ale jej tu nie ma złej, nawet o tym nie wie, więc płaczę i płaczę i chowam książki do torby z Dorą i zapinam suwak, żeby się nie zapłakały. Dwie Delmy przytulają się do siebie w torbie i mówią przepraszam.

Znajduję pod materacem Ząb i ssę go, aż wydaje mi się, że jest jednym z moich.

Okna wydają dziwne dźwięki, to krople deszczu. Podchodzę blisko, nie boję się aż tak

bardzo, bo między nami jest szkło. Przyklejam do niego nos, wszystko zamazane od deszczu, krople się stapiają i zmieniają w długie rzeki i płyną płyną płyną po szybie.

- A skąd znasz drogę? - pytam Babci, która siedzi za kierownicą.

Mruga do mnie w lusterku.

- To niespodzianka tylko dla ciebie.

Patrzę przez okno za nowościami. Dziewczyna na wózku z głową między dwiema takimi jakby poduszeczkami. Pies wacha drugiemu psowi pupę, ale śmiesznie. Metalowa skrzynka na listy w środku listy. Fruwa foliowa torebka.

Wydaje mi się, że trochę śpię, ale nie jestem pewien.

Zatrzymujemy się na parkingu, który jest cały posypany czymś pylastym.

- Zgadnij co to - mówi Przydiadek i pokazuje palcem.

- Cukier?

- Piasek - mówi. - Ciepło, coraz cieplej?

- Nie, zimno.

- On pyta, czy już się domyślasz, gdzie jesteśmy. W jakimś miejscu, do którego twój Dziadek zabierał mamę i Paula, jak byli mali.

Patrzę daleko.

- W górach?

- Przy wydmach. A to pomiędzy nimi, to niebieskie?

- Niebo.

- Niżej. To ciemniejsze na dole.

Oczy mnie bolą nawet przez okulary.

- Morze! - mówi Babcia.

Idę za nimi drewnianą dróżką i niosę wiaderko. Nie tak to sobie wyobrażałem, wiatr ciągle mi wrzuca w oczy małe kamyczki. Babcia rozkłada wielki koc w kwiaty, cały będzie z piasku, ale

Babcia mówi nic nie szkodzi, to koc piknikowy.

- A gdzie piknik?

- Jeszcze nie ta pora roku.

Przydiadek mówi chodźmy do morza.

Piasek mi włązi do butów, jeden but spada.

- Świetny pomysł - mówi Przydiadek, zdejmując obydwa, wkłada do nich skarpetki i niesie za sznurówki.

Też wkładam skarpetki do butów. Piasek jest wilgotny i dziwnie kłuje w stopy. Mama

nic nie mówiła, że na plaży tak jest.

- Lecimy - mówi Przydziadek i biegnie do morza.

Trzymam się z daleka, bo przede mną rośnie coś wielkiego z białym na górze, huczy i się rozbija. Morze ciągle warczy i jest za wielkie, nie trzeba było przyjeżdżać.

Wracam do Babci na koc piknikowy. Przebiera gołymi palcami u nóg, całkiem pomarszczonymi.

Próbujemy budować zamek z piasku, ale to nie taki piasek, tylko się kruszy.

Wraca Przydziadek z podwiniętymi nogawkami, kapie mu z nóg.

- Nie chciałeś sobie pobrodzić?

- Tam jest pełno kup.

- Gdzie?

- W morzu. Nasze kupy lecą przez rury do morza, nie chcę po nich chodzić.

Przydziadek się śmieje.

- Twoja matka nie bardzo się zna na kanalizacji, co?

Mam ochotę go uderzyć.

- Mama się zna na wszystkim.

- Jest taka jakby wielka fabryka, do której biegną rury ze wszystkich toalet.

Siada na kocu ze swoimi nogami oblepionymi piaskiem.

- Tam się wybiera wszystkie kupy i oczyszcza każdą kroplę wody, aż staje się znów zdatna do picia, a potem się ją wpuszcza z powrotem w rury, żeby nam płynęła z kranów.

- A kiedy leci do morza?

Przydziadek kręci głową.

- Wydaje mi się, że morze składa się tylko z deszczu i soli.

- Kosztowałeś kiedyś łyż? - pyta Babcia.

- Tak.

- No to jest taka jak morze.

Nadal nie chcę wchodzić, jeśli morze jest zrobione z łez.

Ale wracam z Przydziadkiem blisko wody, żeby poszukać skarbu. Znajdujemy białą muszelkę jak od ślimaka, ale jak wkładam do niej zgięty palec, to ślimaka nie ma.

- Weź ją sobie - mówi Przydziadek.

- A co zrobi, jak zechce wrócić do domu?

- Nie sądzę, żeby ją tak zostawił byle gdzie, gdyby jej jeszcze potrzebował - mówi Przydziadek.

Może ptak go pożarł. Albo lew. Wkładam muszelkę do kieszeni, a potem jeszcze

różową, czarną i taką długą niebezpieczną, co się nazywa brzytwa morska. Mogę je sobie wziąć, bo znalezione nie kradzione.

Jemy lunch w barze. Dla mnie BLT, to taka kanapka na gorąco z sałatą i pomidorami, a w środku chowają się bekony.

Po drodze do domu widzę plac zabaw, ale coś mu się pomieszało, huśtawki są po drugiej stronie.

- Oj, Jack, to nie ten sam - mówi Babcia. - Place zabaw są w każdym mieście.

Widocznie świat się bardzo dużo powtarza.

- Co ja słyszę od Noreen, podobno ściąłeś włosy. - Głos Mamy przez telefon jest cichutki.

- No. Ale dalej mam swoją siłownię.

Siedzę z telefonem pod Dywanem, zupełnie po ciemku, żebym mógł udawać, że Mama jest koło mnie.

- Już się sam kąpię - mówię jej. - Byłem na huśtawkach i wiem, co to pieniądze i ogień i pani z ulicy i mam dwie Delmy i głos sumienia i buty z gąbki.

- To ci dopiero.

- Aha, i widziałem morze, nie ma w nim kup, oszukiwałaś mnie.

- Zadawałeś tak wiele pytań, a ja nie znałam wszystkich odpowiedzi, więc niektóre musiałam wymyślać.

Słyszę, jak oddycha przez płacz.

- Mamo, a możesz po mnie dzisiaj przyjść?

- Jeszcze nie.

- Dlaczego nie?

- Coś tam kombinują z dawkami leków, próbują zrozumieć, czego mi trzeba.

Mnie, mnie jej trzeba. Może ona by to zrozumiała?

Chcę jeść pad thai ŁyżkąRoztopką, ale Babcia mówi, że to niehigieniczne.

Potem siedzę w pokoju dziennym i skaczę po kanałach, to znaczy przerzucam szybko wszystkie planety, i nagle słyszę swoje imię, nie na świecie, tylko w telewizorze.

-... i należałoby oddać głos Jackowi.

- W pewnym sensie Jack to każdy z nas - mówi drugi pan siedzący przy wielkim stole.

- Naturalnie - dodaje następny.

Oni też mają na imię Jack i należą do tego miliona, o którym mówiła mama?

- Dziecko wewnętrzne, uwięzione w naszym własnym Pokoju sto jeden. - Kiwa głową inny pan.

Chyba nie byłem nigdy w tym pokoju.

- A po uwolnieniu, jak na ironię, czeka nas samotność w tłumie...

- Uginamy się pod natłokiem bodźców nowoczesności - mówi pierwszy.

- Ponowoczesności.

Teraz odzywa się kobieta.

- Ale w warstwie symbolicznej Jack to bez wątpienia dziecięca ofiara zamurowana w fundamentach dla obłaskawienia duchów.

Że co?

- Według mnie bardziej adekwatny byłby tu archetyp Perseusza - zrodzonego z zamkniętej w czterech ścianach dziewicy, wrzuconego w morze w drewnianej skrzyni, ofiary, która powraca w roli bohatera.

- Oczywiście, jak powszechnie wiadomo, Kaspar Hauser twierdził, że był szczęśliwy w swoim lochu, ale może chciał przez to powiedzieć, że społeczeństwo dziewiętnastowiecznych Niemiec było jeszcze bardziej opresyjne.

- Jack miał przynajmniej telewizję.

Jakiś pan zaczyna się śmiać.

- Kultura jako cień na ścianie jaskini platońskiej.

Wchodzi Babcia i naburmuszona od razu wyłącza telewizor.

- O mnie było - mówię jej.

- To towarzystwo za długo studiowało.

- Mama mówi, że muszę studiować.

Babcia przewraca oczami.

- Wszystko w swoim czasie. Teraz piżama i zęby.

Czyta o uciekającym króliczku, ale dzisiaj mi się nie podoba. Cały czas myślę, co by było, gdyby to mama króliczka uciekała i się chowała, a króliczek nie mógł jej znaleźć.

Babcia mi kupi piłkę do nogi, cieszę się bardzo. Podchodzę popatrzeć na pana z plastiku w czarnym gumowym kostiumie i z płetwami, potem oglądam wielką stertę walizek we wszystkich kolorach, na przykład różowym i zielonym i niebieskim, a dalej są już schody ruchome. Wchodzę tylko na sekundkę, ale już nie mogę wrócić do góry, schody mnie niosą w dół dół dół i jest fajowsko, ale i przerażająco, przerażowsko, to słówkowy przekładaniec, Mamie by się spodobał. Na końcu muszę zeskoczyć, nie wiem, jak się wraca do Babci. Liczę

zęby pięć razy, raz mi wychodzi dziewiętnaście zamiast dwudziestu. Wszędzie wiszą plansze i na każdej pisze to samo:”Już za trzy tygodnie Dzień Matki, czyż ona nie zasługuje na to, co najlepsze?”. Oglądam talerze i kuchenki i krzesła, a potem opadam z sił i kładę się na łóżku.

Jakaś kobieta mówi, że tak nie wolno, więc siadam.

- A gdzie twoja mama, człowieczku?

- W klinice, bo chciała pójść wcześniej do Nieba.

Kobieta robi wielkie oczy.

- A ja jestem bonsai.

- Co takiego?

- Byliśmy zamknięci, a teraz jesteśmy gwiazdy rapu.

- O Jezus Ma... to ty jesteś ten chłopiec! Ten... Lorana!

- wrzeszczy. - Chodź no tu szybko. Nigdy nie uwierzysz. To ten chłopiec, Jack, ten z telewizji, co mieszkał w szopie.

Podchodzi inna osoba i kręci głową.

- Ten z szopy był mniejszy, miał długie związane włosy i był jakiś taki pokurczony.

- To on - mówi pierwsza. - Mówię ci, że to on.

- Nic z tego - odpowiada druga.

- Kolego - dodaję.

Kobieta tylko się śmieje i śmieje.

- To się nie dzieje naprawdę. Mogę prosić o autograf?

- Lorana, przecież on się nie umie podpisać.

- A właśnie że umiem. Mogę napisać, co tylko chcę.

- Ale kosmos - odpowiada kobieta. - Totalny kosmos, co?

- mówi do drugiej.

Nie mają papieru oprócz starych metek z ubrań, podpisuję się ”JACK” na wielu, dla kobiet i ich znajomych, i wtedy przybiega Babcia z piłką pod pachą, wściekła jak nie wiem co. Krzyczy do kobiet coś o”procedurach obowiązujących w przypadku znalezienia dziecka” i drze moje autografy na kawałki. Ciągnie mnie za rękę. Wybiegamy ze sklepu, a bramka robi piii piii, Babcia rzuca piłkę na dywan.

W aucie nie patrzy na mnie w lusterku.

- Dlaczego wyrzuciłaś moją piłkę? - pytam.

- Alarm się włączył, bo nie zapłaciłam - mówi Babcia.

- Chciałaś ją ukraść?

- Nie, Jack! - krzyczy. - Biegałam jak wariatka po całym budynku i cię szukałam!

Po chwili dodaje ciszej:

- Wszystko się mogło zdarzyć.

- Na przykład trzęsienie ziemi?

Patrzy na mnie w małym lusterku.

- Ktoś obcy mógł cię porwać, Jack. O tym mówię.

Ktoś obcy to nieprzyjaciel, ale te kobiety były moimi przyjaciółkami.

- Po co?

- Bo może sam chciałby mieć małego chłopca, jasne?

Wcale nie jasne.

- Albo nawet ci zrobić krzywdę.

- Kto, on?

Stary Nick, ale nie mówię na głos.

- Nie, on się nie ruszy z więzienia, ktoś do niego podobny - mówi Babcia.

Nie wiedziałem, że na świecie jest ktoś do niego podobny.

- A możesz teraz wrócić po moją piłkę? - pytam.

Babcia uruchamia silnik i wyjeżdża z parkingu tak szybko, że piszcza koła.

Jedziemy i robię się coraz bardziej zły i źlejszy.

Po powrocie do domu wkładam wszystko do swojej torby z Dorą, tylko że buty się nie mieszczą, to je wrzucam do śmieci, i zwijam Dywan i ciągnę go za sobą po schodach.

Babcia wychodzi do holu.

- Umyłeś ręce?

- Wracam do kliniki! - krzyczę. - A ty mi nie przeszkodzisz, bo, bo jesteś ktoś obcy!

- Jack, odłóż na miejsce ten śmierdzący dywan.

- Sama jesteś śmierdząca! - ryczę.

Babcia łapie się za pierś.

- Leo - mówi przez ramię. - Przysięgam, wiele zniosę...

Przydiadek wchodzi po schodach i mnie podnosi.

Upuszczam Dywan. Przydiadek kopniakiem usuwa z drogi torbę z Dorą. Niesie mnie, krzyczę i biję, bo mi wolno, to szczególny przypadek, mogę go nawet zabić, zabijam i zabijam...

- Leo! - zawodzi z dołu Babcia. - Leo...

Fufufefi, zaraz mnie rozerwie na kawałki, zawinie mnie w Dywan i pochowa robale tu, robale tam...

Przydiadek zrzuca mnie na materac, ale to nie boli.

Siada na brzegu i wszystko się podnosi jak fala. Dalej płacze i się trzęse i smarki lecą na pościel.

Koniec płaczu. Wkładam rękę pod materac i znajduję Ząb, wkładam go do buzi i mocno ssę. Teraz już smakuje jak nic.

Dłoń Przydziadka leży na prześcieradle tuż koło mnie, widać włosy na palcach.

Jego oczy czekają na moje.

- No jak, młody, co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr?

Przesuwam Ząb na bok.

- Co?

- Idziemy na kanapę na ciacho i mecz?

- Dobra.

Zbieram gałęzie, które pospadały z drzew, nawet te ogromne ciężkie. Ja i Babcia obwiązujemy je razem sznurkiem, żeby miasto mogło je zabrać.

- A jak miasto...?

- Chodziło mi o służby miejskie, o tych, którzy za to odpowiadają, Ja jak będę duży, to zostanę wielkoludem, ale nie takim żarłocznym, ale na przykład takim, co łapie dzieci wpadające do morza i stawia je z powrotem na ziemi.

- Uwaga, dmuchawiec! - krzyczę.

Babcia go wykopuje rydlem, żeby urosła trawa, bo nie ma dość miejsca dla wszystkich.

Zmęczyliśmy się i idziemy na hamak, nawet Babcia.

- Kiedy twoja mama była niemowlęciem, często tu z nią siedziałam.

- A dawałaś jej się poczęstować?

- Czym?

- Z twojej piersi.

Babcia kręci głową.

- Ale odginała mi palce, kiedy piła z butelki.

- A gdzie jest ta mamusia od brzusia?

- Ach, więc ci powiedziała? Nie mam pojęcia, niestety.

- A urodziła jeszcze potem dziecko?

Babcia się nie odzywa. A potem mówi:

- Mam taką nadzieję.

Siedzę w kuchni i maluję, ubrany w stary fartuch Babci z krokodylem i napisem Zjadłem aligatora w Bayou. Nie maluję prawdziwych obrazów, tylko plamy, paski i spirale, wszystkimi kolorami, nawet je rozlewam i mieszam. Lubię moczyć papier, a potem go składać, jak mi pokazała Babcia, a jak rozkładam, to robi się motyl.

I wtedy w oknie pojawia się Mama.

Czerwone się rozlewa. Próbuje wytrzeć, ale wylało mi się na stopę i na podłogę. Buzi Mamy już nie widać, podbiegam do okna, ale jej nie ma. Czy tylko mi się zdawało? Zacerwieniłem okno i zlew i blat.

- Babcia? - wołam. - Babcia?

I nagle za mną staje Mama.

Podbiegam, ale nie całkiem. Mama chce mnie objąć, ale mówię:

- Nie, jestem cały z farby.

Mama się śmieje, rozwiązuje mi fartuch i rzuca go na stół. Przytula mnie całego mocno, ale odsuwam lepiące dłonie i stopę.

- Ledwo cię poznałam - mówi do mojej głowy.

- Dlaczego ledwo...?

- Pewnie przez włosy.

- Patrz, mam bransoletkę z tych długich, ale ciągle nią o coś zaczepiam.

- Mogę ją sobie wziąć?

- Jasne.

Bransoletka się plami farbą przy zsuwaniu z nadgarstka.

Mama ją przymierza. Wygląda inaczej, ale nie wiem czemu.

- Przepraszam, że cię zacerwieniłem na ramieniu.

- To się wypierze. - Babcia wchodzi do kuchni.

- Nie powiedziałaś mi, że przyjadę? - pyta Mama i daje jej całusa.

- Wołałam nie, na wypadek problemów.

- Nie ma żadnych problemów.

- To się cieszę.

Babcia ociera oczy i zaczyna zmywać farbę.

- Jack śpi w naszym pokoju na dmuchanym materacu, ale mogę wam pościelić na sofie.

- Raczej będziemy się zbierać.

Babcia przez minutę stoi bez ruchu.

- A zostaniecie na kolację?

- Pewnie - mówi Mama.

Przydiadek robi schab z kością i risotto, nie lubię mięsa z kością, ale zjadam cały ryż i zagarniam widelcem sos. Przydiadek podkrada mi kawałek schabu.

- Rabuś, nie kradnij!

- O jeny! - jęczy.

Babcia pokazuje mi grubą księgę ze zdjęciami dzieci, mówi, że to Mama i Paul, kiedy byli mali. Pracuję nad sobą, żeby uwierzyć, i wtedy znajduję zdjęcie małej dziewczynki na plaży, tej samej, na którą zabrali mnie Babcia i Przydiadek, a jej buzia to dokładnie buzia Mamy. Pokazuję jej.

- Zgadłeś, to ja - mówi i odwraca stronicę. Widać zdjęcie

Paula machającego z okienka olbrzymiego banana, tak naprawdę rzeźby, i inne, na którym oboje jedzą lody w wafelku razem z Dziadkiem, ale on wygląda inaczej i Babcia też, na zdjęciu ma ciemne włosy.

- A gdzie zdjęcie hamaka?

- Bez przerwy w nim przesiadywaliśmy, więc pewnie nikomu nie przyszło do głowy, żeby robić zdjęcia.

- To musi być straszne nie mieć ani jednego - mówi do niej

Babcia.

- Czego? - pyta Mama.

- Zdjęcia Jacka, jak był niemowlakiem i maluchem - odpowiada. - No żeby go jakoś zapamiętać z tego okresu.

Mamie nawet nie drga buzia.

- Pamiętam wszystko co do dnia.

Patrzy na zegarek, nie wiedziałem, że ma nowy, taki ze szpiczastymi kończynami.

- O której godzinie macie być w klinice? - pyta Przydiadek.

Mama kręci głową.

- Już tam nie wracam.

Wyjmuje coś z kieszeni i potrząsa, to klucz na kółku.

- Nie zgadniesz, Jack, ty i ja mamy swoje mieszkanie.

Babcia mówi do niej jej inną nazwą,

- Naprawdę myślisz, że to taki dobry pomysł?

- Sama chciałam. Wszystko będzie dobrze, mam. Tam całą dobę dyżurują terapeuci.

- Ale ty jeszcze nigdy nie mieszkałaś na swoim...

Mama wytrzeszcza oczy na Babcie. Przydiadek też, a potem długo ryczy ze śmiechu.

- To wcale nie jest śmieszne - mówi Babcia i daje mu kuksańca w pierś. - Ona wie, o co mi chodzi.

Mama zabiera mnie na górę, żebym spakował swoje rzeczy.

- Zamknij oczy - mówię. - Mam dla ciebie niespodzianki.

Wprowadzam ją do sypialni.

- Tada!

Czekam.

- To Dywan i pełno naszych rzeczy, policja je oddała.

- Właśnie widzę - mówi Mama.

- Patrz, Jeep i Pilot...

- Nie targajmy ze sobą popsutych rzeczy - mówi. - Weź to, czego naprawdę potrzebujesz, i włóż do swojej nowej torby z Dorą.

- Wszystko potrzebuję.

Mama wzdycha.

- Rób, jak uważasz.

Jak to jak uważam?

- Są jeszcze kartony, w których to przywieźli.

- Powiedziałam: dobrze.

Przydziadek wkłada wszystkie nasze rzeczy do bagażnika białego samochodu.

- Muszę sobie odnowić prawo jazdy - mówi Mama, kiedy

Babcia nas wiezie.

- Może się okazać, że trochę zardzewiałaś za kółkiem.

- Och, ja w ogóle zardzewiałam - mówi Mama.

- Mamo, dlaczego zar...?

- Jak Blaszyński Drwal - mówi przez ramię Mama. Podnosi łokieć i udaje, że skrzypi. - Hej, Jack, a kupimy sobie kiedyś samochód?

- No. Albo lepiej helikopter. Megaśmigły helikopociągoautookręt podwodny.

- To dopiero będzie jazda.

Siedzimy i siedzimy w tym samochodzie.

- Czemu tak długo? - pytam.

- Bo to po drugiej stronie miasta - odpowiada Babcia. - Prawie że za granicą.

- Daj spokój, mamo.

Robi się ciemno na niebie.

Mama mówi, gdzie się zatrzymać. Przy drodze szyld. **LOKALE MIESZKALNE**

FUNDACJI "SAMODZIELNE ŻYCIE". Babcia pomaga nam wnieść pudła i torby do budynku z brązowych cegieł, oprócz torby z Dorą, bo ją ciągnę za sobą.

Wchodzimy przez wielkie drzwi i spotykamy uśmiechniętego pana, który się nazywa portier.

- Czy on nas już nie wypuści? - szepczę do Mamy.

- Nie, tylko nie wpuści, kogo nie trzeba.

Spotykamy trzy panie i jednego pana, nazywają się Personel

Pomocniczy, mamy się czuć jak u siebie i przekręcić do nich, jak tylko będziemy potrzebować pomocy, przekręcić to znaczy zadzwonić telefonem. Jest tu dużo piętér, a na każdym mieszkaniu, moje i Mamy jest na szóstym. Ciągnę ją za rękaw i szepczę:

- Na piątym.

- Słucham?

- Możemy zamieszkać na piątym?

- Przykro mi, ale nie mamy nic do gadania - mówi.

Drzwi windy zamykają się za nami z hukiem i Mama dostaje ciarek.

- Nic ci nie jest? - pyta Babcia.

- Do tego też muszę jeszcze przywyknąć.

Mama wstukuje tajny szyfr, żeby winda się zaczęła trząść.

Kiedy się unosi, robi mi się dziwnie w brzuszku. Potem drzwi się otwierają i już jesteśmy na szóstym, dolecieliśmy w ogóle nie wiadomo kiedy. Na korytarzu drzwiczki z napisem SPALARNIA, jak tam włożymy śmieci, to będą lecieć lecieć i lecieć w dół, a potem pójdą z dymem. Na drzwiach nie ma cyferek, tylko litery, nasza to B, czyli mieszkamy w Sześć B. Sześć to nie taka zła cyferka jak dziewięć, a właściwie to nawet dziewięć do góry nogami. Mama wkłada klucz do dziurki, przekręca i się krzywi, bo ją boli nadgarstek. Jeszcze jej całkiem nie naprawili.

- Domek - mówi i popycha drzwi.

Jak to domek, skoro tu nigdy nie byłem?

Mieszkanie jest jak dom, ale wszystko jest rozpląszczone.

Mamy pięć pokoi, całe szczęście, jeden to łazienka z wanną, więc możemy się kąpać zamiast brać prysznic.

- Wchodzimy od razu?

- Rozgoścmy się najpierw - mówi Mama.

Kuchenka bucha ogniem jak u Babci. Przy kuchni jest pokój dzienny, a w nim kanapa i niski stolik i megawielki telewizor, W kuchni Babcia wypakowuje jakieś rzeczy z pudła.

- Mleko, bajgle, nie wiem, czy już pijesz kawę... On lubi te zbożowe literki, raz ułożył napis WULKAN.

Mama otacza Babcię ramionami, żeby na minutę przestała się krzątać.

- Dzięki.

- Mam jeszcze po coś wyskoczyć?

- Nie, pewnie pomyślałaś o wszystkim. Dobranoc, mamo.

Babcia wykrzywia buzię.

- Wiesz co...

- Co? - Mama czeka. - O co chodzi?

- Ja też pamiętam każdy dzień z tobą.

Nie odzywają się, to idę sprawdzić łóżka, po którym się wyżej skacze. Robię fikołki i słyszę, że gadają i gadają. Chodzę po mieszkaniu i otwieram i zamykam, co się da.

Po wyjściu Babci Mama pokazuje mi, jak obsługiwać zasuwę, to taki jakby klucz, ale tylko my od środka możemy nim zamykać albo otwierać.

W łóżku zaraz sobie przypominam i podciągam Mamie koszulkę.

- Oj, wątpię, żeby coś tam jeszcze zostało - mówi Mama.

- Zostało, zostało.

- Wiesz, z piersiami to jest tak, że jak się z nich nie pije, to myślą sobie: "No dobra, nikt już nie potrzebuje mleka, to przestaniemy je wytwarzać.

- Matołki. Ja na pewno coś jeszcze znajdę.

- Nie - mówi Mama i zasłania się dłonią. - Przykro mi. To by było na tyle. Chodź no tu do mnie.

Przytulamy się mocno. W jej piersi łup łup prosto do mojego ucha, to od niej serce.

Podnoszę jej koszulkę.

- Jack...

Całuję prawą i mówię "pa, pa". Lewą całuję dwa razy, bo z niej zawsze było gęstsze. Mama przyciska mi głowę mocno mocno, aż mówię, że nie mogę oddychać, i wtedy puszcza.

Buzia Pana Boga wschodzi mi pod oczy bladoczerwono. Mrugam oczami, a światło raz znika, raz się pojawia. Czekam, aż

Mamie się włączy oddech.

- Jak długo tu zostaniemy, w tym Samodzielnym Życiu?

Mama ziewa.

- Tak długo, jak zechcemy.

- To ja chcę zostać na tydzień.

Przeciąga się całą sobą.

- No to zostaniemy na tydzień, a potem się zobaczy.

Zwijam jej włosy jak linę,

- Mogę ci je obciąć i znowu będziemy tacy sami.

Kręci głową.

- Chyba sobie zostawię długie.

Rozpakowujemy się i mam duży kłopot, nie mogę znaleźć

Zęba.

Przeglądam wszystkie swoje rzeczy i szukam wszędzie indziej, bo może go gdzieś wczoraj upuściłem. Próbuję sobie przypomnieć, kiedy ostatnio miałem go w ręce albo w buzi. Może nie wczoraj wieczorem, ale noc wcześniej u Babci, tak, myślę, że go ssalem. Przychodzi mi to głowy coś okropnego, może niechcący go połknąłem przez sen.

- Co się dzieje, jak coś połkniesz, ale nie jedzenie?

Mama wkłada skarpetki do szuflady.

- Co na przykład?

Przecież się nie przyznam, że może zgubiłem kawałek jej.

- Kamyczek czy coś takiego.

- A, to wyjdzie drugą stroną.

Dzisiaj nie jedziemy windą na dół, nawet się nie ubieramy.

Zostajemy w naszym Samodzielnym Życiu i uczymy się wszystkiego.

- Może w tym pokoju będziemy spać, ale bawić się będziesz w tym drugim, bardziej nasłonecznionym? - proponuje

Mama.

- Z tobą.

- No tak, ale czasem zechcę porobić coś innego, to może w ciągu dnia sypialnia będzie moim pokojem.

Jakie coś innego?

Mama wsypuje płatki, nawet nie liczy. Dziękuję Dzieciątku Jezus.

- Czytałam na studiach taką książkę i tam pisali, że każdy powinien mieć własny pokój - mówi.

- Dlaczego?

- Żeby mieć gdzie myśleć.

- Ja mogę myśleć z tobą w tym samym pokoju.

Czekam.

- To dlaczego ty nie możesz myśleć ze mną?

Mama robi minę.

- Najczęściej mogę, ale czasem miło by było mieć jakieś miejsce tylko dla siebie.

- Ja tak nie myślę.

Bierze duży oddech.

- Spróbujmy zacząć od dzisiaj. Możemy zrobić tabliczki z imionami i przyczepić je do drzwi.

- Fajowsko.

Piszemy na kartkach różnokolorowymi literkami POKÓJ JACKA i POKÓJ MAMY, a potem je przyklepamy taśmą, zużywamy tyle, ile chcemy.

Muszę kupę, oglądam ją, ale Zęba nie widać.

Siedzimy na kanapie i patrzymy na wazon na stole, szklany, ale nie niewidzialny, bo ma niebieskie i zielone.

- Ściany mi się nie podobają - mówię Mamie.

- A co z nimi nie tak?

- Za białe. Słuchaj, może kupimy w sklepie płytki korkowe i wszędzie poprzyklejamy?

- Nic z tego, kolego.

A po minucie dodaje:

- Zaczynamy od nowa, pamiętasz?

Mówi "pamiętasz", ale nie chce, żebym pamiętał Pokój.

Myślę o Dywanie, lecę, wyjmuję go z pudła i ciągnę za sobą.

- A gdzie damy Dywan, za kanapą czy przy łóżku?

Mama kręci głową.

- Ale...

- Jack, on jest cały postrzępiony i poplamiony po siedmiu latach tego... czuć go z daleka. Musiałam patrzeć, jak uczysz się pełzać po tym dywanie, uczysz się chodzić, ciągle się o niego potykałeś. Kiedyś zrobiłeś na niego kupę, innym razem zupa się wylała, nie da się go już doczyścić.

Oczy jej błyszczą i są takie wielkie.

- No, i urodziłem się na niego i umarłem też w nim.

- No, i dlatego marzę tylko o tym, żeby go wrzucić do pieca.

- Nie!

- Gdybyś chociaż raz w życiu pomyślał o mnie, a nie o...

- Myśle! - wrzeszczę. - Cały czas o tobie myślałem, jak byłaś Nieobecna!

Mama na sekundę zamyka oczy.

- Umówmy się, że możesz go trzymać w swoim pokoju, ale zwinięty w szafie. Dobra?

Nie chcę musieć go oglądać.

Idzie do kuchni, słycać plusk wody. Podnoszę wazon, rzucam nim o ścianę i pęka na milion kawałków.

- Jack... - Mama już tu jest.

- Nie chcę być twoim małym króliczkiem! - krzyczę.

Biegnę do POKOJU JACKA i ciągnę za sobą Dywan, zaczepia się o drzwi, wciągam go do szafy i owijam się nim cały, siedzę tam całymi godzinami, a Mama nie przychodzi.

Zesztywniała mi buzia od zaschniętych łez. Przydziadek mówi, że tak się uzyskuje sól, łapie się fale w małe jeziora, a słońce je potem osusza.

Słycać straszny dźwięk bzz bzz bzz, a potem głos Mamy:

- Tak, chyba tak, pora jak każda inna.

Po minucie słycaję ją koło szafy:

- Mamy gości.

To doktor Clay i Noreen. Przynieśli jedzenie, które się nazywa nawynos, to makaron i ryż i tak coś śliskie żółte mniem.

Roztrzaski wazonu znikły, Mama musiała je ulotnić do pieca.

Przynieśli komputer, doktor Clay go podłącza, żebyśmy mogli grać w gry i wysyłać emaile. Noreen pokazuje mi, jak rysować po ekranie strzałką, która się zmienia w pędzel. Rysuję siebie i Mamę w Samodzielnym Życiu.

- A co to są te białe gryzmoły? - pyta Noreen.

- Przestrzeń.

- Kosmiczna?

- Nie, cała przestrzeń w środku, powietrze.

- No cóż, rozgłos może być źródłem traumy wtórnej - mówi do Mamy doktor Clay. -

Nadal nie bierze pani pod uwagę zmiany tożsamości?

Mama kręci głową.

- Nie mogę sobie tego wyobrazić... ja to ja, a Jack to Jack, prawda? Jak mogłabym mówić do niego Michael, Zane czy jeszcze inaczej?

Dlaczego miałyby do mnie mówić Michael albo Zane?

- To może przynajmniej nazwisko? - pyta doktor Clay.

- Żeby mu dali spokój, jak już pójdzie do szkoły?

- A kiedy pójde do szkoły?

- Dopiero jak będziesz gotowy - mówi Mama. - Nic się nie martw.

Nie sądzę, żebym był kiedyś gotowy.

Wieczorem bierzemy kąpiel, leżę z głową na Mamy brzuszku i prawie śpię.

Ćwiczymy siedzenie w dwóch pokojach i wołanie do siebie, byle nie za głośno, bo oprócz Sześć B są jeszcze inne Samodzielne Życia, w których mieszkają inne osoby. Kiedy jestem w POKOJU JACKA, a Mama w POKOJU MAMY, to nie jest źle, ale jak ona jest innych pokojach i nie wiem, w których, to mi się to nie podoba.

- Nie bój się - mówi Mama. - Zawsze cię usłyszę.

Zjadamy resztę nawynosu podgrzanego w mikrofalówce, to taka mała kuchenka, która działa superszybko, bo ma niewidzialne promienie śmierci.

- Nie mogę znaleźć Zęba - mówię Mamie.

- Mojego zęba?

- No, tego popsutego, co wypadł, co go sobie wziąłem, miałem go cały czas, ale teraz mi się wydaje, że się zgubił. Chyba że może go połknąłem, ale jeszcze nie wyszedł drugą stroną w kupie.

- Nie przejmuj się tym - mówi Mama.

- Ale...

- Dzisiaj ludzie tak często się przeprowadzają, co chwila coś się gubi.

- Ząb to nie jest coś, muszę go mieć.

- Nie musisz, uwierz mi.

- Ale...

Chwyta mnie za ramiona.

- Pa, pa, zepsuty stary zębie. Koniec, kropka.

Prawie się śmieje, ale ja nie.

Myślę, że może naprawdę go niechcący połknąłem. Może nie wyjdzie drugą stroną w kupie, może już zawsze będzie się ukrywał w jakimś zakątku mnie.

W nocy szepczę:

- Jeszcze jestem włączony.

- Wiem - mówi Mama. - Ja też.

Nasza sypialnia to POKÓJ MAMY, który znajduje się w Samodzielnym Życiu, które znajduje się w Ameryce, która jest przyczepiona do świata, który jest niebieską i zieloną kulą,

która ma miliony mil z jednej strony do drugiej i ciągle wiruje.

Poza światem jest Kosmos. Nie wiem, dlaczego nie spadamy.

Mama mówi, że to dzięki ciężeni, to taka niewidzialna siła, która powoduje, że się nie odklejamy od Ziemi, ale ja tam jej me czuję.

Wschodzi żółta buzia Pana Boga, patrzymy przez okno.

- Zauważyłeś, że co dzień wstaje wcześniej? - pyta Mama.

W naszym Samodzielnym Życiu jest sześć okien, w każdym widać inny obrazek, ale czasem tych samych rzeczy. Okno w łazience to moje ulubione, bo widać przez nie budowę, mogę patrzeć na żurawie i koparki, powtarzam im cały wiersz o Delmie, lubią sobie posłuchać.

Siedzę w pokoju dziennym i zapinam rzepy, bo wychodzimy.

Widzę miejsce, gdzie stał wazon, zanim nim rzuciłem.

- Możemy poprosić o drugi na Niedzielną Rozpustę - mówię Mamie i wtedy sobie przypominam.

Jej buty mają sznurówki i właśnie je zawiązuje. Patrzy na mnie, ale nie jest zła.

- Wiesz co, już nigdy nie będziesz musiał go oglądać.

- Starego Nicka. - Nazywam go na głos, żeby się przekonać, czy to strasznie brzmi, strasznie, ale nie bardzo.

- Ja się muszę z nim spotkać jeszcze raz, w sądzie - mówi

Mama. - Ale to za wiele, wiele miesięcy.

- Dlaczego musisz?

- Morris mówi, że mogę zeznawać przez połączenie wideo, ale ja chcę mu spojrzeć w to wredne świńskie oczko.

Które to było? Próbuję sobie przypomnieć jego oczy.

- Może to on nas poprosi o Niedzielną Rozpustę, ale by było śmiesznie.

Mama się nieładnie śmieje. Przegląda się w lustrze i rysuje czarne kreski wokół oczy i nakłada czerwone na buzię.

- Jak klaun.

- To tylko makijaż, żebym lepiej wyglądała - mówi.

- Zawsze lepiej wyglądasz.

Uśmiecha się do mnie w lustrze. Unoszę koniuszek nosa, a kciuki wkładam do uszu i przebieram palcami.

Trzymamy się za ręce, ale dzisiaj powietrze jest naprawdę ciepłe, więc robią się śliskie. Oglądamy wystawy sklepowe, ale nie wchodzimy, tylko spacerujemy. Mama ciągle

powtarza, że rzeczy są albo absurdalnie drogie albo dziadowskie.

- A tu sprzedają mężczyzn, kobiety i dzieci - mówię.

- Co? - Obraca się. - A nie, to sklep z odzieżą, jak jest napisane MEŹCZYŹNI, KOBIETY, DZIECI to znaczy, że sprzedają ubrania dla tych wszystkich ludzi.

Kiedy musimy przejść przez ulicę, wciskamy guzik i czekamy na srebrnego chłopka, z nim jesteśmy bezpieczni. Dzieci się bawią na czymś, co wygląda jak kawałek betonu, ale one piszczą i podskakują, żeby się zmoczyć, to taka specjalna fontanna.

Przyglądamy się przez chwilę, ale nie za długo, bo Mama mówi, że jeszcze ktoś nas weźmie za dziwaków.

Gramy w dwadzieścia pytań. Kupujemy lody, najlepszą rzecz na świecie, ja mam waniliowe, a Mama truskawkowe. Następnym razem możemy sobie wziąć inne smaki, są ich setki. Wielki kawał zimnego mi zjeżdża po buzi i piecze, Mama pokazuje mi, jak zasłonić nos dłonią i wdychać ciepłe powietrze. Jestem na świecie trzy i pół tygodnia i dalej nigdy nie wiem, co mnie zaboli.

Mam kilka monet od Przydziadka, kupuję Mamie spinkę do jej włosów, z biedronką, ale taką na niby.

Mama dziękuje i dziękuje.

- Możesz ją nosić już zawsze, nawet jak umarniesz - mówię.

- A umarniesz przede mną?

- Taki jest plan.

- Dlaczego taki jest plan?

- Bo jak ty będziesz miał sto lat, to ja będę miała sto dwadzieścia jeden i moje ciało pewnie będzie już dosyć wycieńczone.

- Uśmiecha się. - Będę szykować ci pokój w Niebie.

- Nam - mówię.

- Dobrze, nam.

Porem widzę budkę telefoniczną i wchodzę do środka się pobawić, że jestem Supermanem, który wkłada swój kostium, macham przez szybę do Mamy. Leżą tu małe karteczki, z uśmiechniętymi buziami i napisami "Piersiasta blondynka 18" i "Shemale z Filipin", są nasze, bo znalezione nie kradzione, ale kiedy pokazuję je Mamie, mówi, że są nieprzyzwoite, i każe mi je wyrzucić do kosza.

Przez chwilę wydaje nam się, że się zgubiliśmy, ale potem

Mama widzi nazwę ulicy, na której jest Samodzielne Życie, więc jednak się nie zgubiliśmy. Zmęczyły mi się stopy. Ludzie na świecie muszą być chyba cały czas zmęczeni.

W Samodzielnym Życiu chodzę boso, nigdy nie polubię butów.

Osoby z Sześć C to kobieta i dwie duże dziewczynki, większe niż ja, ale nie całkiem duże. Kobieta ciągle nosi ciemne okulary, nawet w windzie, i skacze o kuli, a dziewczynki się nie odzywają, ale pomachałem do jednej palcami i się uśmiechnęła.

Codziennie coś nowego.

Babcia przyniosła mi akwarele, to dziesięć owalnych kolorów w pudełku z niewidzialnym wieczkiem. Za każdym razem płuczę do czysta pędzelek, żeby farby się nie mieszały, a jak woda się brudzi, to ją wymieniam. Za pierwszym razem podnoszę obrazek, żeby pokazać Mamie, a on ocieka, więc potem już je rozkładamy do suszenia na stole.

Jedziemy do domu z hamakiem i buduję niezwykle LEGO z Przydziadkiem: zamek i śmigopojazd.

Teraz Babcia może nas odwiedzać tylko popołudniami, bo rano pracuje w sklepie, w którym ludzie kupują peruki i piersi na niby, jak im wypadną włosy. Mama i ja idziemy zerknąć na nią przez drzwi, Babcia to jakaś inna Babcia. Mama mówi, że każdy ma kilka różnych ja.

Paul przychodzi do Samodzielnego Życia z niespodzianką dla mnie, to piłka do nogi, taka jak ta, którą Babcia wyrzuciła w sklepie. Idę z nim do parku, a Mama nie, bo idzie do kafeterii spotkać się z którymś ze starych przyjaciół.

- Świetnie - mówi Paul. - I jeszcze raz.

- Nie, teraz ty.

Paul kopie z całej siły, piłka odbija się od budynku i znika daleko w krzakach.

- Leć po nią! - krzyczy.

Kolej na mnie, piłka wpada do stawu i płaczę.

Paul wyjmuję ją gałęzią i kopie daleko daleko.

- Chcesz mi pokazać, jak szybko biegasz?

- Mieliśmy Tor wokół Łózka - mówię. - Umiem biegać, przebiegałem tam i z powrotem tylko szesnastoma krokami.

- Szok. Założę się, że teraz biegasz jeszcze szybciej.

Kręcę głową.

- Nie, bo się przewrócę.

- Wątpię - mówi Paul.

- Teraz się ciągle przewracam, świat jest cały porykański.

- No tak, ale trawa jest naprawdę miękka, więc nawet jak upadniesz, to nic ci się nie

stanie.

Nadchodzą Bronwyn i Deana, wypatrzyłem je swoimi bystrymi oczami.

Co dzień jest coraz goręcej, Mama twierdzi, że to niebywałe jak na kwiecień.

A potem zaczyna padać. Mama mówi, że mogłoby być fajnie, gdybyśmy sobie kupili dwie parasolki i wyszli, a deszcz by się odbijał od parasolek i wcale by nas nie zmoczył, ale ja tak nie uważam.

Następnego dnia znów jest sucho i wychodzimy, wszędzie kałuże, ale ich się nie boję, mam swoje gąbczaste buty i stopy mi się ochlapują przez dziurki, nic nie szkodzi.

Ja i Mama mamy umowę, spróbujemy wszystkiego chociaż raz, żeby się dowiedzieć, co lubimy robić.

Ja już wiem, że lubię chodzić do parku ze swoją piłką do nogi i karmić kaczki. Już naprawdę polubiłem plac zabaw, ale raz jakiś chłopak zjechał ze zjeżdżalni zaraz za mną i kopnął mnie w plecy. Lubię Muzeum Historii Naturalnej, tylko że dinozaury wcale nie żyją, a w ogóle to są z kości.

W toalecie słyszę, jak ludzie mówią po hiszpańsku, ale

Mama twierdzi, że ten język się nazywa chiński. Ludzie rozmawiają ze sobą na setki różnych obcych sposobów, aż mi się od tego w głowie kręci.

Zaglądamy do innego muzeum, z obrazami, takimi trochę podobnymi do naszych arcydzieł dołączanych do płatków owsianych, ale o wiele większymi, widać też na nich lepkość farby.

Lubię przechodzić przez cały pokój pełny obrazów, ale tych pokoi jest pełno i kładę się na ławce, a jakiś pan w uniformie podchodzi z nieprzyjemną miną, więc uciekam.

Do Samodzielnego Życia przyjeżdża Przydiadek z czymś super dla mnie, to rower, który trzymali dla Bronwyn, ale najpierw ja go dostanę, bo jestem większy. Ma błyszczące buzie na szprychach kół. Kiedy jeżdżę nim po parku, muszę nosić kask

391 i nakolanniki i ochraniacze nadgarstków, bo mogę się przewrócić, ale się nie przewracam, trzymam równowagę, Przydiadek mówi, że jestem urodzonym rowerzystą. Za trzecim razem Mama pozwala mi jechać bez ochraniaczy, a za parę tygodni odczepi małe kółka, bo już ich nie będę potrzebował.

Mama znajduje koncert w parku, nie naszym, ale takim, do którego trzeba dotrzeć autobusem. Bardzo lubię jeździć autobusem, oglądamy wtedy z góry owłosione głowy ludzi na ulicy. Na koncercie jest taka zasada, że to osoby muzyczne wydają wszystkie odgłosy, a nam nie wolno nawet pisnąć, możemy tylko klaskać na końcu.

Babcia mówi Mamie weź go do zoo, ale Mama odpowiada, że nie zniosłaby widoku

klatek.

Idziemy do dwóch różnych kościołów. Ten z wielokolorowymi oknami mi się podoba, ale za głośno grają organy.

Wybieramy się też na spektakl, to jest takie coś, że dorośli się przebijają i bawią jak dzieci, a wszyscy inni patrzą. Odbywa się w jeszcze innym parku i nazywa się Sen mocy letniej. Siedzę na trawie i trzymam palce przy buzi, żeby pamiętała, że ma się nie otwierać. Jakies elfy kłócą się o małego chłopca, tak dużo mówią, że słowa się cieśnią. Czasem elfy znikają, a osoby ubrane na czarno przesuwiają meble.

- Jak my w Pokoju - szepczę do Mamy, a ona ledwo się powstrzymuje od śmiechu.

Osoby siedzące blisko nas zaczynają wołać: "Teraz wita duszka!" i "Oddać cześć Tytanii!", wściekam się i mówię cii, a potem już naprawdę na nich krzyczę, żeby siedzieli cicho. Mama łapie mnie za rękę, odciąga na sam tył, między drzewa i mówi, że to się nazywa udział widzów i jest dozwolone, to taki szczególny przypadek.

Wracamy do siebie do Samodzielnego Życia i spisujemy wszystko, czego już spróbowaliśmy, lista się wydłuża. Są jeszcze rzeczy, których może spróbujemy, jak staniemy się odważniejsi.

Polecieć samolotem

Zaprosić starych przyjaciół Mamy na kolację

Poprowadzić samochód

Pojechać na biegun północny

Pójść do szkoły (ja) i na studia (Mama)

Znaleźć całkiem własne mieszkanie poza Samodzielnym

Życiem

Wynaleźć coś

Zaprzyjaźnić się z nowymi osobami

Zamieszkać w innym kraju, nie w Ameryce

Umówić się na zabawę z innym dzieckiem w jego domu, jak Dzieciątko Jezus z Janem Chrzycielem

Zapisać się na naukę pływania

Wyjść wieczorem na tańce (Mama), przenocować u Przydziadka i Babci na dmuchanym materacu (ja)

Znaleźć pracę

Polecieć na Księżyc

A przede wszystkim mieć psa Lucky' ego, ja jestem gotowy codziennie, ale Mama

mówi, że teraz ma dość spraw na głowie, może jak skończę sześć lat.

- I jak będę miał tort ze świeczkami?

- Sześcioma - odpowiada. - Przysięgam.

W nocy w naszym łóżku, które nie jest Łóżkiem, głaszczę kołdrę, jest bardziej napuszona niż Kołdra. Jak miałem cztery lata, to w ogóle nie wiedziałem o świecie albo myślałem, że to tylko historyjki. Potem Mama opowiedziała mi o tym naprawdę świecie i myślałem, że wiem wszystko. Ale teraz, jak jestem na świecie cały czas, wcale tak wiele nie wiem, ciągle mi się miesza w głowie.

- Mamo?

- Tak?

Ciągle pachnie jak ona, ale jej piersi już nie, teraz są tylko piersiami.

- Żałujesz czasem, że uciekliśmy?

Nic nie słyszę. A potem mówi:

- Nie, nigdy.

- Co za ironia - mówi Mama do doktora Claya. - Przez te wszystkie lata marzyłam o jakimś towarzystwie. A teraz mam wrażenie, że mnie to przerasta.

Doktor Clay kiwa głową, popijają swoją parującą kawę, Mama już ją teraz pije jak dorośli, żeby być na chodzie. Ja dalej piję mleko, czasem kakao, smakuje jak czekolada, ale jest dozwolone. Siedzę na podłodze i układam puzzle z Noreen, supertwarde dwadzieścia cztery części pociągu.

- Najczęściej... wystarcza mi Jack.

- Dusza doбира sobie Towarzystwo - i - zatrząskuje

Drzwi*. [*Emily Dickinson, The Soul selects her own Society w przekładzie Stanisława

Barańczaka.]

Znów ten wierszowy ton.

Mama kiwa głową.

- No tak, ale nie taką siebie pamiętam.

- Musiała się pani zmienić, żeby przeżyć.

Noreen podnosi wzrok.

- Proszę pamiętać, że i tak by się pani zmieniła. Ma pani dwadzieścia parę lat i dziecko, nie może być pani tą samą osobą.

Mama tylko popija kawę.

Ciekawe, czy okna się otwierają, zastanawiam się któregoś dnia.

Sprawdzam to w łazience, kombinuję, jak przekręcić klamkę, i popycham szybę. Boję się powietrza, ale jestem przestradzielny, wychylam się i wystawiam ręce. Jestem pół w środku, pół na zewnątrz, to najbardziej niesamowite...

- Jack! - Mama wciąga mnie za koszulkę.

- Au!

- To szóste piętro, gdybyś wypadł, roztrzaskałbyś sobie czaszkę.

- Wcale nie wypadłem - mówię. - Tylko byłem jednocześnie w środku i na zewnątrz.

- Jednocześnie to byłeś szajbussem - mówi, ale prawie się uśmiecha.

Idę za nią do kuchni. Roztrzepuje w misce jajka na grzanki po francusku. Skorupki są potrzaskane i normalnie wyrzucamy je do śmieci, pa, pa. Ciekawe, czy się na nowo zmieniają w jajka.

- A wracamy po Niebie?

Mama chyba mnie nie słyszy.

- Rośniemy w brzuszku drugi raz?

- To się nazywa reinkarnacja. - Mama kroci chleb. - Niektórzy ludzie przypuszczają, że wracamy jako osły albo ślimaki.

- Nie, jako ludzie w tych samych brzuszku. Jeśli znowu zacznę w tobie rosnąć...

Mama zapala ogień.

- Ale o co pytasz?

- Będziesz dalej mówić do mnie Jack?

Patrzy na mnie.

- Dobra.

- Obiecujesz?

- Zawsze będę do ciebie mówić Jack.

Jutro 1 Maja, to znaczy, że idzie lato i odbędzie się parada. Może pójdziemy popatrzeć.

- A 1 Maja jest tylko w świecie?

Siedzimy na kanapie i jemy musli z miseczek bez rozlewania.

- Nie rozumiem - mówi Mama.

- W Pokoju też jest 1 Maja?

- Tak sądzę, ale nikt go tam nie obchodzi.

- Może tam pojedziemy?

Dzwoni łyżką o miseczkę.

- Jack.

- Pojedziemy?

- Chcesz tego naprawdę, naprawdę?

- No.

- Dlaczego?

- Sam nie wiem.

- Nie podoba ci się na zewnątrz?

- Podoba. Nie wszystko.

- No nie, ale tak ogólnie? Podoba ci się bardziej niż w Pokoju?

- Ogólnie tak.

Dojadam musli i podkradam Mamie to, co zostawiła w miseczce.

- A możemy tam kiedyś wrócić?

- Ale nie na zawsze.

Kręcę głową.

- Tylko na minutkę, w odwiedziny.

Mama opiera buzię na dłoni.

- Ja chyba nie dam rady.

- Właśnie że dasz.

Czekam.

- Bo to niebezpieczne?

- Nie, ale sama myśl o tym... zaraz mi się zbiera na...

Nie mówi na co.

- Potrzymam cię za rękę.

Patrzy na mnie.

- A może sam się tam wybierzesz?

- Nie.

- To znaczy z kimś. Z Noreen?

- Nie.

- Albo z Babcią?

- Z tobą.

- Nie mogę...

- Decyduję za nas dwoje.

Wstaje, chyba jest wściekła. Podnosi słuchawkę w POKOJU MAMY i z kimś rozmawia.

Mija trochę czasu, dzwoni portier i mówi, że czeka na nas radiowóz.

- A pani jest dalej panią Oł?

- Jasne, że tak - mówi Pani Oł. - Kopę lat.

Na oknach radiowozu małe kropeczki, to chyba deszcz.

Mama obgryza kciuk.

- Tak się nie robi - mówię i odciągam jej rękę.

- No. - Odbiera mi kciuk i znowu go skubie. - Chciałabym, żeby nie żył - prawie szepcze.

Wiem, o kim mówi.

- Ale nie w Niebie.

- Nie, poza nim.

- Puk puk puk, ale nie może wejść.

- No.

- Ha ha.

Przejeżdżają dwa wozy strażackie na sygnale.

- Babcia mówi, że go jest więcej.

- Co?

- No, takich osób jak on, na świecie.

- A.

- To prawda?

- Tak. Ale rzecz w tym, że jest o wiele więcej ludzi pomiędzy.

- Gdzie?

Mama patrzy przez okno, ale nie wiem, na co.

- Gdzieś między tym, co dobre, a tym, co złe - mówi. - Jedno się przeplata z drugim.

Kropki na oknie zlewają się w małe rzeki.

Jak się zatrzymujemy, to tylko dlatego wiem że to tu, bo

Pani Oł mówi: "To tu". Nie pamiętam, z którego domu wyszła

Mama wtedy w nocy Wielkiej Ucieczki, wszystkie domy mają garaże. Żaden z nich bardziej niż inne nie wygląda na taki po kryjomu.

- Mogłam wziąć parasolki - mówi Pani Oł.

- Ledwo siąpi - mówi Mama.

Wysiada i wyciąga po mnie rękę.

Nie odpinam pasa.

- Deszcz na nas poleci...

- Miejmy to już za sobą, Jack, bo ja drugi raz nie wracam.

Pas robi klik i się odpina. Schylam głowę i zamykam powieki do połowy, Mama mnie prowadzi. Deszcz na mnie leci, moczy mi się buzia, kurtka, ręce też trochę. Nie boli, tylko tak dziwnie.

Podchodzimy pod drzwi domu i już wiem, że to dom Starego

Nicka, bo widać żółtą wstążkę, na której pisze czarnymi literami MIEJSCE ZBRODNI WSTĘP WZBRONIONY. I wielką naklejkę z okropnym pyskiem wilka i napisem UWAGA, ZŁY PIES. Pokazuję ją Mamie.

- To tylko na niby - mówi.

Aha, to ten pies z podstępu, co miał atak, jak Mama miała dziewiętnaście lat.

Nieznajomy pan policja otwiera drzwi od środka, Mama i Pani Oł się schylają, żeby przejść pod wstążką, mi wystarczy przejść trochę bokiem.

W domu jest pełno pokoi, a w nich wypchane fotele i największy telewizor, jaki widziałem. Ale my tylko przechodzimy, z tyłu są inne drzwi, a dalej trawa. Deszcz ciągle pada, ale już mi się nie zamykają oczy.

- Ze wszystkich stron żywoptot na piętnaście stóp - mówi do Mamy Pani Oł. - Sąsiadów to nie dziwiło."Każdy ma prawo do prywatności" i tak dalej.

Widać krzaki i dziurę otoczoną tą samą żółtą taśmą na patykach. Coś sobie przypominam.

- Mama. Czy to tutaj...?

Przystaje i otwiera szeroko oczy.

- Nie, ja jednak nie dam rady.

Ale ja podchodzę do dziury. W ziemi widać coś brązowego.

- Czy to robale? - pytam Pani Oł, w mojej piersi łupu łupu łupucupu.

- Nie, tylko korzenie drzew.

- A gdzie dzidzius?

Mama stoi przy mnie i wydaje z siebie odgłos.

- Odgrzebaliśmy ją - mówi Pani Oł.

- Nie chciałam, żeby tu dłużej leżała - mówi Mama chrapliwym głosem. Odchrząkuje i pyta Pani Oł:

- Skąd wiedzieliście, gdzie...?

- Mamy specjalne sondy.

- Pochowamy ją w jakimś lepszym miejscu - mówi Mama.

- W ogrodzie u Babci?

- A wiesz co, może... może przerobimy jej kości na prochy i rozsypimy je pod hamakiem.

- I wtedy na nowo urośnie i stanie się moją siostrą?

Mama kręci głową. Całą buzię ma w mokre paski.

Mocniej na mnie pada. Nie jak z prysznicą, bardziej miękko.

Mama stoi tyłem i patrzy na szarą szopę w rogu ogrodu.

- O, jest - mówi.

- Co?

- Pokój.

- E.

- Naprawdę, Jack, nigdy go nie widziałeś z zewnątrz.

Idziemy za Panią Oł, znów przechodzimy przez żółtą taśmę.

- Proszę zwrócić uwagę, że cały system ogrzewania jest ukryty w tych krzakach - mówi do Mamy. - A wejście jest od tyłu, gdzie nie sięga wzrok postronnych osób.

Widzę srebrzysty metal, to chyba Drzwi, ale ta ich strona, której nigdy nie widziałem, są już otwarte do połowy.

- Wejść z wami? - pyta Pani Oł.

- Nie! - krzyczę.

- W porządku.

- Tylko ja i Mama.

Ale Mama wypuściła moją dłoń, pochyla się i wydaje dziwne dźwięki. Coś jest na trawie, na jej buzi też, to wymioty, poznaję po zapachu. Znowu jest struta?

- Mama, Mama!

- Już dobrze. - Ociera buzię chusteczką podaną przez Panią Oł.

- Może woli pani...? - zaczyna Pani Oł.

- Nie - odpowiada Mama i bierze mnie za rękę. - Idziemy.

Przechodzimy przez Drzwi i wszystko jest nie tak. Ciaśniej niż w Pokoju i bardziej pusto i dziwnie pachnie. Goła podłoga, bo brakuje Dywanu, który leży w mojej szafie w naszym Samodzielnym Życiu, zapomniałem, że nie może być w dwóch miejscach naraz. Łóżko stoi, ale bez pościeli i Kołdry. Jest Bujak i Stół i Umywalka i Wanna i Szafka, ale bez talerzy i sztućców na wierzchu, i Komoda i Telewizor i Króliczek przewiązany czerwoną wstążką i Półka, ale pusta, a nasze Krzesła stoją złożone, ale wszystko jest całkiem inne. Nic

się do mnie nie odzywa.

- Nie, to chyba nie tu - szepczę do Mamy.

- Tu.

Nasze głosy brzmią jak nie nasze.

- Skurczył się?

- Nie, zawsze taki był.

Nie ma Makaronowego Mobilu ani mojego obrazka z ośmiornicą, ani arcydzieł, ani żadnej zabawki, ani Fortu, ani

Labiryntu. Zaglądam pod Stół, ale pajęczyny też nie ma.

- Jaśniej było.

- Dziś jest słońce. Możesz włączyć światło. - Mama pokazuje Lampę.

Ale wolę nie dotykać. Patrzę uważnie, próbuję zobaczyć dawny Pokój. Znajduję swoje urodzinowe cyferki wypisane przy Drzwiach, staję przy nich, kładę dłoń na głowie i okazuje się, że jestem wyższy niż czarna piątka. Wszędzie leży cienka powłoka białego.

- To pył z naszej skóry? - pytam.

- Proszek do pobierania odcisków palców - mówi Pani

Oł.

Schylam się, zaglądam pod Łóżko i znajduję Jajowęża zwiniętego jak do snu. Nie widzę jego języka, wyciągam rękę ostrożnie, ostrożnie, aż czuję lekkie ukłucie igły.

Prostuję się.

- A gdzie stała Roślina?

- Już zapomniałeś? Tutaj - mówi Mama i poklepuje Komodę na środku. Widzę kółko bardziej barwniejsze niż reszta.

A tu ślad Toru wokół Łóżka. I mała wytarta dziura w Podłodze pod Stołem tam, gdzie stawialiśmy stopy. To chyba naprawdę był kiedyś Pokój.

- Ale już nie - mówię Mamie.

- Co?

- To już nie Pokój.

- Tak myślisz? - Pociąga nosem. - Kiedyś był jeszcze bardziej zatęchły. No jasne, drzwi są otwarte.

Może o to chodzi.

- Może z otwartymi Drzwiami to nie Pokój.

Uśmiecha się leciutko.

- A chcesz...? - odchrząkuje. - Chciałbyś na chwilę zamknąć drzwi?

- Nie.

- Dobra. Ja już wychodzę.

Podchodzę do Łóżkościanki i dotykam jej jednym palcem, korek jest nijaki w dotyku.

- A w dzień też jest dobranoc?

- Hm?

- Można mówić dobranoc, jak nie ma nocy?

- Raczej do widzenia.

- Do widzenia, Ściana.

Potem mówię to jeszcze do trzech pozostałych ścian, a potem:

- Do widzenia, Podłoga.

Poklepuję Łóżko.

- Do widzenia, Łóżko.

Wkładam głowę do Podłóżka.

- Do widzenia, Jajowąż.

W Szafie szepczę:

- Do widzenia, Szafa.

W ciemności wisi obrazek mnie, który Mama narysowała mi na urodziny, jestem na nim bardzo malutki. Macham, żeby podeszła, i pokazuję.

Całuję ją po buzi całej we łzach, tak smakuje morze.

Zrywam obrazek i zasuwam za nim zamek kurtki. Mama już prawie przy Drzwiach.

- Na rączki?

- Jack...

- Proszę.

Sadza mnie sobie na biodrze, wyciągam ręce w górę.

- Wyżej.

Łapie mnie za żebra i podnosi podnosi podnosi, dotykam początku Dachy.

- Do widzenia, Dach.

Mama mnie stawia bam.

- Do widzenia, Pokój.

Macham do Okna.

- Powiedz do widzenia - mówię Mamie. - Do widzenia, Pokój.

Mama mówi, ale z wyłączonym głosem.

Jeszcze raz patrzę za siebie. Wygląda jak krater, dziura po czymś, co się stało. A potem wychodzimy za drzwi.

KONIEC

PODZIĘKOWANIA

Pragnę podziękować mojej ukochanej Chris Roulston i mojej agentce Caroline Davidson za ich uwagi po lekturze roboczej wersji książki. Caroline (wspieranej przez Victorię X. Kwee i Laurę Macdougall) oraz mojej amerykańskiej agentce, Kathy

Anderson, dziękuję dodatkowo za to, że od samego początku entuzjastycznie angażowały się w powstawanie tej powieści. Judy

Clain z wydawnictwa Little, Brown, Sam Humphreys z Picadora i Iris Tupholme z HarperCollins Canada dziękuję za trafne uwagi redakcyjne. Moje przyjaciółki: Debra Westgate, Liz Veacock, Arja VainioMattila, Tamara Sugunasiri, H lene Roulston, Andrea Plumb, Chantal Phillips, Ann Patty, Sin ad McBrearty i Ali

Dover dzieliły się ze mną sugestiami dosłownie na każdy temat: od rozwoju dziecka po budowanie fabuły. Nade wszystko dziękuję mojemu szwagrowi, Jeffowi Milesowi, za wr cz irtuj co fachowe rady na temat budowy Pokoju.